

POBOJOWISKO

MICHAEL CRUMMEY



W
M

wiatr
i morze

POBOJOWISKO

MICHAEL CRUMMEY



Tytuł oryginału:

The Wreckage

Przełożył

Michał Alenowicz

Copyright © 2005 Michael Crummey Ink

Copyright © for the Polish translation by Michał Alenowicz,

2014

Redakcja

Małgorzata Matysek

Korekta

Agata Skoracka

Skład i łamanie

Magdalena Alenowicz

Projekt okładki i strony tytułowej

Magda Ostapiuk

Zdjęcie na okładce

Magdalena Alenowicz

Wydanie I

ISBN 978-83-936653-5-8

Wydawnictwo Wiatr od Morza Michał Alenowicz

ul. Królewskie Wzgórze 11/22

80-283 Gdańsk

www.wiatrodmorza.com

www.facebook.com/wiatrodmorza

Dla Holly Ann

Kiedy zaś amerykańskie oddziały szły na Manilę, generał Yamashita, jak podało japońskie radio, „stwierdził z szerokim uśmiechem, że »wróg jest teraz w naszych trzewiach...«”

RUTH BENEDICT, *Chryzantema i miecz. Wzory kultury japońskiej*

Ani przez chwilę nie był suchy.

Codziennie porzucali kolejne działa pogrążone w błocie. Koła i osie wózków na amunicję znikały w brei, tak że pociski, które im jeszcze zostały musieli nieść w rękach. Na czele kolumny kilku mężczyzn wyrąbywało ścieżkę maczetami. Dżungla była tak niepodzielnie zgęstniała, że można było odnieść wrażenie, iż przedzierają się przez tkanki żywego stworzenia. Żołnierze potykali się o wystające korzenie i ślizgali na błocie. Pod ciężarem plecaków padali na ziemię niczym marionetki odcięte od sznurków. Do picia mieli tylko wodę z rzeki, wszyscy cierpieli więc na dengę i dyzenterię. Co chwilę ktoś wychodził z kolumny, żeby załatwić się w krzakach. Nishino pomyślał, że sam smród mógłby zdradzić wrogowi ich pozycję.

W drzewach wyły i skrzeczały zwierzęta, których nie potrafił ani dostrzec, ani nazwać. Pojawiały się tylko ptaki; mamiące błyski barw nurkujące między gałęziami. Papugi naśladowały żołnierzy, wychytując pojedyncze słowa i całe frazy. Gdy ich uszu dobiegło „*hikoki hikoki*”, cała kompania rzuciła się na twarz w zarośla, nasłuchując amerykańskich samolotów.

Maszerowali już tak długo, że skończyły im się racje ryżu, a w południe żołnierze dostawali jedynie odrobinę suszonej ryby, suchary i landrynki. Nishino podczas posiłku siedział z Ogawą. Przejrzeli sobie nawzajem włosy i ubrania w poszukiwaniu pcheł, mrówek i larw, a potem Ogawa położył głowę na kolanach Nishino, by zdrzemnąć się do czasu, gdy oficerowie nakażą wymarsz w dalszą drogę.

—

Gdy usłyszał okrzyk „*Yes sir!*”, przykucnął i poderwał karabin do biodra, rozglądając się to na prawo, to na lewo.

Ogawa przechylił głowę.

– Wszystko w porządku, Noburo?

Usłyszał ten okrzyk jeszcze dwa razy, zanim pojął, że to papuga skrzecząca w lesie. Pozwolił karabinowi opaść wzdłuż boku i popatrzył na otaczających go żołnierzy.

– Noburo?

Poza nim nikt nie zwrócił uwagi na krzyki ptaka.

– Mniejsza z tym – powiedział.

Gdy zatrzymali się na noc, podszedł do porucznika Kurakake siedzącego pod płachtą płótna z mapami na kolanach. Arkusze roztaczały żółty blask fosforyzującej substancji, którą pokryto je, aby umożliwić czytanie w nocy. Nishino stanął nieopodal na baczność.

– Tak? – spytał w końcu porucznik.

Nishino zawahał się. Ukłonił się głęboko.

– Usłyszałem papugę – powiedział.

Kurakake popatrzył na niego.

– Wszyscy je słyszymy – stwierdził. – Bezustannie.

– Ta krzyknęła po angielsku, panie poruczniku.

– Po angielsku?

– Tak. Jestem tego pewien.

– Jak się nazywacie, szeregowy?

– Nishino, panie poruczniku. Noburo Nishino.

– I cóż wam powiedział ten ptak, szeregowy Nishino?

– Powiedział: „*Yes sir*”. Kilkukrotnie.

Porucznik powoli pokiwał głową. Wezwawszy do siebie sierżanta, nakazał podwoić warty na całą noc. Skinął na Nishino, pozwalając mu odejść.

Wracając do śpiącego Ogawy, Nishino przez cały czas czuł na sobie wzrok oficera.

—

Następnego dnia przed zmierzchem wspięli się na wzgórze i odetchnęli świeżym powietrzem napływającym z nad długiego, trawiastego grzbietu położonego kilkadziesiąt stóp poniżej. Oficerowie przeszli między nimi, nakazując szeptem, aby okopali się na noc.

Obudziły go niesione z wiatrem głosy Amerykanów rozmawiających gdzieś w dole. Ogawa twardo spał, a Nishino przez jakiś czas leżał koło niego, próbując wychwycić słowa. W końcu delikatnie odsunął się od chłopaka, by załatwić się między drzewami. Przykucnął i zakrył twarz; wypływał z niego smród, wstrząsały nim niepohamowane dreszcze, a skóra kleiła się od potu.

Kiedy wrócił, nad Ogawą stał porucznik Kurakake.

– Panie poruczniku – zaczął Nishino, kłaniając się.

Wyczuł w powietrzu nutę czegoś słodkiego, czegoś tak wyrafinowanego i nieprzystającego do miejsca i położenia, w którym się znajdował, że zaczął węszyć jak pies. Widząc zdumienie Nishino, porucznik Kurakake uśmiechnął się, wyjął rękę z za pleców i podał mu nieduży kryształowy flakonik.

– Perfumy mojej żony – wyjaśnił Kurakake. – Chciałem zabrać jej cząstkę ze sobą.

Nishino przytaknął, nie bardzo wiedząc, co ma myśleć o tym wyznaniu, zaniepokojony niespodziewaną poufałością. Kurakake siwiał na skroni, a wory pod jego oczami były tak ciemne, że zdawały się wręcz czarne. Był najstarszym ze wszystkich oficerów, którzy towarzyszyli im na polu walki.

– Nie jesteście żonaci – stwierdził Kurakake.

Nishino pokręcił głową.

– Macie kobietę? Kogoś, kto na was czeka?

Zerknął przelotnie na twarz Kurakake, znowu pokręcił głową.

Zwrócił porucznikowi flakonik.

Kurakake przyglądał mu się przez chwilę.

– Opowieść na kiedy indziej – powiedział. Popatrzył na Ogawę, wciąż leżącego bez ruchu na ziemi. We śnie chłopak jeszcze bardziej przywodził na myśl dziecko. Z głębi gardła oficera dał się słyszeć pomruk niezadowolenia. – Ten chłopiec. Chozo. Polega na was.

– Pomagamy sobie nawzajem.

Kurakake zbył go skinieniem głowy.

– Co z nim jest nie tak?

– Nie wiem – stwierdził Nishino, chociaż dobrze wiedział, co oficer ma na myśli. Ogawa był tak nieskomplikowany, że zdawał się jeszcze młodszy niż w rzeczywistości.

Porucznik wydał z siebie ponownie ten sam pomruk i skinął głową. Następnie odwrócił się i odszedł od nich.

Nishino drzemał na ziemi jeszcze przez jakieś pół godziny, od czasu do czasu budząc się, by ułożyć się inaczej. Za każdym razem, gdy zbliżył dłonie do twarzy, wyczuwał lekki zapach perfum.

Tego popołudnia żołnierzom wydzielono resztkę prowiantu kompanii. Jedna puszka sardynek na dwóch. Nishino z Ogawą zbierali palcami olej ze ścianek puszek. Po posiłku Nishino zrobił się tylko bardziej głodny; czuł, że ostrze łaknienia wrzyna się w niego coraz głębiej.

Ogawa przyglądał się Amerykanom chodzącym na otwartej przestrzeni na dole. Mieli na sobie tylko podkoszulki, promienie słońca odbijały się od nieśmiertelników, które nosili na szyi.

– Ciekawe, co mówią – Ogawa z obrzydzeniem pokręcił głową.
– Ja słyszę tylko: „Sssss ssss sss”.

Nishino zdjął buty i skarpety, polał stopy wodą z manierki, po czym wytarł je do sucha koszulą. Spośród jego paznokci tylko dwa nie szerniały i nie odpadły.

– Są za daleko, żeby się dało cokolwiek zrozumieć – powiedział. Szybko dodał: – Nawet gdybyś znał język.

Ogawa uśmiechnął się.

– Niedługo posłuchamy ich sobie z bliska.

Od strony oceanu dało się słyszeć skłębiony pomruk samolotów. Żołnierze po obu stronach zaczęli wpatrywać się w horyzont. Japońskie bombowce. Na dole bieganina, wykrzyczane rozkazy. Samoloty zaczęły zrzucać swój ładunek na porośniętą trawą grzbiet, by osłabić amerykańskie linie obrony.

Dwie noce później Japończycy pomaszerowali lasem w kierunku amerykańskich pozycji. Żołnierze wiązali sobie na plecach skrzyżowane kawałki białego materiału, aby tym z tyłu było łatwiej iść za nimi. Porucznik Kurakake skropił się perfumami żony.

– Zaufajcie swoim nosom – powiedział podwładnym.

Chwilę po dziewiątej hydroplan wystrzelił nad nimi flary, które pozwoliły artylerii i niszczycielom namierzyć cele. Nishino zaczęło szumieć w uszach od wycia moździerzy. Później poczuł je niżej, gdy głuchy grzmot poniósł się po ziemi i wprawił jego wnętrzności w drganie. Wróg natychmiast odpowiedział ogniem, a

grunt zadrżał pod nogami Nishino. Ogawa odszedł gdzieś na prawo, a gdy Nishino zaczął do niego krzyczeć, żeby trzymał się bliżej, za ich plecami wybuchł pocisk. Eksplozja wyrzuciła Nishino w powietrze. Popłynął do przodu, obracając się powoli, jak zawieszony w wodzie, po chwili jednak zwałił się ciężko na plecy. Leżał bez ruchu, próbując złapać oddech. Niebo rozświećlały flary i eksplozje, których dźwięki utonęły jednak w potężnym dzwonieniu rozbrzmiewającym w uszach Nishino. W całym tułowiui czuł dziwną drętwotę, lecz gdy wreszcie stanął na nogach, nie wydawało mu się, aby było z nim bardzo źle.

Kiedy ruszył w dół zbocza, wołając Ogawę, nagle poczuł przemożną potrzebę wysrania się, a skurcze przyprawiły go o takie cierpienie, jakby ktoś przeciągał przez jego wnętrzności zwoje drutu kolczastego. Wczołgał się za najbliższe drzewo i spuścił spodnie, napinając się na przekór falom bólu, ale nic to nie dało. Huk artylerii przebił się wreszcie przez dzwonienie, Nishino zakrył więc uszy rękami i miotał przekleństwa w cały ten łomot, dopóki skurcze nie ustały. Z wściekłością podciągnął spodnie i znowu ruszył w dół.

Dostrzegł Ogawę na klęczkach, szaleńczo wymachującego ręką, jakby próbował zatrzymać taksówkę na ruchliwej ulicy. Gdy Nishino się do niego zbliżył, chłopak objął jego nogi ramieniem.

– Wody! – zawołał Ogawa. – Masz wodę?

Głowa chłopaka była odsłonięta, a z jego sylwetką coś było nie tak, ale Nishino nie potrafił określić co. Pociągnął go za mundur, wrzeszcząc „Wstawaj!”, ale chłopak osunął się jeszcze niżej i położył na plecach, wciąż trzymając się kurczowo jego nóg. W tym

momencie Nishino zobaczył wyraźnie, że prawe ramię Ogawy zostało oderwane od ciała w barku.

– Wody! – krzyknął znowu Ogawa.

Skurcze zaatakowały Nishino po raz drugi, powlókł się więc na bok, szarpiąc się z mundurem, przekonany, że zesra się, zanim zdąży odpiąć pas. Oparł się barkiem o pień drzewa i przykucnął, tuląc w ramionach spazmy rwące jego wnętrzności, nie poczuł jednak żadnego ruchu, żadnej ulgi, padł więc na bok i leżał na ziemi, aż wreszcie ból zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. Nishino podniósł się na kolana i niezdarnie podciągnął spodnie na biodra. Siła skurczów pozbawiła go jakiegokolwiek pośpiechu, chociaż wokół wciąż rozbrzmiewały strzały, okrzyki i grzmoty. Zaczął brać nosem długie, miarowe wdechy. Upchnął koszulę w spodnie, najpierw z przodu. Sięgnął do tyłu, by zrobić to samo, poczuł, że materiał jest czymś nasiąknięty. Przyjrząwszy się ręce w świetle flar, odniósł wrażenie, że jest czarna od ropy naftowej. Zbliżył dłoń do twarzy, poczuł zapach chłodnego żelaza. Zaczął ostrożnie obmacywać plecy przez koszulę, ale czuł tylko dziwne odrętwienie i wilgoć własnej krwi.

– Krwawię – powiedział. – Chozo. Ja krwawię.

Gdy Nishino się odwrócił, chłopiec był już martwy.

Odwrót rozpoczął się trzy dni po pierwszym natarciu. Wszystkich sprawnych żołnierzy przydzielono do niesienia rannych. Nie było wśród nich medyków, nie mieli nawet zbyt wielu materiałów medycznych. Dziesiątki rannych umarły na noszach i zostały porzucone wzdłuż ścieżki, którą wyrabali w dżungli, gdy szli ku pozycjom wroga. Nishino mijał zmarłych, nie patrząc w dół. Odrętwienie w plecach ustąpiło, a nieregularne skurcze

zelżały na tyle, że był w stanie iść o własnych siłach, opierając się ciężko na kij. Nie pozwolił, żeby go niesiono.

Choć kompania była obciążona rannymi, poruszała się teraz szybciej niż z ciężkimi działami i pociskami. Każdego dnia Nishino zostawał z tyłu i musiał godzinami iść sam, by dogonić pozostałych, gdy już zatrzymali się na noc. Nie mieli żadnego prowiantu, Nishino wysysał więc sok z pnączy, jadł orzechy betelu i zielsko, by uspokoić żołądek.

Trzy dni po rozpoczęciu odwrotu porucznik Kurakake kazał żołnierzom wrzucić granaty do rzeki. Brodzili w wodzie, zbierając ogłuszone ryby, pływające po powierzchni brzuchami do góry. Zjedli je na surowo; nic się nie zmarnowało, ani oczy, ani skóra, ani flaki.

Nishino dotarł do nich dopiero po zmroku. Zbliżając się do obozowiska, mówił do siebie na głos, żeby nie zastrzelili go wartownicy. Powtarzał ustępy z *Podręcznika Służby Polowej* generała Tojo, których nauczył się na pamięć podczas szkolenia.

– „Wiara jest siłą” – mówił drzewom. – „Ten, kto idzie w bój z wiarą, zawsze będzie zwycięzcą”.

Dotarłszy na skraj kręgu śpiących żołnierzy, położył się na ziemi, podpierając się kijem. Nadal mówił: – „Nie żyj w niesławie jako jeniec. Polegnij raczej, nie zostawiając po sobie żadnego haniebnego wykroczenia”.

Dopiero gdy zamknął oczy, przypomniał sobie wybuchy, które słyszał wieczorem. Był jednak zbyt wyczerpany, by usiąść i poprosić kogoś o wyjaśnienie.

Rano obudził go porucznik Kurakake. Nishino z trudem podparł się na łokciach, więc Kurakake przykucnął przy nim.

– Nie spodziewałem się, że was tu dzisiaj zobaczę – zdziwił się oficer.

– Tylko was ograniczam. Oficer pokręcił głową.

– Przed nami co najmniej trzy dni marszu. Długo już nie pociągniecie. – Kurakake zacisnął wargi i rozejrzał się wokół. Poza wartownikami cały obóz jeszcze spał. – Chyba nadszedł już czas na tę opowieść.

Nishino wpatrywał się w niego bez słowa.

– Kobieta. Jest ktoś, komu mam od was przekazać wiadomość?

– Nie ma kobiety.

Kurakake wpatrzył się w gęstwiny, wciąż ciemną i pozbawioną konturów.

– Zawsze jest jakaś kobieta – stwierdził. Sięgnął do sakwy wiszącej u boku, po czym wcisnął żołnierzowi do ręki nieduże zawiniątko.

Odwinąwszy papier, Nishino ujrzał surowy filet.

Kurakake wstał i popatrzył na niego z góry.

– Gdzie nauczyliście się mówić po angielsku, szeregowy?

Zapach ryby przyprawił Nishino o drżenie rąk. Zdawało mu się, że jego gardło się zasklepiło.

– Gdzieście się nauczyli angielskiego?

Nishino kilka razy przełknął ślinę, próbując odzyskać głos.

– W Kitsilano – odpowiedział w końcu. – W Kanadzie.

1940

WISH

1.

Uwielbiał godziny spędzane samotnie w kościołach i związkowych świetlicach przed poobiednimi seansami. Nawet w najgorętsze letnie przedpołudnia sale były zacienione i chłodne, przez co wydawały się ustronne i bezpieczne niczym ogrody przy domach kupców na Circular Road w St. John's. Na koniec przygotowań poszedł na nabrzeże po agregat; zanim wniósł ciężkie urządzenie na salę, zdążył się spocić z wysiłku. Drzwi zostawił otwarte, by wpuścić lekki wietrzyk i nieco światła. Odliczył dwa tuziny kroków od projektora Victor, po czym rozstawił ekran, rozwijając białą połąć niczym żagiel na łodzi rybackiej. Powierzchnia ekranu uchwyciła nieco światła wpadającego przez otwarte drzwi i nieliczne okna. Odwracając się, trącił ekran ramieniem, a odrobina roziskrzonego szklanego pyłu osiadła na jego koszuli.

Wiadomość o seansie, rozwożona na przybrzeżnym promie, obiegła zapewne już wszystkie domostwa na wyspie Little Fogo, a całe rodziny wsiadały właśnie do swoich skut, kutrów i niedużych szkunerów, aby wybrać się do świetlicy. Po obiedzie w sali miało stłoczyć się pięćdziesiąt osób siedzących na przyniesionych przez siebie krzesłach, stołkach i drewnianych skrzyniach. Ciepło tych ściśniętych ciał miało wzlecieć ku krokwiom, rozcieńczając słodczy powietrza zapachem wodorostów i potu.

Póki co Wish był jednak sam na sam z maszyną i nikłym światłem wypełnionym cieniami. Zaczął przewijać taśmę bezpośrednio z przedniej szpuli na tylną. Pozwalając filmowi lecieć wstecz między kciukiem a palcem wskazującym, szukał rys i pęknięć z poprzedniej projekcji. Stojąc plecami do drzwi, mruzczał jakąś bliżej nieokreśloną melodię przy akompaniamencie warkotu agregatu ustawionego na zewnątrz. Minęła chwila, zanim zauważył, że światło się zmieniło, a cienie w sali lekko pociemniały; zanim wreszcie spojrział na sylwetkę w drzwiach. Nie miał pojęcia, jak długo dziewczyna mu się przyglądała. Słońce dokładnie za jej plecami. Nie mógł dostrzec jej twarzy, ale sukienka i długie włosy były wyraźnie zarysowane. Od razu ją rozpoznał. Chociaż przyjechał do Cove^[1] z nadzieją, że uda mu się ją zobaczyć, teraz zrobiło mu się głupio, że go podglądała.

– Za wcześnie przyszłaś – prawie na nią krzyknął. – Wróć, jak zjesz obiad.

– Przyszłam tylko sobie popatrzeć.

– Za wcześnie przyszłaś – powtórzył.

Zeszłej jesieni, podczas jego pierwszej wyprawy z Hiramem poza St. John's, dziewczyna i jej matka przypląnęły na seans razem z drugą rodziną z Fogo. Wish nie zamienił z nią ani słowa, ale oboje zwrócili na siebie uwagę. Podczas projekcji Hiram nachylił się do niego.

– Wytrzeszczu dostaniesz od gapienia się na tę młódkę–szepnął.

Wish ruszył w stronę drzwi, żeby je zamknąć. Wciąż czuł się zażenowany i osobliwie obnażony. Wycofała się z progu i stanęła w świetle; zobaczył, że nie jest już dziewczynką, że ma co najmniej

szesnaście lat. W przeciwieństwie do większości kobiet na wybrzeżu miała długie włosy. Nosiła je spięte w jasnobrązowy kucyk, a w jego niezwyklej długości kryła się odrobina ekstrawagancji, jakaś próżność. Myśl, że jej włosy mogą być tak piękne, by były warte takiego zachodu. Kwiecista sukienka, luźno przewiązana paskiem w talii, tak że mógł dostrzec linię bioder i kształt piersi. Była już prawie kobietą.

Sądził, że dziewczyna będzie się cofać dalej, w miarę jak on będzie się zbliżał, ona jednak po prostu stała przed drzwiami i patrzyła na niego. Ręce złożone skromnie za plecami, a cały jej sposób bycia jak rzucone mu wyzwanie.

– Co dziś gracie?

– *39 kroków.*

– O czym to?

– No wiesz, nie chcę ci psuć zabawy.

– Chcę dowiedzieć się tylko trochę.

– To film o Kanadyjczyku, który wdaje się w aferę szpiegowską w Anglii.

Sceptycznie odchyliła głowę.

– O Kanadyjczyku?

– Facet jest z Montrealu – stwierdził Wish, a ona przytaknęła tak, jakby ten fakt z trudem wystarczał, by rozwiać jej wątpliwości.

Jej oczy były osadzone tak głęboko, że Wish z daleka nie dostrzegał ich koloru; teraz stwierdził ze zdumieniem, że mają odcień szmaragdowy. Były zielone jak kawałki szkła oszlifowane przez morze. Na nogach miała żółte skarpetki z falbanką i

lakierki ze sprzączką. Uniosła piętę i obróciła stopę na czubku buta, lekko wypychając biodro w bok. Wish aż podskoczył.

– Popatrzeć to nie przestępstwo – powiedziała, gdy odwrócił wzrok. Podeszła do niego i strzepnęła mu połyskliwy proszek z ramienia, którym przesunął po ekranie, po czym znowu się odsunęła. Posłała mu dokładnie ten sam uśmiech, który zapamiętał z jesieni. Bezwstydną jak kocica.

Sposób, w jaki go dotknęła, sprawił, że stracił pewność siebie, poczuł się jak dziecko. Sięgnął ręką do drzwi, by je zamknąć, a ona spytała:

– Mogę zobaczyć, czym się tam zajmujesz?

– Nie – zachnął się, po czym zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

A na koniec jej podniesiony głos, tak żeby usłyszał w środku:

– Nie zachowuj się jak taka pierdoła!

—

Przyszła na film spóźniona, z matką, ojcem i młodym mężczyzną, o kilka lat starszym od niej. „Z bratem” – zakładał Wish. Założeniem tym potwierdził tylko uczucie, które starał się ignorować przez całe popołudnie – najpierw wypatrując, a potem nie wypatrując jej przez drzwi, przy których Hiram usadził się ze skarboną ustawioną na stoliku. Czuł narastający niepokój, gdy sala wypełniała się krzesłami i ciałami, a jej wciąż wśród nich nie było. Mężczyźni w grubych, rozciągniętych swetrach i cętkowanych wełnianych kaszkietach opuszczali swoje miejsca, stawali na krok od projektora i zasypywali Wisha pytaniami o działanie maszyny, wskazując szpule, soczewki i inne mechaniczne bebechy. Za każdym razem któryś z nich musiał zwrócić uwagę na samego Wisha i jego dziwny akcent.

– A ty skąd pochodzisz? – pytali.

– Renew – odpowiadał. – Na południowym wybrzeżu półwyspu Avalon, niedaleko St. John's.

– Sami tam katolicy, co nie?

– Zgadza się – mówił. – Sporo tam katolików.

– W tych stronach też ich trochę mamy – przyznał tym razem któryś z mężczyzn. – Większość w Tilting.

Wish powiedział im, że on sam nigdy nie był w Tilting. Owszem, Hiram kiedyś się tam zatrzymywał, ale ostatnio usłyszał o bazie wojskowej, jakiejś stacji radarowej, którą mieli założyć w Sandy Cove. A to oznaczało, że w kantine będą co tydzień wyświetlać inny film. To z kolei sprawi, że Hiram straci tam swoich widzów. Postanowił więc popłynąć w tym roku aż na Little Fogo, wystarczająco daleko, by mieć gwarancję, że przyciągnie tam dość dużą publikę, nawet po otwarciu bazy. Wish przyznał, że tym razem w ogóle nie zatrzymali się po tamtej stronie Fogo.

– No to przegapiłeś okazję, żeby się wypowiedzieć – zauważył ten sam mężczyzna, kiwając głową i uśmiechając się do projektora. Miał na imię Clive.

Wish stwierdził, że nie jest aż tak wielkim grzesznikiem, żeby specjalnie się tym zamartwiać.

Nikt nie rozmawiał z nim o wojnie; nie pytali, co sądzi o najnowszych wiadomościach, ani czy sam może wylądować za oceanem, chociaż bez wątpienia miał już dość lat, by myśleć o zaciągnięciu się do wojska. Chcieli wiedzieć, czy trudno obsługuje się tę aparaturę. W jaki sposób skończył, błakając się z Hiramem Keepingiem? Ile razy można wyświetlić taśmę, zanim się zużyje? Czy w ogóle łowi ryby, czy może zarabia u Hiramem dosyć, żeby wyżyć z samych seansów? Czy Hiram wie, że zatrudnia papistę?

Kręcili głowami na myśl o tej nieprawdopodobnej parze.

To była druga wyprawa Wisha wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża; zdążył się już przyzwyczać do przesłuchań. Zazwyczaj nie zwracał na to większej uwagi, znał wszystkie swoje odpowiedzi na pamięć i prowadził rozmowy, nawet o nich nie myśląc. Tego popołudnia był jednak zbyt wzburzony, by spokojnie stać przy projektorze. Już miał uciec przed dociekliwością widzów na dwór, gdy dziewczyna znowu stanęła w drzwiach.

Jej ojciec nachylił się nad stolikiem i odliczył Hiramowi garść monet, po czym cała czwórka wniosła swoje krzesła na salę i usadowiła się na ostatniej wolnej przestrzeni, na tyłach, w pobliżu projektora. Dziewczyna nie spojrzała w jego stronę ani w żaden inny sposób nie dała po sobie poznać, że go dostrzegła, a on czuł przyciąganie tej zamierzonej nieuwagi, jakby ktoś przebił mu mostek hakiem na dorsze i zawiesił na nim ołowiany obciążnik. Przyjrząwszy się lepiej mężczyźnie, który opłacił ich wstęp, Wish stwierdził, że w zasadzie mógł być jej dziadkiem – pod brodą wór żylastej skóry, pod nosem nieprzystrzyżony, posiwiały wąs. Matka miała te same zielone oczy i delikatną sylwetkę co dziewczyna. Jej twarz miała w sobie jakieś napięcie, nieomal gniew, jakby kobieta niedawno oślepla i teraz była niepewna każdego kroku. Gdy wchodzili, mężczyzna od czasu do czasu dotykał jej ramienia, dodając jej odwagi, zachęcając, by szła naprzód, a ona w odpowiedzi posyłała mu spojrzenie, na które reagował po prostu uśmiechem. Wish widział, że dla tych dwojga to już wyćwiczony dialog. Wpisana w niego powszedniość mówiła: małżeństwo. Kwiecień z wrześniem.

Wish zerknął na Hiram, który przyglądał mu się ze swego miejsca, pocierając dłonią na zmianę to lewy, to prawy wąs. Hiram próbował powstrzymać uśmiech; Wish odwrócił się od niego. „Obleśny pierdziel” – pomyślał. Wcześniej tego popołudnia, gdy Wish opisał mu w przybliżeniu jej wiek, wzrost, włosy i zielone oczy, Hiram w zadumie popatrzył na sufit i wydał policzki.

– Myślisz, że ma szesnaście lat?

– Mniej więcej. W zeszłym roku była na Fogo, przyплыnęła z matką.

– Nie zamierzasz tu chyba wieczorem szukać guza, co? – spytał Hiram. Był już porządnie wstawiony, twarz miał czerwoną od alkoholu. Przygotowanie i obsługę projektora zostawił Wishowi, sam zaś spędził całe popołudnie w sieciach nad wodą, gdzie wymieniał z miejscowymi plotki i pił na zmianę biber, piwo z mleczka i resztki alkoholu wypłukane z dębowych beczek.

– Tak tylko pytam – wyjaśnił chłopak.

– Widziałeś Sadie Parsons. Mieszka na wzgórzu po południowej stronie zatoki, za nabrzeżem Earle’a.

Wish szeptem powtórzył jej imię.

Hiram pokręcił głową.

– Wiesz, co oni zrobią katolickiemu chłopakowi, który zacznie tu węszyć za kobietami? – Był uśmiechnięty, lekko się chwiało. Sprawiał wrażenie, jakby czekał na konkretną odpowiedź. – Tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Dziewczyna siedziała wyprostowana na krześle pomiędzy matką a bratem. Wish był przekonany, że to brat: siedział z nogą zarzuconą na nogę i rękami złożonymi na kolanach, dokładnie jak matka. W jego młodej twarzy kryło się coś z hardości matki. On i

Sadie odnosili się do siebie z obojętnością – absolutną i naturalną, wypływającą z dawnego przyzwyczajenia, czego bynajmniej nie można było powiedzieć o tym, jak Wish postrzegał jej obojętność wobec siebie.

Victor miał samoczynny wyłącznik na wypadek, gdyby taśma zaczęła się rwać albo wkręcać. Przerywał wtedy projekcję, żeby klisza nie pękła albo nie zapaliła się od żarówki. *39 kroków* zacięło się w ten sposób dobre kilka razy, a widzowie krzyczeli i gwizdali podczas każdej przerwy. Im dłużej Wish rozplątywał wkręcony film i zakładał go bezpiecznie na rolki, w tym paskudniejszy nastrój popadali widzowie. Ludzie wstawali albo odwracali się w jego stronę, by obrzucać go wyzwiskami. Sadie jednak przez całe popołudnie nie obróciła głowy ani w prawo, ani w lewo. Kiedy seans dobiegł końca, wyszła z sali, nie posyłając mu choćby przelotnego spojrzenia.

Nocowali u pani Gillard, wdowy, która wynajmowała pokoje nielicznym gościom odwiedzającym Cove. Po kolacji Hiram usiadł w salonie z fajką. Wish stanął przy niedużej półce nad kominkiem. Zaczął zdejmować i kartkować kolejne książki, czekając, aż Hiram nada bieg sprawom. Największa książka była oprawiona w grube sukno, zdobione złotymi literami. *Historia sztuki*. W większości czarno-białe reprodukcje, obrazy pędzla ludzi, których nazwisk nie umiał wymówić.

Hiram podszedł do niego i zajrzał mu przez ramię.

– Oto, co ludzie mieli, zanim pojawiły się filmy – stwierdził.

– Biedaczyska. – Pochylił się, żeby strzepnąć popiół do kominka.

– Co powiesz na małą przechadzkę?

Wieczór był przedziwnie bezwietrzny, woda w przystani niemal jak tafla szkła. Poszli wyłobioną przez koła wozów ścieżką nieopodal nabrzeża Earle'a, kłaniając się nielicznym przechodniom, a potem, chyląc głowy przed ruchliwymi obłokami meszków, ruszyli w górę zbocza na południowym brzegu zatoki. Stało tu tylko parę domów. Gdy ścieżka zawężyła się do ścieżynki, Wish pozwolił starszemu mężczyźnie iść przodem. Na zboczu pasły się krowy i owce, a Hiram co jakiś czas przystawał, żeby cmokać na nie jak głupi. Facet był mieszczuchem, urodzonym i wychowanym w St. John's, co w opinii Wisha samo w sobie stanowiło o swego rodzaju ciemnocie.

Gdy dotarli do domu stojącego najwyżej ze wszystkich, Hiram przystanął. Przez jakiś czas przyglądał się budynkowi. Front piętrowego domu był pobielony wapnem i udekorowany zielenią, choć boczne ściany miały ten sam kolor czerwonej ochry co pozostałe domostwa nad zatoką. Pomiedzy oknami na parterze widniały sztuczne drzwi, przybite do desek pokrywających ścianę. Pełniły jedynie funkcję estetyczną, znalazły się tam wyłącznie po to, by front budynku wyglądał na kompletny. Z miejsca, w którym stali, wydawało się, że w domu nikogo nie ma. Poszli wzdłuż ściany aż za dom, pod kuchenne drzwi, weszli na ganek i oczyścili buty na wycieracze. Hiram zawołał w głąb domu.

Męski głos odkrzyknął: – Wejdźcie, wejdźcie!

Belki stropu znajdowały się tak nisko, że obaj musieli schylić głowy. Na dworze było jeszcze jasno, jednak małą izbę zalewał już półmrok, zacierający szczegóły otoczenia. Wish widział całą czwórkę, siedzącą w różnych zakątkach kuchni – ojca rozpartego na leżance, matkę siedzącą przy stole. Sadie przy piecu, którego

odgrozione kratką palenisko stanowiło jedyne źródło światła. Siedziała w bujanym fotelu zrobionym ze starej beczki po mące. Dziewczynka młodsza od Sadie przycupnęła na dywaniku bezpośrednio przed piecem. Wówczas od drzwi prowadzących w głąb domu oderwała się sylwetka, której Wish wcześniej nie dostrzegł. Młody mężczyzna z popołudniowego seansu. Wisha omiotła ciężka fala towarzyszącego mu zapachu wody kolońskiej.

– Nie przeszkadzamy? – zagadnął Hiram.

– Ależ skąd – odparł ojciec. – Młody zalotnik właśnie wychodził.

Sadie wstała z fotela i pocałowała mężczyznę w policzek.

– Daruj sobie te wyglupy i pozwól mu iść – zniecierpliwiła się matka.

Przybyłym gościom zaproponowano krzesła. Wish opadł ciężko na swoje miejsce i zapatrzył się w ogień, czekając aż młodzieniec wyjdzie z izby. Jego ciało zatrzymało się co prawda gwałtownie na krześle, ale w jego piersi nadal coś powoli opadało. A więc to nie jej brat.

Ojciec dziewczyny zagaił: – Słyszeliśmy, jak szliście ścieżką.

– Dokąd się wybiera młody? – spytał Hiram.

– Hardy zaczął się stroić na piętrze, jeszcze zanim zdążył włożyć do ust ostatni kęs kolacji. Poleciał nad brzeg, do najmłodszej córki Willarda Slade'a.

– Doprawdy?

– Na wodzie nie potrafi się skupić na tyle, żeby nabić przynętę na hak. Zimą pomrzemy z głodu, jeśli chłopak szybko nie przejdzie do rzeczy i się z nią nie ożeni.

Wish zerknął na Sadie, która cały czas mu się przyglądała. Odwrócił zaraz wzrok, z nadzieją, że w mroku nie dostrzegła ulgi

malującej się na jego twarzy.

– Napijcie się herbaty – niemal stwierdziła matka dziewczyny.

– Z miłą chęcią – odparł Hiram. – Napijemy się.

Kobieta przez chwilę przyglądała się Wishowi.

– A ty? – spytała. – Języka w gębie nie masz?

– Dziś po południu miał – oznajmiła Sadie.

Kobieta popatrzyła na córkę.

– Że ty masz, to wiemy aż za dobrze.

– No, Helen – wciął się mąż.

– Aloysius Furey – obwieścił Hiram, jakby dopiero przyszło mu do głowy, by przedstawić towarzysza. – Z Renewa, z południowego wybrzeża Avalonu.

Helen odchyliła się powoli, aż dotknęła plecami oparcia. Wish odniósł wrażenie, że wszyscy obecni odsunęli się od niego w podobny sposób. Zerkał to na Sadie, to na jej matkę. Zdawał sobie sprawę, że zapewne jeszcze nigdy nie siedział w ich kuchni katolik. Dla niektórych mieszkańców północno-wschodniego wybrzeża Wish był pierwszym katolikiem, którego widzieli na oczy; zawsze trudno było przewidzieć, jaki obrót przybiorą sprawy. Hiram, który zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na zmianę, jaka zaszła w pomieszczeniu, wyciągnął tytoń i bibułki, żeby skręcić sobie papierosa. Wish jednak dobrze wiedział, że Hiram wszystko widzi i świetnie się bawi. Mężczyzna czerpał pewną przyjemność z patrzenia na zachwianą grzeczność, konsternację, a czasem i niekrytą wrogość ludzi, którzy bez ostrzeżenia dowiadywali się, jakiego wyznania jest Wish. Mówił,

że to zupełnie tak, jak postawić obok siebie dwa obce psy i patrzeć, co się stanie.

Hiram poczęstował Aubreya, a ten przyjął papierosa i podszedł do pieca. Przełożył niedużą szczapę przez kratkę i trzymał ją w środku, dopóki się nie zajęła. Następnie zapalił od niej papierosa i przekazał ją Hiramowi. Ojciec dziewczyny położył się na leżance i założył ramię za głowę; rękę z papierosem oparł na piersi. Hiram porządnie się zaciągnął, po czym nachylił się, żeby strzepnąć popiół do szerokiego mankietu nogawki.

Helen wpatrywała się w Wisha, biorąc krótkie, gwałtowne wdechy przez nos. Chłopak sięgnął do kieszeni i przesunął palcami po różańcu matki, zastanawiając się, czy warto go pokazywać.

– Rzymskim katolikom muszę oddać tyle – stwierdził Aubrey – że przynajmniej nie mają nic przeciwko porządnej potupajce czy napitkowi. – Machnął papierosem. – Ani przeciw tytoniowi. W odróżnieniu od nas, metodystów.

– Ciebie najwyraźniej nie powstrzymało to, że jesteś metodystą – oznajmiła jego żona.

– Pozwolę, by Pan mnie rozliczył, gdy wybije moja godzina.

– Nie kuś losu – powiedziała łagodnie Helen. – Źle jest i bez tego.

Z głębi domu zaczął dobiegać ich kobiecy głos. Helen odwróciła się do córek.

– Czy któraś z was może do niej pójść?

– Ona tak naprawdę nic nie chce – stwierdziła Sadie.

– Idź, Sade – nakazał ojciec.

Wish patrzył za nią, gdy szła wąskim korytarzem do salonu. Agnes wstała z podłogi i zajęła wolne miejsce.

– To twoja matka, Aubrey? – spytał Hiram.

– Owszem.

– Musiała się już posunąć w latach.

– Ma dziewięćdziesiąt dwa. Trzy, jeśli dożyje do września, ale prawdę mówiąc, to nie najlepiej z nią. Zazwyczaj zachowuje się, jakby postradała zmysły. Nie wstanie już z łóżka, nawet żeby się załatwić. To będzie błogosławieństwo dla wszystkich, gdy odejdzie – powiedział Aubrey w sufit. – Zwłaszcza dla Helen, która musi opiekować się nią w dzień i w nocy.

Wish wciąż zaglądał przez korytarz do salonu, zmienionego w pokój chorej, aby staruszka nie musiała chodzić po schodach. W końcu Sadie wychynęła z ciemności i stanęła w drzwiach.

– Chce, żebyś ty przyszła – zwróciła się do matki.

Helen wstała.

– Zaparz tym jegomościom herbaty, dobrze? – Przez chwilę wpatrywała się w Wisha. – Zobacz, czy nie uda ci się wycisnąć choć słowa z tego tutaj, zanim wyjdzie.

Chłopak uśmiechnął się do kobiety, lecz albo nie zauważyła, albo celowo nie odwzajemniła jego uśmiechu.

Postawiwszy herbatę przed gośćmi, Sadie usiadła na krześle matki, tak blisko Wisha, że chłopak poczuł zapach mydła bijący od jej skóry. Hiram przechylił filiżankę i zlał nieco herbaty na spodek, po czym podmuchał na niego, żeby ostudzić płyn, i zaczął popijać krótkimi, głośnymi siorbnięciami. Słońce było już nisko, a izba pogrążała się w coraz gęstszym mroku, lecz nikt nie wstał,

żeby zapalić lampę. Dobrze im się siedziało i rozmawiało po ciemku.

– Aubrey, wielu waszych chłopaków popłynęło za ocean? – spytał Hiram.

– Ten czy tamten popłynął do St. John's, żeby zaciągnąć się do Regimentu Nowofundlandzkiego. – Aubrey palił już drugiego papierosa; wydawało się, że głos mężczyzny dobiega z czerwonego punktu żarzącego się w kącie. – Najstarszy syn Clive'a Reida pojechał do Halifaksu, żeby przyłączyć się do Kanadyjczyków. Chciał dostać się do sił powietrznych.

– Ma do tego prawo? – spytał Wish.

– Jesteśmy obywatelami Wspólnoty Narodów – wyjaśnił Hiram. – Gdyby facet miał ochotę, mógłby popłynąć do Wielkiej Brytanii i tam się zaciągnąć.

– Kto wie, gdyby nie dziewczucha Willa Slade'a, to możliwe, że Hardy też by nam wyjechał. Jak tak dalej pójdzie, nie będzie komu łowić ryb. Zastanawiam się, czy na wojnie naprawdę jest tak źle, jak pokazują w kronikach filmowych?

– Porządnie by się musieli namęczyć, żeby coś takiego wyssać z palca.

– Nie mam pojęcia, dlaczego Amerykanie wciąż trzymają się z boku.

– Problem Amerykanów polega na tym, że za dużo wśród nich Irlandczyków, ot co – stwierdził Hiram. – Ale to tylko kwestia czasu. Jankesi już upatrzyli sobie ziemię pod bazę wojskową w St. John's, nad jeziorem Quidi Vidi. A Kanadyjczycy na Buckmaster's Field. Wszyscy zasuważą w mundurach. Miejscowi już nie mają u dziewczyn szans. Co nie, Wish?

Sadie nachyliła się nad stołem, by znaleźć się bliżej Wisha.

– Wybierasz się na wojnę?

Znowu spróbował wyobrazić sobie jej twarz, powiązać ją z brzmieniem głosu. Po tonie jej pytania nie potrafił odgadnąć, jaką wolałaby odpowiedź.

– Nie mam planów – oznajmił.

Helen wróciła do nich korytarzem, jedną ręką sunąc po ścianie, by znaleźć drogę w ciemnościach.

– Czy ktoś tu w ogóle zapali dzisiaj lampę? – spytała.

Przegoniła córkę ze swojego miejsca przy stole; dziewczyna usiadła na dywanie przed piecem.

– Może dolewkę?

– Chyba będziemy się już zbierać – odrzekł Hiram.

Wychodząc, Wish obejrzał się na Sadie. Ogień oświetlał połowę jej twarzy. Dziewczyna wpatrywała się w swoje kolana, jakby w skupieniu przysłuchiwała się rozmowie prowadzonej w drugim pokoju.

Aubrey ruszył za nimi ku drzwiom.

– Wyjdę na chwilę, odprowadzę was kawałek. – Gdy odnaleźli ścieżkę i ruszyli w dół, zapytał: – Kiedy ruszacie?

– Kabotażowiec zawija tu pojutrze.

– Niedługo będziecie w St. John's, co?

– Strzelam, że za jakiś tydzień.

– Odwiedzicie znowu te strony przed nadejściem zimy?

– Jeśli pogoda nie pogorszy się zbyt wcześnie.

– Parę miesięcy temu Sadie skończyła szesnaście lat. Obiecałem, że kupię jej nową sukienkę, jeśli dożyję Bożego Narodzenia. Wątpię jednak, czy przed świętami odwiedzę St.

John's, żywy lub martwy. Tak się zastanawiam, czy nie wpadłbyś do Ayre'a na Water Street. Kupiłbyś jej coś porządnego.

– Nie wiesz przypadkiem, jaki rozmiar nosi, co, Aubrey? Ojciec dziewczyny zaczął szperać w kieszeniach spodni i po chwili wyłowił z nich kawałek sznurka.

– Zamierzałem z tym do ciebie wpaść przed waszym wyjazdem – powiedział. Potrząsnął sznurkiem i złapał za jeden koniec. – Na początku masz podwójny supeł. Stąd do pierwszego supła to jak od barku do nadgarstka. Do drugiego, od barku do talii. Od drugiego do trzeciego, obwód biustu. Od trzeciego do czwartego to obwód talii. Długością się nie przejmuj, Helen sobie z tym poradzi, kiedy przywieziesz sukienkę.

– Lubi jakiś konkretny kolor?

– No proszę, nie pomyślałem o tym.

– U Ayre'a spytam pana Golfmana, co poleca. Aubrey klasnął w dłonie.

– Kapitalnie! Ureguluję rachunek, gdy przywieziesz sukienkę. Mężczyzna zawrócił, życząc im obu dobrej nocy. Hiram zszedł nieco dalej w dół zbocza, a gdy był pewien, że Aubrey już ich nie słyszy, zaczął przesuwać palcami po sznurku.

– Od drugiego do trzeciego... – powiedział, odmierzając odległość, po czym zagwizdał z uznaniem.

Zmiał sznurek w kulkę i wręczył go Wishowi.

– Podejrzewam, że ty lepiej się tym zaopiekujesz.

– Nie wydaje mi się, żebym specjalnie przypadł do gustu jej matce – stwierdził Wish.

– No wiesz, pani Parsons jest już zajęta – odrzekł Hiram. – Chyba, że większy z ciebie zawadiaka, niż dajesz po sobie poznać.

Ranek wstał równie pozbawiony tchu, co poprzedzająca go noc. Wisha obudziły w ciemności głosy mężczyzn krzątających się na nabrzeżu i rytmiczne chlapanie wiosel bączków, którymi rybacy podpływali do szkunerów stojących na kotwicy. Silniki kutrów ożywały w oddali, jeden po drugim; stłumiony pomruk był niczym bzyczenie tłustych much uwieczonych między szybami. Po chwili Wish pograżył się we śnie. Wstał dobrze po wschodzie słońca. Ciszy panującej w domu nie zakłócił ani jeden dźwięk, a chłopak leżał, dochodząc do siebie, próbując przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Okno było otwarte na oścież, ale firanki nawet nie drgnęły.

Ubrał się i zszedł do kuchni. Nie zastał tam nikogo; znalazł ciepły czajnik odstawiony za piecem. Hiram nadal leżał w łóżku i było bardzo prawdopodobne, że prześpi większość przedpołudnia. Na stole Wish znalazł przykryty serwetką talerz z bułkami i serem, co oznaczało, że pani Gillard nie zamierzała wrócić w najbliższym czasie. Sypnął do ognia szufłę węgla. Kręcił się na parterze, czekając, aż woda w czajniku się zagotuje.

Po śniadaniu Wish poszedł za nabrzeże Earle'a. Nie było tam żywego ducha, mężczyźni już pracowali na łowiskach. Domy również zdawały się dziwnie ciche, żadnego ruchu za oknami, w powietrzu niemal zupełny brak dymu, zapachu drewna czy węgla. Tak jakby całe Cove opustoszało między jego pierwszym przebudzeniem a chwilą, gdy wygrzebał się z łóżka. Robił, co mógł, by nie myśleć o celu swojego spaceru, dopóki nie zatrzymał się przed domem Sadie. Stał tak przez chwilę, przyglądając się budynkowi. Otwarte od frontu okna wpuszczały świeże powietrze. Słyszał staruszkę nawołującą Helen.

Poszedł na tyły domu, gdzie zastał drzwi od ganku otwarte na oścież, podparte kijem od miotły. Wszedł do środka i przechylił głowę, nasłuchując. Tylko głos staruszki. Na stole żadnych talerzy. Gołe ściany, nie licząc dwóch niedużych obrazków. Zdjęcie z diamentowego jubileuszu królowej Wiktorii i rycina z jakimś pradawnym monarchą przejeżdżającym na koniu przez rzekę. Podeszedł bliżej, żeby przeczytać podpis. *Król Wilhelm III przekracza rzekę Boyne*. Król Billy. Księżę Oranii, król Anglii. Przepędza z Irlandii katolickiego króla Jakuba. W St. John's Hiram lubił zabawiać się w znoszenie do domu antykatolickich druków rozdawanych w śródmieściu. Odczytywał je Wishowi na głos. W broszurkach nazywano katolików wrogami porządku publicznego i zagubionymi niewolnikami despotyzmu. „Sama skromna instytucja Chrystusa nie przypada do gustu ciemnym masom, tworzącym zastępy sługusów papieżstwa”. Wish widywał oranżystów^[2], wyśpiewujących protestanckie hymny, paradujących ulicami w melonikach i nakrapianych kaszkietach, z szarfami zarzuconymi na płaszcze. Katolicy chowali się w domach, zanim dotarło do nich czoło marszu; zaciągali zasłony, żeby nie musieć na nich patrzeć.

Podeszedł do pieca i położył na nim rękę, by sprawdzić, czy jest ciepły. Zimny nie był, ale minęła już co najmniej godzina, od kiedy ktoś w nim napalił. Rozejrzawszy się po kuchni, oparł ręce na biodrach i zawołał: – Dzień dobry!

– Aubrey?

Przeszedł przez korytarz, przystanął w drzwiach salonu i popatrzył na chorą staruszkę. Leżała na łóżku wciśniętym między fotel a ławę. Choć poranek był ciepły, kołdrę miała naciągniętą aż

na pierś. Leżała zwrócona twarzą do ściany, przez którą nawoływała. Na jej ramię opadał długi, siwy warkocz.

– Dzień dobry, miła pani.

Miała zapadnięte policzki, skóra napięta na skroniach i kościach policzkowych była nienaturalnie blada i gładka.

– Chcę Helen – zażądała kobieta, odwracając się do niego.

– Wyszli z domu i zostawili panią samą?

– Strasznie dziś jestem zrzędliva – stwierdziła. Nie przestając patrzeć mu w oczy, poklepała skraj łóżka. Gdy usiadł koło niej, złapała go za dłoń. Miała bladoniebieskie oczy, miejscami odbarwione przez drobinki ciemności, jakby odchodziła od nich stara farba. W pokoju czuć było moczem, lawendą i mydłem na oleju roślinnym. – Jesteś synem Jenny Reid.

– Nie jestem stąd – przyznał. – Dokąd poszli, że tak panią zostawili?

Uśmiechnęła się do niego słodko.

– Czy ja umarłam? Czy to niebo?

Wisha zaczęło mdlić, odsunął się od staruszki, ale ona nie puściła jego ręki.

– Sadie nie ma w domu? – zapytał.

Kobieta spochmurniała, wymamrotała coś pod nosem.

– Co pani powiedziała?

– Mała kurwa – powtórzyła staruszka. Nagle zapytała zupełnie innym tonem: – Czy mogę już wstać?

– Nie, babciu. Nie możesz.

Wish popatrzył w stronę drzwi, w których młodsza siostra Sadie stała z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– To chyba jestem w piekle – stwierdziła starowinka.

– Zaszedłem, ale nikogo nie zastałem – wytłumaczył dziewczynie Wish. – A ona wołała waszą matkę. – Wyrwał dłoń z uścisku staruszki i wstał.

– Wyszłam za dom tylko na parę minut. – Dziewczyna odwróciła się i poszła do kuchni, zakładając, że on pójdzie za nią.

Ruszył w stronę drzwi. Zanim wyszedł na korytarz, zerknął przez ramię. Staruszka powiedziała: – To dobre życie, dopóki nie osłabniesz.

Dziewczyna stała przy piecu, ręce ukryła za plecami. Ciało dziecka, chuda jak szczapa. Dość krótkie włosy z przedziałkiem na boku. Oczy jak u siostry, chociaż nie aż tak zielone, poza tym bardziej rozbiegane – na niczym nie zatrzymywały się na dłużej, jej wzrok skakał po nim, w górę, w dół, a zaraz na bok – niczym ławica płochliwych ryb. Nie mógł sobie przypomnieć jej imienia.

– Nie jest sobą – powiedziała dziewczyna. A po chwili dodała: – Nie zwracaj uwagi na to, co mówi.

Nie miał pojęcia, czy dziewczyna słyszała, co babcia powiedziała o Sadie. Nie widział też żadnego sposobu, aby o to zapytać.

– Mogę cię czymś poczęstować? Może filiżankę herbaty?

– Przed chwilą zjadłem śniadanie. Gdzie się dzisiaj wszyscy podzieli? Nie ma tu żywej duszy.

– Wszystkie kobiety poszły nad Gooseberry Cove, żeby zebrać agrest na zimę. Nie wrócą przed zmrokiem. Ja musiałam zostać, żeby doglądać babci.

– To daleko?

Dziewczyna zerknęła na niego spod grzywki, która opadała jej na brwi niczym falbanka.

Wish uśmiechnął się do niej.

– Jak myślisz, dasz radę wytłumaczyć mi, jak się tam idzie?

– Nie da się ukryć, że na agrest chodzą tylko kobiety.

– Może tylko z kobietami chcę rozmawiać.

Jej oczy znowu od niego uciekły. *Agnes*. Tak miała na imię.

– Agnes, powiesz mi, którądy tam dojdę?

Uśmiechnęła się pod nosem, wciąż nie patrząc na Wisha.

– Agnes? – powtórzył, chcąc po raz drugi usłyszeć jej imię.

– Trafisz nad Washing Pond? – spytała. – To za Spell Rock.

– Spell Rock to ta wielka skała po drugiej stronie zatoki?

Skinęła głową.

– Trafię – stwierdził.

—

Kobiety rozeszły się po nagich wzgórzach, po drugiej stronie zatoczki. Zgięte w pół napełniały dzikim agrestem metalowe puszki, które nosiły przy sobie, po czym wsypywały ich zawartość do poszewek na poduszki. Wish przystanął na grzbiecie, z którego je dostrzegł. Wypatrzył w grupie Sadie; jej matka pracowała nieco wyżej na tym samym wzgórzu. Na plaży starsza kobieta pilnowała kociołków zawieszonych nad ogniskiem z drewna wyrzuconego przez morze. Pani Gillard.

Kiedy podszedł, podniosła na niego wzrok.

– Chyba się zgubiłeś?

– Chciałem się tylko przespacerować.

Posłała mu spojrzenie, które oznaczało, że taka tępa to ona nie jest.

– Poradziliście sobie ze śniadaniem?

– Ja wziąłem ze stołu bułkę i trochę sera. Kiedy wychodziłem, Hiram nie dawał jeszcze znaku życia.

Nachyliła się nad garnkiem z fasolą.

– Dla mnie to niepojęte, jak taki *hangashore*^[3] nie umiera z głodu.

Wish czuł, że jej ocena dotycząca Hirama była po części wymierzona również w niego. Jakby wrodzone lenistwo Hirama miało aspekt nie tylko fizyczny, ale również duchowy, co tłumaczyłoby fakt, że mężczyzna zadaje się z rzymskimi katolikami.

– Dałbym wszystko za szklanę wody – zmienił temat.

Pani Gillard naląła mu ciepłej wody z pojemnika. Stała przy nim, gdy pił do dna.

Zerknął w kierunku wzgórza.

– Ma pani wolną puszkę?

– A co miałbyś z nią robić?

– Pomyślałem, że może na coś się przydam. Skoro już tu jestem.

Wish ruszył w górę zbocza, w stronę Sadie, co jakiś czas schylając się po garść agrestu. Po wzgórzach poniosło się ciche szemranie, kolejne kobiety zwracały uwagę na jego obecność, ale żadna nie podniosła głowy, żeby się przywitać. Czuł się tak, jakby pływał w jednej z sadzawek w głębi łądu, co chwilę natrafiając na ujścia strumieni z wodą tak lodowatą, że zapiera dech w piersiach. Wyobraził sobie tę scenę z lotu ptaka, ujrzał panoramę wzgórz nad zatoką. Młody katolik grasujący pośród protestantek rwących agrest. Przypomnił sobie broszurki Hirama. *Pułapka klerykalizmu. Podstęp szatana*. Ani jednego protestanckiego mężczyzny w promieniu wielu mil.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zawrócić, ale wiedział, że wtedy jeszcze bardziej by się ośmieszył. Upatrzył sobie dogodny krzak nieopodal Sadie i zaczął uczciwie zbierać owoce. Przez cały czas czuł, że znajduje się w centrum uwagi. Wyglądało na to, że tylko Sadie go nie dostrzegła. Zaczął zrywać agrest z góry krzewu, żeby móc lepiej się jej przyjrzeć. Włosy spływające do przodu przez ramię, twarz i szyja czerwone od pracy ze schyloną głową. Nad jej czołem aureola meszków, tańczących w nieruchomym powietrzu. Co jakiś czas odruchowo machała ręką, żeby owady nie leciały jej do oczu. Kształt piersi muskających bluzkę.

– Skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy? – spytała.

– Dopisało mi szczęście – odrzekł, odwracając się do agrestu. – Pomyślałem, że przejdę się za Washing Pond.

Sadie przykucnęła i spojrzała na niego. Odgarnęła włosy z twarzy i odpędziła meszki.

– Byłeś u mnie w domu, co? Rozmawiałeś z Agnes.

– Być może. – Uśmiechnął się, by dać jej do zrozumienia, że więcej nie powie. Odwzajemniła uśmiech.

– Skąd tyś się wziął? Takiego tupetu jeszcze nie widziałam.

Jedna z kobiet wstała i krzyknęła w ich stronę: – Jak tam, Sade, przykrył już chociaż dno?

Tu i tam rozległ się śmiech, chociaż większość kobiet najwyraźniej nie widziała w tej sytuacji nic zabawnego.

Sadie sięgnęła po jego pojemnik i przechyliła go lekko, żeby zajrzeć do środka.

– W większości liście – odkrzyknęła. – Liście i niedojrzałe owoce.

Jej matka stanęła pomiędzy nimi.

– Stworzony do zbierania agrestu, co? – Helen przyjrzała mu się bez cienia uśmiechu na twarzy. Zwróciła się do córki: – Idź, pomóż pani Gillard rozstawić talerze.

Sadie chciała coś powiedzieć, ale Helen ucięła dyskusję.

– Rób, co powiedziałam.

Dziewczyna przesypała swój agrest do powłoczki na poduszkę i poszła w stronę plaży. Helen odebrała Wishowi puszkę i zajrzała do środka.

– Nie mam kobiecej ręki do takiej roboty – stwierdził chłopak.

– Nie masz – przytaknęła. – Wygląda na to, że chłop z ciebie w każdym calu.

Spodziewał się, że zaraz mu powie, żeby spieprzał. Czuł, że kobieta jest rozdarta między instynktownymi odruchami a zwyczajową uprzejmością. W końcu wróciła do zbierania agrestu, ale nie pofatygowała się, żeby oddać mu pojemnik na owoce. Odwrócił się w stronę plaży i popatrzył za Sadie. Jego również dręczyły podobne rozterki, co Helen.

Siedział na piasku, trzymając się za kostki. Przyglądał się Sadie, która wyciągała z kosza stosy talerzy i sztuców.

– Aloisious – zagadnęła go.

– Większość ludzi mówi na mnie Wish.

– Wish – powtórzyła. Czuł, że jej się spodobało. To, jak słowo układa się na jej języku; związek tego słowa z nim. – Jesteś z południowego wybrzeża Avalonu.

Pani Gillard wyciągnęła zawinięty w ścierki półmisek słodkich bułeczek. Przekazała go Sadie, która podsunęła naczynie Wishowi. Wziął jedną z bułeczek, ale nie posmakował jej, po

prostu trzymał ją w ręce podczas rozmowy. Ciasto było wciąż ciepłe, chociaż leżało w koszu wiele godzin po wyjęciu z pieca.

– Jestem z Lord's Cove, to te same strony co Burin. Kiedy byłem mały, przeprowadziliśmy się na południe od St. John's.

Trzy wrony wylądowały na brzegu, parę kroków od ogniska. Wish przeżegnał się trzy razy. Gdy podniósł wzrok, stwierdził, że Sadie i pani Gillard przyglądają mu się.

– Ostrożności nigdy za wiele – wytłumaczył.

– Skąd masz to znamię? – spytała Sadie. – To na karku. Wish odruchowo dotknął szyi, zaskoczony, że zauważyła.

Kiedy schylał się przy niej, zbierając agrest, zdawała się w ogóle na niego nie patrzeć.

– Wygląda, jakbyś się oparzył – stwierdziła.

– Mam to od urodzenia.

– Mogę zerknąć?

Pani Gillard wcięła się, zanim zdążył odpowiedzieć.

– Sadie, wracaj do pracy. – Po chwili kobieta rzuciła: – Uważaj, z kim się zadajesz. – Powiedziała to do miski fasoli, a Wish nie potrafił stwierdzić, czy ostrzeżenie było adresowane do Sadie, czy do niego.

—

Gdy kobiety zeszły ze wzgórz by zjeść obiad, słońce zdawało się wisieć dokładnie nad ich głowami, a nawet nad wodą upał pozbawiał ich tchu. Zanim pani Gillard zaczęła nakładać jedzenie, zmówiła modlitwę, a kiedy powiedziała „Amen”, Wish przeżegnał się, wiedząc, że kobiety tego właśnie się po nim spodziewają. Wszystkie usiadły dobry kawałek od dogasającego ognia, nad którym wisiał jeszcze poczerniały czajnik. Były zmęczone i markotne, dużo bardziej milczące, niż Wish spodziewałby się po

grupie kobiet. Nachylił się do Sadie i szeptem podzielił się z nią tym spostrzeżeniem. Odpowiedziała mu ciosem w ramię.

– Ależ z ciebie zuchwały *black!*

Wish uśmiechnął się do dziewczyny. Na południu to oni tak nazywali protestantów. *Blacks. Czarni.* Chodziło o kolor ich dusz.

Pani Gillard spytała: – Czym zajmowałeś się w Renew, zanim zacząłeś się kumpłować z Hiramem Keepingiem?

– Jako dzieciak wywieszałem dorsze do suszenia u Gooderiche’a. Przez kilka sezonów łowiłem ryby z Tomem Keatingiem na Grand Banks. Od czasu do czasu odzyskiwałem rzeczy z rozbitych statków. – Wzruszył ramionami. – Lada chwila rzucę to wszystko i zamieszkać na stałe w St. John’s.

– Jak tam jest? – chciała wiedzieć Sadie. Zacytowała żonę farmera z filmu, który widzieli zeszłego popołudnia: – Czy wszystkie damy malują tam paznokcie u stóp?

– Nigdy nie byłeś w mieście?

– Nie byłem nigdy dalej od domu niż nad Gooseberry Cove. Nie licząc jednej wycieczki na Fogo, zeszłej jesieni, żeby obejrzeć film.

Wish próbował sobie przypomnieć dzień, w którym zobaczył St. John’s po raz pierwszy. Wpłynął z Tomem Keatingiem na jego kutrze pomiędzy klify przesmyku Narrows. Długie, płaskie stojaki do suszenia dorszy ustawione na osiedlu Battery. Na północnym brzegu przystani pomosty obstawione gęsto przycumowanymi szkunerami. Na wzgórzu ponad nimi bezład budynków upchniętych między gęste kępy drzew. Kirk i bliźniacze wieże bazyliki spoglądające z góry na morze. Garstka młodych oficerów Armii Zbawienia^[4] z czerwonymi epoletami na ciemnych

mundurach, głosząca swoje świadectwa tłumom na Water Street. A wszystko to cuchnęło tak, że smród niósł się pod niebiosa; solone ryby, zgnilizna i robactwo, spaliny i dym. Pachniało mu to życiem w pełnej krasie.

Zerknął na Sadie. Nie chciał traktować z góry ani jej, ani świata, który znała, powiedział więc: – St. John’s to nic wielkiego. W zasadzie końskie łajno i tawerny.

– Która z tych dwóch rzeczy trzyma tam ciebie?

Spojrzał na nią zdziwiony. Po chwili powiedział: – Nie zamierzam opowiadać ci żadnych bajek.

– To po co tu siedzę i z tobą rozmawiam?

Znowu nachylił się lekko w jej stronę, ale tym razem nie powiedział ani słowa.

– Co konkretnie zbierałeś – spytała nagle Helen – kiedy „odzyskiwałeś rzeczy z rozbitych statków”?

– Wszystko, co tylko można sobie wyobrazić – odparł.

– Wymień co nieco.

– Drzwi i okna. Drewno. Dżemy, owoce i mięso. Keczup w puszkach. Mydło. Raz natknęliśmy się na ładunek dwudziestofuntowych szynek, które walały się po wraku. Musieliśmy użyć sieci, żeby opuścić je na pokład. Taczki, łopaty. Miedziane rury. Kiedyś znaleźliśmy parę portugalskich monet, wywierciliśmy w nich dziury i zrobiliśmy z nich podkładki pod śruby. Był też posąg z hiszpańskiego statku, Jezus na krzyżu, cały z brązu i wielki jak prawdziwy. Było parę *alky wrecks*.

– *Alky wrecks*?

– Szkuner z St. John’s wyladowany piwem Black Horse. Kiedy osiadł na mieliźnie, przydzielono do niego nawet konstabla, żeby

miał na niego oko. Porządnie zarobiliśmy na odstawieniu piwa na ląd. Był angielski statek z ginem. Większość sprzedaliśmy w Ferryland, ale trochę sobie zostawiliśmy, żeby jakoś przetrwać zimę.

– Alkohol – oznajmiła pani Gillard – to mleko diabła.

Wish przytaknął; robił co mógł, żeby wyglądać na skruszonego. Połowa mieszkańców północno-wschodniego wybrzeża była abstynentami. Hiram woził ze sobą własne zapasy na czarną godzinę, żeby nie zostać o suchym pysku. W pensjonacie pani Gillard popijał ukradkiem.

– Podejrzewam, że diabeł nie ma nic przeciwko paru głębszym od czasu do czasu – stwierdził Wish.

– Aż się człowiek zastanawia – wtrąciła się Sadie – dlaczego pierwszym cudem Pana była przemiana wody w wino.

– Sadie – ostrzegła ją matka.

– Trudno stwierdzić, po której stronie On stał, co nie?

– Mercedes – syknęła matka, po czym wstała i zaczęła zbierać puste talerze.

Pani Gillard zaczęła się głośno wiercić i poruszać ustami tak, jakby śpiewała pod nosem jakiś hymn.

Wish obserwował Sadie kątem oka. W jego głowie rozbrzmiał głos kaznodziei z Armii Zbawienia. Nachylił się do dziewczyny.

– „Albowiem mądrość Boga głupstwem jest u tego świata” – powiedział tak cicho, żeby tylko ona dosłyszała.

– Na wieki wieków. Amen – szepnęła.

Po posiłku wrócili do pracy na wzgórzach. Żar zdawał się wylewać z ziemi, spod ich stóp, a ulgi nie przynosiło nawet najdrobniejsze tchnienie wiatru. Wish trzymał się blisko Sadie,

ale nie aż tak blisko jak jej matka, która najwyraźniej zawzięła się, że spędzi u boku córki całe popołudnie. Sadie zwróciła jej uwagę, żeby dała spokój i znalazła sobie własny krzaczek, ale Helen ją zignorowała.

Widział, że jeśli zostanie dłużej, to bynajmniej nie zawiąże nowych przyjaźni.

– Czeka mnie dość długi spacer – oznajmił w końcu. – Lepiej już pójdę.

Sadie odparła: – Możesz wrócić z nami, kiedy Sam Rose przyplynie po nas swoim kutrem.

Helen posłała córce znaczące spojrzenie.

– Nie trzeba – powiedział Wish. – Chętnie się przejdę.

– Jutro płyniecie dalej? – spytała Sadie.

– Do Twillingate.

– Zatrzymacie się tutaj w drodze powrotnej do St. John's?

– Jeśli prom tutaj zawinie.

– A może odwiedzicie nas z Hiramem dziś wieczorem? Helen wręczyła swoją puszkę Sadie.

– Odprowadzę cię kawałek – powiedziała do chłopaka.

—

Zeszli razem na plażę i minęli panią Gillard siedzącą przy ognisku. Gdy zaczęli wspinać się na grzbiet, którym rano przybył Wish, Helen zapytała: – Ile masz lat, Aloysious?

– Osiemnaście.

– Nie zachowujesz się jak osiemnastolatek.

Nie wiedział, co chciała przez to powiedzieć, ale bał się spytać.

– Sadie to uparta dziewczucha – stwierdziła matka.

– Zauważyłem.

– Przypadłeś jej do gustu.

Skinął głową.

– Zna tylko naszą zatokę, nigdzie nie była, nic nie wie. Kiedy patrzy na ciebie, widzi tylko i wyłącznie drzwi.

– Drzwi do czego?

– Sama nie ma zielonego pojęcia. Może właśnie dlatego tak bardzo przypadłeś jej do gustu.

Szli dalej w milczeniu, aż wspięli się na grzbiet. Tam Helen przystanęła i pozwoliła Wishowi zejść parę kroków po drugiej stronie szczytu. Dopiero wtedy znowu się do niego odezwała.

– Aloysious.

Słońce stało dokładnie za jej głową; chłopak musiał zasłonić oczy ręką.

– Wyglądasz na porządnego młodzieńca. – Helen wzięła wdech i zapatrzyła się na ocean. – Moja córka nie będzie się spotykała z tobą – oznajmiła – ani z nikim spośród twoich.

– Moich?

– Wiesz, co mam na myśli. Nie przychodź dziś wieczorem.

Oczy zaszły mu łzami od spoglądania w słońce, musiał odwrócić wzrok.

– Tu nie chodzi o ciebie ani o to, jaki ty jesteś.

Odwrócił się i zaczął iść w dół. Nie oglądał się na nią, dopóki go nie zawołała. Wciąż stała ponad nim, na szczycie grzbietu.

– Bezpiecznego rejsu! – krzyknęła. Wish stał z rękami na biodrach i wpatrywał się w nią, dopóki nie zniknęła po drugiej stronie wzgórza.

Nagle cisza wokół. Bezchmurne niebo, pod nim ocean gładki jak obrus. Łomot pulsu w uszach.

Kabotażowiec wrócił do Cove po dziewięciu dniach. Niedzielny poranek, nabożeństwo w trakcie – nikt nie przyszedł na nabrzeże, aby ich przywitać. Gdy zanieśli rzeczy do pensjonatu pani Gillard, Hiram oznajmił, że wybiera się do pani Jones, by porozmawiać o jakimś koniu. Najpierw zamierzał zapewne przesiedzieć z pół godziny w wychodku, nucąc coś głośno, by nie doskwierała mu samotność. Wish wyszedł frontowymi drzwiami i powiódł wzrokiem w dół i w górę ścieżki. Poczul ulgę, że uwolnił się od tego faceta.

Tamtego wieczora, na dzień przed wypłynięciem, nie wybrali się do Parsonsów. Zamiast tego po cichu ubzdryngolili się w pensjonacie, gdy pani Gillard poszła spać. Hiram zdawał się zdruzgotany tym, że Wish nie chce zobaczyć się z Sadie.

– I tak nie miałeś u niej szans – podpuszczał chłopaka – biorąc pod uwagę, że jesteś tylko małym, sprośnym sługusem papieża.

– Odwal się – odparł Wish z goryczą.

Podobną rozmowę odbyli na wieczór przed powrotem promu z Twillingate do Cove. Tym razem konflikt nasilił się i przybrał postać wymiany drwin na temat ikry, jaj i maminsynków. Wish czuł się potem jak jakiś gówniarz.

Pierdolony Hiram.

Wish podszedł do kościoła, stojącego na niedużym wypłaszczeniu nad przystanią, tyłem do ostatnich drzew w promieniu wielu mil – kępy karłowatych świerków przygiętych w stronę wody przez wiatr. Jego uszu dobiegały tony fisharmonii oraz niemal pozbawione melodii efekty starań wiernych, brnących przez hymn *How Great Thou Art*. Chłopak poszedł wzdłuż ściany i wspiął się na wzgórze za cmentarzem, przepychając się między

owcami pasącymi się na zboczu. Zwierzęta marudziły, schodząc mu z drogi. Wspiął się niemal na sam szczyt i tam siedział do końca nabożeństwa. Obserwował wiernych, wychodzących gęsiego w światło słońca. Dostrzegł Sadie idącą z rodziną w stronę południowego brzegu zatoki. Nie było z nimi Agnes, którą zapewne zostawili w domu, żeby doglądała staruszki. Sadie rozglądała się od czasu do czasu, wodziła wzrokiem po brzegach zatoki, jakby wypatrywała czegoś konkretnego.

Wish nie miał ochoty wracać do pensjonatu; siedział na wzgórzu, dopóki pastor nie wyszedł. Potem zszedł do pustej świątyni. Nigdy jeszcze nie był w protestanckim kościele, poczuł się tu samotny – bez świętych i ich rzędów wotywnych świec wewnątrz wiało pustką. Usiadł w ławce z tyłu, wdychając zapach polerowanego drewna i garbowanej skóry. Z przodu ołtarz na niskim podeście. Nad nim wyszywany, purpurowy proporzec. Na ścianie za ołtarzem prosty, drewniany krzyż, a na nim nikogo. Tylko nagie ramiona desek. W mniemaniu Wisha było to wręcz błędzenie gdzieś z dala od sedna sprawy. W tym momencie stanęła mu przed oczami ciotka, rozciągnięta na podłodze swojej nędznej chałupy niczym krucyfiks z krwi i kości, z wyrazem nadprzyrodzonego uniesienia na twarzy. Przepełniona nie spokojem, ale zapalczywością. Wyglądała jak ktoś, kto stanął oko w oko z nie wyrażonym.

Nie znał ciotki Lilly, gdy wysłali go do Renews, żeby z nią zamieszkał. Na nabrzeżu Goodriche'a czekała na niego jedna z Sióstr Ofiarowania z St. John's, która zaprowadziła go do domu ciotki. Lilly stała pośrodku większej z dwóch izdebek, jakby

czekała tam od wielu godzin, a może i dni. Wish nie dostrzegł w tej kobiecie nic z matki; z jakiegoś powodu przyjął to z ulgą.

Po kolacji Lilly uklękła na klepisku, nieopodal pieca, a on przyłączył się do niej, nie czekając na zaproszenie. To był wtorkowy wieczór, rozważali tajemnice bolesne. Wish modlił się na różańcu matki. Nie żyła już od jedenastu lat. Ból i tajemnica. Lilly modliła się w języku, którego księża używali w kościele, a jej twarz jaśniała czymś bożym, czymś, czego on nie potrafił odnaleźć w sobie.

– O Bogu nauczyłam się tyle – powiedziała mu pewnego dnia Lilly – że nie powierza nam prawdy sam. Chce, żebyśmy na nią zapracowali, bo wtedy nie roztrwonimy tego, co odnajdziemy.

Wish nie miał pojęcia, co chciała przez to powiedzieć. Jego zdaniem Bóg przerastał ludzi. Niektórzy pragnęli więcej niż tylko zamoczyć stopy, wychodzili więc na głębię i topili się w Nim.

Wrócił na wzgórze, trzymając się z dala od budynków ustawionych w podkowę nad zatoką. Poszedł skrótem aż za Washing Pond, do ścieżki prowadzącej w kierunku Gooseberry Cove. Nie jadł nic od rana, przystanął więc, by zerwać parę garści borówek i jagód. Poszedł aż do sadzawki znajdującej się w pół drogi do Gooseberry Cove, tam napił się wody i położył się na chwilę na brzegu. Wyjął z kieszeni sznurek Aubreya i zaczął bawić się nim bez celu, nawijając go na nadgarstek, przeplatając przez palce. Odliczał supełki raz po raz, jakby były koralikami różańca. Patrzył na niskie wzgórze, mech i borówki, garby bladych kamieni wypchniętych z gruntu. Od jakiegoś czasu wiał niezmienny wiatr, a chmury płynęły przed słońcem tak, że pejzaż zdawał się ciągle przesuwac pomiędzy światłem a cieniem niczym

jakieś rozgorączkowane stworzenie, niepotrafiące ułożyć się spokojnie w jednym miejscu. Gdy zamknął oczy, poczuł to samo rozedrgane poruszenie we własnych wnętrznościach. Był wygłodniały. Sądził, że to uczucie to zwykły głód, kryło się w nim jednak coś głębszego. W Wishu pracowała jakaś mała, wściekła maszyneria.

Wiosną prałat przyплыnął do St. John's, by złożyć wizytę arcybiskupowi, a przy tej okazji odwiedził Wisha u Hirama.

– Lilly prosiła, żebym do ciebie zajrzał – wytłumaczył. Wish zaprosił go do swojego pokoju na piętrze. Podczas gdy chłopak parzył herbatę, ksiądz wygłosił mu krótkie kazanie na temat podstępного zła kryjącego się w ekumenizmie. – Nie sądzę przypadkiem – zaczął monsignore Power – że mieszkanie pod jednym dachem z protestantem nie stwarza zagrożenia dla twojej duszy.

– Ależ skąd – odrzekł Wish.

– To, co głoszą protestanci, stanowi obrazę dla naszej Świętej Matki, Kościoła – stwierdził kapłan. – Ich celem jest sianie zepsucia wśród dzieci Kościoła.

Wish czuł na sobie wzrok księdza, starał się nie okazywać emocji.

– Obcowanie z chorymi imaginacjami naśladowców Lutra może wyrzucić zgubny wpływ nawet na najczystsze serca – dodał prałat.

Wish wpatrywał się w swoje dłonie.

Ksiądz Power zdjął okulary i przetarł szkła jedwabną chusteczką.

– Istnieją ludzie, którzy już zasłużyli na potępienie – stwierdził. – A to czyni ich zdolnymi do wszystkiego.

– Ma ksiądz na myśli Hirama?

– Hirama i jemu podobnych. – Monsignore nałożył okulary na nos. – Pamiętaj, kim jesteś, Aloysious. Pamiętaj, do kogo przynależysz.

Wszystko to brzmiało Wishowi jak stek bzdur, lecz ta rozmowa i tak zburzyła jego spokój, napełniła go strachem i złością. Jakby prawda objawiona mu przez kapłana przekraczała jego możliwości pojmowania; jakby jego niezdolność do dostrzeżenia niebezpieczeństwa tylko potwierdzała to, co powiedział prałat. Tamte słowa powracały do niego w najdziwniejszych chwilach, tak jak teraz, niezmiennie napełniając go tym samym wstydem, tym samym rozdrażnieniem.

Przywołał w myślach Sadie, by odsunąć od siebie to wszystko. Wyobraził sobie ręce dziewczyny pod swoim paskiem. Rozebrał się i uklęknął na mchu z szeroko rozłożonymi nogami, z głową odrzuconą do tyłu. Uniósł spódnicę dziewczyny, odsłaniając jej blade uda, gdy odchyłała się od niego, gdy ofiarowała mu ciemną szczelinę między nimi. Jej twarz zakrywał woal długich włosów. Uderzając o dziewczynę rytmicznie, sięgnął do jej włosów i złapał je w garść. Kiedy szczytował, padł do przodu, z trudem łapiąc oddech. Wytarł dłoń w gęsty mech. A mała, wściekła maszyna nadal pracowała w nim na pełnych obrotach.

Kiedy wrócił z nad sadzawki, w kościele trwało już wieczorne nabożeństwo. Śpiew zboru niósł się ponad szumem wiatru. Wish podejrzewał, że tym razem Agnes jest w kościele, a Sadie opiekuje się w domu babcią. Stanął pod kuchennymi drzwiami i zawołał.

Słońce zanurkowało pod sunącą po niebie tratwę chmur i kryło się już za wzgórzem, za jego plecami; dom był przebarwiony ostatnim światłem dnia, szyby mieniły się złotem. Na tyłach stały trzy budynki: obora, składzik oraz ziemianka na mleko i warzywa. Wszystkie były pomalowane mieszanką czerwonej ochry i tłuszczu, wszystkie ogrodzone płotem ze splecionych olchowych gałęzi. Za płotem dwie kozy strzygące trawę, a przy oborze tuzin kurczaków odgrodzonych drucianą siatką.

Sadie nie odpowiedziała, więc zawołał ją znowu. W końcu stanęła w drzwiach z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Włosy miała splecione w warkocze, zawiązane w kok z tyłu głowy.

– Myślałam, że nie żyjesz – powiedziała. W brązowym świetle jej skóra wyglądała na opaloną, była ciemna jak cynamon. Zdawało się, że nawet zieleń jej oczu zmieniła kolor, przybrała odcień pomiędzy miedzianym a rdzawym.

– Po prostu miałem opóźnienie – odparł.

– Podejrzewam, że chciałbyś wejść do środka.

– Liczyłem na to. – Zaczął przestępować z nogi na nogę, jakby zamarzał na zimowym chłodzie.

Sadie wróciła do kuchni, zostawiając za sobą otwarte drzwi, a on wszedł za nią do środka.

– Jesteś po kolacji?

– Od śniadania nie jadłem nic poza borówkami.

Poszła do spiżarni i po chwili postawiła na stole talerz z pieczenią na zimno, ciastkami i krojonym serem.

– Herbaty?

– Jeśli to nie kłopot.

– A gdybym powiedziała, że owszem, kłopot?

Nie przyszło mu do głowy, że może być na niego zła.

– Nie wiem – stwierdził. – To chyba wypiłbym szklanę wody.

– Wypiłbyś, co? – Zajął się parzeniem herbaty. Wish zdjął kurtkę i zawiesił ją ostrożnie na oparciu krzesła. Spodziewał się po Sadie tego samego zapału, który dostrzegł wtedy nad Gooseberry Cove, takich samych sygnałów wskazujących na zuchwałe usposobienie. Napięta sytuacja między nimi sprawiła, że nie wiedział, jak się zachować. Usiadł przed jedzeniem, ale go nie tknął; czekał, aż Sadie spocznie koło niego.

– Jak tam twoja babcia? – zagadnął.

– Widziałeś ją. – Znowu nuta wyrzutu w głosie. – Jest pomyłona.

– *Capo perduto* – szepnął Wish. Przypomniał sobie, co staruszka powiedziała o Sadie. Zastanawiał się, czy nie opowiedzieć dziewczynie co nieco o ciotce Lilly, ale powstrzymał się.

– Co wtedy powiedziała do ciebie matka? – spytał.– Nad Gooseberry Cove, kiedy chciała cię uciszyć. Mercoś tam?

– To moje imię – oznajmiła.

– Jakie imię?

– Mercedes. Słyszę je tylko wtedy, gdy matka się na mnie zdenerwuje. Poza nią wszyscy mówią na mnie Sadie. Sade.

– Co to za imię: Mercedes?

– Nie wiem. A co to za imię: Aloysious?

– Nigdy nie słyszałem tego imienia, nawet w mieście. – Pomyślał, że jej matka należy właśnie do takich ludzi, którzy chętnie dają dzieciom takie dostojne, obco brzmiące imiona. Zapewne natchnął ją do tego jakiś zamorski statek; wszystkie

miały nazwy typu Mirandella, Amarante czy Maria Christina. – Portugalskie, co?

Spiorunowała go wzrokiem.

– Czy ja ci wyglądam na Portugalkę?

– Przed chwilą, na zewnątrz. W tamtym świetle. – Uśmiechnął się bezradnie. – Byłem kiedyś na portugalskim statku, na Cape Ballard Banks. Nazywał się Dona Amelia. Załoga знаła tylko parę słów po angielsku, więc nie rozmawialiśmy zbyt wiele, a jeżeli już, to o rybach. O rozmiarze, o tym, gdzie je sprzedawali. Nie zaproponowali nam nawet kęsa jedzenia, za to mieli w kambuzie trzy skrzynie wina. Wypiliśmy tyle, ile się dało. Ja czułem się dobrze, dopóki siedziałem. Za to kiedy wstałem.

Założyła ręce i popatrzyła na niego tak, jakby chciała powiedzieć: „Przejdiesz do rzeczy?”.

– Kilku z nich miało zdjęcia żon, wyjęli je, żeby nam pokazać. Wszyscy opowiadali nam, jak piękne są kobiety w Portugalii.

To był zawołany komplement; Wish nie był pewien, czy został właściwie odebrany. Widział, że dziewczyna zastanawia się nad tym, co powiedział.

– Podoba mi się twoje imię – dodał. – Mercedes.

– Dlaczego nie przyszedłeś do nas tamtego wieczora?

– Nie wiem.

Wstała z krzesła i odniosła jego talerz do spizarni. Widział, że wciąż jest wściekła. Zupełnie nie tak sobie wyobrażał to spotkanie, nie spodziewał się takich podchodów.

Kiedy wróciła do kuchni, Wish dodał: – Wydawało mi się, że nie będę tu mile widziany. Twoja matka...

Dziewczyna usiadła na krześle i popatrzyła na Wisha. Wciąż dostrzegał w niej gniew, ale czuł, że uczucie nie jest już skierowane przeciw niemu.

– Kiedy odprowadziła mnie na wzgórze nad Gooseberry Cove, powiedziała, żebym nie przychodził. – Odczekał chwilę, żeby to do niej dotarło. – Kiedy wrócę do St. John's, zaciągnę się.

– Zaciągniesz?

– Zamierzam dać sobie spokój z Hiramem. Pójdę na wojnę.

– Nie możesz.

– W tym roku skończyłem osiemnaście lat – wyjaśnił, jakby wiek był jedyną przeszkodą.

Dziewczyna najwyraźniej nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Nagle przeprosiła go, zniknęła w głębi korytarza i poszła na piętro. Nasłuchiwał jej kroków na górze. Już miał wziąć kurtkę i wyjść, kiedy usłyszał, że wraca na dół. Gdy zeszła po schodach, przystanęła, by zerknąć na babkę. Zobaczył, że rozplotła warkocze, a jej włosy opadały teraz swobodnie na ramiona.

Wróciwszy do kuchni, podeszła do okien i zaczęła zaciągać zasłony.

– Zapalimy lampę – powiedziała.

Z zakrytymi oknami kuchnia wydawała się mniejsza i wyodrębniona ze świata. Wish pomyślał, że to tak, jakby siedzieli w kajucie na statku, całe mile od brzegu. Dziewczyna zapaliła stojącą na stole lampę naftową i przykręciła knot. A potem nachyliła się nad nim i pocałowała go prosto w usta, rozchylając szeroko wargi. Wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, ale szybko odsunęła się i wróciła na swoje miejsce. Nie było w niej za grosz

zakłopotania, jedynie ta bezwstydna śmiałość, którą dostrzegł, gdy stała w drzwiach świetlicy.

– Gdzie się nauczyłaś tak całować?

– Widziałam – wyjaśniła. – Na filmach.

– Mam nadzieję, że to nie koniec.

Wzruszyła ramionami; odebrał to jako oznakę, że nie podjęła jeszcze decyzji.

– Pięknie wyglądasz, Mercedes – powiedział. – Z takimi włosami.

– Mogę zobaczyć twoje znamię?

Stała obok niego. Położyła rękę z tyłu jego głowy i przechyliła ją do przodu, po czym delikatnie odciągnęła kołnierzyk od karku, jakby zaglądała pod bandaż okrywający ranę. Obróciła go na krześle, żeby mieć lepsze światło. Znamię, mniejsze niż dłoń i wściekle czerwone, znajdowało się zaraz pod linią włosów. Wish czuł zapach jej skóry. Poza tym woń waniliowych perfum, którymi musiała skropić się za uszami, gdy była na górze. Opierała się o jego ramię; piersi muskały jego bark poprzez warstwy ubrań. Jego kutas stanął w okamgnieniu, przyprawiając go o ból. Wish zaczął się wiercić, próbował go poprawić.

– Nie ruszaj się – powiedziała. – Mogę dotknąć twojej szyi?

– W porządku.

Delikatnie powiodła palcami po plamie na jego skórze.

– Boli?

– Nie, ani trochę.

Czuł, jak wodziła po brzegu znamienia koniuszkiem palca. Wyciągnął dłoń w jej stronę, ale odsunęła się na tyle, by wybić mu

z głowy takie pomysły. Bał się, że dziewczyna zaraz na dobre wróci na swoje miejsce.

– Z czym ci się kojarzy ten kształt? – spytał.

– Nie wiem. Z niczym specjalnym.

– Nie przypomina ci głowy konia?

Poczuł, że wzruszyła ramionami.

– Może – przyznała. – To mógłby być koń. – Nie wyglądało na to, żeby ten pomysł przypadł jej specjalnie do gustu.

– Moja mama zawsze mówiła, że ta plama ma kształt konia. Nie słyszałaś nigdy historii o płonącym koniu, co? Z południowego wybrzeża?

– Nie.

– Kiedy mama się mnie spodziewała, przeprowadziła się do Renew's, żeby na jakiś czas zamieszkać z siostrą. Ojciec dostał miejsce w załodze, która płynęła polować na fok. Gdy wyruszał na lodowe pola, oboje z matką stwierdzili, że lepiej, by nie mieszkała sama. Całkiem już przeze mnie urosła; pewnej nocy obudziłem ją kopaniem. Przez chwilę się wierciła, próbowała się spokojnie ułożyć, ale w końcu dała za wygraną. Wyciągnęła Lilly z łóżka i poszła z nią na spacer ścieżką na mokradłach, którą za dnia ciągnięto sanie.

Dziewczyna położyła dłoń płasko na jego karku, jakby ze znamienia płynęło ciepło, które próbowała zatrzymać. A on mówił dalej, chcąc, żeby pozostała tam, gdzie była.

– Tamtej nocy księżyc był prawie w pełni. Najpierw poczuły tętent kopyt niosący się po ziemi. Poczuły tak, jak matka moje kopanie. Gdy się odwróciły, ujrzały płonącego konia, biegnącego galopem od strony wody. Jego grzbiet palił się na całej długości.

Na wpół oszalała klacz próbowała uciec przed płomieniami, przemknęła obok nich, roztaczając smród nafty i spalonej sierści. Mama mówiła, że to było jak coś prosto z Biblii, jakby znak końca czasów. Gdy klacz je mijała, mama upadła na plecy, a lecąc na ziemię, złapała się za kark. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym teraz trzymasz rękę.

Sadie zaczęła wodzić palcami po znamieniu.

– Po co ktoś miałby robić coś takiego?

– Z tego co słyszałem, ktoś żywił o coś urazę do właściciela.

Wyrównywał rachunki. A ja urodziłem się z tym znamieniem.

– A twoja matka? Mieszka w St. John's?

Spuścił wzrok i popatrzył na swoje dłonie.

– Nie żyje od lat.

Dziewczyna usiadła na swoim krześle.

– Co się stało?

Zawahał się; nie wiedział, co będzie, gdy jej powie, jak to wpłynie na obrót spraw, jak zmieni się tok rozmowy.

– Dyfteryt – wyjaśnił. – Objęli nasz dom kwarantanną. Podawali nam jedzenie przez boczne okno, twarze zakrywali chustami. Tylko jedna kobieta, pani Roche, przychodziła, żeby doglądać mamy. Była wdową, podejrzewam, że uznała, iż nie robi to nikomu większej różnicy, jeśli się zarazi. Była przy nas aż do śmierci mamy. Bez przerwy coś gotowała, dereń, korę wiśni, indiańską herbatę z Labradoru, jałowiec. Podawała to mamie na łyżce. Mnie też kazała pić. – Przez chwilę rozglądał się po kuchni, po chwili znowu utkwiał wzrok w swoich rękach. – Pod koniec przywieźli samolotem lekarza z St. John's. Był środek zimy, styczeń. Mieliśmy jeszcze w domu choinkę, kiedy mama się

rozchorowała. Przez okno sypialni patrzyłem, jak lądują na zamarzniętym stawie. Wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem samolot. A ten wyrostek, co wysiadł, nie wyglądał na dość starego, by być lekarzem, tak sobie wtedy pomyślałem. Przyszedł do domu i dał mamie jakieś lekarstwa, ale wtedy była już konająca. Z nosa płynęła jej ropa i krew. Nie była w stanie nic przełknąć ani normalnie zaczerpnąć powietrza, a jej skóra zrobiła się sina. Pani Roche mówiła, że była jak skóra dziecka, które urodziło się martwe. Umarła w niecałe trzy godziny po tym, jak doktor wyszedł z domu.

Uniósł dłonie i położył je na stole.

Po chwili dziewczyna wstała i dołała im herbaty. Wish pomyślał, że nie powinien jej tego opowiadać, że teraz całkiem zaprzepaścił swoje szanse, ale ona nagle znowu położyła mu dłoń na karku. Podniósł na nią wzrok, a ona pocałowała go po raz drugi. Kiedy wyciągnął rękę, odsunęła się, dokładnie jak poprzednio. Przyglądał jej się przez chwilę. Sięgnął do kieszeni i wyjął kawałek sznurka, który Aubrey przekazał Hiramowi.

– Twój ojciec mi to dał. Mam ci kupić sukienkę w St. John's. – Stanął przy niej i szeroko rozłożył ramiona, pozwalając sznurkowi zawisnąć luźno między dłońmi. – Tak sobie pomyślałem, że lepiej sprawdzić, czy te pomiary są dokładne.

Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna dobrze wie, o co mu chodzi. Wyrzuciła jednak rękę w bok, odwzorowując jego pozę. Zaczął od podwójnego węzła, rozpiął sznurek między jej barkiem a nadgarstkiem. Następnie przyłożył drugi supeł do jej ramienia i pozwolił lince opaść aż do podłogi, a wolną ręką delikatnie powiódł w dół, aż do trzeciego supła. Przycisnął go na chwilę,

wyczuwając przez spódnicę krawędź jej miednicy. Popatrzył jej prosto w oczy, niepewny, czy pozwoli mu posunąć się dalej. Słyszał, że dziewczyna oddycha przez nos, jej ramiona lekko zadrżały, ale nie odwróciła wzroku.

Sięgnął obiema rękami za jej plecy i przeciągnął sznurek do przodu, muskając luźno zaciśniętymi dłońmi jej piersi, aż dwa sutki znalazły się w jednym miejscu. Ich twarze prawie się stykały.

– Zgadza się – stwierdził. Nadstawiła usta, żeby go pocałować, a on upuścił linę, objął dziewczynę w talii i zaczął wodzić rękami po jej plecach. Jego palce wsunęły się pod spódnicę, za gumkę od majtek, a gdy dotknął skóry, ona przycisnęła do niego biodra. Sięgnął ręką niżej, do jej nagich ud, a potem do oszałamiającego ciepła i wilgoci między nimi.

Odrzuciła głowę do tyłu, a po chwili wtuliła twarz w jego szyję.

– Wish – szepnęła.

Widział, że się waha, próbował ją pocałować, żeby nic więcej nie mówiła, ale nagle odepchnęła go od siebie i przytrzymała na odległość wyciągniętej ręki. Odwróciła od niego wzrok, nachylił się więc, by spojrzeć jej w oczy.

– Sadie – powiedział. – Mercedes.

Pokręciła głową, po czym posłała mu przelotny uśmiech.

– Nie rób ze mnie kurwy.

Jego usta na przemian otwierały się i zamykały. Ujęła jego dłoń, wciąż mokrą, i przycisnęła do swoich warg. Dała krok w jego stronę; zrozumiał, że zmieniła zdanie, ale opadł na krzesło. Był odurzony, jakby przez cały wieczór pił portugalskie wino, a efekty zaczął odczuwać dopiero teraz.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem.

Próbował usiąść przy stole prosto.

– Nie szkodzi – odrzekła dziewczyna. Odwróciła się do niego plecami i stała tak przez dłuższą chwilę. – Zajrzę do babci.

Odprowadził ją wzrokiem przez korytarz; próbował jakoś dojść do siebie. Podniósł z podłogi sznurek i schował go do kieszeni. Jego umysł był całkiem niesterowny, nie potrafił wycisnąć sensu z żadnej myśli.

Zanim Wish zdążył się połapać, że ktoś w ogóle zbliża się do domu, jej rodzice stanęli na ganku. Podskoczył zdumiony, po czym zerwał kurtkę z oparcia i przerzucił ją sobie przez rękę.

Helen weszła do kuchni pierwsza, a gdy go ujrzała, stanęła jak wryta.

– Dobry wieczór. – Wish przywitał ją skinieniem głowy.

– No proszę. – Aubrey uśmiechnął się do chłopaka, stając za plecami żony. – A więc jednak nas odwiedziłeś.

– Gdzie Sadie? – spytała Helen.

– Poszła zajrzeć do babci.

– Mercedes! – zawołała Helen. Jej mąż musiał przecisnąć się obok niej, by wejść do kuchni.

– Mam nadzieję, że przekąsiłeś co nieco? – spytał Aubrey. Zwrócił uwagę na zapaloną lampę, stojącą na stole obok talerza. – Kto zaciągnął zasłony? – Popatrzył na Wisha, po chwili znowu na lampę.

– Właśnie wychodziłem – odparł Wish.

Dziewczyna wróciła do kuchni z włosami zawiązanymi w zmierzwiony kucyk.

– Jak tam w kościele? – zagaiła.

– O kościół nas nie pytaj – szepnęła Helen.

– Hiram na mnie czeka – oznajmił Wish. – W pensjonacie. – Zerknął na Aubreya, ale ten odwrócił się do niego plecami, najwyraźniej próbując się opanować. Helen nadal stała w drzwiach; Wish nie bardzo wiedział, jak wyjść z kuchni, nie ocierając się o nią. Rękę, którą przed chwilą dotykał Sadie, ukrywał ciągle pod kurtką, jakby sam jej widok mógł go zdradzić.

– Nie masz prawa – powiedziała wściekle Helen.

Spodziewał się, że kobieta zaraz go spoliczkuje. W końcu usunęła się na bok i pozwoliła mu przejść, wciąż jednak patrzyła mu prosto w oczy.

– Dobranoc wszystkim – powiedział Wish, kłaniając się niezręcznie rodzinie zebranej w kuchni.

Siedział po ciemku pod domem pani Gillard, dopóki nie nabrał pewności, że wszyscy poszli spać. Zakradł się do swojego pokoju, trzymając w ręce buty. Nie zapalił lampy; zasłony zostawił rozsunięte, by móc patrzeć w niebo. Kiedy wreszcie udało mu się zdrzemnąć, pierwszy brzask zaczynał już kreślić najogólniejsze zarysy komody i szafki pod miednicę, które stały po drugiej stronie pokoju.

Obudził go wicher. Podmuchy biły w ścianę domu tak mocno, że konstrukcja skrzypiała i utyskiwała, a szyby drżały. Przez okno zobaczył prom, który musiał przyplłynąć rano, a teraz stał na kotwicy u wejścia do płytkiej przystani. Statek na pewno nie miał wypłynąć przed południem, Wish odpuścił więc sobie śniadanie i został w pokoju prawie do jedenastej. Kiedy chłopak zszedł na dół ze swoją torbą, Hiram już kopcił fajkę w salonie.

– Jak tam ci poszło z dziewczuchą Parsonsów?

– Zamknij się, Hiram.

– No cóż, nie brzmi to zbyt obiecująco. Zakładam, że gdyby udało ci się zamoczyć swojego malutkiego ptaszka, to od razu byś przyleciał, żeby mi o tym opowiedzieć.

Wish bez słowa udał się do kuchni. Hiram wstał z fotela i ruszył za nim.

– A gdzie się dziś podziewa pani Gillard? – spytał Wish. – Jestem głodny jak wilk.

– Wyszła koło dziewiątej i tyle ją widziałem. – Hiram wyjrzał przez okno, za którym pusty sznurek na pranie trzepotał na wietrze. – Pewnie po drodze złapała ją ta wichura. Jak na mój rozum, to siedzi gdzieś teraz z filiżanką herbaty.

Wish znalazł bochenek w chlebaku i zaczął odkrajać sobie pajdy na ladzie.

Hiram podszedł blisko.

– Musieli cię złapać – stwierdził. – Tak było? Ktoś was nakrył? Dlatego jesteś dziś taki nie w sosie?

Wish przyłożył nóż do chleba i odkroił sobie kolejną kromkę.

– Kończę z pracą dla ciebie, Hiram – powiedział. – Kiedy wrócimy do miasta, rzucam tę robotę.

– Daj spokój, Wish, tak tylko się z ciebie podśmiewam. Wiesz, że już tylko to mi zostało: napitek i odrobina śmiechu.

– Może tyle już się z tobą naśmiałem, że na jakiś czas mi wystarczy.

– Wish, wdałeś się tu w jakieś kłopoty?

Chłopak pokręcił głową.

– Nie będę już dla ciebie pracował, to wszystko.

– I co, do cholery, zamierzasz ze sobą zrobić? Wrócisz do łowienia ryb?

– Sam nie wiem. Może się zaciągnę. Pójdę na wojnę.

– Ty? Na wojnę?

– Nie żartuję.

– Jezu Chryste, Wish. Co w ciebie wstąpiło?

Mężczyzna podszedł do kredensu i wziął szklanke, po czym nalał do niej whisky z piersiówki, którą nosił w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wiatr wciąż dobijał się do luźnych szyb w oknach. Hiram wziął łyk i przytknął krawędź szklanki do brody.

– Jestem ci dłużny jakieś pieniądze?

Wish wskazał go ostrzem noża.

– Odpierdol się, Hiram.

Zanim załadowali swoje bagaże na łódkę, którą mieli podpłynąć do kabotażowca, kutry i małe szkunery, które wypłynęły bladym świtem, zaczęły już spływać do portu. Łodzie wpływały do zatoki po dwie, trzy na raz, zmagając się z północnowschodnim wichrem.

Dzień zaczął się pięknie; nic nie wskazywało na to, że może dojść do takiego załamania pogody. Zawierucha zaskakiwała rybaków na otwartym morzu. Musieli natychmiast wybierać liny lub zostawiać pułapki i jak najszybciej odpalać silniki, by uciec przed sztormem. Miejscowi stali na nabrzeżu i, wpatrując się w ocean, liczyli łodzie pojawiające się na wodzie. Wymieniali imiona mężczyzn znajdujących się na pokładzie i odhaczali je na liście, którą mieli w głowach.

Clive Reid zagaił: – Nie wygląda na to, żebyście mieli dzisiaj wypłynąć.

– Wydaje mi się, że możemy równie dobrze czekać na pokładzie – stwierdził Hiram. – Tam mają przynajmniej bar.

Gdy podpłynęli do promu, mieli problem z przeskoczeniem z łódki na drabinę przymocowaną do burty statku. Latała przed nimi w górę i w dół jak tłok jakiegoś ogromnego silnika. Zasadzili się na burcie i próbowali dosięgnąć szczebli, podczas gdy mężczyzna siedzący przy wiosłach machał z całych sił, by utrzymać łódkę po zawietrznej statku.

– Coś mi się zdaje, że czeka was tam piękny dzień – krzyknął, gdy wreszcie wdrapali się na pokład.

Wish i Hiram dzielili dwuosobową kajutę z piętrową koją. Prom nie zdążył jeszcze podnieść kotwicy, a oni już musieli łapać się za krawędź koi, żeby ustać prosto. W końcu Hiram stwierdził: – Skoro już się zataczam, to mogę się równie dobrze upić. – Wyszedł z kajuty i poczłapał do baru.

Wish obrócił się kilka razy, jakby został zamknięty w tej klitce i próbował ocenić jej rozmiary. Był wściekły na wszystko, co go otaczało, na Hiram, na gołe białe ściany, na swoje ubrania, na wycie wiatru.

Zdjął buty, rozebrał się do podkoszulki i położył się na koi, odtwarzając w myślach wydarzenia zeszłego wieczora, przeskakując między doznaniem i urywkami rozmów w rytmie kołysania statku. Sadie wchodząca do kuchni, z rozpuszczonymi włosami i kroplami waniliowych perfum za uszami. Jej zapach, wciąż na jego palcach. Spojrzenie jej matki stojącej w drzwiach. Płonący koń. Dłoń wodząca po jego karku. Sadie odsuwająca go na odległość ramienia po tym, jak jej dotknął. Znowu jej zapach.

Chwycił jeden ze swoich butów i cisnął go z całej siły w drzwi.

– Pierdalone, gównno warte buty!

Podniósł drugi i rzucił go w ślad za pierwszym.

—

Wczesnym popołudniem wiatr zelżał na tyle, by prom podniósł kotwicę. Wyłynęli chwilę po drugiej. Wisha obudziła zmiana w kołysaniu. Obrócił się na drugi bok i zamrugał oczami, próbując zorientować się w otoczeniu. Nie wiedział, jak długo spał, nie pamiętał, dokąd poszedł Hiram. W brzuchu kłębił mu się niepokój, nie potrafił jednak określić jego źródła. Wstał i wyjrzał przez bulaj.

Sadie. Mercedes.

To przedziwne imię. Był przekonany, że portugalskie lub hiszpańskie, może francuskie. Albo norweskie. Próbował sobie przypomnieć jakiś inny kraj, którego statki widywał na ławicach, ale nie mógł myśleć. Cove było wciąż widoczne gdzieś w oddali; zaraz miało zniknąć za klifem. Założył koszulę i buty, odszukał kurtkę. Wyszedł na pokład, mocując się z ciężkimi drzwiami na przekór wiatrowi. Wzburzone morze wdzierało się na dziób za każdym razem, gdy prom brał falę. Wish niepewnym krokiem udał się na rufę, cały czas trzymając się liny przytwierdzonej do ściany sterówki. Wiatr niósł lodowatą pianę, chłopak postawił więc kołnierz i stanął w miejscu, by patrzeć, jak Little Fogo znika w oddali.

Już miał poddać się chładowi, gdy poczuł drzenie niosące się przez statek. Ktoś musiał dać całą wstecz. Wish pobiegł na dziób, gdzie kilku mężczyzn z mostka mocowało się z jedną z szalup, zdzierając z niej brezent, opuszczając ją na łańcuchach na pokład.

– Co się dzieje?

– Człowiek za burtą—odkrzyknął jeden z nich. — Na sterburcie.

Wish oparł nogi na metalowej balustradzie, żeby mieć lepszy widok, ale i tak nie był w stanie nic dojrzeć w rozchwianym bezmiarze wody.

– Rozbili się?

– Wywrócony kuter. Dwóch jeszcze się trzyma.

Trzej mężczyźni weszli do szalupy i przymocowali dulki. Ktoś krzyknął: – Na wodę ją! – Po chwili szalupa opadła przy burcie statku.

Gdy szalupa wróciła do promu, wszyscy stali już na burcie. Dwaj mężczyźni zeszli po drabinie, by pomóc rozbitkom wejść na pokład. Rybacy byli zawinięci w wełniane koce, poruszali się jak zniedołężniali starcy, łapali wyciągnięte dłonie pozostałych. Jednym z nich był Hardy, brat Mercedes. Drugiego, starszego, Wish nie rozpoznawał.

Kapitan czekał na nich przy balustradzie. Kazał załodze zaprowadzić ich do bufetu i rozebrać z mokrych ubrań. – Ilu jeszcze? – krzyknął do mężczyzn siedzących w szalupie.

– Mówili, że było jeszcze dwóch, panie kapitanie. Ponoć zniknęli przed wieloma godzinami.

Wish wiedział, że jednym z nich jest ojciec Mercedes.

Kapitan powiódł wzrokiem po horyzoncie.

– Mamy jeszcze kilka godzin światła. Opuścić pozostałe szalupy! Zanim wrócimy do zatoki, poszukamy na zawietrznej. – Za chwilę krzyknął do mężczyzn na dole: – Podpłyńcie do brzegu! Może Bóg posadził któregoś na stałym lądzie. Zgarniemy was pod wieczór, kiedy będziemy zawracać!

Wish zgłosił się na ochotnika do jednej z szalup i złapał za wiosło. Szarpał zawzięcie, zmagając się z wiatrem, starając się

trzymać łódkę dziobem do fal, aby się nie wywróciła. Przejrzeli kawałki osprzętu pływające luzem po powierzchni, po czym wyminęli odwrócony kuter.

– Nikt by daleko nie dopłynął w taką pogodę! – krzyknął mężczyzna siedzący przy drugim wiosle.

– Mogli się czegoś złapać – stwierdził Wish.

Mężczyzna siedzący obok dobrze mu się przyjrzał.

– Znałeś ich, co?

Wish szarpnął z całych sił za wiosło. Słona piana przemoczyła go już na wylot.

– Jednego – przyznał.

Trzeci mężczyzna stał na dziobie i robił za oko, wpatrując się w wodę przed nimi. Zaintonował jakiś hymn, którego Wish nie znał. Śpiewał, przekrzykując wiatr.

—

Było już ciemno, kiedy prom zawrócił i zaczął zbierać szalupy. Musieli zapalić lampę i powiesić ją na wiosle, żeby nie zostać na wodzie. Wicher odszedł wraz ze światłem; nie mieli najmniejszych problemów z wciągnięciem szalupy na pokład. Na fordeku Wish ujrzał łódź Parsonsów, lśniąca bielą i chylącą się mocno na burtę, jakby była jeszcze na wodzie i miała zaraz znowu się wywrócić. Pociągnął dłonią po relingu. Był gładki jak szkło i suchy.

Zaprowadzono ich do bufetu na rum, herbatę i ciepły posiłek. W piecykach musiało palić się przez cały czas; w pomieszczeniu panował niesamowity zaduch. Hiram siedział sam przy stoliku nieopodal jednego z piecyków. Podniósł rękę na powitanie.

– Nie udało się?

Wish pokręcił głową.

– Przyniosłem ci suche rzeczy. – Hiram wskazał kupkę ubrań leżącą na krześle.

Barman zaczął chodzić po sali z tacą rumu. Jedną ze szklanek postawił na ich stoliku. Wish wypił spory łyk, jeszcze zanim zabrał się do zdejmowania przemoczonych ubrań.

– Jeden z rozbitków to Slade – powiedział Hiram. – Ojciec dziewczyny, do której zalecał się Hardy. Najmłodszy syn Slade’a był z nimi na łodzi. Chłopak miał jedenaście lat.

– Gdzie oni są?

– Położyłem ich spać – odparł Hiram. Wskazał dłonią torby i koce rzucone pod ścianę za piecykiem. – Chcieli ich położyć tutaj, ale odstąpiłem naszą kajutę.

– No to teraz masz koję ze swoich snów. Nocujesz w knajpie.

Hiram się uśmiechnął.

– Jakbym umarł i poszedł do nieba.

Wzmianka o śmierci ich otrzeźwiła. Przez parę minut siedzieli w milczeniu.

– Wracamy do Cove, tak? – spytał Wish.

– Podejrzewam, że zawiniemy koło dziewiątej czy dziesiątej. Wish, kiedy dopłyniemy, powinieneś zostać na pokładzie. Tak chyba będzie najlepiej dla wszystkich.

Barman przyniósł do ich stolika talerz ze świeżym chlebem i ciastkami z rybą. Wish był tak głodny, że aż go zemdliło. Napił się rumu, by uspokoić żołądek.

– Nadal ci chodzi po głowie, żeby skończyć z robotą dla mnie?

– Już z nią skończyłem, Hiram.

Mężczyzna pokiwał głową. Ostro pił od wejścia na pokład, czyli mniej więcej od południa. Był urzęnięty, choć osoba postronna

mogłaby tego nie zauważyć. Nachylił się nad stołem i zajrzał do szklanki.

– Powinienem był się dobrze zastanowić, zanim wpuściłem pod swój dach pieprzonego katolika.

Nazajutrz bladym świtem Wish zebrał swój skromny bagaż i wrócił na ląd. Zanim chłopak zszedł do łódki czekającej przy burcie, Hiram wręczył mu pięć dolarów. To była wystarczająca kwota, by pomieszkał przez jakiś czas w pensjonacie i wrócił do St. John's. Wish nie chciał przyjąć pieniędzy, ale Hiram nalegał.

– Co zamierzasz zrobić, Wish? Wrócić do St. John's wpływ? – Był wściekle skacowany i bojowo nastawiony. – I tak czuję, że jestem ci winny piąta.

Wish stwierdził, że łatwiej będzie wziąć pieniądze i zwrócić je przy okazji niż wyklócać się na promie. Pani Gillard zakwaterowała go w pokoju, w którym spał dwie noce wcześniej. Po śniadaniu chłopak poszedł na brzeg. Większość łodzi wypłynęła już z zatoki na morze. Przy brzegu stał tylko Clive Reid z dwoma synami, próbujący uruchomić oporny silnik. Wish poszedł na ich pomost i postawił nogę na burcie kutra.

– Przegapiłeś swój prom – stwierdził Clive.

– Pomyślałem, że zostanę na jakiś czas. Może się przydam. Im więcej par oczu na morzu, tym lepiej.

– Spędzili już w wodzie cały dzień i całą noc. Nie sądzę, żeby czekały nas jakiegokolwiek miłe odkrycia. – Jego dolna warga była wypchnięta przez wałek tytoniu do zucia. Splunął za burtę. – A zresztą dużo się nie naszukamy, jeśli jakoś nie zmusimy tego cholerstwa, żeby odpaliło.

Wish wszedł do łodzi.

– Pozwolicie, że rzucę okiem?

Pół godziny później motor ożył; zakrztusił się i z hukiem wyrzucił spod obudowy obłok czarnego dymu, ale w końcu zaczął sapać miarowo. Wish przymknął oczy i przez chwilę wsłuchiwał się w dźwięk silnika. Ręce miał po łokcie umazane smarem.

– To wystarczy – zapewnił. – A przynajmniej, żebyście dzisiaj wypłynęli i wrócili do domu. – Po chwili dodał: – Czy mielibyście coś przeciw temu, żebym popłynął z wami?

– Jak mówić: im więcej par oczu, tym lepiej.

Gdy wypływali na otwarte morze, Wish usiadł na rufie i odwrócił się, by popatrzeć na dom Mercedes. Wszystkie okna zasłonięte.

– Clive, wiesz może, co tam się wczoraj stało? – spytał.

– Według Hardy’ego płynęli już w stronę domu, gdy nagle zmieniła się pogoda. Rano mieli dobry połów, łódź była prawie pełna. Kiedy wypłynęli zza wyspy, uderzył w nich najgorszy wichur, a fale przelały się przez burtę i silnik zdechł. Próbowali postawić żagiel, ale na takim wietrze gównem mogli zrobić. Nie byli w stanie skierować łodzi dziobem do wiatru. Zaczęli wyrzucać ryby za burtę, ale było już za późno. Kuter stanął burtą do fal, a przy takim obciążeniu – cóż, nie było szans, żeby się cofnął.

– O której to było?

– Chwilę po południu. Młodego już nie zobaczyli po tym, jak ich obróciło. Mówią, że po prostu zniknął. Hardy złapał ojca i trzymał go przez parę minut, ale morze mu go wyrwało. Aubrey nie umiał pływać; nie wiedział nawet, jak się do tego zabrać. – Clive zapatrzył się na zbocza wyrastające z wody. – Podejrzewam, że szybko poszedł na dno.

Wish zerknął na dwóch chłopców, którzy siedzieli z nimi w łodzi. Młodszy, David, też miał niewiele ponad jedenaście lat.

Przez trzy dni kutry z Cove pływały wzdłuż brzegu, przeczesując wody za przylądkiem w poszukiwaniu zaginionych. Ratownicy używali sond i wiader ze szklanym dnem; na płycznach trzymali je za burtą, by przepatrywać skały i dno. Wish zmieniał się z chłopakami przy szklanym wiadrze, podczas gdy Clive sterował łodzią, płynąc powoli wzdłuż wybrzeża.

Zaginionego chłopca znaleziono trzeciego dnia rano; jego ubrania zaplątały się w skałach jakieś piętnaście stóp pod wodą. Clive zauważył, że kutry zbierają się na płycźnie jak tłuste muchy nad ogródkiem nawieszonym kapelanami. Trącił Wisha w ramię i wskazał mu łodzie.

Gdy podpłynęli, Wish ujrzał dwóch mężczyzn próbujących wyciągnąć ciało za pomocą lin z hakami na dorsze. Jednym z rybaków szarpiących za liny był Willard Slade. W końcu zwłoki wciągnięto po burcie; łapali za ubrania, by przeciągnąć je nad relingiem. Jeśli chodzi o chłopaka, to Wish dostrzegł tylko dłoń wystającą z mankietu; skórę białą jak sól. Willard Slade ryczał wniebogłosy, gdy układał ciało syna na pokładzie.

Wpłynęli do zatoki w małym kondukcie. Wish i Clive rozmawiali szeptem, siedząc na rufie. Clive stwierdził, że najprawdopodobniej Aubrey opadł głębiej, a prąd z Labradoru poniósł go Bóg jeden raczy wiedzieć gdzie.

– Zakładam, że zniknął na dobre – zakończył Clive.

– Myślisz, że to by było na tyle? Że teraz wszyscy się poddadzą?

Clive zaczął się wiercić.

– To będą już trzy świetne dni do połowów, które trzeba spisać na straty. Cieszę się, że znaleźliśmy małego. To będzie ulga dla matki. Ale ja sam nie chciałbym, żeby ktokolwiek marnował na mnie więcej czasu.

Wish pokiwał głową.

– A co z tobą?

– Co ze mną? – spytał Wish.

– Zamieszkasz na dobre u pani Gillard?

– Nie sędzę.

– Coś mi się zdaje, że to Sadie ci się marzy. Zostałeś w Cove. Pływałeś tu godzinami, poszukując obcych ludzi. Za takim poświęceniem musi kryć się kobieta.

Wish nic nie odrzekł, a Clive usadowił się spokojnie przy rumplu, przyjmując jego milczenie za odpowiedź.

Od powrotu do zatoki Wish nie potrafił zdobyć się na odwagę, by pójść do domu Mercedes. Hardy codziennie schodził na wodę, zwrócił uwagę na obecność Wissha w łodzi Clive'a, ale nie zamienili ze sobą ani słowa. Wish miał nadzieję, że Mercedes znajdzie sposób, by odwiedzić go w pensjonacie, albo któregoś ranka przyjdzie na przystań, by pożegnać wypływających mężczyzn.

– Lepiej bądź ostrożny – poradził mu Clive.

Wish popatrzył na niego.

– Tak tylko ostrzegam. Ciężkie czasy. A ty jesteś z daleka. Nie rób z siebie widowiska. Ludzie nie będą tego tolerować.

Wish popatrzył do przodu na łódź płynącą z ciałem. Ojciec siedział nad chłopcem na dziobie.

– Jak on miał na imię?

– Willard – odrzekł Clive. – Tak jak ojciec. Gówniarz kradł nam rabarbar z ogródka. Nie mam pojęcia dlaczego. Slade’owie zawsze mieli rabarbaru od groma. – Splunął w kilwater. – Chyba po prostu cudze zawsze smakuje lepiej. – Popatrzył na Wisha, odsłaniając w uśmiechu zęby o barwie suszonego torfu.

Po kolacji Wish poszedł do pokoju i rozebrał się do podkoszulki. Napełnił miednicę wodą i wyszorował twarz, szyję oraz ręce do łokci. Zmoczył włosy na tyle, by dały się zaczesać na płasko. Przetarł buty ściereczką. Ubrał ostatnią czystą koszulę i zapiął się pod szyję. A potem poszedł do domu Slade’ów, gdzie wyłożono ciało chłopca.

W kuchni roiło się od ludzi, ale gwar był dziwnie przytłumiony. Willard Slade wstał ze swojego miejsca i podszedł do Wisha, aby go przywitać.

– Dziękuję, że szukałeś z nami – zaczął. Przedstawił Wisha paru osobom, których chłopak jeszcze nie poznał. Skinął ręką na kobiety w spiżarni, powiedział „Żona i Ruthie „, ale żadna na nich nie spojrzała. Po chwili zaprowadził go do salonu. Clive stał koło okna; powitał Wisha, wznosząc szklanę.

Trumna z surowego drewna stała na dwóch krzesłach pod ścianą. Wieko było zamknięte, w pokoju pachniało kamforą i wapnem. Wish szybko przesunął dłonią po pokrywie, tak samo jak przed kilkoma dniami po relingu łodzi. Najpewniej i łódź, i trumna były dziełem tych samych rąk. Zanim odszedł spod ściany, przeżegnał się i natychmiast zdał sobie sprawę, że obserwują go wszyscy zebrani w pokoju. Pani Slade podeszła do niego ze szklanką syropu i tacą z ciastem.

– Dziękuję pani – powiedział. – Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Sprawiała wrażenie, jakby patrzyła przez niego na wylot. Nie zareagowała na jego słowa, poza tym, że podtykała mu ciasto owocowe tak długo, aż wziął kawałek. Gdy to zrobił, wróciła do kuchni.

Wish wziął łyk syropu. Był gęsty i obrzydliwie słodki. Wszyscy goście byli trzeźwiuteńcy. Clive podszedł do niego.

– Na więcej nie ma co liczyć? – szepnął Wish.

– Podejrzewam, że nie przywykłeś do takich uroczystości. – Clive zgolił swój siwy zarost, a bez wałka tytoniu wciśniętego pod wargę jego twarz wydawała się zdeformowana. – Na zewnątrz co jakiś czas krąży piersiówka, jeśli potrzebujesz łyeczka, żeby przez to przebrnąć.

Wish znowu uniósł szklanekę; powąchał syrop, ale tym razem już nie wziął go do ust.

– Chciałem tylko oddać ostatni hołd zmarłemu – stwierdził. – Chyba lepiej już pójdę.

– Ona jeszcze się nie pokazała – powiedział Clive. – Gdybyś przypadkiem nad tym się zastanawiał.

Wish ze zmieszaniem pokiwał głową.

– Masz przy sobie tę piersiówkę, Clive?

Odstawiwszy szklanki na niski kredens, skierowali się do kuchennych drzwi.

– Już wychodzicie? – spytał Willard.

– Idę z młodym na papierosa – odparł Clive. Zanim zamknął za sobą drzwi, zajrzał jeszcze raz do kuchni. – Ci cholerni katolicy!

Wyszli na ciemne podwórko. Clive wyjął z wewnętrznej kieszeni piersiówkę i wręczył ją Wishowi, który zdążył pociągnąć solidny haust, zanim zrozumiał, w co się pakuje. Podły samogon z ziemniaków, bez żadnych upiększeń. Alkohol pozbawił go tchu, a opary przeniknęły mu głowę niczym jakiś cudowny lek na zapchane zatoki. Wyciągnął przed siebie rękę z piersiówką, jakby próbował się od niej opędzić. Wściekle potrząsnął głową i stanął prosto. Oddał flaszkę Clive'owi.

– Dobra rzecz – oznajmił.

Usłyszeli czyjeś kroki na drodze. Zamilkli, gdy nowi goście wyszli z domu. Noc była jasna, Wish widział ich sylwetki zarysowane ponad horyzontem, ale dopiero gdy otworzyli drzwi, w świetle sączącym się ze środka dostrzegł dziewczynę. Był z nią Hardy. Agnes też.

Clive postukał Wisha w ramię palcem wskazującym. Zawołał dziewczynę, a gdy stanęła na progu i obejrzała się za siebie, wpatrując się w mrok, poprosił: – Chodź tu na chwilę.

– Kto to? – spytała. – Clive?

– Chodź, chcę chwilę z tobą porozmawiać.

Hardy znowu pokazał się w drzwiach.

– Idź – powiedziała do brata. – Zaraz przyjdę.

Ruszyła w ich kierunku po nierównym podłożu, osłaniając oczy ręką, jakby oślepiało ją słońce. Clive złapał Wisha za łokieć.

– Zachowuj się po dżentelmeńsku – szepnął. – Przez wzgląd na Aubreya. – Zostawił go i zniknął w ciemnościach.

– Clive? – zawołała.

– Cześć, Mercedes.

Zatrzymała się dobre parę kroków od niego.

– Szczerze ci współczuję – powiedział.

– Gdzie Clive? – Podeszła do niego bliżej; dopiero teraz mógł z trudem dostrzec w ciemności rysy jej twarzy.

– Jak to znosi twoja matka?

– Zamierzałeś popłynąć do St. John's bez pożegnania, co?

– Nie popłynąłem – wyjaśnił. – Ostatecznie.

– Hardy mówił, że byłeś z nimi, kiedy znaleźli małego Willa.

– Byłem na łodzi Clive'a. Chłopiec był nieźle pokiereszowany, kiedy go... – Opamiętał się. Usłyszał, że Mercedes nagle wzięła wdech.

– Czy wszyscy już postawili na tacie krzyżyk? – spytała.

Wiedział, że zaczęła płakać, chociaż nie wydała żadnego dźwięku. Czuł, że jego kutas z niewyjaśnionych przyczyn twardnieje. Odrzucił głowę do tyłu, by popatrzeć na gwiazdozbiory.

– Jezu, Mercedes – szepnął.

Dziewczyna wtuliła się w niego, opłotła go ramionami. Stali tak, obejmując się. Żądza opuściła Wisha w równie zagadkowy sposób, jak przed chwilą przyszła.

– Podoba mi się, jak je wymawiasz – powiedziała, gdy doszła do siebie.

– Jak co wymawiam?

– Moje imię.

– Mercedes – powtórzył. Było coś bezprawnego w tym, że używał imienia zarezerwowanego dla matki dziewczyny, że uczynił z niego ich własność. Ich prywatną sprawę, wykradzioną poufałość.

– Ładnie pachniesz – zauważyła.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– To tylko mydło, Mercedes.

– Nie. Wiem, jak pachnie mydło. To coś zupełnie innego.

– A więc co?

– To ty. Cynamon. Mech. Sama nie wiem.

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ale zaczęła go piec skóra na głowie; wszystko dziwacznie zawirowało. Świat zdawał się pędzić zbyt szybko, by on mógł ustać prosto na nogach.

Drzwi otworzyły się za nimi, a na ziemię padł blady prostokąt światła. Agnes stanęła na progu. – Sadie – zawołała cicho.

Dziewczyna odsunęła się od Wisła.

– Zaraz przyjdę.

Agnes ruszyła w ich stronę, chyląc głowę przed ciemnością.

– Pani Slade się o ciebie dopytuje.

– Już idę. – Popatrzyła na Wisła i szepnęła:–Wracasz do środka?

– Chyba lepiej nie. – Zobaczył w drzwiach sylwetkę Hardy’ego.

– Sadie – warknął ostro brat dziewczyny.

– Na miłość boską! Już idę.

Agnes podeszła do nich i spytała: – Co ty z nim tutaj robisz?

– Z kim tam rozmawiasz? – krzyknął Hardy. Nie ruszył się poza płamę światła.

– Już idę – powtórzyła Sadie. – Idź, Agnes – nakazała siostrze.

– No, idą. – Zaczęła cofać się ku domowi. – Spotkamy się jutro? – szepnęła.

– Gdzie?

– Spell Rock. Kiedy już wypłyną łodzie.

– Dobrze.

Patrzył, jak Mercedes zagania brata i siostrę do domu. Stanąwszy na progu, obejrzała się na ciemne podwórko. Wiedziała, że Wish wciąż jej się stamtąd przygląda. Zanim zamknęła za sobą drzwi, pomachała do niego.

Zaraz po wschodzie słońca wyszedł z pensjonatu i pomaszerował na Spell Rock, skąd obserwował rybaków wypływających z zatoki. Nisko zawieszona mgła podpełzła po wzgórzach od strony Gooseberry Cove, osiadając na brzegu i wodzie, a Wish stracił łodzie z oczu, jeszcze zanim wypłynęły na otwarte morze. Usiadł przy różowawej, granitowej skale i szczelnie owinął się kurtką, odgradzając się od ziąbu i mgły. W końcu zasnął.

Przyśnił mu się martwy chłopiec, siedzący w trumnie ustawionej pod ścianą. Mały nie miał oczu ani warg, w ręce trzymał szklanekę syropu. Drugą dłoń, białą jak sól, uniósł na powitanie żałobników wchodzących do pokoju. Jego ciało zdawało się pozostawać w ciągłym ruchu; powoli falowało, jakby wciąż znajdowało się na dnie, trącane przez podmorskie prądy. Mercedes weszła do salonu i nachyliła się nad trumną, pocałowała trupa prosto w czarną dziurę, która niegdyś była jego ustami. Spojrzała na Wisha przez ramię i powiedziała: „Nie rób ze mnie kurwy”.

Kiedy go obudziła, nie wiedział, gdzie się znajduje.

– Mam tylko kilka minut – ostrzegła.

– Chyba zasnąłem. – Próbował oczyścić umysł z oskarżycielskich myśli, którymi napełniły go tamte słowa.

Kłęczała przy nim; podsunął się i usiadł prosto. Dotknęła jego ramienia.

– Wybacz, że wczoraj musiałam tak nagle uciec.

Przetarł twarz dłońmi.

– Hardy przez cały wieczór męczył mnie, żebym powiedziała, z kim rozmawiałam – dodała.

– Powiedziałaś mu?

– Ani słowa. Może się tak gotować, aż mięso odejdzie mu od kości. Powiedziała też Agnes, żeby uważała, co przy nim mówi.

– Nie dbasz o zbyt wiele, co, Mercedes?

– Dbam o to, co jest tego warte. Resztę mogę bez bólu pominąć.

– Podoba mi się to.

– Teraz ci się podoba – powiedziała, uśmiechając się do niego.

– Zacznie cię bardziej uwierać, jak już będziesz na mnie skazany.

Nachyliła się, żeby go pocałować, ale odwrócił głowę.

– Źle bym się z tym czuł – wytłumaczył. – Co z twoim ojcem?

– Jakoś ci nie przeszkadzał, kiedy siedział w kościele i się modlił.

– To było co innego.

Zarzuciła wełniany szal na ramiona. Przez chwilę wpatrywała się w Wisła.

– Nie byłam jedynym powodem, dla którego wróciłeś, prawda?

– Wróciłem dla ciebie.

– Ale miałaś jeszcze inny powód?

– Dlaczego tak sądzisz?

Na chwilę spuściła wzrok.

– Aggie mówi, że musiało być coś jeszcze.

– Twoja siostra?

– Mówi, że w tym wszystkim, co się teraz dzieje, musi być coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że wróciłeś, a teraz cię tu trzyma.

Wyprostował się jeszcze mocniej i oparł o skałę. W uszach miał metaliczne dzwonienie; do jego ust wrócił smak bimbru Clive'a, ten sam płomień rozchodzący się po głowie.

A ona po prostu czekała na niego.

– Urodziłem się w Renew's – zaczął opowieść. – Ale mieszkaliśmy pod Burin. W Lord's Cove. W dwudziestym dziewiątym, kiedy o brzegi uderzyła ogromna fala, straciliśmy wszystko, keję, łódź. Dom.

– Słyszałam o tym.

– Wuj matki żył samotnie w Calvert, więc przeprowadziliśmy się do niego. Przyszliśmy z pustymi rękami, czekała nas ciężka zima. W marcu ojciec poszedł z wujem do St. John's, żeby zaciągnąć się jako łowca fok na statek płynący na pola lodowe. – Znowu odwrócił się od niej.

– Straciłeś go – powiedziała.

– Wyszedł z załogą na niepewny lód. Zaczęło strasznie wiać, nadchodziła śnieżycy. Wracali na statek, żeby się schować. Jeden za drugim, ze spuszczonej głowami. Biegli, żeby nie pospadać z kry. Kiedy ruszali, tata był na końcu kolumny. Ale gdy wrócili na statek. – Bezradnie wykonał nieokreślony gest ręką. – Nigdy go nie odzyskaliśmy. Jego ciała. Pomyślałem, że jeśli pomogę, to może wam tego oszczędzę.

– Wybierasz się na wojnę, Wish? Tak jak wspominałeś?

Wziął ją za rękę. Otworzył usta, ale zaraz zamknął je bez słowa.

W końcu się odezwał: – Powiedziałem Hiramowi, że rzucam robotę.

Patrzyła na Wisha, jakby spodziewała się czegoś więcej, ale on milczał.

– Czekają na mnie w domu – powiedziała.

Zanim odeszła, zrzuciła szal z ramienia, a rękę, za którą trzymała Wisha, wsunęła pod bluzkę, pod białą halkę, aż na nagą pierś. Przyglądała mu się, gdy jej dotykał. Skóra miękka jak puch, sutek pod jego palcami twardy jak sęk na gałęzi.

Po chwili wyjęła jego rękę i położyła ją delikatnie przy nim, jak jakieś stworzenie, którego nie chciała obudzić.

– Jutro – zakomunikowała. – O tej samej porze.

– Dobrze.

Patrzył za nią, tuląc dłoń na kolanach. Zawołał: – Piękna jesteś, Mercedes!

Gdy się odwróciła, odniósł wrażenie, że na jej twarzy maluje się gniew.

– Nie masz mi za złe, że to mówię?

– Mówiłeś to już wcześniej – stwierdziła. – Innym dziewczynom.

– Ale nigdy tak szczerze. Nie tak jak teraz.

– To nie mam za złe.

—

Kuter Clive'a wpłynął do zatoki około dziesiątej rano, a Wish zszedł na przystań, by przywitać załogę. Clive z chłopakami dźgali długimi osekami ciemną masę trzepoczącą się u ich stóp i przerzucali dorsze na pomost.

– Udany połów – pochwalił Wish.

– Ryby kotłowały się dzisiaj jak wściekłe.

– Przyda się wam pomoc, jeśli macie je obrobić przed kolacją.

– Dodatkowa para rąk zawsze się przyda.

Wisha ustawili na początku, żeby rozcinał ryby. Przeciągał ostrzem pod skrzelami, a potem nacinał blady brzuch na całej długości. Otwarte dorsze przesuwiał po stole do Eliego, który obcinał głowy, wyrywał języki, oddzielał wątroby od reszty wnętrzości i wrzucał je do balii. Clive filetował ryby na końcu stołu; jednym pociągnięciem noża oddzielał kręgosłup, tak że na ościach nie zostawał ani gram mięsa. Ich ruchy były tak wprawne i swobodne, tak niedbałe, że wydawało się, iż nie jest to trudniejsze niż posmarowanie kromki chleba masłem. Na końcu łańcuszka David obmywał i układał filety; zanurzał ręce po łokcie w beczce ze słoną wodą, by wyczyścić mięso. Urodził się z jedną ręką mniejszą od drugiej, palce miał zakrzywione jak szpony ptaka.

Wish zapytał: – Nie miałby nic przeciwko, żebym zajął jego miejsce?

Clive zerknął na chłopca.

– Nie znosi całej tej roboty. Wolałby siedzieć w szkole albo czytać w domu.

Wish wsunął palce w skrzela kolejnego dorsza i położył rybę na stole. Nóż rozcinający gładką powłokę skóry wydawał taki dźwięk, jakby ktoś zręcznie rozdzierał płachtę materiału. Wish również nie znosił pracy przy rybach. Czuł, że była to właśnie jedna z tych rzeczy, przed którymi chciał uciec do St. John's. Tego ranka jednak ciągnąca się bez końca praca była dla niego prawdziwym błogosławieństwem. Niewiele rozmawiali, była tylko zimna, obrzydliwa robota, obcinanie głów, patroszenie i płynący czas, przybliżający Wisha do kolejnego porannego spotkania z

Mercedes pod Spell Rock. Myśl o niej była jak ciepły czajnik odstawiony za piecem.

—

Usiedli pod Spell Rock, od strony oceanu, żeby nie dostrzegły ich kobiety wywieszające pranie czy wyglądające przez okna od zatoki. Mercedes siedziała między jego nogami i opierała się o niego.

– Nadal za nimi tęsknisz?

Wzruszył ramionami, czując ciężar jej ciała.

– Czasami. Tak.

– Gdzie to odczuwasz?

Roześmiał się w jej włosy.

– Nie wygaduj takich głupot.

Odchyliła się i dotknęła palcem wskazującym jego ramienia.

– Tutaj?

– Nie.

Dotknęła jego ucha. Potem nosa, biodra, rozporka.

– Nie – powtórzył.

Położyła dłoń płasko na jego mostku.

– Tutaj.

Spojrzał jej prosto w oczy, by nie zerkać w dół. Obawiał się, że ujrzałby jej rękę, pogrążoną po nadgarstek w jego piersi.

Pierwszej nocy, którą Wish spędził w domu ciotki, Lilly przystanęła w drzwiach swojej małej izdebki i przyjrzała się siostrzeńcowi kładącemu się do snu na leżance.

– Kiedyś nadejdzie taki dzień – powiedziała – że wszystko, co cię spotkało, nabierze sensu. – W świetle lampy jej twarz, poprzecinana ciemnymi cieniami, wyglądała nieco złowieszczo. –

Jeśli będziesz miał otwarte serce – dodała – to nadejdzie taki dzień. Przysięgam ci.

Pod Spell Rock czuł, że oto właśnie stoi na progu czegoś tak nieprawdopodobnego, czegoś tak potężnego.

Mercedes spytała: – Nigdy nie będę za nim tęsknić, prawda?

Przyciągnął ją do siebie i oplótł ramionami.

– Nie puszczaj mnie – poprosiła.

Trzymał ją mocno, nie odzywając się ani słowem, co zdawało się wiążącą obietnicą.

Resztę dnia spędził na pomoście Clive'a; na kolację wrócił do pani Gillard. Gdy zaczęło się ściemniać, wyszedł na spacer. Rano, zanim rozstał się z Mercedes, całował się z nią, pozwalając rękom błądzić po jej ciele. Wiedział, że dziewczyna zgodzi się, by położył je wszędzie, gdzie zechce. Właśnie dotykanie Mercedes zaprzętało jego umysł, gdy poszedł na tyły jej domu i usiadł za plecionym płotem z gałęzi. Mercedes się go nie spodziewała, a on liczył tylko na to, że jeśli dziewczyna przed snem wyjdzie do wygodki, to może uda mu się zamienić z nią kilka słów, może pograżyć twarz w jej szyi, pozwolić rękom pobłądzić.

Tamtego pierwszego ranka pod Spell Rock nie ufał swojemu pragnieniu, ale teraz zdawało się czyste i właściwe, niemal cnotliwe. Postrzegał je inaczej przez to, że jej ojciec zaginął, a on chciał przynieść jej ukojenie. Gdy rozpoznał rozpacz dziewczyny w sobie, uwierzył, że jest w stanie ją pokochać, a ich cielesny pociąg nabrał w jego oczach głębszego znaczenia.

Ktoś wyszedł przez kuchenne drzwi i ruszył w jego stronę. Zarys długiej spódnicy, kobiecy krok. Za wysoka na Agnes. To musiała być Mercedes albo jej matka. Kobieta dotarła do

wychodka i zamknęła za sobą drzwi. Gdy po chwili znowu się pojawiła, Wish przeżegnał się i wstał.

– Mercedes – szepnął.

Kobieta zamarła.

– To ja, Wish.

Odwróciła się do niego, rozjuszona ulgą.

– Żebyś mi *nigdy więcej* – zaczęła.

– Chciałem tylko powiedzieć „dobranoc”.

Szybko wycofała się do wychodka i zatrzasnęła za sobą drzwi, a on zachodził w głowę, jak ma to rozumieć, dopóki nie usłyszał, że dziewczyna znowu sika – ze strachu. Przeskoczył przez płot i już czekał na nią, kiedy znowu otworzyła drzwi. Obejmując się i całując, przeszli niezręcznie pod boczną ścianę latryny. Przycisnął dziewczynę do surowych desek. Czuł, jak jej serce bije o jego pierś. Zaczął podnosić jej spódnicę, łapał pełne garście materiału, aż dotarł pod spód; palce dotknęły nagiej skóry, drobnych włosów porastających jej łono. A wtedy przyszło mu do głowy, żeby przed nią uklęknąć.

Słyszał o tym tylko w pijackich pogawędkach i sprośnych żartach. Zawsze oznaczało to poniżenie mężczyzny, jakby tylko głupiec mógł postawić się w takiej sytuacji. Rzeczywiście, czuł się idiotycznie, gdy padł na kolana, podtrzymując spódnicę rękami. To był poddańczy gest, jakaś pokuta, która w jego mniemaniu należała się jej od niego. Wsunęła palce w jego włosy i próbowała odciągnąć jego głowę, ale i tak ją tam pocałował. W jej cipe. Sól, ostra woń moczu i fałdy skóry gładkie jak. Nie wiedział jak co. Czuł się głupi i gotowy, a właśnie ten stan uważał za miarę swojej wartości. Wsunął obie ręce pod jej tyłek i całował ją, aż w końcu

siadła na niego. Leżał w wysokiej trawie, uwięziony pod dziewczyną, pozbawiony tchu przez tak nieodpartą pewność, że aż kręciło mu się w głowie.

Gdy się obudził, wciąż miał w ustach jej smak. Odpuścił sobie herbatę i śniadanie, chcąc zachować go jak najdłużej. Poszedł pod Spell Rock i czekał, ale z zatoki nie wypłynęła ani jedna łódź, a Mercedes do niego nie przyszła.

Przed południem kuter, którego Wish nie rozpoznawał, wpłynął do przystani i zacumował przy nabrzeżu Earle'a. Dwaj mężczyźni wysiedli z łodzi i pomogli trzeciemu zejść na pomost. To pastor z Fogo przyплыł na pogrzeb.

Tego popołudnia najmłodszy z chłopaków Willarda Slade'a został pochowany na cmentarzu, na łące za kościołem. Wish nie wziął udziału w nabożeństwie, ale kiedy żałobnicy przeszli na cmentarz, stanął za płotem i patrzył, jak modlą się nad trumną. Pastor czytał Psalm 23. *Laska twoja, i kij twój, te mię cieszą.* Wishowi przeszło przez myśl, że Mercedes znalazła podobne *pociesznie* w jego towarzystwie. Nie był jednak w stanie nie skojarzyć *laski* i *kija* ze swoim kutasem, w końcu musiał więc wyzbyć się tych wszystkich myśli, żeby nie stać tak z głupawym uśmiechem na twarzy.

Trumnę złożono w ziemi; czterech mężczyzn popuszczało liny, chwytając je na przemian rękoma. Dokładnie odwrotnie jak wtedy, gdy wydobywano chłopaka z oceanu. Po pochówku cały zbór znowu przeszedł obok Wisha. Willard, pani Slade i ich dzieci, w różnych stanach rozpacz. Mercedes, ocierająca twarz chustką, patrzyła mu prosto w oczy, dopóki go nie minęła. Agnes również przyglądała mu się bacznie, jakby kryła się w nim jakaś zagadka,

którą można by rozwiązać samym patrzeniem. Ich matka, o kamiennej twarzy, idąca pod ramię z Hardym. Żadne z tych dwojga nie spojrzęło nawet na Wisha.

Clive był jednym z ostatnich żałobników, którzy przeszli przez bramę. Zatrzymał się, by zamienić parę słów z Wisem. Oczy miał przekrwione, usta szybko pracowały.

– Co za pieprzona robota – podsumował.

Pastor przeszedł koło nich i pozdrowił Clive'a skinieniem głowy. Jedno oko mu uciekało; kiedy ich mijął, zdawał się patrzeć nim wprost na Wisha, a jego przedziwnie rozszczepione zainteresowanie wydało się chłopakowi niezycliwe.

– Jak się sprawy mają z młodą panią? – spytał Clive.

Wish patrzył za pastorem idącym w stronę kościoła.

– Z młodą świetnie. Za to starsza pani. To już całkiem inny kwintal ryb.

Clive uśmiechnął się.

– Ostra jak skrzynka gwoździ. Przez wszystkie te lata, od kiedy przyjechała do Cove, nie słyszałem, żeby z jej ust padło zbyt wiele przyjemnych słów.

– Nie jest stąd?

– Aubrey przygruchał ją sobie któregoś lata na Labradorze. Była w załodze w Domino Run, gotowała i sprzątała, pomagała oprawiać ryby. Kiedy tu przyjechała z Aubreyem, nie miała więcej niż piętnaście lat, a niektórzy mówią, że była już przy nadziei. Nie spodziewałbyś się tego po tym starym pierdzielu. Ale wiesz, jacy są faceci.

Wish zaczął przyglądać się bacznie swoim stopom, próbując ukryć rumieniec zalewający mu twarz.

– Nawet tak do końca nie wiadomo, skąd pochodzi – ciągnął Clive. – Słyszałem, że gdzieś z okolic Conception Bay. Opuściła swoich, by przy płynąć z Aubreyem do Cove i, o ile się nie mylę, nigdy po nich nie zapłakała. Chociaż kto wie, co ludzie robią za zamkniętymi drzwiami?

– Nie ma najlepszego zdania o mnie ani o moich.

– Znaczący, że jesteś nie z tej strony kościoła?

– Już mi to powiedziała.

Popatrzyli w stronę cmentarza, gdzie dwaj mężczyźni zagarniali łopatami ziemię do dziury.

– Koniec końców, gówno to wszystko znaczy – stwierdził Clive.

– Temu, co zgarnia mu piach na twarz, jego wyznanie nie robi najmniejszej różnicy, co nie?

Wish nie był przekonany, czy tę argumentację można z powodzeniem odnieść również do małżeństwa, ale przemilczał to, nie chcąc urazić Clive'a.

– Matka nigdy nie będzie miała najlepszego zdania o facecie wężącym koło córki – dodał Clive. – To ci gwarantuję. To leży w ich naturze. A ty bądź miły i zadbaj, żeby dziewczyna była z tobą szczęśliwa. Helen się uspokoi.

– Mam co do tego wątpliwości.

Clive wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Gdybyś nie miał wątpliwości, to co by to była za zabawa?

Trzy dni później, czekając na Mercedes pod Spell Rock, Wish ujrzał łódź Clive'a wypływającą z przylądka i kierującą się z powrotem do zatoki. Szorstki warkot motoru niósł się po otwartym morzu i odbijał echem od klifów nad zatoką. Clive zszedł na wodę tak niedawno, że na razie ledwo zdążyłby dopłynąć

do swoich pułapek na dorsze. Łódź miała tak małe zanurzenie, że na pewno nie było na niej dość ryb, by mogli już skończyć połów. Clive siedział przytulony do rumpla; obaj jego synowie również siedzieli na rufie, tak blisko pawęży, jak tylko się dało. Wish ruszył biegiem w stronę nabrzeża. Po drodze spotkał Mercedes idącą na spotkanie przy skale.

– Gdzie Agnes?

– Kazałam jej poczekać przy ścieżce.

– Zaprowadź ją do domu i przyślij matkę nad wodę.

– Co się stało?

Zszedł na pomost, do którego właśnie Clive podpływał rozpędem, już ze zgaszonym silnikiem. Gdy kuter zrównał się z pomostem, na dziobie Wish dostrzegł bryłę zawiniętą w płótno. Złapał cumę i przywiązał ją do pala. Clive, odwrócony w drugą stronę, zebrał rękawice, kurtkę i czapkę, po czym popatrzył na górującego nad nim Wisha.

– Co za pierdolona miazga – wycedził.

Wish, Clive i dwaj chłopcy złapali płócienny całun za narożniki i ponieśli ciało w stronę kościoła. David przez cały czas przygryzał jedną ze swoich pełnych, kobiecych warg. Clive wyjaśnił Wishowi, że ciało zaplątało się w skrzydło ich pułapki na dorsze. Znaleźli je, kiedy tylko zabrali się za wybieranie ryb.

Gdy dotarli do kościoła, Mercedes z matką już schodziły do nich ścieżką. Clive zarządził: – Dawajcie go do środka, zanim tu dojdą.

Przecisnęli się niezręcznie przez drzwi i złożyli swój ładunek pośrodku posadzki, z jakiegoś powodu próbując trzymać go możliwie najdalej od ścian. Pootwierali okna na oścież i szybko

wyszli na zewnątrz, uciekając przed wzbierającym fetorem. Clive złapał Helen i oplótł ją ramionami, by nie pozwolić jej wejść do środka.

– Spokojnie, Helen – powiedział. – Nie ma na co patrzeć.

– To Aubrey? – Zerknęła to nad jednym, to nad drugim ramieniem Clive’a, jakby próbowała wypatrzeć kogoś w tłumie. – To on?

– Helen, to nie może być nikt inny.

– Miał na sobie żółty sweter i grube czerwone skarpety. Zawsze mu było zimno w stopy. Znałam go, Clive, nosił wełniane skarpety latem i zimą.

– Nie została na nim nawet szmatka – szepnęła. – Spędził w wodzie tydzień. Wygląda na to, że wściekle go przeciągnęło po dnie.

– Miał wygrawerowane inicjały – spróbowała. – Po wewnętrznej stronie obrączki.

Clive pokręcił głową.

– Lewa ręka – powiedział. – Całe ramię.

– Niebieskie oczy?

Wish stał nieco z boku, przytrzymując Mercedes. Dobrze wiedział, że morskie pasożyty musiały wyżreć oczy. Ani on, ani Clive nie mieli serca powiedzieć tego głośno. Mercedes wtuliła twarz w jego pierś i zaniosła się płaczem.

Clive powiedział: – Wish, odprowadź dziewczynę do domu. Na rany Chrystusa!

Usadził Mercedes w jej bujanym fotelu i odsunął się, a Agnes uklękła przed nią. Siostry płakały, obejmując się, a on zrobił jedyne, co w tej sytuacji przyszło mu do głowy. Postawił czajnik na

piecyku. Zdjął z półek kubki i cukier, po czym zaczął polować na herbatę. Gdy znalazł wszystko, czego potrzebował, stanął przy drzwiach, czekając, aż woda się zagotuje. Staruszka zaczęła nawoływać z salonu, Wish poszedł więc, by do niej zajrzeć. Leżała dokładnie tak samo jak poprzednio, krzyczała przez ścianę. Przysiadł na skraju łóżka i wziął ją za rękę.

– Myślałam, że to może Aubrey wrócił do domu – wyjaśniła.

– Nie, moja pani. – Nie miał pojęcia, ile rozumiała z tego, co się działo.

– To znaczy, że umarł, że odszedł na zawsze?

– Bardzo mi przykro, ale tak.

– Odszedł do piekła – oznajmiła staruszka. – Biorąc pod uwagę, z kim przestawał. – Popatrzyła w stronę okna i spytała: – Co to za hałas?

Wish nie słyszał żadnego dźwięku.

– Jaki hałas?

Popatrzyła na niego piorunującym wzrokiem, jakby z jego ciała zaczął ulatniać się jakiś nieprzyjemny zapach.

– Skąd jesteś?

– St. John's.

– Nie jesteś z miasta. Gdzie masz dom rodzinny?

– Powiniennem przypilnować czajnika.

Z zawziętością ścisnęła jego rękę.

– Jesteś *katolikiem*.

O mało się nie roześmiał; nie był przygotowany na tak potężną odrazę w jej głosie, na dziwne uczucie wywołane tym, że ktoś nagle nazwał go po imieniu. Tymczasem staruszka próbowała się

podnieść. Wish pomyślał, że jeśli babcia znajdzie w sobie dość siły, to rzuci mu się do gardła. Zaczął ją uspokajać i układać w pościeli.

– Nie bądźmy śmieszni. *Katolikiem?*– powiedział. – Bez wątpienia katolicy nie dotarliby żywi do tego domu, prawda? Nie zdążyliby dojść do drzwi.

Starowince zabrakło tchu; na dobre zgubiła myśl, a furia wyparowała z niej równie szybko, jak nią zawładnęła. Wyciągnęła rękę i poklepała Wisha po policzku.

– Dobry z ciebie chłopak – powiedziała. – Jesteś synem Jenny Reid, prawda?

– Przynieść pani filiżankę herbaty?

Gdy wrócił do kuchni, była już tam Helen z kilkoma innymi kobietami. Stała przy oknach i zaciągała zasłony.

– Pani Parsons, proszę przyjąć wyrazy współczucia – ośmielił się Wish.

Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała się rozplakać, ale zapanowała nad sobą.

– Starsza pani wołała – wyjaśnił Wish – więc do niej zajrzałem.

– Mam nadzieję, że była wobec ciebie uprzejma.

„Na tyle, na ile mogłem się tego spodziewać po jednej z mieszkanek tego domu” – pomyślał, ale powiedział tylko: – Prosiła o filiżankę herbaty. – Po chwili dodał: – Jeśli mogę coś jeszcze zrobić.

Zajmowała się dalej zasłonami, nie zwracając na niego uwagi. Mercedes wciąż siedziała w fotelu na biegunach, twarz miała czerwoną i spuchniętą od płaczu.

Wish stwierdził: – To chyba już pójdę. Dziewczyna spojrzała na matkę.

– Czy nie może chwilę zostać?

– Sade, musimy przygotować dom dla twojego ojca.

– Do zobaczenia niebawem – pożegnał się Wish. Helen odsunęła się od drzwi, żeby mógł wyjść.

Po raz drugi w ciągu niespełna tygodnia rozebrał się od pasa w górę i wyszorował się, stojąc nad miednicą. Ubrał jedyną dobrą koszulę i wyczyścił buty.

Dołączył do rozproszonej grupki ludzi idących na czuwanie przy zwłokach Aubreya. Po ciemku niepewnie stawiali stopy na ścieżce. W domu Parsonsów przyjął od Agnes szklanekę syropu i przeszedł do salonu. Trumna stała w miejscu, gdzie jeszcze tego popołudnia leżała staruszka. Wish podejrzewał, że przenieśli ją razem z łóżkiem do jednego z pokoiów na piętrze, gdzie miała pozostać już do śmierci. Helen siedziała z Mercedes pod zasłoniętym oknem. Trzymała dziewczynę za rękę w sposób, który bardziej przywodził na myśl ograniczenie niż pocieszenie. A obok nich stał Hardy, patrzący wilkiem na Wisha. Stwierdziwszy, że składanie kondolencji tylko pogorszyłoby sprawę, Wish od razu podszedł do trumny.

Clive siedział po stronie głowy zmarłego.

– Chyba pod przeciwległą ścianą sprawy wyglądają dla ciebie dość ponuro.

– Mam nadzieję, że przyniosłeś piersiówkę.

Clive odstawił swoją szklanekę syropu i wstał z krzesła. Gdy byli na korytarzu, w salonie dało się słyszeć stłumione poruszenie. Wish cofnął się do drzwi i ujrzał ludzi stłoczonych na środku

pokoju, nachylających się nad czymś, jakby zaglądali w głąb studni.

Willard Slade położył dłonie na barkach Wisha i wyprowadził go na korytarz.

– To nic, po prostu na chwilę zemdląłem.

– Sadie?

– Wszystko w porządku, Wish. Lepiej, żebyś teraz wyszedł.

Clive złapał go za rękaw i pociągnął do kuchni, a potem w noc.

– Clive, jesteś pewien, że nic jej nie jest?

– To przez te emocje, zostaw ją na chwilę.

Odeszli od domu i stanęli na podwórku między zabudowaniami na tyłach. Co chwilę przekazywali sobie piersiówkę. Clive powiedział mu, że zasypali ciało wapnem i zaszyli płótno, w którym je przynieśli.

– Myślę, że będą musieli pogrzebać go jutro. Niewiele już z niego zostało. Nie mogą czekać, aż przyplynie pastor z Fogo.

– Nie mam szans u jej matki – stwierdził Wish. – Nie zmieni zdania.

– Za czasów mojego ojca jakiś chłopak z Tilting przyplynał, by zabiegać o dziewczynę z drugiej strony wyspy. Kilku miejscowych się zgadało. Zasadzili się na niego nad wodą i porządnie mu dokopali. Ojciec mówił, że jak z nim skończyli, to jedno oko zwisało mu z oczodołu. Wszystko zakrwawione.

– Jezu, Clive.

– Chcę tylko powiedzieć, że teraz już tak nie jest.

Wish zaśmiał się gniewnie. Czuł, że alkohol przesiąka przez jego głowę; pociągnął kolejny haust. Pomyślał o obrazku z kuchni

Parsonsów, o królu Billym przekraczającym rzekę Boyne. Ta armia wciąż maszerowała.

– Zabrałbyś nas na Fogo? Gdyby ona zechciała? – spytał.

Clive sięgnął po butelkę.

– Chyba na dzisiaj już ci wystarczy.

Wish wyrwał mu piersiówkę i posłał mu groźne spojrzenie.

– Wracam do środka – oznajmił Clive. – A ty weź alkohol i idź do pani Gillard.

Wish przechylił głowę i pociągnął z butelki, ani na chwilę nie spuszczać Clive'a z oczu.

Opróżnił piersiówkę, po czym ruszył do salonu, zataczając się między ścianami wąskiego korytarza. Z sekundy na sekundę czuł się coraz bardziej pijany. Helen i Hardy wciąż siedzieli pod oknem, ale po Mercedes nie było śladu. Pozostali gapili się na swoje buty, by przypadkiem nie spojrzeć Wishowi w oczy. „Chuj z nimi” – pomyślał. Chuj z panią Gillard, sadzającą go do kolacji samego przy stole, chuj z pastorem z Fogo i jego uciekającym okiem, chuj ze zwariowaną staruszką, leżącą na piętze we własnych szczytach, i chuj z królem Billym przekraczającym Boyne w kuchni. Wszyscy mieszkańcy Cove byli do niego wrogo nastawieni. Wish doznał nagle pijackiego olśnienia, dostrzegł z całą jasnością prawdę, która tak kłuła w oczy w salonie. Wytyczyli granicę, a gdy dziewczyna wszystko pojmie, nie znajdzie w sobie dość siły, by ją przekroczyć. A on nie miał prawa prosić, by ją przekroczyła.

Wszedł do salonu i wyciągnął z kieszeni różaniec. Uklękawszy przy trumnie, zaczął modlić się na głos: – Zdrowaś,

Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

Słyszał poruszenie za plecami; ludzie zaczęli wstawać i wychodzić z pokoju, a on podniósł głos, by było go słychać w krzątaninie. Spodziewał się, że lada chwila ktoś złapie go za włosy i wyrzuci za drzwi.

– Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen – modlił się tak, dopóki nie nabrał pewności, że pokój całkiem opustoszał. Wstał i schował różaniec do kieszeni. Był zawiedziony, że nie udało mu się wywołać porządnej bójki, przepychanki czy choćby krótkiej wymiany obelg. „Pierdoleni protestanci” – pomyślał.

– Pobożny jesteś, Aloysious – stwierdziła Helen.

Odwróciwszy się, stwierdził, że kobieta siedzi w tym samym miejscu, co wtedy, gdy klękał. Skłonił się przed nią lekko; sam nie wiedział, skąd wytrzasnął tak oficjalny gest, ale czuł, że jest na miejscu. Odpowiednia mieszanka szacunku i lekceważenia. Przez chwilę wydawało mu się, że może kobieta zrozumiała, o co mu chodziło. Ona jednak po prostu dalej mu się przyglądała, a on wykonał przed nią kolejny pijacki ukłon i wyszedł na korytarz. Ludzie, których wypędził z salonu, stali stłoczeni w kuchni. Kiedy Wish przeciskał się do wyjścia, nawet Clive nie spojrzał mu w oczy.

Godzinę później leżał w swoim łóżku u pani Gillard. Czuł wściekle dudnienie pulsu w skroniach. Słyszał, że ktoś otworzył drzwi kuchenne, przeszedł przez parter, wszedł po schodach i stanął pod jego pokojem.

– Panie Furey.

Nie odpowiedział, pani Gillard zaczęła więc niecierpliwie dobijać się do drzwi.

– Wiem, że pan tam jest.

Usiadł na skraju łóżka.

– Proszę – odpowiedział.

Otworzyła drzwi na oścież i stanęła zaraz za progiem. W ręce miała lampę, a blask oświetlający od dołu jej twarz zmienił jej oczodoły w ciemne dziury.

– Dobry wieczór, pani Gillard.

– Dałam panu pokój we własnym domu – zaczęła. – Jadł pan przy moim stole.

– Po bardzo przystępnych cenach.

Pani Gillard wyprostowała się.

– Wolę przemocować dzisiaj u Slade’ow niż spać z panem pod jednym dachem. Rano proszę sobie śmiało przygotować śniadanie. Oczekuję, że jutro, kiedy wrócę, już tu pana nie zastanę.

Zamknęła drzwi, zanim zdążył spytać, o której mniej więcej może się jej spodziewać. Siedział na łóżku, z rękami na kolanach, słuchając jak kobieta schodzi na dół.

—

Obudziło go kolejne trzaśnięcie kuchennych drzwi. Leżał bez ruchu, nasłuchując kroków na schodach. Nie miał pojęcia, jak długo spał, podszedł więc do okna i zajrzał za zasłonę. Na horyzoncie dostrzegł ledwie widoczną pierwszą zorzę poranka. Zawołał do pani Gillard, zanim zdążyła zapukać do drzwi:

– Nie może pani oczekiwać, że o tej porze człowiek już będzie po śniadaniu!

Wieczorem w ogóle się nie rozebrał, zasnął w butach, z nogami zarzuconymi na łóżko. Teraz zaczął się mocować z koszulą i

spodniami, próbując doprowadzić ubrania do porządku.

– Za godzinę mnie nie będzie.

Drzwi otworzyły się bez ostrzeżenia. Ukazała się w nich sylwetka dużo większa od pani Gillard.

– Masz kilka minut, żeby się spakować – powiedział Hardy.

Wish był zadziwiony jego ogromem. Może i był niższy od niego, ale szeroki w barach i tęgi.

– Łódź gotowa. Zabiorę cię na Fogo, a tam już złapiesz prom do St. John's.

Wish poskrobał się w głowę i rozejrzał wokół, po czym znów spojrzał na Hardy'ego.

– Przegapisz pogrzeb ojca – powiedział. Nie do końca rozumiał, co Hardy tu robi.

Hardy wszedł do pokoju. Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął niedużą garść banknotów i monet.

– Wystarczy, żebyś dopłynął do St. John's i żył tam przez jakiś czas.

Wish oderwał wzrok od pieniędzy i popatrzył na twarz Hardy'ego.

– Ty parszywy chuju.

– Nie dostaniesz pieniędzy, dopóki cię nie wypuszczę na Fogo.

Wish stał bez ruchu. Był tak wściekły, że zabrakło mu tchu. Że też myśleli, że cholerna łapówka wystarczy, żeby się go pozbyć.

– Pozbierasz swoje rzeczy czy chcesz, żebym ci pomógł? – spytał Hardy.

Owszem, zamierzał się stąd wynieść, ale nie chciał, by jej matka sądziła, że udało im się go do tego zmusić.

– Myślę, że najpierw przekąszę coś na śniadanie.

Minął Hardy'ego i zaczął schodzić do kuchni. Tamten przez chwilę się wahał, ale w końcu ruszył za nim. Wish nie zdążył jeszcze dotrzeć do połowy schodów, gdy Hardy wychylił się ponad poręczą i złapał go za kołnierz.

– Odpierdol się! – krzyknął Wish. Sięgnął do tyłu i szarpnął Hardy'ego za ramię, przerzucając go przez poręcz i ściągając wprost na siebie. Obaj runęli na łeb na szyję i wylądowali na podeście schodów.

Przed południem Wish dopłynął do Fogo łodzią Aubreya i przycumował do pomostu położonego najdalej od głównego nabrzeża. Dwóch chłopców łowiło tautogi na końcu pomostu; zapytał ich, czy znają Cove na Little Fogo i czy potrafiliby tam dopłynąć. Młodszy stwierdził, że oczywiście, wszyscy znają Cove. Wish wyciągnął z kieszeni jeden z banknotów i przytrzymał go tak, żeby mogli się przyjrzeć.

– Bylibyście w stanie odprowadzić tam dzisiaj ten kuter?

– Jeśli chcesz, możemy wypłynąć od razu – odparł mniejszy.

– Kiedy wypływa najbliższy prom w stronę St. John's? Obaj wskazali główne nabrzeże.

– Earle właśnie kończy załadunek. Pewnie zaraz będzie gotowy.

Wish skinął głową. Należące do linii kolejowych promy, którymi pływał Hiram, zawijały do każdej przystani i zatoki na wybrzeżu, natomiast statek kompanii Earle'a miał popłynąć prosto do St. John's. Wish wcisnął chłopakowi dolara do ręki.

– Czyja to łódź?

– Parsonsów – odrzekł Wish. – Jest dziewczyna. Mercedes. Sadie. Sadie Parsons.

Chłopcy przyglądali mu się wyczekująco.

– Nieważne – powiedział. – Płyńcie. Paliwa macie aż nadto. Kabotażowiec Earle’a dopłynął do St. John’s nazajutrz o piątej rano. Wish próbował się zdrzemnąć na sali dla pasażerów bez kabin, ale nie był w stanie. Głowa kiwała mu się, zataczając koła; nie był w stanie wziąć porządnego wdechu. W końcu wyszedł na pokład i oparł się o reling, by stać tak przez resztę podróży. Wpatrywał się nieobecny wzrokiem w wodę. Gdy dopływali do St. John’s, klify półwyspu Avalon czerniały na tle nocnego nieba niczym ciemny ogrom fali przyływu, która przed laty próbowała go pochłonąć w Lord’s Cove. Niemalże czuł narastający ryk wody wzbierającej na otwartym morzu za ich plecami. Gdy uciekali, oglądał się za siebie, a długa linia czerni na horyzoncie sunęła nieubłagane w ich stronę.

Gdy prom płynął tak ku przesmykowi Narrows, prowadzącemu do przystani St. John’s, Wish stał na burcie, zdjęty tym samym narastającym przerażeniem. A głos w jego głowie krzyczał: „Uciekaj. Uciekaj. Uciekaj”.

MERCEDES

1.

Wish opowiadał jej, że tamtego wieczora najpierw poczuli wstrząs. Chwilę przed kolacją. Dom zadrżał tak, że talerze rozkołysały się i pospadały ze stołu, a Przenajświętsze Serce zleciało ze ściany. Ojciec powiedział: „Cuda i znaki na czas ostateczny”. Matka podniosła Serce z podłogi i odwiesiła je na miejsce.

Gdy zjedli, Wish zszedł z ojcem nad wodę, by sprawdzić, do jakich szkód doszło na nabrzeżu. Już zmierzchało; w ich szopie na pomoście ojciec otworzył drzwi od strony wody, by wpuścić ostatnie promienie słońca, po czym zapalił dwie lampy. Na podłodze znaleźli leżące w bezładzie sieci i narzędzia, które pospadały spomiędzy krokwi, zabrali się więc do sprzątania. A wtedy woda odpłynęła z przystani, zupełnie jakby ktoś wyciągnął korek ze zlewu. Mokre skały i grube pokłady wodorostów. Kutry i dwumasztowy szkuner, wciąż przycumowane, leżące na dnie zatoki. Cisza, jakby wszystkie boże stworzenia na ziemi nagle zamilkły.

Ojciec odwrócił się do Wisha i powiedział: „Uciekaj”. Powiedział: „Leć po matkę i uciekaj”. Krzyczał tak do niego: „Uciekaj, uciekaj, uciekaj”. Kilka tygodni wcześniej ojciec wciągnął łódź na brzeg i ułożył ją za magazynem dnem do góry, przykrywając gałęziami na zimę. Zaczął je zrzucać; próbował odwrócić łódź, żeby zaciągnąć ją dość daleko od brzegu, aby ją

uratować. Zrozumiał jednak, że to bezcelowe, porzucił łódź i pobiegł za Wishem w stronę domu. Po drodze spotkali matkę Wisha, która szła szukać ich na nabrzeżu. Razem spojrzeli w stronę morza. Woda wracała do pustej przystani, wiodąc za sobą potężną ciemną ścianę, która miała zaraz na nich runąć. Wystrzelili w górę zbocza porośniętego drzewami, próbując prześcignąć ryk miażdżący nabrzeża, ogrody i domy.

Obudziła się wcześniej; ktoś mówił coś głośno w pokoju obok. Już trzecią noc z rzędu śniła o fali przyływu, którą opisał jej Wish – coś w tym ślepym uderzeniu wezbranej wody zawładnęło jej umysłem – a każdego ranka budziła się ogarnięta tym samym nieokreślonym przerażeniem. Odsunęła je od siebie, próbując zidentyfikować dźwięki dobiegające zza ściany.

Jej babka.

Wydawało się, że staruszka nocami prawie nie śpi; dryfuje tylko gdzieś dalej od brzegów świadomości i rozsądku. Jej monologi były niezrozumiałe i bezustanne niby szum rwącego potoku. Gdy babcia leżała w swoim łóżku na dole, brzmiało to jak ciche mamrotanie, działało niemal kojąco, ale teraz, przez ścianę, było nieznośne niczym ból zęba.

Chwilę to potrwało, zanim Mercedes pozbierała myśli na tyle, by zrozumieć, dlaczego dźwięki dochodzą z sypialni rodziców, a nie z parteru. Przypomniała sobie, jak wstała z krzesła, gdy Wish wyszedł z salonu z Clive'em, jak cała krew spłynęła jej do stóp. Na moment przed tym, jak zalały ją ciemności, w nosie zakręcił jej zapach amoniaku. A teraz leżała w łóżku, a babka świergotała w pokoju rodziców.

Wtedy dopiero stanął jej przed oczami ojciec, zamknięty w skrzyni w salonie. Zakryła usta ręką, żeby nie wrzasnąć. Przez szparę pod drzwiami wpełzł do pokoju zapaszek wapna i rozkładu. Wcisnęła twarz w poduszkę, próbując uciec przed tą wonią i stłumić szloch; nie chciała obudzić Agnes leżącej obok. To zdawało się wynaturzone: zapomnieć, nawet na tych parę chwil po przebudzeniu, że ojciec jest martwy i ma zostać złożony w ziemi.

Poprzedniego wieczora nie widziała, jak Wish wszedł do salonu, ale odczuła jego obecność w gwałtownym uścisku matczynej dłoni, gdy ta chwyciła ją kurczowo za rękę. Jakby dziewczyna miała zaraz zadyndać nad przepaścią. Podniósłszy wzrok, Mercedes zobaczyła Wisha stojącego przy trumnie, rozmawiającego o czymś po cichu z Clive'em. Hardy wyprostował się u jej boku jak jakiś pies obronny i przesunął tak, by zasłonić jej widok. Z trudem się powstrzymała, żeby nie przyłożyć mu solidnie w krocze.

W dzień po pogrzebie małego Willarda Slade'a Mercedes wpadła na Hardy'ego na korytarzu. O mało nie przeleciała przez niego, gdy bladym świtem wyszła z sypialni i ruszyła w stronę schodów, by pójść do wygodki. Brat spał na krześle, z założonymi ramionami i przekrzywioną głową dociśniętą do ściany. Z początku pomyślała, że to ojciec śpi na korytarzu; przez tych kilka sekund, które upłynęły, zanim rozpoznała Hardy'ego, serce waliło jej dziwacznie w piersi, jakby tłukło się po pustej wnęce. Złapała brata za bark i potrząsnęła nim, wykrzykując jego imię.

Nagle podskoczył, zerwał się na równe nogi i złapał ją za ramiona.

– Dokąd idziesz? – spytał.

– Na podwórko. Do wychodka. A jak myślisz, dokąd mogłabym iść o tej porze?

Stała bardziej swobodnie, próbując przezwyciężyć zaskoczenie.

– Przez chwilę myślałam, że tata wrócił.

– Nie chciałem cię przestraszyć.

– Co, na Boga, robisz w nocy na korytarzu?

– Nic – odparł. Usadowił się na krześle i podniósł na nią wzrok. – Nie siedź tam za długo.

W tym momencie zaczęła wszystko pojmować.

– Co ty tu wyprawiasz, Hardy?

Matka stanęła w drzwiach swojej sypialni w koszuli nocnej.

– Cicho, Sadie. Daj bratu spokój.

– To twoja sprawka, co?

– Ciszej, bo obudzisz siostrę.

– Jak długo zamierzasz stawiać go na straży pod drzwiami?

– Tyle, ile będzie trzeba.

Mercedes poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Uderzyła brata w ramię otwartą dłonią.

– Spał jak zabity! – krzyknęła. – Musiałam go sama obudzić. Faktycznie, na wiele ci się przyda!

– Zamknij się, Sadie – wciął się Hardy.

– Gdybym zechciała, mogłabym już w najlepsze rozbierać się w pokoju Wisia. A ten tutaj dalej by kimał z otwartą gębą.

Matka zagrzmiała: – Mercedes, do pokoju.

– Idę do wychodka.

– Masz w sypialni nocnik.

Hardy wstał i zagroził jej drogę do schodów.

– A opróżnisz mi go potem, Hardy? – spytała.

Nie odpowiedział. Dziewczyna spoglądała to na matkę, to na brata, a w końcu wróciła do sypialni i z hukiem zatrzasnęła drzwi. Przykucnęła nad nocnikiem; nogi jej drżały z wściekłości. Agnes podparła się na łokciach, by zobaczyć, co to za zamieszanie. Mercedes wyniosła naczynie na korytarz i rzuciła je bratu na kolana, mówiąc: – To chyba należy do ciebie, nie?

Hardy gwałtownie cofnął dłonie, jakby siostra rzuciła mu na nogi zdziczałego kota. Mercedes poszła do sypialni i znowu trzasnęła drzwiami.

Następnego ranka pod Spell Rock opowiedziała Wishowi o swoim *areszcie*.

– Aż dziw bierze, że w ogóle pozwalają ci wychodzić samej, skoro taka jesteś dzika.

– Agnes ma być ze mną cały czas. Namówiłam ją, żeby poczekała przy ścieżce. Obiecałam wrócić na tyle szybko, żeby nie zdążyć się wpackować w żadne kłopoty.

Widziała, że jest zaskoczony jej zawziętością, że cieszy go jej gotowość, by przemycić go do swego życia.

– Przez chwilę wydawało mi się, że Hardy to ojciec – powiedziała. – Raz już go widziałam w tym samym krześle pod moimi drzwiami.

– Widziałaś ojca?

– Tamtej nocy, gdy zaginął. – Spojrzała na niego z zakłopotaniem. – Na dole babcia wołała, że chce wody, więc wstałam, żeby do niej pójść. A pod drzwiami sypialni siedział ojciec.

– Mówiłaś o tym matce?

– Nie, dotąd nie powiedziałam o tym nikomu. Wish, on był przemoczony. Jego ubrania ociekały wodą.

– Powiedział coś?

– Chciałam się do niego odezwać, ale zaraz zniknął.

A wtedy się uśmiechnął; to ją zaskoczyło, choć nie był to lekceważący uśmiech. Miał przedziwnie przystojną twarz, oczy duże i łagodne, dolną szczękę wydłużoną i lekko przesuniętą w bok. Było w jego twarzy coś, co mgliście kojarzyło jej się z końmi; to jak, słuchając, poruszał głową, te niespodziewane ruchy w bok, to przesadne wysuwanie brody do przodu, gdy dziewczyna powiedziała coś zaskakującego. Mercedes źle się czuła przy koniach; jej nieufność wzbudzały ich rozmiary i powolny chód, ich krzywe kutasy, niemal dotykające ziemi, gdy zwierzęta skubały pyskami trawę, ich łzawe, z pozoru bezdenne oczy. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, lecz widok Wisha działał na nią kojąco.

– To było widmo ojca, prawda? – spytała. – On już nie żyje?

– Podejrzewam, że nie żyje.

Zdała sobie sprawę, że płacze, otarła więc twarz dłońmi, a potem usiedli razem, dotykając się czołami. Uwielbiała zapach oddechu Wisha, te zmienne nuty i odcienie. Tytoń i imbir. Słodzona herbata. Rodzynki. Gdy tak siedzieli, dopasowała swój oddech, by chłonać wydechane przez niego powietrze, jakby mogła zaczerpnąć z niego siły.

Próbowała przypomnieć sobie ten zapach, leżąc z twarzą wtuloną w poduszkę, starając się nie obudzić Agnes i nie chcąc, by Hardy usłyszał ją przez drzwi. Wstrząsał nią dreszcz, którego nie potrafiła nazwać. Na pewno głęboki smutek, pragnienie dotknięcia Wisha i odczuwania jego dotyku, gniew, strach, niecierpliwość,

wyczerpanie, nie potrafiła odróżnić wszystkich wątków, które splatały się w jedno świdrujące ją doznanie. Jeszcze nigdy tak mocno nie czuła, że żyje.

Gdy podczas czuwania przy zwłokach jej ojca Wish z Clive'em opuścili salon, Mercedes dobrze wiedziała, że chcą wyjść na zewnątrz na papierosa i parę łyków bimbru. Kiedy wstała, by pójść za nimi, matka szarpnęła ją za ramię.

– Nie, kiedy ojciec tu leży – szepnęła Helen. – Ani mi się waż.

Ubódł ją oskarżycielski ton rozbrzmiewający w głosie matki.

Po raz pierwszy poczuła, że decyzja Helen, aby stanąć między córką a Wishem, idzie w parze z odmówieniem jej prawa do miłości do ojca. Mercedes wyrwała się matce; zamierzała pójść za Wishem. A wtedy omiół ją ten kwaśny smród amoniaku, który przeniknął jej głowę na chwilę przed tym, jak padła nieprzytomna na podłogę.

Czuła, że to był pewien defekt woli, swego rodzaju tchórzostwo, żeby zemdleć akurat wtedy, gdy na szali leżało tak wiele. Po cichu wstała z łóżka i ubrała się. Stała przed wytyczoną granicą. Dotąd bała się ją przekroczyć. Przysięgła sobie, że po pogrzebie ojca nie zawaha się ani przez chwilę.

—

Gdy otworzyła drzwi sypialni, nie zastała za nimi Hardy'ego. Wpatrywała się przez chwilę w puste krzesło, wyobrażając sobie na nim ojca w przemoczonych ubraniach, z mokrymi włosami przyklepanymi płasko na czole. Skinął głową i uśmiechnął się nieznacznie. Wypowiedziała jego imię; przeraziło ją brzmienie własnego głosu na pustym korytarzu. Gdy zerknęła przez ramię w kierunku sypialni rodziców, ojciec zniknął.

Zeszła po schodach i znalazła matkę siedzącą samotnie w salonie przy trumnie ojca. Miała na sobie ten sam żałobny strój co zeszłego wieczora, zdawało się, że w ogóle nie spała.

- A gdzie się dzisiaj podział mój klawisz?
- Napal w piecyku, dobrze? Marzę o filiżance herbaty.
- Nie odpowiedziałaś na pytanie.

Matka spuściła wzrok i popatrzyła na swoje kolana.

– Mercedes, dobrze wiesz, że nic by z tego nie wyszło. Z tym chłopakiem tutaj, w Cove.

- Nie umarłabym z żalu, gdybym wyjechała.
- Skończyłabyś po prostu nad inną zatoką, nieróżniącą się niczym od tej.

– Miałabym Wisha – stwierdziła dziewczyna.

Helen uśmiechnęła się.

– Jesteś jeszcze dzieckiem, Mercedes. Nie pozwolę, żebyś zmarnowała sobie życie.

W brzuchu Mercedes rozkwitło przerażenie.

- Gdzie Hardy?
- Kuter wypłynął z przystani godzinę temu.

Odwróciła się od matki.

– Ty *wiedźmo* – syknęła. Przeszła przez kuchnię, prosto do drzwi na zewnątrz. Gdy szła szybkim krokiem po nabrzeżu, garstka mężczyzn powitała ją skinieniem głowy. Kuter ojca zniknął z miejsca za pomostem, gdzie zawsze go cumowali.

Gdy Mercedes wparowała przez tylne drzwi do domu pani Gillard, przy kuchennym stole zastała Hardy'ego, podpierającego głowę na ręce. Nie podniósł wzroku na siostrę.

– Co z nim zrobiłeś?! – wrzasnęła.

Pani Gillard stała przy piecyku.

– Sadie – szepnęła. Skinęła głową na Hardy’ego. – Kiedy weszłam, on leżał bez życia na podłodze. Nie mogłam go podnieść, dopóki nie podsunęłam mu pod nos soli trzeźwiących.

– Coś ty mu zrobił, Hardy?

– Sadie? – zdziwił się. Wyglądało na to, że nawet tak drobny ruch sprawia mu ból, bo skrzywił twarz w grymasie. Na ustach miał krew.

– Ten twój kochaś próbował zabić Hardy’ego – oznajmiła pani Gillard.

Mercedes puściła to mimo uszu i nachyliła się nad stołem, przysuwając się do brata.

– Łódź zniknęła z przystani.

Hardy przekreślił ciało tak, by spojrzeć prosto na nią.

– Jaka łódź?

– Nasz kuter. Nie ma go tam, gdzie cumowaliśmy.

– Ukradł kuter waszego ojca? – wcięła się pani Gillard.

– Hardy?

Twarz brata była pozbawiona wyrazu; wodził oczami po otoczeniu, jakby nie potrafił skupić na niczym wzroku.

– Widocznie postanowił popłynąć na ryby – stwierdził.

Mercedes myślała, że Hardy się z niej nabija. Była tak wściekła, że zaczęło jej się kręcić w głowie. Jej nozdrza wypełnił zapach amoniaku; złapała brata za ramię, by nie runąć na ziemię.

– To twoja wina! – krzyknęła.

Pani Gillard oznajmiła: – Sadie, on zrzucił twojego brata ze schodów, a potem ukradł łódź waszego ojca i uciekł.

Mercedes już stała w drzwiach.

- On próbował zabić twojego brata – upierała się pani Gillard.
- Szkoda, że się nie udało.

Żeby wynieść trumnę z domu, musieli wyjąć okno w salonie. Na ścieżce czekał wóz zaprzężony w srokatą klacz, która przestępowała z nogi na nogę, gdy ładowali trumnę. Mercedes trzymała się parę kroków od matki i Hardy'ego, którzy szli pod rękę, prowadząc za sobą do kościoła kondukt złożony ze wszystkich mieszkańców Cove. Oczekali z pogrzebem do momentu, gdy Hardy wydobrzeżał na tyle, by ustać na nogach, lecz wciąż wydawało się, że to Helen utrzymuje go prosto, na przekór upartemu przechyłowi jego kroku.

Tamtego ranka, kiedy przyprowadzili Hardy'ego do domu, Mercedes patrzyła przez okno sypialni, jak matka wybiega im naprzeciw. Helen na powitanie zasypała ich strumieniem pytań, których Mercedes nie była w stanie dosłyszeć. Widać było natomiast jak na dłoni, że matka jest zaniepokojona i zaskoczona. Hardy zasadniczo tylko kręcił głową i wyglądał tak, jakby nie za bardzo pamiętał, jak się nazywa.

Agnes płakała w drodze do kościoła i przez cały pogrzeb, podczas którego Willard Slade intonował hymny, a pani Gillard czytała z Księgi Psalmów. Agnes nie przestawała płakać, gdy ojca składano w ziemi, gdy trumna szurała o ściany dołu, gdy grzbiety żałobników opuszczających zwłoki do grobu ugiwały się pod ich ciężarem. Mercedes natomiast czuła się dziwnie wyzuta z uczuć. Powiodła wzrokiem po bezładnie rozrzuconych domach, szopach i pomostach Cove. Budowle ustawione na drewnianych palach balansowały na nagiej skale. Żadna z nich nie wyglądała na dość solidną, by ustać prosto podczas porządnej wichury. Mercedes

pomyślała, że gdyby zmyła je fala, to po tym miejscu nie pozostałby żaden ślad, nawet fundamenty.

Gdy żałobnicy wychodzili z cmentarza, Mercedes ujrzała kuter ojca wpływający do przystani z niedużą łódką wiosłową na holu. Na pokładzie dostrzegła dwie sylwetki, ale w głębi serca czuła, że nie ma wśród nich Wisha.

—

Po pogrzebie Hardy spał całymi dniami i skarżył się na bóle głowy. Zbierało mu się na wymioty przy najmniejszym wysiłku fizycznym. Helen przesiadywała przy nim na leżance i zaspokajała wszelkie jego potrzeby, natomiast Mercedes nie zamierzała przynieść mu nawet szklanki wody. Nie zniżała się do pytania matki i brata o to, co się stało, ani gdzie wylądował Wish. Nocami jednakże uparcie nagabywała Agnes o jakiegokolwiek informacje.

– Sadie, oni nic mi nie mówią. Dobrze o tym wiesz.

– Musiałaś coś podsłuchać, Agnes, na litość boską. Co ty, uszu nie masz?

– Mieszkam w tym samym domu co ty.

– Ani razu nie słyszałaś, żeby wymówili jego imię?

Agnes przekręciła się na swojej stronie łóżka i odwróciła się do siostry plecami.

– Wiedziałam – szepnęła Mercedes. – Wiedziałam. – Złapała Agnes za ramię i zaczęła nią potrząsać. – Co mówili?

– Zabrał Hardy’emu pieniądze.

– Jakie pieniądze?

– Nie mam pojęcia, Sadie.

– A czego w ogóle Hardy szukał u pani Gillard?

– Miał odstawić Wisha na Fogo. Ale nie pamięta nic poza tym, że wszedł na piętro, żeby wyciągnąć go z łóżka.

Mercedes odwróciła się na plecy i złożyła dłonie na piersi.

– Dlaczego zabrał łódź i popłynął sam?

– Nie mam pojęcia! – odparła Agnes bliska płaczu.

– Nie do ciebie mówię. Tylko tak się zastanawiam.

Agnes odpełzła na samą krawędź łóżka.

– To zastanawiaj się w myślach, dobrze? A nie na głos.

Następnego wieczora po kolacji Mercedes poszła na drugą stronę Cove, do domu Reidów. Zastała żonę Clive'a w spizarni przy zmywaniu talerzy.

– Wejdz, kochanie – zachęciła Jenny Reid. – Wejdz.

– Gdzie pani chłopcy?

– Pewnie szukają guza gdzieś pod Spell Rock.

– Miałam nadzieję, że zastanę Clive'a. Czy on też wyszedł?

Jenny wytarła ręce w fartuch.

– Clive jest przy destylatorze.

Mercedes ruszyła ścieżką, między ustawionymi w równy kwadrat budynkami gospodarskimi, w stronę malutkiej szopy, ukrytej wśród bagiennej roślinności. Gdy znalazła Clive'a, właśnie rozpalał ogień pod dużym nitowanym kotłem z miedzi. Dostrzegłszy Mercedes stojącą w drzwiach, mężczyzna szybko zerknął za jej plecy. Gdy zorientował się, że przyszła porozmawiać z nim sama, przez jego twarz przemknął grymas konsternacji. Machnął jednak ręką, zapraszając ją, by usiadła na niskiej ławce pod ścianą. Mercedes milczała; pozwoliła mu skupić się na ognisku.

Po kilku minutach Clive wyprostował się i powiedział: – Nic nie mogę dla ciebie zrobić, Sadie.

– Nie mam do kogo pójść, Clive. Ty byłeś dla niego dobry.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to był z niego miły chłopak.

– Wiesz, dokąd popłynął?

– Moim zdaniem wrócił do St. John's.

– Ale *dłaczego?* – Uderzyła ręką w udo, by podkreślić to słowo.

– Boisz się, że dał sobie z tobą spokój.

Przytaknęła.

– Nie wyglądał mi na takiego, co by tak łatwo zmieniał zdanie – oznajmił.

Wstrzymała oddech; wreszcie głośno wypuściła powietrze.

– To znaczy, że jeśli ma powód, by trzymać się z daleka – stwierdziła – to będzie się trzymał z daleka.

– Tak mi się zdaje.

– Co mam robić?

Clive podszedł do drzwi i powiódł wzrokiem wzdłuż ścieżki, a potem dalej po wzgórzu, aż ku przeciwległej stronie zatoki.

– Tutaj ściany mają uszy – powiedział. Uśmiechnął się do niej przelotnie, ale nie był w stanie dłużej patrzeć jej w oczy.

Byli sam na sam po raz pierwszy od zeszłej jesieni, gdy pewnego pogodnego wrześniowego wieczora natknęli się na siebie na ścieżce pod Spell Rock. Clive sobie popił, ale tylko tyle, że wprowadziło go to w figlarny nastrój. Skłonił się przed Mercedes i nazwał ją miłą panią, po czym złapał ją i zaczął z nią tańczyć na trawie, odśpiewując parę fraz *The Tennessee Watz*. Śmiała się z niego tak, że z trudem utrzymywała się na nogach. Nagle Clive zatrzymał się i, wciąż przytrzymując Mercedes, popatrzył na nią

w taki sposób, że zechciała natychmiast mu się wyrwać. Nachylił się do jej twarzy. Zapach alkoholu i tytoniu, szorstkie wąsy. Odsunął się; stali tak, przyglądając się sobie nawzajem, ale po chwili Clive znowu do niej podszedł i tym razem pocałował ją tak naprawdę. Mercedes otworzyła przed nim usta tak, jak zdawał się tego pragnąć, oplotła jego szyję rękami. Jego język dotykał jej języka; była zaskoczona i przerażona, bała się, że jeśli go puści, to zatoczy się i padnie na ziemię.

W końcu Clive zaczerpnął powietrza i zerwał jej ramiona ze swoich barków. „Jezu, Jezu” – wyszeptał. Odszedł od niej, mierząc każdy krok, dziwacznie się kuląc, jakby próbował ukryć ranę. Mercedes patrzyła za nim, a w brzuchu kotłowało jej się jak w gnieździe os. Przez następnych kilka tygodni rozważała, czy podobało jej się to, że Clive ją pocałował. Ostatecznie stwierdziła, że nie – musiała jednak przyznać, że zastrzeżenia miała co do Clive’a, nie zaś co do samej czynności.

Nigdy nie wracali do tego incydentu, chociaż przezierał on przez każde słowo, które do siebie wypowiadali. Mercedes zdawała sobie sprawę, że Clive poczuł ulgę, gdy zobaczył ją z Wishem. Jakby to mogło uwolnić go od pewnej odpowiedzialności czy zobowiązania.

– Muszę dostać się do St. John’s – powiedziała.

Clive podniósł drewnianą chochlę i zaczął bez przekonania mieszać płyn w kotle.

– Po tym, jak pogrzebaliśmy małego Willarda Slade’a, odwiedził mnie pastor. Ostrzegł mnie, żebym się nie wtrącał.

– Powiedz mi, jak dostać się do St. John’s. O nic więcej nie proszę.

– Wiesz, Sadie, muszę tu jakoś żyć, kiedy znikniesz.

– Proszę.

Podszedł do drzwi i zaczął mówić, wpatrując się w Cove.

– Musisz dostać się do Fogo. Największe szanse będziesz miała, jeśli ukradniesz łódź, tak jak Wish.

– Clive, ja nie mam pojęcia, jak dopłynąć do Fogo.

– Zeszłego lata płynęłaś z nami na film. Fogo nigdzie się nie ruszyło. Opłyn przylądek, wypłyn na łowiska, na których ojciec zastawiał pułapki. A dalej na południowy wschód, aż w końcu trafisz na wyspę. Trzymaj się blisko brzegu. Najpierw zobaczysz Barr'd Islands u wejścia do zatoki, a potem Fogo. Ktoś stamtąd może odprowadzić do nas kuter. Będziesz potrzebowała pieniędzy, żeby popłynąć promem do miasta.

– Ile?

– Bez kabiny dolar pięćdziesiąt. To ostatnia cena, jaka obita mi się o uszy, ale może już być drożej. Kiedy wybuchła wojna, wszystko się popieprzyło. Znasz kogokolwiek w St. John's?

– Znam Hirama.

Clive popatrzył na nią.

– *Jesus loves the little children* – powiedział.

—

Tej nocy zwierzyła się Agnes ze swoich planów. Podejrzewała, że siostra również trochę podkochiwała się w Wishu. Postanowiła jej zaufać wyłącznie na podstawie tego przypuszczenia.

Ag podparła się na łokciu.

– Jak zamierzasz dostać się do miasta?

– Zostaw to mnie. Ale będę potrzebowała twojej pomocy, Ag. Rano, kiedy zauważą, że mnie nie ma, powiedz, że przed świtem poszłam do Gooseberry Cove.

– A po co miałabyś tam iść?

– Powiedz, że byłam roztrzęsiona. Miałam koszmary. Chciałam trochę pobyć sama.

Agnes ułożyła się z powrotem i wtuliła się w ramię siostry.

– Zauważą, że łódź zniknęła. Od razu.

Mercedes chciała zaprzeczyć, jakoby miała plany co do łódki, ale wiedziała, że to bezcelowe. Zawsze była zaskoczona, gdy siostra okazywała się sprytniejsza od niej.

– Możesz wypłynąć w niedzielę – podsunęła jej Ag. – W ten sposób zyskasz godzinę czy dwie, zanim ktokolwiek zejdzie nad wodę. Może nikt nie zauważy, dopóki nie skończy się nabożeństwo.

– A więc w niedzielę – oznajmiła Mercedes. – Wtedy wypłynę.

– Sade, masz w ogóle jakieś pieniądze?

– Zamknij się, Agnes.

– Co ci doskwiera, dziecko?

Mercedes sądziła, że babka śpi albo błędzi po swoim własnym świecie. Na dźwięk jej głosu szybko podniosła wzrok. Nawet się nie przywitały, kiedy dziewczyna usiadła na łóżku z miską ciepłej wody i rozwiązała wstążkę przy koszuli nocnej staruszki.

– Nic mi nie doskwiera – stwierdziła.

– Łżesz jak pies.

Mercedes przekrzywiła głowę i przez chwilę wpatrywała się w sufit.

– Być może.

– Jak ci na imię, kaczuszeko?

– Sadie. Mercedes.

– Mercedes – powtórzyła jej imię Sarah i gwałtownie odrzuciła głowę do tyłu, zdumiona jego obcym brzmieniem.

Obmywając bladoszare ramiona, dziewczyna czuła na sobie badawczy wzrok babki. Ciało w jej rękach było wiotkie i pozbawione życia; zdawało się, że w tym momencie staruszka zamyka się wyłącznie w świdrujących niebieskich oczach.

– Wiem, co ci dolega – stwierdziła Sarah.

– No, cóż takiego?

– Jesteś zakochana.

– Tak ci się zdaje?

– Jesteś jak szkuta wypełniona wodą, ot co. Zalana po brzegi.

Bredzenie staruszki czasami wydawało się niepokojąco spójne. Brała rodzinę za obcych, czasami myślała, że sama ma kilka krzyżyków mniej, a mimo wszystko, jakby dla przeciwwagi, potrafiła być nadzwyczaj spostrzegawcza i rozumować niezwykle jasno.

– Nie pozwól, by przeszła ci koło nosa – powiedziała babka. – To moja rada. Spójrz na mnie. Poznałam, co to miłość, chociaż może teraz ci na taką nie wyglądam. – Wskazała brodą swój nagi tors, niemal zupełnie zwiędłe piersi, ciemne sutki wskazujące przeciwne strony świata. – Pewnego dnia też będziesz tu leżeć – oznajmiła. – Gwarantuję ci. – To było zwykłe stwierdzenie faktu, powiedziała to bez najmniejszego rozzalenia. – Nie pozwól, by miłość przeszła ci koło nosa, gdy jest dość blisko, by się jej chwycić.

Mercedes obejrzała się przez ramię na drzwi sypialni.

– Potrzebuję pieniędzy – oznajmiła. – Muszę dostać się do St. John's.

– To tam jest twój mężczyzna?

Skinęła głową.

– Dobrze cię traktuje?

– Tak.

– Zamierza cię poślubić?

– Myślę, że tak – odrzekła. – Tak, zamierza.

Sarah uśmiechnęła się do niej.

– Wiesz, kiedyś to było nasze łóżko. Moje i Gaskera. Sypiałam tu jeszcze lata po jego śmierci. Dopóki Aubrey się nie ożenił. – Odchyliła głowę najdalej, jak mogła i popatrzyła za siebie, na ramę z kutego żelaza. Drżącą ręką wskazała lewą nogę łóżka. – Zajrzyj tam.

Gałkę wieńczącą nogę dało się zdjąć, a w pustej rurze tkwiła paczuszka ciasno zawinięta w brązowy papier. Babka poklepała dłonią kołdrę.

– Połóż tutaj – poleciła. – Zdejmij sznurek.

W środku znajdował się zwitek nowofundlandzkich dolarów – jedynki i dwójki, piątka. Do tego garść monet w woskowanym papierze. Obrączka ślubna, którą babcia zdjęła na zawsze w dniu pogrzebu męża.

Sarah popatrzyła na wnuczkę z powściągliwą dumą.

– Odkładam jeden czy dwa banknoty, gdy uda mi się coś wyżebrać.

Mercedes wyobrażała sobie, że babka musi być szczęśliwa, iż udało jej się zachować dla siebie ten kawałeczek małżeńskiego łoża synowej, że czerpie swego rodzaju perwersyjną przyjemność z faktu, iż przywłaszczyła sobie skrawek prywatności. Niechęć staruszki do Helen kwitła na wszystkich polach. Sarah odnosiła

się z dezaprobatą do jej kuchni, ubioru, zachowania w towarzystwie, braku skupienia w kościele. Z Helen nie była wcale jakaś mdła niedojda. Nawet Sarah musiała jej to przyznać: Helen nigdy nie użalała się nad sobą. Nie była jednak stąd. Mercedes czuła, że nawet po tylu latach spędzonych w Cove matka wciąż skrywa przed wszystkimi coś istotnego. To jej samotnictwo sprawiało, że wydawała się słaba, a babka bezlitośnie rozdrapywała właśnie tę ranę. Tak było aż do momentu, gdy staruszka zmieniła zdanie pod wpływem choroby, która ją powaliła. Niemal z dnia na dzień Sarah zaczęła domagać się opieki Helen. Towarzystwem innych gardziła; potrafiła atakować ich bez ostrzeżenia w słowach tak plugawych, że Agnes uciekała do swojego pokoju we łzach.

– Kobieta jest opętana, ot co – powiedziała matka pewnego wieczora, gdy siedzieli w kuchni, wysłuchując ohydnych zniewag dobiegających zza ściany.

– Nie wygaduj pod naszym dachem takich papistycznych bzdur – syknął ojciec.

– Tylko mówię, co myślę.

Gdy staruszka dostawała swoich napadów, Mercedes nie potrafiła nie przyznać matce racji. Tego ranka babcia była jednak pełna optymizmu, pogodna i upiornie rzeczowa. Wskazała zwitek banknotów leżący na skraju łóżka.

– Weź, ile ci potrzeba – powiedziała. – Obrączkę też. Powiedz swojemu mężczyźnie, kto ci ją dał. Powiedz, że Sarah Parsons. Z wyspy Little Fogo.

Mercedes odliczyła dziesięć dolarów – siedem w banknotach i trzy w drobnych – po czym oddała resztę pieniędzy, nie

sprawdzając, ile tam w sumie było. Obróciła obrączkę na dłoni: skromne złote kółko z wygrawerowanymi inicjałami babki.

– Przymierz – podsunęła Sarah.

– Babciu, jesteś pewna, że chcesz mi ją oddać?

– Jak to ci było na imię, dziecko?

– Mercedes – odrzekła. – Sade. Twoja wnuczka. Nie poznajesz mnie?

– Kiedy zwlokę się z tego łóżka – stwierdziła Sarah – porządnie nażrę się ziemniaków.

– Babciu?

Staruszka była już gdzie indziej. Mercedes włożyła obrączkę do paczuszki i wepchnęła ją z powrotem w nogę łóżka. Zabrała swoją garść dolarów, podniosła z podłogi miskę z wodą i wyszła z izby.

Na dobre kilka godzin przed świtem Mercedes poszła na koniec pomostu i przyciągnęła łódź, powoli wybierając mokrą cumę. Wiatr nawet nie szepnął, jakby cała zatoka wstrzymała oddech. Ponad nią odłamek księżyca wywrócony na plecy, z jedną gwiazdą zawieszoną u dołu, niczym haczyk ciągnięty na sznurku. Nie mogła uruchomić silnika w zatoce, wyłożyła więc wiosła i szarpnęła, zmagając się z ciężarem łodzi. Obróciła ją dziobem w stronę wyjścia z zatoki i zaczęła płynąć ku otwartemu morzu. Kuter miał czternaście stóp długości, nie był przeznaczony do samotnych podróży na wiosłach. Gdyby odpływ nie działał na jej korzyść, Mercedes w ogóle nie zbliżyłaby się do wyjścia z zatoki. Zdawało się jej, że to musi być najwolniejsza ucieczka w historii świata.

Poprzedniego popołudnia udała się na grób ojca, by pożegnać się już po raz drugi w ciągu tygodnia. Ku jej zaskoczeniu teraz

rozstanie wydawało się bardziej ostateczne.

– Odchodzę – powiedziała na głos. – Opuszczam Cove. – Jakby musiała dać mu szansę na okazanie sprzeciwu jakimś znakiem. Ojciec nigdy nie udzielał Mercedes niczego na kształt rad. Tego akurat obojgu pod dostatkiem dostarczała babka. Z zasady Aubrey wyrażał swoje opinie, subtelnie zmieniając postawę ciała, przesuając stojący przed nim kubek herbaty w prawo lub w lewo, przekrzywiając głowę, zaciskając wargi.

Tylko raz zdarzyło się, żeby otwarcie o czymś z nią porozmawiał. Kiedyś wrócił pijany, gdy reszta domowników położyła się już do łóżek. Mercedes jeszcze nie spała; czekała na odgłos kroków ojca na schodach. W końcu zeszła do kuchni, żeby zobaczyć, co go tam tak długo zatrzymuje. Aubrey, wciąż w płaszczu i butach, cicho pochrapywał na leżance. Nigdy jeszcze nie widziała ojca pijanego; gdy ściągała mu buty z nóg, czuła, że jego oddech pachnie alkoholem. Obudził się, gdy go unosiła, próbując wyplątać jego rękę z rękawa płaszcza.

– Moja kochana córeczka – ucieszył się.

– Nic nie mów, zaraz to z ciebie zdejmę.

Gdy Mercedes szarpała się z płaszczem, głowa ojca kiwała się bezwładnie, opadając co chwilę na jego barki.

– Gdzie byłeś?

– Na nabrzeżu Clive’a – zachichotał. – Trochę sobie pogawędziliśmy.

Nie minęły jeszcze dwa tygodnie od dnia, gdy Clive ją pocałował. Wzmianka o nim sprawiła, że Mercedes zalała się rumieńcem.

– Lepiej dzisiaj śpij w kuchni – powiedziała.

– Powiem parę słów. – Usiadł prosto i sam zdjął płaszcz. – Zanim zasnę, powiem parę słów.

– Zgoda, pod warunkiem, że cicho.

Przez kilka minut gadał bez ładu i składu, nie próbując nawet jasno określić tematu.

– Jak jegomość ma na to chrapkę, to trzymaj go na dystans. Facet jest w stanie powiedzieć kobiecie wszystko, byle dostać, czego chce. To równie pewne jak to, że koty srają. A im słodsze słówka ci prawi, z tym mroczniejszej czeluści one płyną. Nie żebym sam coś o tym wiedział.

W tym momencie przerwał, a jego głowa znowu zakołysała się do przodu.

– W porządku – powiedziała Mercedes, sądząc, że to już koniec. – A teraz się połóż.

Podniósł głowę i powiedział: – Sadie, nie pozwól, żeby mężczyzna zrobił z ciebie kurwę.

Dopiero jako młoda kobieta zaczęła dostrzegać, jak efektywne było bardziej subtelne podejście ojca do udzielania rad. Zdała sobie sprawę z tego, jak często przed podjęciem decyzji zastanawiała się, co on by pomyślał; wyobrażała sobie, jak przekrzywiłby głowę, czy wyraziłby aprobatę, czy wątpliwości. Podejmując decyzję, że opuści Cove, czuła, iż jest to wybór dokonany niemal w porozumieniu z ojcem, za jego błogosławieństwem. A jednak na cmentarzu, gdy stała nad świeżym kopcem ziemi, to przekonanie ją opuściło.

Wiosłując, siedziała twarzą do domów i nabrzeży, od których oddalała się z każdym ruchem ramion. Wszystkie budynki ukrywały się przycupnięte w ciemnościach nocy; widać były tylko

najogólniejsze zarysy. Gdy dotarła do wejścia do zatoki, ułożyła wiosła wzdłuż burt i odczekała chwilę, żeby uspokoić oddech. Łódź kiwała się na rozfalowanych wodach otwartego morza. Mercedes wpatrywała się w południowe brzegi zatoki, chcąc po raz ostatni popatrzeć na dom, w którym się wychowała, ale okrywały go ciemności, już go straciła.

Dziewczyna stanęła przy silniku i uruchomiła go, a warkot, który nagle wdarł się w ciszę, o mało nie powalił jej na dno łodzi. Usiadła przy rumplu i skierowała kuter dalej od brzegu, biorąc kurs na południowosходni przylądek.

2.

W St. John's lało jak z cebra; deszcz zacinał na ściany budynków przy Water Street. Mercedes stała pod sklepową markizą, która tylko chwilami osłaniała ją przed ulewą. Na wystawie zatrzesienie świeżych jabłek. Za nimi piecyki, zastawa stołowa, wiadra i żeliwne kociołki podwieszane pod krokwiemi. Samochody i ciężarówki przejeżdżały z turkotem to w jedną, to w drugą stronę, ochlapując chodniki strumieniami wody. Nieopodal stała węglarka zaprzęzona w konia uwiązanego do latarni. Zwierzę z klapkami na oczach płoszyło się na łoskot przejeżdżającego tramwaju. Po chodniku przebiegła truchtem grupa żołnierzy chylących głowy przed strugami deszczu. Nikt nie zwracał na Mercedes najmniejszej uwagi.

Gdy prom wpływał za pilotem w przesmyk Narrows, Mercedes zwróciła uwagę na bliźniacze wieże bazyliki. Zamierzała użyć ich jako drogowskazu podczas wędrówek po mieście, orientować się według położenia iglic, te były jednak teraz niewidoczne. Clive

podzielił się z nią szczątkowymi wskazówkami dotyczącymi drogi do zakładu Hirama, zapamiętanymi z podróży, którą odbył przed wielu laty: „Znad wody prosto pod górę, a gdy będziesz pod Kirkiem, odbij lekko na wschód. Jeśli dojdiesz pod bazylikę, to jesteś już za daleko”. Były to instrukcje podobne do tych opisujących drogę do Fogo, jednak w porównaniu z tamtymi wydawały się bezużyteczne.

Nie widziała nic ani na północ, ani na południe, jedynie budynki stojące po obu stronach ulicy. Czuła się tak, jakby miała na oczach identyczne klapki jak stojący obok koń. Na całej długości Water Street co chwilę odchodziły od niej inne ulice, biegnące znad wody w górę zbocza. Wszystkie nie mogły przecież prowadzić do Hirama. Nawet gdyby udało jej się znaleźć jego zakład, to istniała szansa, że Hiram odbywa akurat jedną ze swoich wypraw wzdłuż wybrzeża i nie wróci przez tydzień albo i dłużej. A Wish zapewne razem z nim.

– No, Mercedes – powiedziała na głos. Przycisnęła do piersi swój tobołek z ubraniami. Sklepy pełne ludzi, a ona po raz pierwszy w życiu zbyt onieśmielona, aby się z kimkolwiek przywitać. – W coś ty się tu wpakowała?

Była zbyt zmarznięta, by dłużej stać w miejscu. Wyszła spod markizy i ruszyła na wschód, po prostu dlatego, że ulica ciągnęła się jeszcze dalej w tamtą stronę. Schyliła głowę, osłaniając ją przed deszczem. Na każdym skrzyżowaniu zerknęła na ulice biegnące pod górę, a gdy w prześwicie jednej z nich dostrzegła bazylikę, skręciła i zaczęła wspinać się na strome wzgórze. Dostrzegła również masywny, ceglany kościół, który – jak zakładała – musiał być prezbiteriańskim Kirkiem, pod nim

skręciła więc na wschód. Za rogiem ujrzała skrzyżowanie, na którym kilka ulic przecinało się pod dziwaczными kątami, tworząc kształt poskręcanej koniczyny. Deszcz spływał Mercedes z przemoczonych włosów; przetarła twarz, by woda nie lała jej się do oczu. Samochody przejeżdżały obok po nawierzchni pełnej wybojów, zalewając strumieniami wody, i tak już przemoczone, ubrania Mercedes. Brudna deszczówka spływała jej do butów. Labirynt ulic nie miał żadnego sensu.

W budce pośrodku koniczyny stał mężczyzna w policyjnej czapce, obsługujący osamotniony sygnalizator. Mercedes kilka razy bez powodzenia próbowała wbiec w przerwę między nadjeżdżającymi samochodami, aż za którymś razem wreszcie udało jej się przebiec do policjanta.

– Zginiesz, jak będziesz tak przechodzić przez jezdnię—zganił ją.

– Szukam Hirama – oznajmiła. – Wyświetla filmy na wybrzeżu.

– Hirama Keepinga?

– Zna go pan?

– Wszyscy znają Hirama.

Jego wskazówki zdawały się jej pozbawione sensu. Pokazywał coś ręką, wymieniał ulice i skrzyżowania.

– Pierwszy raz w mieście, co? – spytał. Zmienił światła, a samochody zaczęły nadjeżdżać ku nim z innych stron. Sfrustrowany policjant popatrzył za plecy Mercedes. Zawołał młodą kobietę idącą pospiesznie chodnikiem. – Amy! – krzyknął, machając do niej. – Amy, chodź, mam do ciebie sprawę.

Głowę kobiety osłaniała przed deszczem chusta. Czarne włosy, brązowe oczy. W jej twarzy, w kolorze jej skóry było coś obcego, coś, co przepełniło Mercedes niepokojem.

Mężczyzna w czapce powiedział: – Ta mała szuka Hiram Keepinga. Podprowadź ją do niego, dobrze?

Zakład Hiram mieścił się od frontu w jednym z domów w Georgestown. Na zewnątrz nie było żadnego szyldu, który określałby jego charakter. W środku unosił się zatęchły zapaszek kwasu, stale panował półmrok, okna były bowiem zawsze zasłonięte. Mercedes dostrzegła ladę zarzuconą puszkami na filmy, obok kilka aparatów skrzynkowych na statywach. Za drzwiami przy schodach nieduży gabinet z zawalonym biurkiem.

Hiram pośpiesznie zszedł po schodach. Wyglądał tak, jakby właśnie uciął sobie drzemkę.

– Cześć, Amy.

– Hiram, przyprowadziłam kogoś, kto chce z tobą porozmawiać.

– A któż to może być?

– Mercedes. – Dziewczyna podeszła bliżej. – Mercedes Parsons.

Hiram spuścił głowę i zaczął poklepywać kieszenie spodni, z przodu i z tyłu, jakby szukał okularów albo tytoniu.

– Mercedes Parsons–wymamrotał, nie podnosząc na nią wzroku.

– Sadie. Z Little Fogo. Wish jest teraz u ciebie? Uciekł łodzią mojego ojca, a potem w Fogo wsiadł na prom do St. John's. To było tydzień temu. Przyjechałam, żeby go znaleźć.

Hiram przeszedł do gabinetu. Mercedes poszła za nim i zatrzymała się w drzwiach, przyglądając się, jak Hiram nalewa

sobie do szklanki whisky na grubość palca. Słyszała, jak woda z jej przemoczonych ubrań kapie na drewnianą podłogę. Jej uszu dobiegł również klekot, który dopiero po chwili powiązała ze swoimi szczękającymi zębami.

– Sadie, czy ktoś tu z tobą przyplłynął?

– Przyplłynęłam sama.

– Nie wiem, gdzie on jest. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Przyjmij wyrazy współczucia. Natomiast co do Wisha, to nie jestem w stanie ci pomóc.

Mercedes trzęsła się z zimna.

– Nie ma nic, co mógłbym ci jeszcze powiedzieć – dodał Hiram.

Amy przyszła korytarzem i złapała Mercedes za ramię.

– Chodźmy – szepnęła.

Mercedes wyrwała się jej.

– A więc Wish w ogóle tu nie zaszedł? Nie siedzi chyba teraz na górze, co?

Amy znowu pociągnęła Mercedes za ramię i ruszyła ku drzwiom, nie puszczając rękawa jej płaszcza.

– Ja nie chciałem nikogo skrzywdzić! – zawołał za nimi Hiram.

—

Dziewczyny stanęły przed domem w strugach zawziętego deszczu. Mercedes wodziła wzrokiem po bezimiennej ulicy.

– Nie znasz tu zupełnie nikogo, co? – spytała Amy.

Mercedes pokręciła głową.

Amy złapała ją pod rękę i ruszyła w stronę, z której przyszły. Mercedes wiedziała, że dziewczyna ją prowadzi, nie zwracała więc uwagi na trasę, nie zadawała żadnych pytań. Weszły do sklepu tylnymi drzwiami, które prowadziły wprost do kuchni. Amy

posadziła Mercedes w bujanym fotelu przy piecyku węglowym, po czym pogoniła od stołu dwoje dzieci i poszła za nimi na piętro.

W kuchni królował stół, przy którym mogło zasiąść osiem osób, może więcej. Powietrze było gęste od ciepła i zapachu sączonego się z kociołka bulgoczonego na piecyku. Z pewnością woń baraniny – Mercedes nie potrafiła jednak nazwać żadnej z przypraw, które jej towarzyszyły. Zaczęła bujać się w fotelu. Nie miała pojęcia, co to mogło oznaczać: Wish albo nie wrócił do St. John's, albo wrócił, lecz nie odwiedził Hiram. Albo Hiram skłamał. Wcześniej wyobrażała sobie, że po prostu zejdzie się z Wishem i tyle. Nie miała pojęcia, co dalej robić.

Mężczyzna w średnim wieku wszedł do kuchni od strony sklepu. Zatrzymał się, gdy zobaczył dziewczynę. Miał sumiaste wąsy i najciemniejsze włosy, jakie Mercedes widziała w życiu, tak czarne, że zdawały się błyszczeć. Ona była przemoczona, a długie pasma rozpuszczonych włosów kleiły się jej płasko do czoła i policzków.

– Okropny dzień – zagał mężczyzna.

Uderzył ją sposób, w jaki powiedział „okropny”. Jakby coś tkwiło pod jego językiem. I te kruczoczarne włosy. W jego zachowaniu, w przedziwnym akcencie kryło się coś mgliście niebezpiecznego.

– Musiałaś przybyć z daleka.

Skinęła głową.

Spojrzał w stronę schodów i krzyknął coś w języku niemającym wiele wspólnego z angielskim. – Gdzie mieszkasz, panienko? – spytał.

– Na wyspie Little Fogo.

Brwi mężczyzny uniosły się z zaskoczenia.

– Odeszłam – wytłumaczyła. – Uciekłam.

Amy wróciła z góry wraz z drugą kobietą, niosąc ręcznik i naręcze suchych ubrań. Zamieniła kilka niezrozumiałych słów z mężczyzną, który odwrócił się do Mercedes i powiedział: – To moja bratanica Amina. – Jakby potrzebna była oficjalna prezentacja.

– Ten płaszcz jest przemoczony na wylot – stwierdziła Amy. W jej akcencie pobrzmiwała czysta Nowa Fundlandia. – Zdejmij go.

– Uciekła – obwieścił wuj dziewczyny. – Jesteś uchodźcą, tak? – zapytał, uśmiechając się do Mercedes.

– Jak ci na imię? – spytała nieznajoma kobieta.

– Mercedes Parsons.

Dziewczyna klęczała przed nią i szarpała się z jej butami. Mercedes nachyliła się do przodu i szepnęła: – On jest Portugalczykiem?

– Jesteśmy z Libanu. – Uśmiechnęła się do Mercedes, ściskając rękami jej stopę, by wtłoczyć w nią nieco ciepła. – To mój wuj Sammy.

– Nie do końca – wtrącił się wuj Aminy. Zaczął wypisywać litery w powietrzu. – S-A-M-A-R – przeliterował. – Samar. Ale w waszym kraju Sammy.

Co jakiś czas dzieci w różnym wieku wchodziły do kuchni, by przyjrzeć się dziewczynie siedzącej przy piecyku.

– Wszystkie wasze? – spytała kobietę Mercedes.

– Czwooro naszych. Reszta to bratanice i bratankowie.

– Ale mamy nadzieję na więcej – rzucił Sammy.

– Ty masz nadzieję na więcej – odparła jego żona. Była zadziwiająco wysoka, wzrostem dorównywała mężowi. Miała

jasną cerę i niemal złote włosy, a choć z mężem i Aminą mówiła po arabsku, w rozmowie z Mercedes posługiwała się jeszcze inną angielszczyzną niż tamtych dwoje.

– Ależ, Maya, taka jest wola boża – nalegał mąż.

– To niech Bóg odwali za mnie część roboty.

Podczas sprzeczki oboje się uśmiechali.

– Powinienem był wiedzieć – stwierdził Sammy – że lepiej nie żenić się z Żydówką.

– I to z irlandzką Żydówką – dodała Maya, podkreślając, jak srogi popełnił błąd.

– To przez muzykę – wyjaśnił. – Ożeniłem się z nią przez te... Znasz te irlandzkie piosenki? – spytał Mercedes. Odśpiewał kilka pierwszych wierszy *Carrickfergus* wysokim, słodkim tenorem, a wszelki ślad po jego akcencie zaginął.

Zapach wypełniający izbę znowu uderzył Mercedes; to, jak dziwne było jego zestawienie z tą melodią. Babka powiedziała jej kiedyś, że katolickich świętych rozpoznawało się po tym, iż po śmierci ich ciała wydzielały słodki zapach. To miał być kolejny przykład na to, jak absurdalna jest ta wiara; coś z tej samej półki co przeistoczenie, czyściec, całe to przyklęknięcie, żegnanie się i skrapianie kościoła wodą święconą. Było jednak w tym pomyśle coś, co wydawało się Mercedes prawdziwe. Że dusza danej rzeczy jest zamknięta w jej zapachu. To był jeden ze sposobów, w jaki oceniała wszystko, co napotkała na swojej drodze; to był jej najbardziej zaufany zmysł. Zawsze przysuwała przedmioty do nosa, by poczuć ich woń, by je jakoś umiejscowić.

Aromat bijący od piecyka był słodki i kwaśny zarazem, a dla niej całkiem egzotyczny. Ta obcość nagle ją przytłoczyła. Odniosła

wrażenie, iż oddała swój świat w zamian za inny, tak kompletnie odmienny, że nigdy go nie zrozumie. Wybuchnęła płaczem, na co Sammy urwał w pół zwrotki, z rękami wzniesionymi ponad głowę.

– Ty – powiedziała Maya, wskazując męża palcem – zostaw nas w kobiecym gronie.

Mężczyzna wrócił do sklepu, mrużąc coś pod nosem w swoim ojczystym języku.

Gdy przebrały Mercedes w suche ubrania i posadziły opatuloną kocem przy piecyku, izba zaczęła wypełniać się innymi dorosłymi. Wszyscy mieli takie same czarne włosy wszyscy mówili po arabsku. Mercedes przedstawiano wszystkich po kolei, mężczyźni wracali ze stoczni na zachodnim brzegu przystani, kobiety z kanadyjskiej bazy wojskowej, gdzie pracowały jako dozorkynie. Witali dziewczynę tak, jakby spodziewali się ją tutaj zastać. Ich fizyczność była uderzająca. Ich skóra błyszczała tak, jakby ktoś zanurzył ich w oleju.

Rodzice Aminy byli smukli i zdawali się wątli, to wrażenie przekreślała jednak otaczająca ich namacalna aura wigoru. Tony Basha był niemal całkiem łysy i obnosił się z cieniutkim wąsikiem.

– To ta dziewczyna, którą doprowadziłeś do łez, Sammy? – zapytał.

Podczas gdy Amina zdawała relację z tego, co zaszło od pojawienia się Mercedes, Rania usiadła obok zmarzniętej dziewczyny i złapała ją za rękę. Sama wyglądała na może parę lat starszą od swojej córki.

– Jesteś całkiem sama? – spytała Rania.

Mercedes przytaknęła.

– Ile masz lat?

– Szesnaście, proszę pani. A pani?

Rania uśmiechnęła się. Mercedes pomyślała, że jej górne zęby wydają się zbyt duże w stosunku do ust, a do tego lekko wystają. To jednak nie szpeciło jej pięknej twarzy.

– Ależ to bardzo niegrzecznie pytać damę o coś takiego.

Zanim Mercedes przyszło do głowy, żeby ugryźć się w język, powiedziała: – Pani sama mnie spytała.

– Owszem. Spytałam. Masz prawo pytać o to samo. Ja nie będę jednak tak głupia, by odpowiedzieć. – Spoważniała, uważnie przypatrując się Mercedes. – Wydaje mi się, że masz kłopoty. Z tym chłopakiem, Wishem. Zgadza się?

Mercedes odwróciła wzrok od Ranii i spojrzała na Aminę.

– Wish narobił ci kłopotów, a potem od ciebie uciekł – dopowiedziała Rania.

– Nie.

Rania spróbowała jeszcze raz: – Wish zostawił cię, zanim dowiedziałas się o kłopotach. A teraz przyjechałaś, żeby mu powiedzieć.

– Nie – stwierdziła Mercedes. – Nic z tych rzeczy. Kobiety wymieniły spojrzenia.

– Co zrobisz, gdy znajdziesz tego chłopca? – spytała Rania.

– Wyjdę za niego.

– A co zrobisz... – zaczęła. – Co, jeśli go nie znajdziesz? Mercedes odrzekła: – Wtedy... – Nagle zdała sobie sprawę, że nigdy nie rozważała takiej ewentualności. – Wtedy będę na niego czekać.

Rania skinęła głową.

– W takim razie mam nadzieję, że go znajdziesz. Nie chciałabym, żebyś strwoniła życie, czekając.

—

Czereda zebrana przy kolacji była niesamowicie hałaśliwa, wszyscy wrzeszczeli i żywo gestykulowali. Mercedes nie potrafiła odróżnić, kiedy się kłóca, a kiedy żartują. Prawie nie tknęła jedzenia. Czuła się całkiem wymięta, wciąż trzęsła się z chłodu. Ojciec był martwy i spoczywał w ziemi, a ona nie mogła już wrócić do domu. Pochyliła głowę nad talerzem i znowu zaczęła płakać.

– Widzicie – ogłosił Sammy, machając obiema dłońmi – ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Zamknij się, Samar – ofuknęła go Maya.

Rania i Amina zaprowadziły Mercedes na piętro i ułożyły ją w jednoosobowym łóżku. Amina siedziała przy niej, dopóki się nie uspokoiła i nie pogrążyła w kojącym śnie.

Gdy Mercedes się obudziła, w domu panowała cisza. Odciągnięta zasłona wpuszczała do izby słońce. Ten spokój zaczął ją na nowo usypiać, odwróciła się na drugi bok i mało brakowało, a ponownie by zasnęła, gdyby nagle nie zorientowała się, gdzie się znajduje. Zrzuciła z siebie kołdrę. Wciąż miała na sobie sukienkę, którą dali jej, gdy rozebrali ją z mokrych ubrań.

Gdy zeszła na dół, Amina i Maya właśnie wieszały pranie na tyłach. Za domami ciągnęły się niezliczone rzędy linek obciążonych ubraniami. Zapach dymu z piecyków węglowych, monotony szum ruchu ulicznego.

Mercedes przyglądała się im, dopóki same nie zwróciły na nią uwagi.

– Chyba się przejdę – oznajmiła.

– Dokąd? – spytała Maya.

Wzruszyła ramionami. Ponad linką z rozwieszonym praniem dostrzegła czubek Signal Hill.

– Na górę – odparła. Tylko po to, by mieć jakiś cel.

– Amina cię zaprowadzi – powiedziała Maya.

Mercedes miała nadzieję, że uda jej się wymknąć w pojedynkę, nie miała jednak pojęcia, jak odmówić, nie raniąc ich brakiem wdzięczności za ich wielkoduszność.

– To bardzo miło.

Droga na Signal Hill była zaskakująco stroma i kręta. Co jakiś czas przejeżdżały koło nich wojskowe samochody wlokące się pod górę. Żołnierze pogwizdywali i machali do nich ze skrzyni jednej z ciężarówek z trudem podjeżdżających pod stromizną, tak że dziewczyny musiały zwolnić kroku, by zwiększyć dzielący ich dystans. Słońce późnego poranka oświetlało trzymające się kurczowo zbocza domy dzielnicy Battery. Naga skała czerwona jak mokra glina.

– Mama mówi, że nie będzie już nigdy bliżej Libanu, niż wówczas gdy patrzy na to światło – powiedziała Amina.

– A gdzie jest Liban?

– Wiesz, skąd pochodził Jezus?

– Z Betlejem. Z Galilei.

– To w tych stronach.

– W Ziemi Świętej?

Amina skinęła głową.

– Dlaczego opuściliście Ziemię Świętą i przyjechaliście w takie miejsce? – spytała Mercedes.

– Jesteśmy chrześcijanami.

– To chyba jeszcze nie powód?

– Tam źle się nam działo. Tylko tyle wiem. Wtedy byłam jeszcze malutka.

Nie odezwały się już słowem, dopóki nie dotarły pod Cabot Tower i nie obejrzały się na miasto. Port był wypełniony parowcami, okrętami marynarki, dwumasztowymi szkunerami suszącymi postawione na słońcu żagle. Mercedes zawsze wyobrażała sobie Ziemię Świętą podobnie jak ogród Eden – miejsce prawdziwe, ale już zagubione w czasie. Nienaruszalne, niedostępne dla żywych, oddychających śmiertelników. Amina oznajmiła, że w Ziemi Świętej źle się działo. To sprawiło, że własne problemy wydały się Mercedes niedorzeczne i zarazem całkiem nie do rozwiązania.

– Co teraz zrobisz? – spytała Amina.

– Nie wiem. – Żałowała, że nie może porozmawiać z Agnes, która doradziłaby, co dalej czynić. Wszędzie wokół czerwone skały opadały stromymi klifami ku oceanowi migoczącemu setki stóp poniżej, a Mercedes poczuła posępny powab tej przepaści. To była myśl przelotna, lecz jakże pociągająca.

Amina położyła dłoń na ramieniu Mercedes, jakby dostrzegła ten impuls w wyrazie jej twarzy.

– Wish nie jest z miasta, prawda? – spytała.

– Nie – odrzekła Mercedes. – Jest z Renew's. – Dopiero po chwili zrozumiała, co sugeruje dziewczyna. – Myślisz, że właśnie tam pojechał?

– A przynajmniej ktoś może mieć tam o nim jakieś wiadomości.

– Nie wiem – zasepiła się Mercedes, wciąż próbując ogarnąć umysłem ten prosty, zdroworozsądkowy pomysł – nie wiem, jak

się tam dostać.

– Porozmawiam z mamą.

Rania podłożyła sobie złożone ręce pod brodę, wzrok utkwiała w punkcie położonym gdzieś nad głowami dziewcząt. Wszyscy zebrani przy stole zamilkli, czekając na jej werdykt.

– To się nie godzi, żeby dziewczyna latała samopas po kraju – oznajmiła.

Amina położyła rękę na ramieniu Mercedes, nakazując jej milczenie.

– Czy Wish ma tam rodzinę? – spytała Rania.

– Jego rodzice dawno nie żyją – wyjaśniła Mercedes. – Po śmierci matki mieszkał przez jakiś czas z ciotką. – Tylko tyle wiedziała o Lilly. Gdy wyobraziła sobie spotkanie z tą kobietą, poczuła niepokój na myśl o tym, że Wish z takim rozmysłem pomijał ją w rozmowach.

Rania pokiwała głową.

– Niech się nad tym zastanowię.

Mercedes przygryzła wargę. Zerknęła na Aminę, która uśmiechała się do swojego talerza.

– Ale...–zaczęła.

Amina uszczypnięciem w nogę dała jej znak, żeby się zamknęła. Gdy Mercedes wyciągnęła rękę, żeby się od niej opędzić, ich dłonie zwały się pod stołem. Amina zerknęła na nią z ukosa, ostrzegając ją i dodając jej otuchy. Gnębiła ją dokładnie tak samo jak Mercedes swoją młodszą siostrę.

– Zastanowię się nad tym – powtórzyła Rania.

Amina jeszcze raz ścisnęła dłoń Mercedes i wstała, żeby posprzątać ze stołu.

Kiedy rozpoczęło się zmywanie talerzy, wszyscy mężczyźni wyszli z domu. Wynieśli ze sobą czarne pudła o tak dziwnych kształtach, że Mercedes nie potrafiła odgadnąć, co mogłyby zawierać.

– Lubisz tańczyć? – zapytała ją Maya.

Sala balowa była największym pomieszczeniem, w jakim Mercedes kiedykolwiek przebywała. Z trudem dostrzegała scenę ponad głowami tłumu. W powietrzu unosiła się mgiełka papierosowego dymu, która sprawiała, że zespół zdawał się stać za zasłoną z gazy. Większość mężczyzn na sali miało na sobie takie czy inne mundury. Kanadyjskie, brytyjskie, parę amerykańskich. Kobiety posadzono z przodu, przy stoliku pod samą sceną, na której mężczyźni z rodziny Bashów stali w swoich białych frakach i czarnych krawatach. Wypomadowane włosy mieli zaczesane do tyłu. Na bębnie basowym widniał napis „The Basha Orchestra”. Sammy skinął do nich głową znad swojej gitary.

Zanim wyszły z domu, Amina wymalowała Mercedes, nakładając jej przed toaletką róż, cień do powiek i szminkę. Mercedes, która nigdy nie nosiła makijażu, była zaskoczona swoją przemianą. Była przekonana, że nikt z Cove by jej nie rozpoznał. To fizyczne przeobrażenie zdawało się przystawać do jej obecnego położenia.

Rania zamówiła napoje bezalkoholowe i nachyliła się do Mercedes, by krzyknąć jej do ucha.

– Gdybyś chciała potańczyć, znajdę dżentelmena, który cię poprosi!

Mercedes nie rozpoznawała melodii utworów ani wyćwiczonych ruchów tancerzy. Zatłoczona sala przyprawiała ją o

klaustrofobiczny lęk. Kolorowe światła i kłęby dymu przywiodły jej na myśl piekło, które babka tak lubiła opisywać.

– Nie chcę tańczyć.

– Tak tylko teraz mówisz – odparła Rania.

Piosenka dobiegła końca, a Tony Basha przez parę chwil mówił coś do publiczności. Mercedes wytężyła słuch, ale w gwarze nie udało jej się wyłowić słów ze wzmocnionego przez nagłośnienie szmeru. Gdy Tony wyciągnął rękę ku narożnikowi sceny, młody mężczyzna w mundurze ruszył w stronę zespołu, niosąc trąbkę przy udzie.

Mercedes nachyliła się do Aminy.

– Kto to jest?

– Johnny Boustani. Amerykanin.

– Porządny libański chłopak – dodała Rania.

Johnny Boustani w swoim jednobarwnym mundurze wydawał się zupełnie nie na miejscu. Stał bokiem do mikrofonu, tak że nie należał ani do zespołu, ani do widowni; znajdował się we własnym świecie. Uśmiechał się do siebie, czekając, aż utwór popłynie dalej bez niego, trąbkę trzymał swobodnie przy biodrze i podnosił ją do ust na chwilę przed zagranieniem kolejnego dźwięku.

Mercedes nie miała pojęcia o muzyce, nie licząc znajomości hymnów zasłyszanych w kościele i paru ballad odśpiewywanych *a cappella* w kuchni. Nie wiedziała, jak nazwać dźwięk wydobywający się z instrumentu Johnny'ego Boustaniego. Jego gra przywiodła jej na myśl tę chwilę, gdy w wieku pięciu lat po raz pierwszy posmakowała jabłka. Drobne zmysłowe objawienie. Muzyka była równie słodka i czysta.

Skończywszy swój program z zespołem, Johnny Boustani podszedł do ich stolika.

– Z Pensylwanii – powiedziała Rania, po czym ponownie wygłosiła swą wcześniejszą ocenę: – Porządny libański chłopak.

Johnny skinął głową i uśmiechnął się bez słowa. Wyglądał na dużo młodszego, niż Mercedes się z początku zdawało, usiadł z przykurczonymi barkami, jakby kulił się z chłodu.

– Johnny jest w amerykańskim Korpusie Inżynieryjnym – zagaiła Rania. – Zakładają bazę.

– Łączność – wyjaśnił. – Jestem tylko łącznościowcem. – Mercedes wyczuła, że jest skromny z przyzwyczajenia.

– Johnny Boustani, mam dla ciebie propozycję – zaczęła Rania.

– Słucham panią.

– Dostaniesz jeszcze przepustkę?

– Łącznościowcy zawsze mają sporo wolnego czasu. – Nie umiał się opanować.

– Co byś powiedział na opiekę nad dwoma młodymi kobietami podczas dwudniowej wycieczki na południowe wybrzeże Avalonu?

– A konkretnie nad którymi młodymi kobietami miałbym roztoczyć opiekę?

– Ona chce płynąć, ale ja nie puszczę jej samej – odparła Rania, odwracając się do Mercedes. – Amina popłynie z tobą. A Johnny Boustani, o ile się zgodzi – uśmiechnęła się do niego – dotrzyma wam towarzystwa.

Mercedes opadła na oparcie krzesła, próbując ukryć konsternację. „Skąd ci ludzie się wzięli?” A pod zmartwieniami

poczuła wzbierający nurt ulgi, że tak niespodziewanie znalazła się pod czyjąś opieką.

—

Johnny Boustani stawił się po nie w pełnym umundurowaniu. Zielona meltonowa marynarka, bawełniana koszula i zielony wełniany krawat. Guziki przy marynarce miał wypolerowane, czarne buty wyczyszczone na błysk. Za to wojskowa czapka wyglądała na jego głowie trochę jak łódeczka odwrócona do góry dnem. Sprawiała, że wyglądał jak chłopiec bawiący się w żołnierza. Rania przedstawiła mu w drzwiach całą listę pouczeń dotyczących właściwych postaw i obyczajnego zachowania, a on na każde kiwał głową i mówił: – Tak jest, proszę pani.

Gdy kabotazowiec wypływał przez przesmyk Narrows, stali we trójkę przy relingu. Dziewczęta nałożyły kurtki, by osłonić się przed pierwszym prawdziwym chłodem tej jesieni. Johnny miał na sobie tylko swoją wojskową marynarkę.

– Pewnie marzniesz – zatroskała się Amina. – Schowaj się przed tym wiatrem.

– Jak mógłbym marznąć w towarzystwie dwóch pięknych pań?

– Nie chcesz chyba skompromitować mojej matki, co, Johnny?

– Oczywiście, że nie. Nie chcę. – Odchrząknął. – Ktoś mi wreszcie powie, po co ta cała wyprawa?

Mercedes spytała: – Dawno grasz na trąbce, Johnny Boustani?
– Nie potrafiła oddzielić „Johnny” od „Boustani”. Podobał jej się ten dziecinny rym; to, jak idealnie pasował do chłopaka.

– Nauczył mnie ojciec. Grałem na trąbce, odkąd sięgam pamięcią.

– Jesteś naprawdę dobry.

Jego policzki zalały się czerwienią; przytaknął z zakłopotaniem.

– Wy też – odparł. – To znaczy... – Odwrócił się od dziewcząt. – Jesteście naprawdę sympatyczne.

– Chyba powinienes na chwilę wejść do środka – stwierdziła Amina.

– No pewnie. Już idę. – Włożył ręce do kieszeni i pomaszerował w kierunku salonu dla pasażerów.

Kiedy zniknął za drzwiami, Mercedes spytała: – Czyżby się w tobie zakochał?

– Johnny Boustani zakochuje się w każdej – odrzekła Amina. – To tak dla twojej wiadomości.

—

Gdy prom wchodził do przystani w Renew, po przyładkach prześlizgiwał się nisko zawieszony wał chmur. W wodzie miejscami postrzępione skały, po północnej stronie nieduży klif z jałowcami, karłowatymi świerkami i widłakami uczepionymi najwyższych kamieni. Wyłonił się zza niego koniec zatoki, a za chwilę domy na północnym brzegu i kościół oszalowany białymi deskami. Składy na nabrzeżu Gooderiche'a.

Port zastawiony był dziesiątkami beczek z solonymi rybami, przygotowanych do załadunku na statki płynące do Europy i na Karaiby. Mężczyźni przyglądali się trojgu nieznanym i kłaniali się Johnny'emu na widok jego munduru.

– No? Co teraz? – spytał Johnny.

– Nie wiem.

– Może powinnaś porozmawiać z księdzem – podsunęła Amina.

Kościół stał nad małym strumykiem spływającym do zatoki. W okna na wszystkich trzech kondygnacjach wprawione były

wzorzyste, matowe szyby, czerwone, złote i białe. W świątyni paliło się kilka wotywnych świec. Główny ołtarz zwieńczony był wieżyczkami, najwyżej wznosiło się tabernakulum, po którego obu stronach przycupnęły skrzydlate anioły. Przechodząc przed ołtarzem, Amina i Johnny przyklęknęli, Mercedes zrobiła więc to samo. Johnny podszedł do drzwi na tyłach i zawołał kogoś z zakrystii.

Młoda zakonnica stanęła przed nimi i zmierzyła ich wzrokiem.

– Szukamy... – zaczął Johnny. Odwrócił się do dziewcząt.

– Kogo szukamy?

– Księdza – odparła Amina.

– Szukamy Lilly Berrigan – wyjaśniła Mercedes. – Znam jej siostrzeńca. Nazywa się Wish Furey. Miałam nadzieję.

– Księdza prałata teraz nie ma.

Twarz zakonnicy obrzeżał kwef, tak że jej włosów nie było w ogóle widać, a biała tkanina zakrywała również uszy i podbródek. Mercedes pomyślała, że coś w tej konfiguracji sprawiło, iż oblicze kobiety przypominało raczej twarz niemowlęcia. Fakt, że siostra przyglądała im się tak bacznie, że wypowiadała kompletne zdania, zbił dziewczynę z tropu.

– Ksiądz Power jest na plebanii.

– Czy Lilly wciąż mieszka w Renews?

– Lepiej pomówcie z monsignore – poradziła zakonnica.

– Chodźcie. – Minęła ich i udała się w stronę drzwi kościoła.

– Bardzo siostrze dziękujemy – powiedział Johnny, ruszając za nią.

Poprowadziła ich przez wąski mostek nad strumieniem, którego koryto w tym miejscu umocnione było łupkami. Mercedes

popatrzyła w górę zbocza; strumyk spływał z grotty za kościołem – wysokiej ściany ze spojonych zaprawą łupków, z niszą osłaniającą posąg kobiety.

– Kto to ma być? – spytała Mercedes. Amina dziwnie na nią spojrzała.

Czekali na korytarzu, podczas gdy młoda siostra rozmawiała z księdzem Powerem za zamkniętymi drzwiami.

– Mam przykłęknąć, kiedy przed nim stanę? – spytała Mercedes.

– Co?

– Tak jak wy w kościele?

– Pozwól, żebym to ja z nim porozmawiała – zaproponowała Amina.

Zakonnica przywołała ich do salonu, w którym ksiądz stał przy kominku. Miał na sobie czarne szaty przewiązane pasem, który przyciągał uwagę do jego potężnego brzucha.

– Wejdźcie, wejdźcie – powiedział niecierpliwie, gestykulując przy tym obiema dłońmi tak, jakby chciał ochlapać sobie ubrania wodą. Ustawili się przed nim w szeregu, a on założył ręce za plecy. Wpadające przez okno promienie słońca odbijały się od jego okularów w drucianych oprawkach w taki sposób, że nie było widać jego oczu.

– Dziękujemy, że zechciał ksiądz nas przyjąć – zaczęła Amina.

– Siostra Marion mówi, że szukacie Lilly Berrigan.

– Szukamy Wisha Fureya – oznajmiła Mercedes.

Amina szybko podjęła wątek.

– Mieliśmy nadzieję, że jego ciotka powie nam, gdzie go znajdziemy.

Kapłan zwrócił się do Johnny'ego Boustaniego.

– Co pana łączy z tymi dziewczętami?

– Mam być ich opiekunem podczas podróży, proszę księdza.

– Jesteście spokrewnieni?

– To przyjaciel rodziny – wyjaśniła Amina.

– Jesteście siostrami? – Wyglądało na to, że raczej w to powątpiewał.

– Nie, proszę księdza.

– Która z was poszukuje Aloysiousa?

– Ja – odezwała się Mercedes.

Ksiądz przez chwilę wpatrywał się w punkt ponad ich głowami.

– Jeśli wolno mi spytać, czego od niego chcecie? Czyżby wyrządził komuś krzywdę?

– Nie, proszę księdza. Jest... – Amina przelotnie zerknęła na Mercedes, po czym popatrzyła na kapłana. – Jest zaręczony z Mercedes.

– Zaręczony? – spytał Johnny Boustani.

– Zaręczony? – powtórzył prałat Power.

– Tak jest, proszę pana – oznajmiła Mercedes. – Znaczy, proszę księdza.

Na jakiś czas kapłan zamarł w absolutnym bezruchu, a w końcu wydał z siebie pomruk, który wydawał się mimowolny, jakby trącił językiem wrzód w ustach.

– Skąd pochodzisz... Mercedes, tak?

– Z Little Fogo.

Ksiądz otarł nos palcem. Odwrócił się do Johnny'ego Boustaniego. – Czy możemy pana na chwilę przeprosić, panie...

– Boustani, proszę księdza. Porucznik Johnny Boustani.

– Boustani – powtórzył prałat.

– To libańskie nazwisko – wyjaśnił Johnny. – Ale pochodzę z Pensylwanii.

– Jeśli zechciałby nas pan na chwilę zostawić samych, panie poruczniku...

Gdy Johnny wyszedł z pokoju, ksiądz stanął na palcach i kilka razy zabujał się tak, jakby miał zaraz zaintonować pieśń. Patrząc to na jedną, to na drugą dziewczynę.

– Czy jesteś przy nadziei? – spytał w końcu Mercedes.

– Nie, proszę pana.

– Księdza – szepnęła Amina.

– Nie, proszę księdza.

– Ale cię porzucił – dociekał kapłan.

– Przepędzili go, proszę księdza. Bo był katolikiem.

– Och. – Przez chwilę prałat wydawał się skonsternowany, szybko jednak doszedł do siebie. – Twój rodzice nie aprobowali tego związku.

– Mój ojciec nie żyje.

Kapłan lekko się skłonił.

– A zatem twoja matka.

– Popłynęłam szukać go w St. John's, ale tam go nie było. Pomyślałam, że może wrócił do Renew's.

Kapłan odwrócił się do pustego paleniska.

– Mercedes, muszę ci zadać delikatne pytanie. Czy między wami doszło do... – Wyciągnął rękę w stronę stojaka i dotknął palcem żeliwnego pogrzebacza. – Czy między tobą i Aloysiousem doszło do cielesnego zjednoczenia?

– Do czego?

– Nie doszło, proszę księdza – rzuciła szybko Amina.

– Nie doszło, proszę księdza – powtórzyła Mercedes.

Prałat przyjrzał się Mercedes, próbując dojść prawdy na podstawie wyrazu jej twarzy.

– Wiem, że to może wyda ci się okrutne – powiedział – ale jesteś nadzwyczaj młoda jak na osobę zamierzającą zawrzeć sakrament małżeństwa.

– Mam tyle samo lat co matka, gdy wyszła za ojca.

– Bądź co bądź. Biorąc pod uwagę, że związek nie został... – zawahał się – że wasz związek jest na tak wstępnym etapie, być może twoja matka nie jest bez racji, że przeciwstawia się takiemu małżeństwu.

– Muszę pomówić z panią Berrigan.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Lilly Berrigan jest w klauzurze.

– Gdzie, proszę księdza?

– W odosobnieniu. Nie widuje się z nikim, poza innymi siostrami. – Ksiądz uśmiechnął się do nich, co wydało się Mercedes przejawem niezyczliwości i sprawiło, że poczuła do niego tylko większą niechęć.

– Mieszkał jeszcze – zaczęła Mercedes, próbując przywołać imię – z Tomem Keatingiem. Czy wie ksiądz, gdzie go znajdę?

– Jestem tutejszym proboszczem od dwudziestu pięciu lat – oznajmił ksiądz Power. – Wiem wszystko, co się tyczy mieszkańców Renew, nie wyłączając twojego – tu pozwolił sobie na chwilę milczenia – narzeczonego.

– Czy będzie ksiądz tak dobry – powiedziała Mercedes z rozmysłem – i zechce powiedzieć mi, gdzie mieszka Tom Keating?

– Mogę im pokazać – zaproponowała siostra Marion. Odwrócili się w stronę ściany, pod którą stała. Wszyscy zdążyli już zapomnieć, że była w pokoju.

– No, niech będzie – zgodził się gniewnie prałat Power. – Odprowadź ich. – Wykonał ten sam dziwaczny gest, którym zaprosił ich do środka, tym razem jednak w odwrotną stronę.

Poszli ścieżką wskazaną przez siostrę Marion nad wodę i dalej wzdłuż brzegu. Przy każdym mijanym domostwie ich korowód powiększał się o psa lub ciekawskiego dzieciaka. Dom Keatingów, piętrowy budynek z niesymetrycznym spadzistym dachem, stał nad bogatą w łososie rzeką, przepływającą przez błotniste tereny zalewowe na końcu zatoki. Patty, żona Toma Keatinga, dostrzegła nadchodzącą grupę i czekała na nią w drzwiach. Miała siwo-złote włosy zawiązane z tyłu w kok, skórę na czole i policzkach zrytą tak głębokimi zmarszczkami, że mogłaby nimi spływać deszczówka. Czarno-biały pies z pomarańczowymi plamkami na oczach zaczął obwąchiwać buty gości.

– Pewnie szukacie Toma – powiedziała kobieta.

– Jest w domu? – spytała Mercedes.

– Zależy, w jakim celu go szukacie. – Zmierzyła Johnny'ego wzrokiem. – Nosicie broń, chłopaki?

Johnny odsunął ręce od ciała.

– Nie, psze pani.

– To jak, do diabła, zamierzacie pokonać Szwabów, jeśli nie nosicie broni?

– Szukam Wisha Fureya – oznajmiła Mercedes.

Patty Keating przez chwilę wpatrywała się jej prosto w oczy.

– W sumie to wejdźcie. Wyglądacie, jakbyście mieli zaraz umrzeć z głodu.

Wysłała po Toma jednego z chłopców, którzy przyszli za nimi. W domu wystawiła na stół talerz bułeczek z melasą.

– Kolacja będzie dopiero po piątej, więc na razie musicie zabić głód tym. Gdzie nocujecie?

– Nie wiemy – odpowiedziała Amina.

Johnny wgrzył się w bułeczkę. Żując, przyglądał się jej badawczo. W cieście jaśniały blade kawałki czegoś nieokreślonego i tłustego.

– Prześpijcie się tutaj, jeśli nie przeszkadza wam ścisk – zaproponowała Patty. – Słonina – wyjaśniła Johnny’emu. – Jeśli chcesz, możesz najeść się tymi bułkami do syta.

Skinął głową, usta miał wciąż pełne. Zaczął ukradkowo podkarmiać psa pod stołem swoją bułką.

Tom Keating przyszedł w towarzystwie młodego mężczyzny, mniej więcej w wieku Wisha.

Patty położyła rękę na ramieniu męża i wyjaśniła: – Dziewczyna szuka Wisha.

– Marzę o kubku herbaty – powiedział żonie. – No dobra – zwrócił się do grupki siedzącej przy stole – która z was...

– Nie jestem w ciąży – obwieściła Mercedes.

Johnny Boustani gwałtownie obrócił głowę w jej stronę, jakby ktoś plasnął go w twarz.

– Jesteśmy zaręczeni – mówiła dalej Mercedes. – Ja i Wish.

– Cuda i znaki – powiedział młodszy mężczyzna – na czas ostateczny.

Do kolacji zasiadło jedenaście osób; dorosłe dzieci Keatingów z mężami i żonami, wnuki w różnym wieku, a do tego troje gości. Na zewnątrz stała garstka dzieci próbujących dojrzeć nieznajomych przez okna. Przy stole toczyły się przeróżne rozmowy, a domownicy zdawali się skakać między tematami bez zająknięcia.

– Jedno muszę przyznać Wishowi – oznajmił Tom, odwracając się od rozmówcy, z którym właśnie zakończył dyskusję o tym, jak długo zajęłoby naprawienie pułapki na dorsze poszarpanej przez dryfujący lód. Czyścił talerz kawałkiem chleba, drugą ręką obracając naczynie, by wytrzeć dokładnie całą powierzchnię. – Potrafił pędzić bimber. Lepszego nigdy nie piłem. Ja sam nigdy nie dawałem do mojego nic bardziej fantastycznego niż kilka ziemniaków i trochę melasy, za to Wish zbierał owoce jałowca nad Aggie Dinn’s Cove. Ta jego księżycówka wchodziła jak woda.

– Wszystko umiał zrobić – stwierdził młodszy mężczyzna. Miał na imię Billy-Peter. – I kocią dupę by naprawił.

– Jak myślicie, gdzie on się podział? – spytała Mercedes.

Tom Keating jej się przyjrzał.

– Nie mam pojęcia, kochana. Nie widziałem go na oczy, od kiedy uciekł nam w St. John’s.

– Jak to: uciekł? – zapytał Johnny Boustani.

– Dostarczyliśmy tam figurę z brązu, którą zabraliśmy z wraku hiszpańskiego statku – powiedział Tom. – Chrystus na krzyżu. To było zaraz po wybuchu wojny. Arcybiskup zwietrzył sprawę i spytał prałata, czy nie przywieźlibyśmy krzyża do miasta. Nie było z tego specjalnych pieniędzy, straciliśmy dwa dni

na podróż, ale w końcu to Kościół prosił. Przywieźliśmy rzeźbę z Billym-Peterem i Wishem.

– A on uciekł?

Billy-Peter odparł: – Kiedy wyładowaliśmy krzyż, poszliśmy do miasta. Znaczy ja z Wishem. On już nie pofatygował się, żeby wrócić do nas na nabrzeże.

– Był w mieście po raz pierwszy – wyjaśnił Tom. – Powinienem być od razu poznać po wyrazie jego twarzy, że już go właściwie nie ma. Zawsze miał w sobie jakąś niecierpliwość. Nie potrafił nigdzie dłużej zagrzać miejsca. – Posłał Mercedes przepaszające spojrzenie. – To pewnie przez śmierć rodziców. No i sprawy z ciotką też układały się tak, jak się układały.

– Lilly ma dar jasnowidzenia, ot co – wtrąciła się Patty. – Nieraz mówiła kobietom, że są w ciąży, kiedy jeszcze same o tym nie wiedziały.

– Chciałam z nią porozmawiać – stwierdziła Mercedes. – Ale ksiądz mówi, że jest... jest...

– W klauzurze – dokończyła Amina.

– Zamknęli ją i tyle – oznajmił Tom. – Ksiądz Power zapuszkował ją w klasztorze.

Patty nachyliła się do Mercedes.

– Może będę w stanie ci pomóc.

—

Cały dom już spał, gdy Patty obudziła Mercedes. Wyszły na główną drogę i skręciły na ścieżkę biegnącą stromo pod górę, ponad domy stojące przy brzegu. Po lewej Mercedes dostrzegła pole pełne bladych kształtów, ciągnące się aż w ciemność. Przeszył ją cmentarny dreszcz, dostała gęsiej skórki. Zbliżyła się do Patty.

– Nikt ci tu nie wyrządzi żadnej krzywdy.

– Dlaczego Wish zamieszkał z tobą i Tomem? – spytała Mercedes.

– I tak w mniejszym czy większym stopniu pomieszkiwał u nas już na kilka miesięcy przed tym, jak zabrali Lilly do klasztoru.

– Nie dogadywali się ze sobą?

– Wiesz, że zamierzała zostać zakonnica?

– Nie.

– Kiedy miała szesnaście lat, wstąpiła do zakonu, ale w ciągu roku zrezygnowała. Zamieszkała w niedużym domku, który kiedyś robił za obórkę dla kóz. Uczyła w szkole, pracowała u księdza jako gosposia. Dlaczego odpuściła sobie zakon, to tajemnica. Słyszałam, że poproszono ją, aby wystąpiła. Nawet siostry nie wiedziały, co z nią począć.

– To prawda, co mówił Tom? Zamknęli ją?

– Lilly nie jest z tego świata – stwierdziła Patty.

Przechodząc za kościołem, Patty przystanęła pod niskim betonowym murkiem przy grocie i przeżegnała się przed figurą Maryi. Obok znajdowało się pomieszczenie z dużym oknem wychodzącym zaraz nad ziemią. Płonął w nim rząd wotywnych świec. W ich świetle Mercedes dostrzegła twarz Maryi stojącej w swoim portalu.

– Gwiazda Morza – wyjaśniła Patty. – Będzie nas dzisiaj miała w opiece.

Minęły plebanie i zbliżyły się do klasztoru, w którym panowały całkowite ciemności. Podeszły do bocznych drzwi prowadzących do pomieszczenia w piwnicy. Po ukropie oraz smrodzie zgniłych warzyw i pomyj Mercedes poznała, że znajdują się w kuchni.

– Gotuję siostrom na specjalne okazje – wyjaśniła Patty.

W gęstych ciemnościach stanęły blisko siebie. Mercedes czuła zapach starszej kobiety, nieprzyjemną, dziwnie metaliczną woń niesioną ciepłem jej ciała. Patty po omacku dotarła do stołu i po chwili krzątania się odnalazła lampę olejową.

– Zostaw buty pod drzwiami – powiedziała. – I trzymaj się blisko mnie. Od teraz ani słowa.

Ruszyły długim korytarzem, cały czas dotykając ściany rękami, by utrzymać kierunek. Na końcu wspięły się po schodach na trzecie piętro, a potem poszły następnym korytarzem. Po drodze Patty odliczała kolejne drzwi. Przy czwartych kobieta przystanęła, a Mercedes usłyszała stłumione podzwanianie pęku kluczy wyjmowanego z kieszeni płaszcza.

– Skąd je pani ma?

– Tom znalazł je w domu Lilly, gdy ją tu zamknęli. Kiedy sprzątała w klasztorze, miała swobodny dostęp do wszystkich pomieszczeń.

– Ukradł je?

– Odzyskał, kochana – wyjaśniła Patty. – Jak z tonącego statku.

Próbowała przekręcać w zamku jeden klucz za drugim, początkowo bez powodzenia. Na chwilę wyprostowała się i wzięła głęboki wdech, po czym wróciła do prób. Gdy właściwy klucz wreszcie zgrzytnął w zamku, Patty pchnęła drzwi. Zapaliła lampę, przykręciła knot i osłoniła płomień kloszem. Gdy zajrzały do oświetlonej izdebki, Lilly Berrigan przyglądała im się, siedząc już na skraju łóżka. Małe pomieszczenie było puste, nie licząc stolika nocnego oraz krucyfiks nad łóżkiem.

– Cześć, kacuszko – przywitała ją Patty.

Lilly uśmiechnęła się do nich. Mercedes spodziewała się wściekłej wariatki; stworzenia, które trzeba trzymać za zabarykadowanymi drzwiami. Milczenie kobiety było jednak równie niepokojące. Króciutko przystrzyżone blond włosy, twarz tak blada, że Lilly wyglądała, jakby właśnie wyszła z ciężkiej choroby. Skóra błyszcząca, być może w następstwie gorączki.

– Je tak mało, że nawet ptaszyna by nie wyżyła – oznajmiła Patty, mówiąc do Mercedes tak, jakby Lilly była dzieckiem, zbyt małym, by zrozumieć. – Lilly, przyniosłam ci kilka bułeczek z melasą.

– A to kto? – spytała Lilly, wciąż się uśmiechając.

– To Mercedes.

– Dzień dobry, pani Berrigan.

– Szukasz Wisha, prawda?

Mercedes szybko zerknęła na Patty.

Lilly poklepała skraj materaca.

– Siostra Marion powiedziała mi, że byłaś w kościele i rozmawiałaś z księdzem Powerem.

Mercedes usiadła koło niej, a Patty postawiła lampę i bułeczki na stoliku nocnym. Lilly objęła Mercedes ręką w pasie.

– No – zaczęła. – Z kogo to jesteś?

– Z Parsonsów, proszę pani. Ze stron Little Fogo.

Lilly odchyliła się, by lepiej się jej przyjrzeć.

– Parsons – powtórzyła. – To protestanckie nazwisko.

Mercedes niepewnie przytaknęła.

– Wie pani, gdzie znajdę Wisha?

– Siostra Marion mówi, że zakochałaś się w Aloysiousie – powiedziała cicho Lilly.

Sama nie wiedząc dlaczego, Mercedes zapytała: – Czy to dobrze, pani Berrigan?

– Gdzie twoja rodzina, Mercedes?

– W domu, na Little Fogo.

– Muszą się o ciebie martwić.

Nie odpowiedziała.

– Czego ode mnie chcesz, Mercedes?

To pytanie wydawało się absurdalne w ustach kogoś obdarzonego ponoć zdolnością jasnowidzenia. Pobrzmiewał w nim ton tej samej wzgardy, którą wcześniej okazał jej kapłan. Którą okazała matka.

– Wish nie powiedział ci, dokąd się wybiera?

– Z pewnością zdaje sobie pani sprawę – odparła – jak skryty jest Wish.

– A więc nic o nim nie wiesz? Nie wiesz nawet, czy żyje?

Lilly założyła dziewczynie włosy za ucho.

– Będę się za ciebie modlić – powiedziała.

– Mercedes, nic lepszego nie mogło ci się na tym świecie przytrafić niż modlitwa Lilly – oznajmiła Patty.

—

Gdy następnego dnia płynęli do domu, prom huśtał się na wzburzonym, sztormowym morzu, wahając się ociężale to na sterburtę, to na bakburtę, niczym metronom wyznaczający powolny, nieubłagany rytm. Gdy tylko znaleźli się na otwartym morzu, wszelkie barwy odpłynęły z twarzy Johnny'ego. Musiał zdjąć płaszcz i wyciągnąć się na nim w ogólnym pomieszczeniu dla pasażerów. Jego cera nabrała zielonkawego odcienia, przywodzącego Mercedes na myśl najbledsze barwy zorzy

polarnej. Mrugnął do niej oczami i powiedział: – Chciałbym umrzeć.

– Nie masz o tym uczuciu pojęcia – stwierdziła lekceważąco.

– To nie moja sprawa, Mercedes, ale myślę, że taka dziewczyna jak ty zasługuje na kogoś lepszego.

– Czyli na przykład na kogoś takiego jak ty, Johnny Boustani?

– Może. – Pomimo katuszy, które cierpiał, posłał jej ten swój głupkowaty uśmiech.

– Faktycznie, chłop z ciebie jak marzenie. A jak się miewa twój biedny brzuszek? Przekąsisz coś? – Podsunęła mu pod nos jedną z bułeczek Patty Keating z melasą i słoniną. – Poczęstuj się, kochany.

Z trudem dźwignął się na nogi, zakrył usta i chwiejnym krokiem wyszedł na zewnątrz.

– To było podłe – powiedziała Amina.

Nawet monotonny pomruk silnika nie zagłuszał odgłosów torsji dobiegających z pokładu.

– Pięknie gra na tej swojej trąbce.

Sama była zaskoczona tym, jak wielka ogarnęła ją wściekłość, jak łatwo Johnny ją sprowokował. Miał w sobie tę nieszczęsną niewinność charakterystyczną dla ludzi, którzy przez całe życie padają ofiarą cudzego gniewu, a w tej chwili Mercedes czuła się zdolna do każdego okrucieństwa. Nagle przed oczami stanęła jej matka siedząca przy trumnie ojca, oznajmiająca jej ze spokojem, że przed godziną łódź wypłynęła z przystani. Niespodziewane olśnienie przyprawiło Mercedes o falę nudności. U podłoża tej bezwzględności leżała miłość. Dostrzegła to tak wyraźnie, że przez chwilę zastanawiała się, czy Bóg istnieje.

Gdy wysiedli na przystani w St. John's, Johnny był zbyt słaby, by iść o własnych siłach, dziewczęta stanęły więc po obu stronach i poprowadziły go w górę Prescott Street. Musiały zatrzymać się w połowie stromizny, by pozwolić mu odetchnąć. Mercedes robiła, co mogła, żeby nie czuć do niego litości, nie była jednak w stanie przezwyciężyć tego uczucia.

Kiedy weszli do sklepu od frontu, Rania już na nich czekała. Wzięła Mercedes na stronę i powiedziała jej, że przyszedł do niej Hiram Keeping.

– Przesiedział w kuchni całe popołudnie.

Mercedes zastała go w fotelu przy piecyku. W ręce trzymał chusteczkę, ocierał nią czoło i kark.

– Cześć, Hiram – powiedziała.

– Jezu, Sadie. Nie powiedziałaś, że on żyje.

Cofnęła się do drzwi i oparła rękę na framudze.

– Twój brat – wyjaśnił. – Nie powiedziałaś, że przeżył.

– O czym ty mówisz?

– Jezu Chryste – powiedział, wycierając czoło. – Wish mówił, że go zabił. Powiedział mi, że Hardy nie żyje.

– Widziałeś się z nim. *Wiedziałam.*

Całe ciało Hirama podkurczyło się, jakby przeniknął je spazm.

– Kiedy wrócił do miasta, przyszedł do zakładu i wywlókł mnie z łóżka. Powiedział, że Hardy nie żyje, że to on go zabił.

– Hiram, gdzie on jest?

– Nie wiem. Przyszedł wczoraj. Powiedział, że uciekłaś, żeby szukać Wisha, a on chce zabrać cię do domu.

– Nie Hardy! – krzyknęła Mercedes. – *Wish.* Gdzie jest Wish?

– Jezu Chryste – powiedział.

- Hiram.
- W Halifaksie – odparł, nie patrząc na nią. – W Kanadzie.

Po odwrocie z Guadalcanalu, zanim kompania wróciła na front, porucznik Kurakake odwiedził Nishino kilkakrotnie. Oficer zawsze przychodził z dwiema butelkami sake. Jedną z nich zostawiał nieotwartą rannemu żołnierzowi. Stawiał na szpitalnym łóżku nieduży stolik zakrywający brzuch pacjenta, po czym napełniał alkoholem dwie porcelanowe czarki. Gdy wypili za zdrowie Nishino, zapadało między nimi milczenie przedłużające się do momentu, gdy Kurakake zadawał żołnierzowi pierwsze pytanie.

Jego dociekania nie były nieprzyjazne, nie podlegały również żadnym ustalonym schematom, a mimo to w ich wspólnych posiedzeniach było coś z przesłuchania. Stopień rozmówcy oraz alkoholowe podarki wymuszały na Nishino gotowość do ograniczonych zwierzeń tego czy innego rodzaju.

Odstawiwszy swoją czarkę, Kurakake założył ręce.

– Powiedzcie mi, szeregowy Nishino. Dlaczego to ukrywaliście? Znajomość angielskiego?

– Jestem Japończykiem.

– Oczywiście. – Kurakake zaczął rozmyślać, lekko kiwając się na krześle. – Dla Armii Cesarskiej to sprawa o ogromnym znaczeniu: mieć żołnierzy o takich umiejętnościach.

Nishino nic nie odpowiedział.

– Woleliście służyć w inny sposób. Pragnęliście walki.

– Azja dla Azjatów – powiedział Nishino, prostując się lekko.

Kurakake uśmiechnął się, spoglądając na swoje stopy. Sposób, w jaki przechylił głowę, wskazywał na to, że był zażenowany tą opinią, chociaż Nishino słyszał to hasło z ust każdego oficera, którego spotkał.

– W każdym razie – kontynuował Kurakake.

– Utrzymywanie tego w absolutnej tajemnicy nie wydaje się konieczne.

– Jestem Japończykiem – powtórzył Nishino.

– Tyle już zdążyliśmy ustalić.

– Nie pozwolę, by inni o tym wątpili.

Kurakake przekrzywił głowę.

– Powiedźcie, Nishino. Ile mieliście lat, gdy zamieszkaliście w Kanadzie?

– Pięc.

– Przeprowadziliście się z rodziną.

– Z matką. Ojciec już tam był. Na długo przed ślubem popłynął na Hawaje. Spędził tam rok, a potem przeprowadził się do Kolumbii Brytyjskiej.

– Złote Wrota.

Nishino popatrzył na przełożonego.

– Ludzie nazywali tak Kolumbię Brytyjską przed laty, gdy byłem dzieckiem. Złote Wrota. Ojciec pracował w tartaku?

– I na rzekach, którymi płynęły łososie. W końcu napisał do rodziców, prosząc, by zaaranżowali jego małżeństwo.

Przypłynął do Japonii na sześć miesięcy, a potem wrócił do Kanady.

– Kiedy wyjeżdżał, wasza matka była już przy nadziei.

– Ojciec chciał zdobyć własny kawałek ziemi, zanim sprowadzi rodzinę.

– To zajęło mu pięć lat?

– Kupno i oczyszczenie działki, budowa domu.

Po drugiej stronie prowizorycznego szpitala polowego medyk pracował nad żołnierzem dotkniętym wrzodami tropikalnymi. Sanitariusz za pomocą łyżki stołowej wyskrobywał ropę i nadżarte mięso spod skóry na brzegach wrzodów, próbując powstrzymać rozwój choroby. Przez cały czas rozlegało się pojękiwanie żołnierza, ostre chrypienie *staccato*.

– Powtórzcie proszę nazwę – powiedział Kurakake.

– Kitsilano.

– Kitt-su-sa-ra-no – nieudolnie powtórzył oficer. Skinął głową tak, jakby Nishino był muzykiem czekającym na znak, że może zacząć grać.

Po opuszczeniu Kolumbii Brytyjskiej Nishino postanowił wymazać to miejsce z pamięci. Polityka spalonej ziemi. Zabijać, palić i grabić. Wstąpił do Armii Cesarskiej na północny kraju – skąd pochodziła rodzina jego matki – twierdząc, że lata poza ojczyzną spędził na Tajwanie. Żołnierze w jego jednostce mieli prostacki akcent i jeszcze gorsze maniery. Byli zawziętymi nacjonalistami, fatalistami i pieniaczami, a on aspirował do tego, by owe określenia mogły odnosić się również do niego. Starał się ukryć każdy słowny czy społeczny odruch, mogący zdradzić, że nie jest stąd, ale i tak często był wyszydzany za miejski akcent, za swoją trudną do określenia, aczkolwiek niezaprzeczalną odmienność. W końcu doczekał się u innych żołnierzy pewnego stopnia akceptacji, gdy zniósł w milczeniu ciężki, który spuścili mu po pijaku. Zaskarbił sobie ich zaufanie wściekłą pogardą dla własnego bezpieczeństwa w walce. Nie spodziewał się w tej wojnie niczego innego niż śmierci za wyzwolenie Azji. Niczego innego zresztą sobie nie życzył.

A jednak Kitsilano wciąż powracało w snach, w przeżyciach graniczących z delirium, wywołanych wyczerpaniem i brakiem pożywienia. Letnie dni na farmie, gdzie hodowali truskawki i pomidory, aby odsprzedać je fabrykom konserw w New Westminster i straganiarzom z rynku nad rzeką. Długie okresy nauki w państwowej szkole, z mieszanką białych i Japończyków, Chińczyków i sikhów, Żydów, Portugalczyków, Szkotów. Popołudniowa japońska szkółka językowa, w której pan Yawata uczył ich o samurajach czy dawnych wojnach z Chinami i Rosją. W uroczyste dni uczniowie salutowali przed japońską flagą, a pan Yawata intonował *Kimiga yo*. Pozostali uczniowie najczęściej byli Nisei, urodzeni w Kanadzie, i znali zaledwie podstawy japońskiego. Naśmiewali się z pana Yawaty, który miał już ponad pięćdziesiąt lat, był roztargniony i przygłuchy, a na dodatek w ogóle nie mówił po angielsku. Potrafił podnieść okulary na czoło, żeby zapisać coś kredą na tablicy, a parę minut później przetrząsać kieszenie i szuflady w poszukiwaniu szkieł, mamrocząc coś pod nosem. Musiał przyłożyć dłoń do lepszego ucha, żeby dosłyszeć uczniów, a oni znęcali się nad nim, mówiąc szeptem lub po prostu bezgłośnie poruszając wargami. Pan Yawata tłumaczył im uparcie, że jedynymi zobowiązaniami przyćmiewającymi wszelkie pozostałe w ich życiu są powinności wobec cesarza.

W Vancouver, Stevenson i Kitsilano były restauracje, do których nie wpuszczano Japończyków. Na większości sal kinowych wymagano, by siadali na balkonie. Na Alexander Street w Vancouver biali rozdawali ulotki zatytułowane „Pozbądźmy się Japońców” i „Wschodzące słońce musi zejść”, w których oskarżano

nauczycieli szkółek językowych o to, że są rezerwistami marynarki wojennej, przysłanymi, aby szpiegować bądź wyklądać dzieciom taktykę walk morskich.

Pan Yawata czytał uczniom *Ligę Boskiego Wiatru*, książkę traktującą o powstaniu w epoce Meiji, kiedy to dwustu patriotów przypuściło atak na garnizon obsadzony dwoma tysiącami żołnierzy Rebelianci-kamikaze na swoje codzienne stroje założyli krótkie hakamy, przy pasach zawiesili po dwa miecze. Na głowach mieli białe opaski, rękawy podwiązali pasami białej bawełny, a każdy miał na barkach biały naramiennik ze słowem „Zwycięstwo”. Czytając, pan Yawata chodził po klasie, wpadał na biurko, potykał się o śmietnik. Rebelianci przynależeli do chramu Ukei, wyznawali japońskie bóstwa sprzed inwazji buddystów i chrześcijańskich misjonarzy z Zachodu. „Jak członkowie Ligi przygotowali się do boju?” – czytał pan Yawata. „Przed wszystkim dniem i nocą błagali o przychyłność Niebios”. Walczyli, aby przywrócić w Japonii rządy Niebiańskiego Władcy Cesarza, zaledwie za pomocą mieczy, włóczni i halabard. Po porażce Ligi pozostali przy życiu rebelianci popełnili rytualne seppuku, okazując wierność prawowitemu cesarzowi. Pan Yawata pochylił się i niezdarnie podniósł wywrócony kosz na śmieci, nie odrywając wzroku od książki.

Kilku chłopaków w klasie Nishino potrafiło puszczać gazy na zawołanie, założyli więc własną Ligę Boskiego Wiatru. Biegali po korytarzu, bekając, pierdząc i krzycząc „Kamikaze!”. Siedząc pod klasą, wykonywali udawane seppuku za pomocą ołówków. Pewnego popołudnia dwaj chłopcy zakradli się do klasy przed lekcjami i wykręcili śruby z krzesła pana Yawaty, tak że rozpadło

się pod nim, gdy tylko usiadł. Kiedy nauczyciel leżał tak w tym poboju, bełkocząc coś z okularami zwisającymi w poprzek twarzy, Nishino poczuł, że oto leży tam los wszystkiego co japońskie w nowym świecie.

Porucznik Kurakake siedział z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Wypili już większą część butelki, a Nishino snuł swoją opowieść w najgorszym żarze popołudnia. Nigdy dotąd nie podzielił się z nikim tymi przeżyciami. Jako żołnierze musieli zignorować protokół półsłówek, aluzji i oficjalnych grzeczności, któremu na co dzień podporządkowane były kontakty między osobami o tak odmiennej pozycji. A co więcej, Kurakake najwyraźniej czuł, że jest coś dłużny Nishino. Wisiało między nimi coś niewypowiedzianego, coś związanego z Chozo Ogawą. Właśnie to pozwoliło Nishino wypowiadać się tak swobodnie.

Zmagał się z popołudniową sennością, przez chwilę miał nawet wrażenie, że oficer się zdrzemnął. Kurakake podniósł jednak nagle głowę, jakby ktoś potrząsnął go za ramię.

– Wasz ojciec – powiedział.

Nishino odwrócił wzrok.

– Słowa są korzeniem zła.

Kurakake uśmiechnął się, przyjmując znaczenie przysłowia. Milczeli przez dłuższy czas, jakby chcieli się do niego zastosować. W końcu oficer zapytał: – Nishino, zostawiliście rodzinę w Kanadzie? Nikt z wami nie wrócił?

– Wróciłem sam.

– Nie utrzymujecie z nimi kontaktu?

– Nie mam teraz nikogo, tylko Japonię.

Oficer rozlał resztkę sake do czarek i wznosił swoje naczynie.

– Wypijemy więc za to, co macie.

Gdy Kurakake wyszedł, Nishino zapadł w pijacki sen. Obudził się wczesnym wieczorem z wściekłym bólem głowy. Wstał z łóżka i poczłapał powoli do latryny za oddziałem. Gdy dotarł na miejsce, nie był w stanie się odlać, oddychał tylko ciężko, zmagając się z falą bólu przenikającego plecy, czekając, aż przejdzie.

Nie miał pojęcia, co powiedziała by porucznikowi Kurakake, gdyby tamten zadał więcej pytań o rodziców. Skłamałby albo po prostu odmówił odpowiedzi, tego był pewien. Wróciwszy na łóżko połowe zaczął popijać sake, by stępić rwanie w plecach i zamglić wspomnienie matki, przywołane dociekaniem oficera. Towarzyszyła mu jednak przez cały wieczór.

Nigdy nie był świadkiem choćby jednego fizycznego przejawu czułości między rodzicami. Nie było złości ani okrucieństwa, jedynie niezmienny dystans, który Nishino uznał za naturalny stan rzeczy między mężczyzną a kobietą. Rodzice rozmawiali wyłącznie o zagadnieniach praktycznych. Nishino nigdy nie słyszał, by matka wspominała o przyszłości odleglejszej niż najbliższy poranek. Po przybyciu do Kanady powiła jeszcze czworo dzieci: dziewczynkę, która zmarła w trzy tygodnie po przyjściu na świat, potem dwóch synów i kolejną córkę. Po narodzinach każdego z dzieci jechała do japońskiego konsula w Vancouver, aby zarejestrować imiona.

Była nadzwyczaj chudą kobietą, a w oczach syna nikła postura przydawała jej wytrwałości jeszcze większego heroizmu. Każdego ranka wstawała o piątej i myła się na dworze bez względu na pogodę, polewając swą nagą pierś chochlami zimnej wody, żeby się „zahartować”. Jej uwagę pochłaniała bez reszty każda czynność,

którą w danej chwili wykonywała, a w jej sumienności i niepodzielnej koncentracji kryło się coś, co sprawiało, że zdawała się jeszcze mniejsza.

Jakby pogrążała się w głębinach pracy, którą się zajmowała. Uśmiechała się tylko wtedy, gdy wykonała swój obowiązek; gdy przed pójściem spać doprowadziła kuchnię do porządku, gdy postawiła w ciężarówce ostatni koszyk truskawek. Jedyłą pretensją do luksusu, na jaką sobie pozwalała, było serwowanie posiłków, nawet powszednich, w miskach z porcelany Ninsei, które otrzymała w prezencie ślubnym.

Nie wykazywała najmniejszego zainteresowania światem poza domem rodzinnym, a nic z nowego kraju nie przyłgnęło do kobiety, którą była w chwili przybycia. Stanowiła wszystko, co synowi pozostało z prawdziwej Japonii, którą porzucili. A dopóki żyła, to mu niemal wystarczało.

—

Ostatnim razem, gdy Kurakake go odwiedził, Nishino siedział na drewnianym krześle przy łóżku. Oficer otworzył pierwszą z dwóch butelek sake.

– Jest co świętować – oznajmił. – Kompania niebawem wraca na front.

– Będę gotów.

– Już nigdy nie będziecie walczyć w terenie, szeregowy.

Przez jakiś czas nie mówili do siebie nic więcej.

– Rozmyślałem o Chozo Ogawie – powiedział wreszcie oficer. – Ten chłopiec nie powinien był w ogóle zostać żołnierzem. Zgodzicie się?

Nishino odwrócił wzrok i zapatrzył się w przejście między łózkami. Nie rozumiał, do czego zmierza oficer; nie wiedział, co

odpowiedzieć.

– Gdy próbował zaciągnąć się do wojska po raz pierwszy, został odrzucony – mówił dalej Kurakake. – Wiedzieliście o tym?

– Nie wiedziałem – zaczął się bronić Nishino. – Nie wiedziałem o tym.

– Niezdolny do służby, takie było orzeczenie. Oczywiście zauważyliście, że nie był do końca zdrowszy na umyśle. Jego ojciec, oficer, był moim przyjacielem, zmarł przed wielu laty. Najstarszy syn skontaktował się ze mną i poprosił o pomoc w znalezieniu miejsca dla Chozo. Naturalnie zrobiłem co w mojej mocy. Gdy tylko chłopak stanął w szeregu, zrozumiałem. Nie nadawał się. A jednak nie mogłem go faworyzować.

Kurakake wznosił i opuścił ręce w geście bezsilności. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni mundurowego płaszcza, wyjął złożony kawałek papieru i, nie rozkładając arkusza, pokazał go żołnierzowi.

– Zmierzam do tego – wyjaśnił. – Sądzę, że jego ojciec byłby wam wdzięczny za to, jak się nim opiekowaliście. Chciałby okazać wdzięczność.

– Pomagaliśmy sobie nawzajem – odparł Nishino.

– Owszem. Mam tu wasze rozkazy, szeregowy Nishino. – Podniósł złożoną kartkę. – Zostaniecie przeniesieni z powrotem do Japonii, do Kumamoto. Powstaje tam obóz.

– Strażnik w obozie jenieckim?

Kurakake uśmiechnął się, widząc wyraz obrzydzenia na twarzy żołnierza.

– Niezupełnie strażnik. Zostaniecie osobistym tłumaczem komendanta obozu, porucznika Sakamoto. Przez dwa lata

służyliśmy razem w Mandżurii. Napisałem już do niego, by poinformować go, iż zasilicie jego kadrę.

Kurakake wstał i wręczył Nishino złożoną kartkę.

Nishino odwrócił wzrok, by ukryć łzy napływające mu do oczu. Zdał sobie sprawę, że wojna już się dla niego skończyła, a on nie ma innego wyboru niż ulec. Wstał i skłonił się przed przełożonym.

– Powodzenia, szeregowy Nishino.

– Dziękuję, panie poruczniku.

1945

WISH

Trzej jeńcy wdrapali się na otwartą skrzynię ciężarówki i usiedli niezgrabnie, z trudem łapiąc oddech z wyczerpania. Mieli na sobie standardowe więzienne uniformy, koszule z krótkimi rękawami i szorty, chociaż kwietniowa pogoda wciąż podkradała się ku chłodom. Wish zwrócił twarz ku niebu; na obrzeżach jego pola widzenia pulsowały białe gwiazdy.

Gdy strażnik plasnął ręką w kabinę ciężarówki, pojazd potoczył się chybotliwie w górę zbocza, wyjeżdżając z doliny. Gdy mijali dworzec Nagasaki, zatoka po lewej mieniła się przyprószona słońcem. Woda była granatowa, nie licząc pasa czerni pośrodku cieśniny, gdzie rwał prąd przypływu. Za długim dokiem stoczni skręcili ku obrzeżom miasta, oddalając się od centrum ukrytego w labiryncie wzgórz. Wish zamknął oczy i pozwolił głowie bujać się w rytmie podskoków ciężarówki. Dwa razy w miesiącu towarzyszył podczas tych wypraw majorowi McCarthy'emu i holenderskiemu oficerowi. Przewozili do Francuskiej Świątyni w Oura skremowane zwłoki jeńców wojennych z obozów rozsianych po okolicy. Urny były składane w krypcie, w podziemiach kościoła. Wish wyczekiwał tych wycieczek. Trwać w bezruchu, a jednocześnie się przemieszczać – to była rzadka przyjemność, granicząca z halucynacją, niczym sen o lataniu.

Odwrócił się do cywilnego strażnika, który stał oparty o kabinę ciężarówki i z powagą wpatrywał się w drogę, którą

zostawiali za sobą.

– Panie Osano. – Wish poklepał deski skrzyni. – *Chakuseki*.
Siądzie pan.

Strażnik uśmiechnął się przelotnie i wznosił rękę. Za każdym razem ta sama propozycja i odmowa.

– Przepracowuje się pan, panie Osano – ostrzegł Wish. Wiedział, że mężczyzna rozumie z tego niewiele lub nic.

– Jak na mój gust, to wszyscy się tu przepracowują – szepnął McCarthy. Był Irlandczykiem, ale edukację odebrał w Anglii, gdzie stępiono najostrzejsze kanty jego akcentu. Skinął na pudełko z urnami. – Kogo tu dzisiaj wieziemy?

Były cztery urny, każda opatrzona nazwiskiem, stopniem i numerem seryjnym zmarłego. Wish podnosił je po kolei.

– Australijczyk. Australijczyk. Amerykanin. – Gdy złapał ostatnią urnę, zerknął na kapitana van der Meulena. – Holender – dokończył.

Kapitan znał angielski, ale nie mówił zbyt płynnie, więc podczas tych wypraw rzadko się odzywał. Jeździł z nimi głównie dlatego, że był katolikiem, a wyjazdy stanowiły okazję do spędzenia paru minut w świątyni, pośród świec, witraży i świętych. Sam Wish krótko po przybyciu do obozu również został wyznaczony przez majora McCarthy'ego do udziału w tych wyjazdach właśnie dlatego, że był katolikiem.

Francuska Świątynia była drewnianym budynkiem pełnym zdobień, z portalem umiejscowionym pod trzema dużymi witrażami, prowadzącym do nawy głównej, do której przylegały dwa skrzydła pokryte spadzistym dachem. Kościół został zbudowany przed wiekami przez misjonarzy z Europy. Na

postumencie w głównym wejściu stała marmurowa figura Najświętszej Maryi Panny, ponad nią wyrastała wysoka, smukła wieża zwieńczona krzyżem.

Gdy Wish przyjechał tu po raz pierwszy, stał na zewnątrz przez dłuższy czas.

– Do kogo należy? – spytał. – Znaczy, kto tu przychodzi?

– Chyba Japońce – odparł McCarthy.

Najświętsza Maryja Panna spoglądała na placyk z tą samą niewzruszoną błogością co Gwiazda Morza z groty w Renew. Wish był zadziwiony, że odnalazł ją tutaj, w sercu Japonii. Poczulby chyba mniejsze zaskoczenie, gdyby jakieś zwierzę przemówiło do niego ludzkim głosem.

Przeżegnawszy się, McCarthy szepnął: – *Nuestra Señora de las Mercedes*.

Wish popatrzył na oficera.

– Co pan powiedział?

– To po hiszpańsku. *Nuestra Señora de las Mercedes*.

– Mercedes?

– Czyli współczucie albo czułe miłosierdzie. Hiszpanie nazywają Maryję Panią Miłosierdzia.

Wish przyglądał mu się, dopóki major nie wytłumaczył: – Jedna z siostr prowadzących moją szkołę pochodziła z Salamanki. Siostra Concepción.

A więc jednak nie portugalskie. Zaczął myśleć o figurze Maryi jak o Mercedes, a za każdym razem, gdy odwiedzał kościół, wykonywał przed nią znak krzyża, dotykał na szczęście jej marmurowych stóp, po czym przytykał dłoń do ust.

Minęli ją i ponieśli cztery urny główną nawą, wchodząc w chłodne powietrze zamknięte w środku. W świątyni nie było nikogo poza nimi, ale wotywnie świece i czerwona lampka oliwna paliły się przy ołtarzu, pod którym złożyli prochy. Uklękawszy przy poręczy, McCarthy z Wishem poprowadzili wspólny różaniec po angielsku. Van der Meulen odpowiadał po holendersku. Potem Wish odmówił *Pater Noster* po łacinie, a McCarthy i Holender włączali się w miejscach, które pamiętali.

– Uwielbiam słuchać tych prastarych słów–wyznał McCarthy.

Żołnierze pozostawili urny pod ołtarzem, skąd miały być przeniesione do krypty przez prałata czy wikarego, po czym ruszyli główną nawą w stronę drzwi.

– Dziwne, nieprawdaż? – spytał McCarthy. – Że nie ma tu żywego ducha, kiedy przyjeżdżamy?

Wishowi nigdy właściwie nie przyszło do głowy, że mógłby tu zobaczyć innych ludzi, kapłanów, zakonnice czy parafian. Zdał sobie sprawę, że cieszyła go ta pustka, dzięki której kościół wydawał się należeć wyłącznie do nich. Uświęcony. Nienaruszony.

Osano, który nigdy nie wchodził do świątyni, czekał na nich w otwartych drzwiach. Wychodząc jeden za drugim w światło słońca, trzech żołnierze kłaniali się przed strażnikiem, a on odwzajemniał ich ukłony. Przy wozie Osano wyjął z kieszeni zapalniczkę i odpalił im papierosy. W końcu dźwignęli się na ciężarówkę, która miała odwieźć ich do obozu.

Skończywszy papierosa, Wish wyjął z kieszeni koszuli złożoną kartkę. To był pierwszy list, który dostał w Anglii, jedyny, który nosił przy sobie przez cały czas spędzony na Pacyfiku. Rozprostował go ostrożnie, wyjmując ze środka czarno-białą

fotografię, która z nim przyszła. Zdjęcie wykonano w zakładzie w Georgestown, na odwrocie szarej podklejki widniała pieczętka z nazwiskiem i adresem Hiram. Chwilę mu to zajęło, zanim ją rozpoznał. Na zdjęciu Mercedes stała w czarnej sukience, a jej niegdyś proste, brązowe włosy były poskręcane w drobne loczki. Nie miał pojęcia, jak to zrobiła. Miała również makijaż, szminkę i mocne cienie do powiek; wyglądała jak bohaterki filmów. Wydawała się dużo starsza, dużo bardziej kobieca. Jakby podjęła decyzję, że skończy z wszelką dziecinadą. Tego popołudnia, gdy przyszedł list, Anstey, z którym Wish dzielił piętrowe łóżko, zajrzał mu przez ramię, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Jak to jest, że nigdy o niej nie wspominałeś?

Tamtego ranka, kiedy prom Earle'a z Fogo zawinął do St. John's, Wish poszedł stromymi uliczkami wiodącymi znad przystani do Georgestown. Dobijał się głośno do drzwi zakładu, dopóki nie obudził Hiram; wpadł do środka tak szybko, że o mało nie przewrócił gospodarza.

– Zabiłem go, Hiram – wykrzyknął.

Hiram złapał go za ramię, poprowadził do gabinetu na tyłach i posadził w fotelu. Wyciągnął z niego całą historię.

– Co się stało po tym, jak spadliście?

– Odsuwałem się od niego, aż doszedłem pod ścianę. Czekałem na jego kolejny ruch, po ciemku nic nie widziałem. W końcu poszedłem do kuchni i znalazłem świecę. – Twarz Wisha skreśliła się w grymasie, chłopak zgiął się w pół, zaczął kiwać się i zawodzić. – Z ust płynęła mu krew. A głowę miał przekrzywioną, dociśniętą do ściany.

– To był wypadek – stwierdził Hiram. – Obrona własna. – Urwał w pół słowa i oparł się w fotelu. – Wish, jak dostałeś się do St. John's?

– Zabrałem kuter Parsonsów i popłynąłem na Fogo, a tam złapałem prom.

– Ukradłeś ich łódź?

– Zaraz odesłałem z nią dwóch chłopaków.

– Wish, nie powinieneś był uciekać. Nie najlepiej to wygląda.

Przez chwilę chłopak siedział w milczeniu, z uchylonymi ustami.

– O co chodzi? – spytał Hiram.

– Były jeszcze pieniądze. Przyniósł mi pieniądze na drogę. Chciał mnie przekupić, żebym się stamtąd zabrał.

– Jezu, Wish. Nie mów, że je wzięłeś?

– Nie miałem już ani grosza.

– Okradłeś zwłoki?

– Nie miałem pojęcia, jak inaczej mógłbym dostać się na prom, czy odesłać kuter z powrotem.

Hiram wstał i odwrócił się do niego plecami. Był boso, szelki zwisały mu luźno przy bokach. Wziął głęboki wdech i obiema dłońmi delikatnie dotknął głowy. Myślał.

– Musimy wydostać cię z kraju.

– Co?

– Wsiądziesz w pociąg do Port aux Basques. Najbliższy odjeżdża o szóstej wieczorem. Stamtąd możesz przepłynąć Caribou do Kanady. – Naciągnął szelki na ramiona i sięgnął pod biurko po butelkę ciemnego rumu. – Pożyczę ci dosyć pieniędzy, żeby opłacić bilety – dodał.

- A gdzie się podzieję, jak już będę w Kanadzie?
- Mężczyzna wrócił na swój fotel.
- Zamierzałeś się zaciągnąć, prawda?
- Do wojska?
- Iść na wojnę.

Wish, Hiram opowiedział mi o tobie i Hardym. Hardy był tylko ogluszony, a teraz już doszedł do siebie i nie widać po nim, żeby cokolwiek mu się stało. Gdybyś tylko przyszedł do mnie, zanim uciekłeś – tutaj pół wiersza było wykreślone; Wish spędził wiele godzin, próbując rozszyfrować zamazane znaki, nastawiając kartkę do światła i odgadując litery czy słowa, ale bez powodzenia – teraz wszystko byłoby dobrze – Opuściłam Cove, jestem teraz w St. John's i będę tu czekać, aż wrócisz do domu, bez względu na to, ile to potrwa.

Czuł pęd w jej piśmie, litery wbiegały na siebie, gnane jej pośpiechem, by dokończyć i nadać ten list, jakby jeszcze mogła wszystko zmienić, jakby mogła sprowadzić go z powrotem. Gdy list dotarł, Wish był już w połowie podstawowego szkolenia. Wcześniej odesłał Hiramowi pieniądze z liścikiem, w którym wyjaśniał, jak dostał się do Anglii. A odpisała Mercedes.

Gdy dostaniesz ten list, odpisy do mnie, proszę, na adres Hirama. Hardy przyplłynął, żeby zabrać mnie do domu, ale powiedziałam mu, że jesteśmy zaręczeni i pobierzemy się, jak wrócisz, kiedykolwiek to będzie, ja będę czekała, jeżeli mnie zachcesz.

A u dołu kartki widniało post scriptum pod postacią długiego wersetu przepisanego z Biblii. *Nie wiedz mię do tego, abym cię opuścić i od ciebie odejść miała; owszem gdziekolwiek pójdziesz, z*

tobą pójdę, a gdziekolwiek mieszkać będziesz, z tobą mieszkać będę; lud twój lud mój, a Bóg twój Bóg mój.

Hardy żyje i ma się dobrze. Ulga zalała go niczym światło objawienia. Członek Armii Zbawienia wykrzykiwał kiedyś do tłumu na rogu w St. John's: „Musicie narodzić się na nowo!”. Na wieki wieków. Amen.

Wish stacjonował w Anglii przez większą część roku, czekając, aż skierują go do walki. Wciąż pisywali do siebie z Mercedes, a regularna korespondencja z St. John's przynosiła Wishowi ulgę w nieskończonym paśmie musztry, ćwiczeń z bronią i porannej gimnastyki. A więc mylił się co do Mercedes, co do tego, jak bezwzględna mogła stać się pod wpływem miłości. Papier nie pachniał już niczym innym niż jego własnymi rękami, ale i tak zbliżał list do twarzy za każdym razem, gdy go czytał.

W październiku 1941 roku wypłynęli z Anglii, nie wiedząc nic na temat celu podróży. Dziesięć dni później Wish wypatrzył skały Cape Race, gdy statek opływał południowe wybrzeża Nowej Fundlandii w drodze do Halifaxu. Morze było wzburzone, Wish z trudem dostrzegał białe grzywy fal rozbijających się o klify.

W Halifaxie dostali tydzień przepustki, a 8 listopada otrzymali rozkaz zaokrętowania się na Wakefieldzie, dawnym statku pasażerskim przekształconym w transportowiec amerykańskiej marynarki wojennej. Wypłynęli dziesiątego w dużym konwoju amerykańskich okrętów przewożących brytyjskich żołnierzy na południe. Wish napisał do Mercedes: *Myślałem, że jeśli zaciągnę się do piechoty, to przynajmniej nie będę musiał pływać.* Krążyły pogłoski, że statki kierują się do

Australii, Singapuru albo Malezji. W każdym razie na Pacyfik, co oznaczało Japończyków i walki w dżungli.

Konwój płynął w zaciemnieniu, na pół godziny przed zachodem słońca zamykano wszystkie włązy, a w przeładowanych kabinach panował zaduch. Obowiązywały ich przepisy amerykańskiej marynarki, na statku nie było więc ani kropli alkoholu. Wish zdołał zrobić zacier ze skórek ziemniaków, cukru i wody, który trzymał w worku na śmieci ukrytym w toalecie. Po zmierzchu żołnierze przekazywali sobie alkohol w metalowych kubkach. Major McCarthy był gotów przemykać na to oko, o ile trunek nie trafi w ręce amerykańskich marynarzy.

Cały batalion składał się z żółtodziobów. Nikt nie miał pojęcia o przebiegu wojny w regionie, zadowalali się więc plotkami i wyssanymi z palca teoriami, rozprzestrzeniającymi się w ciemności po ich kabinach. Kitajce nic nie widziały po ciemku, bo miały skośne oczka, a poza tym wykazywały wrodzone skłonności do choroby morskiej. To była armia złożona ze zniewieściałych chłopczków z małutkimi ptaszkami, trzymających się za ręce podczas marszu. Obcinali głowy cywilom i nasadzali je na pale; na kobietach i dzieciach trenowali walkę bagnetami. Poza niosącymi ulgę sensacyjnymi żołnierskimi wymysłami nie mieli tu żadnego źródła rozrywki.

Przed śniadaniem mamy pół godziny gimnastyki, w słońcu, czy w deszczu – pisał Wish. Po kolacji śpiewanki na otwartym pokładzie. Paru gości umalowanych na Murzynów odstawia rozrywkowe kawałki. Poza tym tylko czekanie.

Konwój zatankował w Trynidadzie i stamtąd popłynął do Afryki Południowej. Wish z Harrisem i Ansteyem nadawali listy w

każdym porcie, jakby oznaczali za sobą ścieżkę, którą po wojnie będą mogli wrócić do domu. Ostatni list Wisha, który dotarł do Mercedes, przyszedł z Malediwów, gdzie Wakefield zawinął, by uzupełnić zapas słodkiej wody. Wish wiedział już wtedy, że płyną do Singapuru – chociaż nie miał wcale pewności, czy dopłyną. W grudniu HMS Prince of Wales i Repulse zostały zatopione u wybrzeży Malajów. Japończycy w niecałe dwa miesiące przedostali się na południe przez pozornie nieprzebytą dżunglę porastającą ten kraj, docierając aż do wybrzeży Singapuru. Generał Percival, dowodzący obroną wyspy, wysłał pilną prośbę o wszelkie dostępne wsparcie. A przynajmniej takie chodziły słuchy.

Dotarli do Singapuru 30 stycznia. Baza marynarki w cieśninie od strony Malajów była już opuszczona, Wakefield zawinął więc do Keppel Harbour na południowym wybrzeżu wyspy. Żołnierzy i sprzęt wyładowano w przerwach pomiędzy japońskimi nalotami bombowymi, po czym okręt odpłynął z tysiąc trzystoma cywilami na pokładzie ku Batavii, gdzie czekali kolejni uchodźcy.

Ich jednostka otrzymała rozkaz utworzenia linii obrony wzdłuż dróg Lornie, Adam i Farrar. Wish okopał się z Harrisem i Ansteyem, we trójkę usiedli na ubitej ziemi, by czekać. Każdego z następnych piętnastu dni spędzonych w Singapurze Wish pisał krótką notkę do Mercedes. Wiedział, że te listy nigdy nie zostaną nadane, znajdował jednak ukojenie w poczuciu, że zwraca się bezpośrednio do niej. *Jestem przekonany, że lada chwila zobaczę prawdziwą walkę i czuję, jut najwyższy czas – zwierzył się jej – bo musztry mam po dziurki w nosie. Zdając sobie sprawę, że jest w tym jakiś fałsz, dodał: Podobno potrafią z nich być prawdziwe skurczybyki, jak już wszystko się rozkręci.*

Spekulacje, doniesienia i jadowite plotki krążyły w tę i w tę wzdłuż linii obrony. Słyszeli, że nocą tysiące Japończyków przekroczyło cieśninę w składanych łodziach.

– Myślałem, że te skurwysyny nic nie widzą po ciemku – skomentował Harris.

– A poza tym dostają choroby morskiej nawet w wannie – dodał Anstey. – Nie zapominajcie o tym.

Wysadzona na początku stycznia grobla łącząca wyspę ze stałym lądem została już odbudowana, a japońskie czołgi wjeżdżały do Singapuru. Oddziały obrońców wycofały się do Bukit Timah pośrodku wyspy. Chodziły słuchy, że generał Percival nie chciał zaminować wybrzeży Singapuru ani rozciągnąć wzdłuż nich drutu kolczastego przed japońskim natarciem, ponieważ takie przygotowania obniżyłyby morale.

Wish napisał do Mercedes: *Mam wrażenie, że żyję w zmyślonym świecie.*

Miasto bombardowano codziennie, w powietrzu nie było żadnych alianckich samolotów, które mogłyby stawić opór. Gdy Japończycy zajęli Bukit Timah, droga do miasta stała otworem. 14 lutego Singapur stracił zapasy słodkiej wody. Teraz Wish mógł popatrzeć na walkę; ogień ze strzelb, karabinów maszynowych i moździerzy podpełzał do ich okopów nieubłagane niczym burzowa chmura. Zupełnie jakby siedzieli uwięzieni w szalupie na wzburzonym morzu. Za każdym razem, gdy załamywały się nad nimi fale uderzeniowe kolejnych eksplozji, ziemia trzęsła się, a ich mała, żwirowa łódka o mało się nie przewracała i nie wypluwała ich wprost w nawałnicę.

– Założę się, że każdy z tych drani ma kutasa jak młot – powiedział Anstey.

Wishowi ciągle chciało się sikać; co chwilę odwracał się, żeby ulżyć sobie pod ścianą okopu.

15 lutego generał Percival udał się do kwatery polowej japońskiego dowódcy w zakładach Forda w Bukit Timah, niosąc dwie flagi: brytyjską oraz białą. Wish został wzięty do niewoli wraz z siedemdziesięcioma tysiącami aliantów znajdujących się na wyspie. Nie oddał ani jednego strzału.

Tysiące jeńców zapędzono do więzienia Changi na północno-wschodnim brzegu wyspy, gdzie odebrano im mundury i buty, wydając tylko szmaciane przepaski na biodra. Wysyłano ich dalej w brygadach roboczych: zbierali ciała poległych na ulicach Sajgonu i usuwali efekty taktyki spalonej ziemi, zrealizowanej bez przekonania w bazie marynarki przed kapitulacją. Żurawie portowe chylące się na fundamentach, potężne zbiorniki na ropę wypalone i szerniałe. Odwrócone kadłuby statków wystające z oceanu.

Jeńcy otrzymali broszurki z tłumaczeniami z angielskiego na japoński, których mieli nauczyć się na pamięć. Liczby, dni tygodnia, miesiące. Proste polecenia: zacząć jeść, iść do toalety, rozpocząć pracę, zakończyć pracę. Pojawiały się również dziwne listy konkretnych przedmiotów. Drewniany stempel, węglarka, szyb wdechowy, szyb wydobywczy, wiertło. Worek z cementem, szyna, opona, materiały wybuchowe.

– Nietrudno zgadnąć – skwitował Wish – jakie zajęcia dla nas zaplanowali.

Bicie było na porządku dziennym, zazwyczaj za pomocą długiego na cztery stopy kija, zwanego „bambusowym tłumaczem”, którego strażnicy używali do objaśniania spraw więźniom, gdy wszystkie inne metody zawodziły. Większość jeńców cierpiała na dyzenterię i febrę. Pewnego wieczora Wish wrócił z doków w gorączce, a rano był już na w pół obłąkany. Harris i Anstey zanieśli go do szpitala, po czym dołączyli do brygady pracującej w porcie. Blisko dwa dni przeleżał w malignie. Minął jeszcze tydzień, zanim wydobrzeł na tyle, by opuścić szpital.

Gdy płynęli w tropiki, Wish słyszał opowieści o malarii, o tym, że halucynacje pripraviają ludzi o szaleństwo. Wtedy wyobrażał sobie omamy wzrokowe, jakieś potwory, pająki wielkości czołgów, lawiny, stwory rodem z koszmarów. Jego własne rojenia okazały się jednak bardziej subtelne, choć nie mniej przerażające. Był przekonany, że musi zjeść szpital; godzinami w podnieceniu planował realizację tego zadania od strony praktycznej. Oczywisty punkt wyjścia stanowiła strzecha pokrywająca budynek, ściany były jednak betonowe. Co pocnie, kiedy jego zęby już się pokruszą i wypadną? Jak wysra to wszystko, nie powodując spustoszenia w swoim organizmie? Potem robiło mu się niedobrze na samo wspomnienie niedorzecznych myśli oraz swojej absolutnej pewności, że są one prawdziwe.

Okres rekonwalescencji w szpitalu spędził na pisaniu listów do Mercedes i studiowaniu japońskiego słowniczka. Wymowę sprawdzał na strażnikach i sanitariuszach. Bardzo podobnie jak wtedy, gdy uczył się łaciny od ciotki Lilly. Na końcu broszurki znalazł dwie czyste strony, zaczął więc wskazywać elementy

otoczenia – łóżko, okno, kubek, książkę – i zapisywać fonetycznie japońskie słowa. Karabin, mundur, lekarz. Śpiący, chory, zmęczony, głodny.

Od czasu do czasu ktoś wydzierał się na niego albo policzkował go za wścibstwo. Nawet najbardziej pomocni Japończycy wyszczekiwali mu słowa tak, jakby zaraz mieli zatopić zęby w jego nodze. Nikomu łatwo nie przychodził uśmiech – o ile w ogóle ktokolwiek się uśmiechał. Wish napisał: *Mercedes, myślałem, że z was, protestantów, jest skwaszona banda, dopóki nie zobaczyłem tych tutaj.*

Sześć tygodni później jego kompania została przetransportowana do Japonii. Gdy dotarli do obozu Nagasaki #14, otrzymali pozwolenie na wysłanie do domu kartki pocztowej o treści nieprzekraczającej czterdziestu słów. Przez trzy lata spędzone w obozie Wish otrzymał cztery listy od Mercedes. Wszystkie szły do niego ponad rok, ale każdy zawierał tę samą wiadomość co pierwszy. *Będę czekała, jeżeli mnie zachcesz.*

Osano coś do niego powiedział. Strażnik siedział oparty plecami o kabinę ciężarówki, z ramieniem zarzuconym na pojemnik na urny. Wish wiedział, że teraz skrzynia zawiera już towar nieco innego rodzaju. Uśmiechnął się i mignął strażnikowi przed oczami zdjęciem Mercedes. Wskazał ręką Osano, dotknął kieszeni, z której wyjął list, po czym znowu wskazał Japończyka. Strażnik wyłowił z kieszeni nieduży skórzany portfel, wyjął z niego zdjęcie i podsunął je więźniowi. Wymienili się fotografiami ostrożnie, jakby przekazywali sobie jeńców. Kobieta na zdjęciu Osano patrzyła prosto przed siebie; ciemne oczy, włosy przycięte równo na wysokości szczęki. Fotografia była nieudolnie

wykonana, a może odbitka poleżała za długo w wywoływaczu – rysy twarzy kobiety były ledwie dostrzegalne zza mgiełki zaciągającej zdjęcie.

– Piękna – powiedział Wish, jak za każdym razem. – *Kirie*. – Potem wypowiedział się strażnik, potrząsając zdjęciem Mercedes, żeby było jasne, o czym mówi. Oddał mu zdjęcie.

McCarthy spytał: – Jesteś pewien, że on nie mówi po angielsku?

– Panie majorze, gdyby rozumiał angielski, już dawno bym nie żył.

– Co na niego masz?

– Proszę?

– Tak zgaduję, że nie dałbyś tego zdjęcia do ręki komuś, kto nie byłby ci czegoś winien.

Wish wzruszył ramionami. Po zachowaniu Japończyka było widać, że w grę wchodzi jakiś dług czy zobowiązanie, coś związanego z pierwszym razem, gdy wymienili te zdjęcia. Więcej na ten temat nawet sam Wish nie potrafił powiedzieć.

Ciężarówka z trudem wdrapała się na wzgórze stromą drogą za stoczną, na szczycie wydała głośne, mechaniczne westchnienie i potoczyła się na wolnym biegu w dół, ku bramom obozu. Gdy podjechali bliżej, kierowca wystawił rękę przez okno i trzykrotnie uderzył w dach kabiny. Osano skoczył na równe nogi, by było widać, że pilnuje jeńców.

Przy wartowni zaparkowane były trzy duże, kryte ciężarówki, a na placu stała na baczność grupa jeńców, co najmniej stu nieznanym mężczyznom. Większość nie miała butów, wszyscy byli

tak wychudzeni, że nie uchodziło wątpliwości, iż siedzieli w obozach już od dłuższego czasu.

– Wygląda na to, że mamy nowych – stwierdził McCarthy.

McCarthy został wezwany do gabinetu komendanta, gdy tylko wysiadł z ciężarówki. Skrzynka na urny zawierała worek pełen pustych flaszek, ukryty tam przez Osano, gdy żołnierze byli w kościele. W obozie na razie działo się zbyt wiele, by dało się bezpiecznie przenieść butelki do kryjówki w baraku. Wish próbował odgadnąć po wyrazie twarzy Osano, co powinni teraz zrobić, ale strażnik uparcie unikał jego wzroku i krzyknął tylko na niego i Holendra, pozwalając im odmaszerować do baraków. Podeszli do garstki innych jeńców przyglądających się z cienia nowo przybyłym.

Harris powiedział: – Przywieźli ich z obozu Mushiroda.

Anstey sprzedał mu kuksańca.

– Wish, wyglądają mi na takich, którym porządnie zaschło w gardle.

Wish skrzywił się, rozmyślając o butelkach ukrytych w ciężarówce. Jego bimbrownicza działalność oraz lokalizacja zacieru były w obozie tajemnicą poliszynela. Zaczął pędzić w niecały tydzień po przybyciu do obozu numer 14, a od czasu do czasu dyskretnie dzielił się samogonem ze strażnikami w ramach łapówki bądź wynagrodzenia za drobne przysługi. Obie strony zachowywały się tak, jakby nie dochodziło do żadnej wymiany. Nawet gdy Osano po raz pierwszy zwrócił się do niego za pośrednictwem cywilnego tłumacza, rozmowa była wymijająca, trudna do odszyfrowania.

– W wyniku wojny miasto cierpi niedostatek – przetłumaczył pan Haruyama, a Osano skłonił się przed Wishem. – Wielu ludzi odczuwa dotkliwie brak wygód, które niegdyś uważali za oczywiste. – Przemawiał w takim duchu przez dłuższy czas, aż w końcu powiedział: – Przed wojną pan Osano przez wiele lat pracował w Nagasaki jako dystrybutor napojów alkoholowych. Była to praca, w której wykazywał szczególne talenty.

Wish udawał, że nie wie o co chodzi, pilnował się jednak, by nie zniechęcić rozmówcy. Przez następne parę miesięcy mężczyźni precyzowali swoje ustalenia metodą prób i błędów, za pomocą grymasów, skinięć oraz przypadkowych uwag na temat dostaw i wynagrodzenia, przekazywanych za pośrednictwem pana Haruyamy. To były długie, potajemne zaloty.

Dopóki przedsięwzięcie Wisha działało ukryte pod ściśle uporządkowaną skorupą obozowego życia, dopóki nie zakłócało pozorów absolutnego posłuszeństwa wobec zasad i narzuconego rytmu, dopóty strażnicy byli skłonni zachowywać się, jakby nic się nie działo. Wielu z nich kupowało nawet alkohol od Osano. To jednak nie oznaczało, że taka działalność nie wiąże się z ryzykiem. Wish nie wątpił, że zostałby wychłostany, a może nawet zastrzelony, gdyby ktoś przyłapał go na przemycaniu butelek z ciężarówkami.

Dziesięć minut później komendant wyszedł ze swojego biura w towarzystwie McCarthy'ego. W ślad za dwoma oficerami szedł japoński żołnierz, którego Wish nie rozpoznawał. Wysoki jak na Japońca, niemal dorównujący wzrostem Harrisowi. Jego chód przełamywało ledwie dostrzegalne utykanie. Gdy komendant

Koyagi zwrócił się do nowo przybyłych więźniów, żołnierz stanął przy nim i zaczął tłumaczyć jego słowa.

– Będziecie traktowani z szacunkiem, jeśli na niego zasłużycie – powiedział. – Waszym dowódcą będzie najstarszy stopniem oficer brytyjski w obozie, major McCarthy. – Wskazał Irlandczyka.
– Poranne ćwiczenia o 5.00. Śniadanie o 5.30, po nim piętnastominutowa przerwa na papierosa. Brygady wychodzą do pracy o 6.00. Spóźnienia nie będą tolerowane. Lenistwo nie będzie tolerowane. Niesubordynacja nie będzie tolerowana. – Uśmiechał się, tłumacząc te słowa. Posługiwał się angielszczyzną bez cienia akcentu.

– Gdzie Haruyama? – spytał Wish.

Więźniowie popatrzyli po sobie. Nikt nie miał pojęcia, gdzie podział się cywilny tłumacz, było jednak oczywiste, że jego stanowisko zajął nowy żołnierz.

– Coś jest nie tak z jego nogą – skomentował Anstey. – Kuleje.

– Z nogą albo plecami – stwierdził Wish.

Grupa obozowych strażników stanowiła mieszankę Koreańczyków – którym nie pozwolono zaciągnąć się do Cesarskiej Armii – cywilów i japońskich żołnierzy skierowanych do obozów ze względu na odniesione rany, uniemożliwiające dalszą służbę na froncie. Jeńcy bawili się w odgadywanie mniej oczywistych niedomagań, w wytykanie ich ułomności.

– Ciekawe, gdzie nauczył się tak gadać po angielsku? – zastanawiał się Wish.

– Cesarstwo Wielkiej Japonii – mówił tłumacz – nie zamierza karać was wszystkich śmiercią. Naszym zamiarem jest niesienie błogosławionej wolności ludom południowo-wschodniej Azji. Ci,

którzy zastosują się do zarządzeń i podejmą współpracę z Japonią podczas budowy Nowego Porządku Wielkiej Azji, prowadzącego do światowego pokoju, mogą liczyć na dobre traktowanie.

Koyagi przyglądał się tłumaczowi z wyrazem zaskoczenia i lekkiej urazy. Wish spoglądał to na jednego, to na drugiego. Po chwili komendant przerwał małe kazanie, przemycane na grzbiecie jego prostych wypowiedzi, i kazał nowym więźniom rozejść się. Tłumacz skłonił się szybko przed przełożonym i odszedł do wartowni.

– Mamy tu prawdziwego fanatyka – stwierdził Wish.

– Słodki Jezusieńku – szepnął Harris.

Nie wiedzieli, co myśleć o przybyciu nowych więźniów. Mogło to być po prostu przetasowanie administracyjne. A mogło też oznaczać połączenie obozów wymuszone pochodem amerykańskich wojsk. Jeńcy mieli tak mało do powiedzenia w obozowym świecie, że każda zmiana napełniała ich niepokojem, przypominając im, jak nieobliczalny i kruchy jest ich los.

– Po capstrzyku będziesz musiał zabrać butelki – powiedział Anstey, gdy szli do kuchni na kolację.

– Teraz, gdy przyjechali nowi, strażnicy będą bardziej czujni niż zwykle – stwierdził Wish. – Nie uśmiecha mi się zarobić kulki dla tuzina pustych flaszek.

Jeśli nie liczyć rozdawanego sporadycznie jedzenia z paczek Czerwonego Krzyża, jeńcy żywili się gotowanym ryżem, od czasu do czasu wzbogaconym batatami, kapustą lub wodorostami. W ryżu roiło się od wołków i czerwi, które podczas gotowania wypływały na wierzch. Mali przyjaciele, jak ich nazywano, byli zbierani z powierzchni i gotowani osobno w bulionie. Kolejka była

o sto osób dłuższa niż zazwyczaj. Wszyscy nowi więźniowie byli Brytyjczykami, wymieniali się więc opowieściami z Anglikami z obozu numer 14, padały nazwy regimentów i rodzinnych miast. W kolejce panował niemal odświętny nastrój, co z jakiegoś powodu sprawiło Wisha w ponure usposobienie. Jakby był jedyną trzeźwą osobą na popijawie.

We trzech wzięli swoje miski i zeszli z placu, usiedli na ziemi między barakami. Harris i Anstey jedli łyżkami, ale Wish chwycił swój ryż za pomocą pałeczek, ziarnko po ziarnku. Żeby starczyło na dłużej. Zerknął na jedzących towarzyszy. W odmienności nowo przybyłych było coś, co sprawiało, że Harris i Anstey wyglądali żałośnie, odziani w łachmany, z policzkami zapadniętymi od głodu.

Kiedy chcieli się zaciągnąć, poddano ich badaniom lekarskim. W kącie gabinetu stał naturalnych rozmiarów szkielet. Odsłonięte kości wydawały się nie na miejscu pośród nagich mężczyzn stojących w pomieszczeniu, jakby dziecko narysowało je w niewłaściwej skali. A teraz Harris i Anstey wykazywali ten sam brak proporcji; ich wychudłe kończyny zdawały się zbyt długie w stosunku do kadłubów, do których były przymocowane.

W drodze do Singapuru Wakefield zawinął do Mombasy, by w dniu Bożego Narodzenia roku 1941 żołnierze mogli zejść na ląd na kilkugodzinną przepustkę. Przed południem zarzucono kotwicę u ujścia rzeki Duruma i wypuszczono chłopców na miasto. Restauracje z ogródkami i małe tawerny przeżyły natarcie brytyjskich żołnierzy i amerykańskich marynarzy. Wish i jego dwaj koledzy przez całe popołudnie włóczyli się po mieście z kilkoma innymi członkami kompanii, pijąc i śpiewając kolędy,

rzucając szylingi i amerykańskie pięciocentówki ganiającym za nimi zgrajom dzieciaków. Mosiężne słońce; ubrania przechodniów czerwone, złote i niebieskie niczym wody oceanu. Upał tak duszący, jakby całe miasto było przykryte zwierzęcą skórą z tłuszczem i sierścią.

Wczesnym wieczorem znaleźli zapomnianą knajpę, której właściciel, bardziej pijany od nich, nie był w stanie podnieść się z krzesła i ich obsłużyć. Przetrzęsnąwszy kuchnię, ugotowali sobie udziec – zapewne kozy, a może jakiegoś miejscowego zwierzęcia – z batatami, marchewką i cebulą. Gdy jedli, gospodarz co jakiś czas nadstawiał pustą szklankę, a oni mu polewali, wykrzykując do niego pytania. Nie był w stanie udzielić odpowiedzi bardziej skomplikowanych niż pojedyncze sylaby, ale i tak udało im się dowiedzieć, jak ma na imię (Charles), ile ma lat (pięćdziesiąt dwa), że był zony, ale jego żona już nie żyje, że jest chrześcijaninem. Nadstawiając ponownie pustą szklankę, oznajmił, że nie pije alkoholu. Mięso było ciemne i nadpsute, w jego woni dało się wyczuć nutę rozkładu; żaden z żołnierzy nie zdołał dokończyć tego, co miał na talerzu. Zanim wyszli, Anstey posprzątał ze stołu, a Harris wetknął Charlesowi dwa dolary do kieszeni koszuli.

– Wesółych Świąt, staruszku – powiedział. A potem nachylił się i po pijacku cmoknął go w policzek.

Ten pocałunek to był rozkoszny gest. Wish zdawał sobie sprawę, że to coś zupełnie nie z tego świata. A w obozie marniały nie tylko ich ciała. Wish był przekonany, że teraz byliby gotowi zabić Charlesa za tamten kawałek zepsutego mięsa. Napadliby na

każdego z nowych więźniów, gdyby stawką był w miarę przyzwoity posiłek.

Zasadniczo Wish nie miał o wojsku najlepszego zdania. Wszystko sprowadzało się do map, współrzędnych, stopni i szyków, co wydawało mu się zupełnie dziecinne; to była śmiechu warta zabawa. Gdyby teraz miał narysować mapę swojego świata, nakreśliłby jeden prosty diagram, złożony ze współśrodkowych, ułożonych hierarchicznie okręgów: pośrodku on sam, w najmniejszym pierścieniu Harris i Anstey, a w większym McCarthy i ludzie z jednostki. W jeszcze większym kręgu pozostali Brytyjczycy, z którymi tu przyjechali; dalej Amerykanie i Holendrzy. Za nimi Osano, Haruyama i paru innych, na których Wish miał wpływ. W kolejnym kręgu strażnicy, którzy byli porządni, a za nimi ci surowi, lecz bez uprzedzeń. Zaś daleko za najodleglejszymi planetami, gdzieś poza granicami człowieczeństwa, umieściłby garstkę sadystów, którzy zdawali się kochać swoją pracę.

Harris zjadł już swoją porcję i leżał na wznak z rękami i nogami wyrzuconymi na boki, pogrążony w półśnie. Anstey obracał w rękach pustą miskę, wylizując ją do czysta. Wewnętrzny krąg Wisha. Brytyjczycy z jednostki nie odróżniali dwóch Kanadyjczyków od Nowofundlandczyka, wrzucili ich więc do jednego worka. Przyplłynęli w tym samym czasie, prosto z jakiejś kolonii. Zachowywali się jak dzikusy. Mleko dolewali do herbaty dopiero po nalaniu jej do kubka. Niemiłosiernie kaleczyli angielszczyznę. W oddziale byli znani jako *Three Stooges*^[5]. Docinki innych żołnierzy były zazwyczaj życzliwe, ale stworzyły nastrój wspólnego prześladowania, który zbliżył ich do siebie.

Wciąż trzymali się razem; Wish poczuł przyływ czułości do obu towarzyszy, choć uczucie było skażone, już obręzione żalem. Wish wiedział, że istnieje granica, pewien punkt krytyczny, za którym jeden z nich zwróci się przeciw pozostałym lub oddali się od nich, a to, czy kiedykolwiek przekroczą tę granicę, zależy tylko od zrządzenia losu.

Przez wiele tygodni obozowe „kloaczne pogłoski” wskazywały na to, że wojna w Europie niebawem dobiegnie końca. Podśluchano rozmowę dwóch koreańskich strażników na temat zdobycia Iwo Jimy i złego obrotu spraw w bitwie o Okinawę. Coraz częściej zdarzały się amerykańskie naloty bombowe na okolice Nagasaki, nie wyłączając stoczni, gdzie do niewolniczej pracy odkomenderowano grupę jeńców. Lotniskowiec, przy którego budowie Wish przepracował z nitownicą wiele miesięcy, został zniszczony podczas nalotu jeszcze przed wodowaniem. Teraz Wish całymi dniami zbierał szczątki statku.

– Jeśli Jankesi nas nie pozabiją, to może jeszcze zobaczymy dom – stwierdził Harris.

Wish zdążył już niemal na dobre rozstać się z tą nadzieją. W tamtych dniach możliwość ta wydawała się jednak tak realna, że niosła całkiem nowe emocje. To było jak pierwsza miłość po całym życiu spędzonym na zaspokajaniu prymitywnych, zwierzęcych żądz.

Gdy wyszli z restauracji w Mombasie, Harris i Anstey zaczęli targować się z pewnym jegomościem o względy kobiety, którą tamten oprowadzał po ulicy. Harris próbował zejść do połowy ceny wywoławczej, ale facet nie chciał odpuścić ani grosza. Oznajmił, że

kobieta jest jego żoną i wie, jak zatroszczyć się o mężczyznę. Harris pokręcił głową.

– Jest *gruba* – powiedział, obiema rękami zakreślając nad swoim brzuchem kształt księżyca w pełni.

– Mniejsza z tym – oznajmił Anstey. W pijanym widzie już zaczął odliczać banknoty. – Lubię, jak babka ma trochę ciała.

– Ants, przyjrzyj się jej biodrom. W taką pipę wpadniesz od razu po szyję.

– Pisziesz się na to, Wish?

– Ja sobie podaruję.

– Nie bądź takim pieprzonym świętoszkiem – zadrwił Harris.

– Wish, przecież mamy *Boże Narodzenie*.

Wish odwiedził prostytutkę tylko raz – kiedy w Londynie wyszedł na przepustkę z Harrisem i Ansteyem, jeszcze zanim dotarł do niego pierwszy list Mercedes. Przez większość popołudnia pili we trzech, a chwilę po zmroku Wish zgubił towarzyszy na ulicy. Wydał już wszystkie pieniądze, co do centa; nie miał pojęcia, jak wrócić do noclegowni. Zaczepił kobietę, żeby spytać o drogę, a ona zmierzyła go wzrokiem. Była tak umalowana, że nie sposób było odgadnąć jej wieku.

– Jesteś żołnierzem, kochany?

Wish był w mundurze. Po prostu skinął głową.

Jeszcze raz leniwie powiodła po nim wzrokiem.

– Byłeś już kiedyś na polu bitwy?

– Jestem dopiero na przepustce po podstawowym szkoleniu.

Kobieta uśmiechnęła się do niego. Wszystkie zęby w jej górnej szczęce przechylały się w jedną stronę, niczym drzewa przygięte przez wiatr.

– Nie o taką bitwę mi chodzi, skarbie – odparła. – Po prostu wydajesz się cholernie młodziutki.

– Nie mam złamanego grosza – ostrzegł ją.

Przekrzywiła głowę.

– Chętnie zrobię, co do mnie należy – stwierdziła. – W ramach wkładu w naszą wspólną walkę.

Zaprowadziła go do maleńkiego wynajętego pokoju, z trudem mieszczącego leżankę, piecyk węglowy i prastarą dwuosobową kanapkę. Kobieta miała okres, a przynajmniej tak twierdziła, zdjęła więc po prostu bluzkę i biustonosz, usiadła przed nim na łóżku, ściągnęła mu spodnie i wzięła jego na wpół stwardniałego kutasa pod swoją nieogoloną pachę. W pokoju wisiał kwaśny zapach smażonej kiełbasy (Anglicy nazywali kiełbaski *bangers*^[6] co niezmiennie doprowadzało Ansteya i Harrisa do śmiechu). Różąc kobietę, Wish wpatrywał się w szarą tapetę upstrzoną kwiatkami. prostytutka skromnie odwróciła głowę, jakby Wish właśnie samotnie odbywał intymną czynność, a ona nie chciała naruszyć jego prywatności. Bolała go głowa; wiedział, że jeszcze tej nocy będzie ryczał po pijaku w jakimś zaułku. W maleńkiej izbie powoli zapadał zmrok, a Wish miał wrażenie, iż sam go na siebie sprowadza, że wpierdala się coraz głębiej w ciemność.

W Mombasie Wish wycofał się z negocjacji i oparł się o ścianę restauracji Charliego. Przyglądał się kobiecie stojącej z mężem pod rękę, uśmiechającej się nieznacznie, co mogło oznaczać właściwie wszystko. Na szyi miała szeroki pas z koralików nawleczonych na sznurki, była ubrana w sukienkę z wzorzystego materiału, z ciągiem jakichś znaków wypisanych wzdłuż rąbka na wysokości kolan. Większość kobiet, które widział tam na ulicy,

miała jakieś obce zdania wyszyte na ubraniach, przerwał więc rokowania, wskazując na litery.

– Co tu jest napisane? – spytał.

Mąż kobiety przyjrzał się lepiej, by sprawdzić, co pokazuje Wish.

– *Usisafirie nyota ya mwenzio* – odparł.

– Co tu jest napisane *po angielsku*?

– Nie stawiaj żagli – przetłumaczył mąż – pod cudzą gwiazdą.

Wish przytaknął. Był zalany w sztok. A jednak się nie zachwiał.

—

O 6.30 wieczorem więźniowie poszli po ogień do budynku dowodzenia i usiedli pod ścianami baraków, żeby wypalić ostatniego oficjalnego papierosa tego dnia. Wish bacznie obserwował ciężarówkę, która nadal stała tam, gdzie zaparkowano ją po południu. Osano, który był już po służbie, zniknął.

Jeden z nowych podszedł do nich spacerkiem.

– Który z was to Furey?

– A kto pyta? – zaciekawił się Harris.

– Ronnie Matthews – odrzekł żołnierz, wyciągając rękę do Harrisa. – 18. Dywizja.

Harris po prostu dalej mu się przyglądał.

– Sherwood Foresters^[7] – wyjaśnił Matthews. – Wypłynęliśmy z Halifaksu na pokładzie Mount Vernon. Pojmali nas w Singapurze.

– To pewnie siedzieliście w Changi, co? – spytał Harris.

– Ty jesteś Furey?

– Nie – wtrącił się Wish. Siedział pod ścianą, parę kroków dalej. – To ja.

– Oto człowiek, którego szukam.

Wish próbował odgadnąć wiek Matthews'a. Jego włosy były niemal całkiem białe. A z twarzy: niespełna dwadzieścia pięć lat.

– Mamy za sobą długą podróż – mówił nowy. – Niektórym przydałoby się lekkie orzeźwienie. Ponoć to do ciebie warto z tym uderzać.

– Być może. – Wish podniósł się z ziemi, przez cały czas opierając się o ścianę baraku. Przez chwilę stał bez ruchu, czekając, aż miną zawroty głowy.

– Zrobiliśmy zrzutkę, mamy parę dolarów. Trochę papierosów.

– Jesteśmy starymi kumplami z paki – powiedział Wish. – Jak dla was, specjalna cena.

—

Wish z Harrisem i Ansteyem czekali w baraku, pod samymi drzwiami. Matthews przybył na czas, co do minuty. McCarthy zawsze mówił, że pod tym względem można na Anglikach polegać – są punktualni. To jeden z aspektów ich sztywniactwa, dający im tyle samo satysfakcji co ubranie na kolację odpowiedniej marynarki czy zawiązanie na krawacie idealnego węzła.

– W porządku – powiedział Matthews. – Co mam zrobić?

Wish wskazał mu ciężarówkę stojącą nieopodal wartowni.

– Na pace znajdziesz skrzynkę, a w niej płócienną torbę.

– Nie zarobię przez ciebie kulki, co, Furey?

– Po zmroku nie zwracają na nas większej uwagi.

– To dlaczego sam po nią nie pójdziesz?

– Chcesz ten pieprzony alkohol czy nie? – wciął się Harris.

– Dobra – zgodził się Matthews. – Już idę.

Wish otworzył jedną z butelek, które miał przy sobie, po czym wręczył ją Anglikowi.

– Łyczek na drogę – zachęcił. Tamten pociągnął z flaszki i oddał ją Wishowi. Stojąc w drzwiach, przyglądali się, jak Matthews skrada się wzdłuż baraków, przebiega przez otwartą przestrzeń i wdrapuje się na skrzynię ciężarówki. Gdy wracał, przez cały czas towarzyszyło mu stłumione pobrzękiwanie szkła.

– Nie mówiliście, że przy okazji będzie taki cholerny hałas.

Wish pokazał mu dwie zakorkowane butelki.

– To nie byle co – oznajmił. – A mamy tego znacznie więcej. – Wręczył flaszki Matthewsowi i spytał: – Co to za zółtek z wami przyjechał? Ten tłumacz.

– Mieliśmy nadzieję, że gdy nas przeniosą, to się go pozbędziemy.

– Ciężki przypadek?

– Kiedy Mańkut pojawił się w Mushiroda, interesowały go tylko regulaminy. Żadnych wyskoków. Za to jak wyjeżdżaliśmy, grał już pierwsze skrzypce. Przejął na własność magazyn Czerwonego Krzyża. Siedział po uszy w handlu na czarnym rynku.

– Nic dziwnego, że ciągle się uśmiecha.

– W zeszłym roku do Mushiroda dotarł transport wołowiny z Czerwonego Krzyża, tylko po puszcę na głowę. Ktoś rozdał konserwy, nie pytając Mańkuta o pozwolenie. Jak tylko to zwiertzył, kazał wycofać racje. Nie wiem, jakiego haka miał na Sakamoto, że coś takiego przeszło. W obozie był jeden facet, który nie zwrócił swojej konserwy. Mańkut kazał przeszukać jego rzeczy

i znalazł puszkę. Zaczął okładać go bambusowym kijem, gdy tamten leżał w łóżku. Wszędzie pełno krwi.

„Burza białych włosów” – pomyślał Wish. Wcześniej nie przyszło mu do głowy to określenie. Głowę Matthews’a porastała burza białych włosów.

– Sam już zauważyłem, że prawdziwy fanatyk z tego drania – przyznał.

– Fanatyk to mało powiedziane – stwierdził Matthews. – Co dobre dla Japonii, to dobre dla Mańkuta. A do tego on najwyraźniej wierzy, że to działa również w drugą stronę.

– Dlaczego mówicie na niego Mańkut? – spytał Harris.

– Lepiej, żebyście nigdy się nie dowiedzieli. Jeśli dacie radę, po prostu trzymajcie się od niego z daleka.

Obozowe zabudowania stały na drewnianych palach, jakieś dwie, trzy stopy ponad gruntem. Ich barak stał przy samym ogrodzeniu, wciśnięty w narożnik. To było najbardziej ustronne miejsce w całym obozie, Wish wykopał więc pod budynkiem płytki dół, w którym przechowywał zacier i gotowy alkohol. Pędził bimber z wszystkiego, co wpadło mu w ręce, z batatów, z zepsutego, niejadalnego ryżu, z naci marchewek i rzep. Drożdże wykradali dla niego Holendrzy pracujący w kuchni. Osano dostarczał nierafinowany cukier, soję i butelki w zamian za połowę wyprodukowanego alkoholu, który sprzedawał potem w Nagasaki. Po odstaniu dwóch tygodni w butelce trunek nabierał mocy pod 45 procent. Wish nie miał w ustach czegoś tak podłego od czasu, gdy w Cove posmakował samogonu Clive’a. Gorzała jednak robiła swoje.

Gdy Matthews poszedł do siebie, zanieśli torbę na tyły baraku i wczolęali się pod spód. Poza butelkami w torbie znajdowało się również pudełko zapalek. Już same butelki były niebezpieczne, ale za posiadanie zapalek można było dostać kulę w łeb.

Harris powiedział: – Lepiej wracajmy do środka. W końcu dzisiaj przyjechali ci nowi.

Wish był wciąż zbyt bojowo nastawiony, by kierować się rozsądkiem.

– Przed snem zamierzam sobie golnąć i zapalić. Bez względu na jakiegoś tam Mańkuta.

– Anstey?

– Przecież nie zostawię go tutaj samego jak palec, co nie?

– To nadstawiajcie karku, jak chcecie – powiedział Harris, po czym ich zostawił.

Wish otworzył butelkę i zapalił dwa papierosy.

– Żaloszny frajer – podsumował.

– Matthews napędził mu stracha. On po prostu się o nas troszczy.

Wish zakumpłował się z nimi pierwszego wieczora w Halifaksie. Tamtego popołudnia zszedł ze statku i zaczął szukać punktu poborowego, kierując się niepełnymi i sprzecznymi wskazówkami zaczepionych przechodniów. Godzinami przekraczał w kółko te same skrzyżowania, jakby mieszkańcy Halifaksu zmówili się, by powstrzymać go przed wstąpieniem do wojska. Gdy w końcu dotarł do celu, biuro było już zamknięte. Przez jakiś czas błąkał się po ulicach, a po zmroku zaszedł do knajpy i zamówił piwo. Harris i Anstey siedzieli przy barze porządnie już podpici. Co jakiś czas wstawali ze stołków, by salutować sobie

nawzajem i maszerować w formacji do toalety. Chłopcy u progu wielkiej przygody. Po drodze salutowali Wishowi i wszystkim innym klientom, zwracali się do nich per żołnierzu.

Było w tym duecie coś z Abbotta i Costello^[8]. Harris, o głowę wyższy od swojego towarzysza, zachowywał prostolinijną powagę nawet wtedy, gdy miał w czubie. Anstey był chudy jak szczapa, lecz kipiał energią niczym lampa gazowa. Większy kolega mówił na niego Ants. Antsy.

Wish upił się, obserwując, jak ci dwaj dokazują. Powiedzieli mu, że poznali się w tym samym punkcie poborowym, którego on szukał przez całe popołudnie. Stojąc w kolejce, ucieli sobie pogawędkę i stwierdzili, że wolą popłynąć za ocean, by wstąpić do armii brytyjskiej.

– Obywatele Wspólnoty Narodów – skwitował Wish.

– Brytole lepiej płacą – oznajmił Harris, wznosząc szklanekę.

To on w tym duecie odpowiadał za chytre kombinacje i prowokowanie do działania.

– Zobaczymy prawdziwą walkę dużo szybciej niż goście, którzy zaciągają się tutaj – dodał Anstey. Był tak podniecony myślą o tym, co ich czeka, że aż nie mógł usiedzieć na stołku. – A co z tobą, żołnierzu? – Znowu zasalutował.

Pieniądze nie miały dla Wisha większego znaczenia, ale perspektywa ucieczki jak najdalej od Nowej Fundlandii była całkiem kusząca.

Leżąc pod barakiem, Wish obserwował jaśniejącą i ciemniejącą na przemian końcówkę fajki Ansteya; rozbłysk żaru, gdy się zaciągał. To przywiodło mu na myśl ojca Mercedes wyciągniętego na leżance w kuchni, palącego z ramieniem zarzuconym za głowę,

podczas gdy nad ich rozmową zapadał zmrok. Mężczyzna nie żył już od czterech lat. A wszyscy zmarli oraz nieobecni w życiu Wisha – rodzice i Lilly, Hiram i Mercedes, Tom i Billy-Peter Keatingowie – nagle skupili się we wspomnieniu tamtej sylwetki leżącej pod ścianą, stopniowo ograniczającej się do nikłego żaru papierosa i głosu w ciemności.

Jakby Wish już nigdy nie miał znaleźć się bliżej nich.

—
Nie sposób było trzymać się z daleka od tłumacza.

Po przybyciu przystąpił do przejmowania obozu, odbywania improwizowanych inspekcji w barakach, szpitalu czy na stanowiskach pracy, niczym pies szczający na granice swojego terytorium. Przepytывał więźniów i strażników, wydobywając z nich szczegółowe informacje na temat obozowego życia, kreśląc w myślach mapę. Którzy jeńcy pracowali w stoczni, którzy w kopalni, a którzy w kuchni; którzy strażnicy sprzedawali kakao, wołowinę i lekarstwa z zapasów przechowywanych w magazynie Czerwonego Krzyża. Wish widział, jak tłumacz rozmawiał z Osano, jak częstował cywilnego strażnika papierosem.

W połowie kwietnia tłumacz przeszedł przez barak, rozdając fiszki i ogryzki ołówków.

– Każdy jeńiec może napisać maksymalnie czterdzieści słów! – krzyknął. – Wszystkie listy zostaną sprawdzone i ocenzurowane, jeśli zajdzie taka potrzeba. Macie pięć minut. – Stał pod drzwiami, by czekać, aż skończą.

– Myślicie, że oni to naprawdę gdzieś wyślą? – spytał Harris.

Dotąd pozwolono im na napisanie krótkiej notki do domu tylko raz, w 1942 roku, gdy przybyli do obozu numer 14. W listach Mercedes nic nie wskazywało na to, by dostała kartkę Wisha.

– Nawet jeśli wyślą – odparł Wish – to mam swoje obawy odnośnie logistyki Armii Brytyjskiej.

Anstey z Harrisem wyciągnęli się na pryczach i zaczęli starannie pisać drukowanymi literami, licząc słowa na palcach. Wyglądali jak dzieciaki odrabiające pracę domową. Spoza łóżka sterczały ogromne stopy Harrisa. Wish napisał na górze karty swoje nazwisko, stopień i numer seryjny. To było wszystko, co żołnierze mieli zamieścić, ale Wish z dwoma Kanadyjczykami podali również adresy odbiorców. *Mercedes Parsons u Hirama Keepinga, Georgestown, St. John's, Nowa Fundlandia* – napisał, trzykrotnie podkreślając ostatnie dwa słowa. *Cieszę się słońcem Pacyfiku, ale gospodarze do bani, wracam do domu, jak tylko skończę wczasy. Zdrowie dopisuje. Brak ciastek z rybą i Twojego widoku. Mam listy, proszę, pisz dalej. Czekać na mnie.*

Kartki zostały zebrane dokładnie po pięciu minutach.

– Nigdy nie trafią poza ten obóz – stwierdził Wish.

Następnego ranka po apelu tłumacz stanął przed szeregiem jeńców. Wyjął z kieszeni munduru fiszki i popatrzył na nie.

– Kapral James Harris – wyczytał.

Harris wyszedł przed szereg i stanął na baczność.

Tłumacz odwrócił kartkę.

– Halifax, Nowa Szkocja, Kanada – odczytał.

– Tak jest – odpowiedział Harris.

– Szeregowiec William Anstey.

– Melduję się.

– Antigonish, Nowa Szkocja, Kanada.

– Tak jest.

– Kanadyjczycy.

– Tak jest – odpowiedzieli obaj.

Wish poczuł w brzuchu drzenie skłębionego niepokoju.

– Czy coś jest nie tak z tymi kartkami? – spytał Harris. Tłumacz podszedł do Harrisa i spoliczkował go. Przyglądał się to jednemu, to drugiemu.

– Kanadyjczycy – powtórzył. Obaj odpowiedzieli: – Tak jest. Tłumacz uśmiechnął się do nich.

– Bardzo miło panów widzieć.

Utrwaliwszy sobie w pamięci ich wygląd, odwrócił się plecami do szeregu, a wtedy Koyagi zwolnił całą kompanię.

—

Wieczorem leżeli w baraku po ostatnim papierosie i czekali na apel.

– Powinieneś trzymać się od nas z daleka – poradził Harris Wishowi. – Jeść z kim innym.

– Już i tak widział, że kręcimy się razem – odparł Wish, choć pomysł podsunięty przez Harrisa już wcześniej przyszedł mu do głowy.

– Żywi do nas o coś wyjątkową urazę, to nie uchodzi wątpliwości – stwierdził Anstey.

– Może walczył z kanadyjskimi oddziałami w Hongkongu. Mężczyzna zajmujący pryczę najbliższej drzwi prowadzących do kwater oficerów zawołał ich.

– Tłumacz – powiedział. Wszyscy więźniowie zerwali się na równe nogi i skłonili głowy. Japończyk szedł przez salę w towarzystwie drugiego strażnika. Zatrzymał się przed Wissem.

– Szeregowiec Furey.

Wish wyprostował się i popatrzył mu w oczy.

– Tak się nazywacie?

– Tak jest. Aloysious Furey.

Tłumacz kazał pozostałym jeńcom opuścić barak, a strażnik zagonił ich do wyjścia. Gdy został sam na sam z Wissem, Japończyk oznajmił: – Rozmawiałem z panem Osano.

– Z kim?

Tłumacz uderzył go w twarz wierzchem dłoni.

– Rozmawiałem z panem Osano. – Odczekał chwilę. – Wasze przedsięwzięcie handlowe będzie nadal funkcjonować. Pojawi się jednak – udawał, że szuka odpowiedniego słowa – nowy podatek.

– Nie mam pojęcia, o czym mowa.

Tłumacz wyjął z kieszeni pudełko zapalek. Wezwał strażnika z powrotem do baraku i zaczął machać zapalkami, krzyczeć i wskazywać ręką to pryczę, to Wisza. Strażnik zdzielił Wisza w brzuch kolbą karabinu, po czym, kopiąc i szarpiąc, wyrzucił go z baraku, obok więźniów stłoczonych przy wejściu.

Kazano mu stać na placu z wyciągniętymi do przodu rękami, w dłonie włożono mu skrzynkę pełną wody. Próbował odgadnąć, ile ona może ważyć; pomyślał, że kilka kilogramów, tyle co średniej wielkości dorsz. Minuty płynęły, a tłumacz stał u jego boku. Kolejne ołowiane sekundy zdawały się wpadać do pudełka, a wraz ze wzrostem ciężaru jego ramiona zaczęły słabnąć. Po dwudziestu minutach czuł się tak, jakby znowu dostał ataku malarii. Całe jego ciało się trzęsło, koszulę i włosy miał nasiąknięte potem. W chwili gdy skrzynka się obniżyła, tłumacz wymierzył mu w plecy cios bambusowym kijem, zmuszając go, by podniósł dłonie na wysokość barków. Przyływ adrenaliny pozwolił mu utrzymać je tak jeszcze przez kilka minut.

Powtarzali tę zabawę z pół tuzina razy a po pewnym czasie Wish był już w stanie zwrócić uwagę na szczegóły. Japończyk trzymał kij w lewej ręce, co wyjaśniało jego przezwisko. Pistolet nosił po prawej, a więc był praworęczny, lecz najwyraźniej nie potrafił tą ręką uderzyć tak mocno, jak by chciał. W przeszłości musiał doznać jakichś obrażeń pleców.

To była ostatnia racjonalna myśl, jaka przyszła mu do głowy. Kiedy tłumacz pozwolił mu wreszcie opuścić rękę, Wish nie wiedział już, jak się nazywa. Odstawił skrzynkę na ziemię tak delikatnie, jak potrafił, po czym wyprostował się i zaczął oddychać nosem.

– Mógłbym was zastrzelić za to wykroczenie – oznajmił tłumacz.

Był przystojny na sposób, który sprawiał, że jego arogancja zdawała się jeszcze bardziej obrzydliwa. Wysoko na jego lewej kości policzkowej widniał pieprzyk, który wydawał się tak przedziwnie zdobny, jak gdyby został tam celowo namalowany kredką do powiek. Nieruchome oczy za drucianymi oprawkami okularów, na ustach uśmiech.

– Ufam, że osiągnęliśmy porozumienie – powiedział Japończyk.

Wish skłonił się przed tłumaczem. Każdy mięsień w jego ciele drżał, jakby ktoś podłączył go do gniazdka elektrycznego. Trwał w ukłonie, wyrażając zgodę, a jednocześnie w myślach umiejscawiając oprawcę w odpowiednim punkcie na swojej mapie, gdzieś za pierścieniem najdalszych planet. Poza granicami człowieczeństwa.

– Widzę, że przyjaźnicie się z Kanadyjczykami – stwierdził tłumacz, wciąż się do niego uśmiechając. – To wasi współnicy.

– Po prostu pracujemy w tej samej brygadzie.

Tłumacz wykrzyczał rozkaz strażnikowi, który wyłowił Harrisa i Ansteya spośród więźniów udających, że nie przyglądają się karze Wisha. Zaprowadzono ich pod rząd bambusowych izolatek z sufitami tak niskimi, że nawet Anstey nie mógłby tam prosto stanąć. Strażnik zaczął okładać ich bambusowym kijem po plecach i ramionach, zaganiając skulonych, trzymających się za głowy mężczyzn do klatek.

Spędzili w celach cztery noce. Na dzień każdy dostawał jedną ryżową kulkę posypaną solą. Każdego ranka pół kubka wody. Tłumacz odwiedzał ich regularnie, by przyglądać im się przez bambusowe kraty, by pytać, czy są zadowoleni z zakwaterowania. Stawał na widoku i pił ogromne szklanki wody, wykazując się tak dziecinnym okrucieństwem, że trudno było to jakkolwiek wytłumaczyć. Wish odnosił wrażenie, że ma do czynienia z postacią z komiksu, jakby Japończyk wzorował się na chuliganach i złoczyńcach z hollywoodzkich produkcji.

Rozmowy były surowo wzbronione, ale nocami porozumiewali się szeptem.

– Ten facet jest niespełna rozumu – stwierdził Anstey.

– Nie wiem, czy to takie proste – ostrzegł Wish.

– To o co chodzi?

– Jest w nim coś nierzeczywistego.

– Mnie się ten skurwysyn wydaje całkiem rzeczywisty – szepnął Anstey.

– Japonec z niego nad Japońce, to pewne – dodał Harris.

To mniej więcej Wish miał na myśli. W tłumaczu wszystko wydawało się na swój sposób przerysowane.

Godzinami rozmawiali o jedzeniu, wspominali posiłki zjedzone przed laty, śnili na jawie potrawy, które jeszcze mieli nadzieję zjeść. To były mentalne tortury, nieróżniące się zbyt od udręki, którą zadawał im tłumacz, pijąc wodę o krok od nich. Nie potrafili się jednak powstrzymać.

– Powiem wam, gdzie chciałbym pojechać, jak się stąd wydostanę – zagaił Anstey. – Na jedno z tych *garden party* w *Renews*, o których ciągle gada Wish.

– Przestań się nade mną znęcać – podpuścił go Harris.

Wish w wyobraźni przechadzał się między tamtymi stołami.

Każdy skrawek blatu był zastawiony talerzami, tacami i miskami. Katalogował potrawy na głos. Solona i świeża ryba. Pieczony kurczak i wieprzowina, solone mięso. Pudding z grochem. Kapusta i rzepa. Pudding z cebulą. Wielkie kryształowe misy, a w nich sałatki: ziemniaczana, z galaretą, coleslaw. Na deser ciasta owocowe, babka piaskowa, pudding z rodzynkami i melasą. Placek z borówkami, pudding z sosem angielskim.

– Za dziesięć centów ładujesz na talerz, ile dusza zapragnie – powiedział.

– Jezu – szepnął Anstey.

Zamilkli na chwilę, jeszcze bardziej wygłodniali przez myśl o jedzeniu, którego w życiu nie zjedli, choć mogli.

– A co do ciebie i twojej panny, Wish – zagadnął Anstey, najwyraźniej próbując nakierować rozmowę na temat mniej drażliwy dla żołądka. – Nie spędziliście ze sobą zbyt wiele czasu, zanim się zaciągnąłeś, co?

– Zgadza się, niewiele.

– Mam nadzieję, że ją miałeś, zanim poszedłeś do woja.

– Kurwa mać, Ants – wciął się Harris. – W stodole cię manier uczyli?

– Tak tylko pytam, Harris. Byłoby szkoda, gdyby nie. I gdyby już nigdy. No wiesz. Nie miał okazji.

– Stul pysk, dobra? Jezu. Wish, nie zwracaj na niego uwagi.

Wish nic nie odpowiedział i na tym zakończyła się ta rozmowa. Później przez jakiś czas rozmyślał o tamtym wieczorze, gdy uklęknął przed Mercedes za domem w Cove. Nie odnalazł w tym wspomnieniu nic seksualnego. Był na to zbyt wyczerpany, spragniony i głodny. Dręczyła go natomiast myśl, że może już nie mieć okazji, by zrobić to z nią, jak należy. Prałat nazywał to *skonsumowaniem*. Wish nigdy nie mógł pojąć, dlaczego księża wynajdowali górnolotne określenia dla najprostszych rzeczy; ostatecznie doszedł do przekonania, że w ten sposób chcieli pokazać ludziom, gdzie ich miejsce. Kiedy jednak sam próbował wytłumaczyć Mercedes, dlaczego powinni z tym poczekać, sięgnął właśnie po sformułowanie kapłana. Było w tym określeniu coś wzniosłego i czystego – coś, co wydawało się niezbędne w tamtych okolicznościach. A teraz, leżąc na klepisku w bambusowej klatce po drugiej stronie świata, bał się, że słowo to już nigdy nie będzie się odnosiło do ich dwojga.

—

Nie powinien był bratać się z Harrisem i Ansteyem w tamtej knajpie. Obaj pijani, bez najbledszego pojęcia o Anglii, wojsku ani tym, gdzie ostatecznie wylądują. Gdyby tak choć jeden niewydarzony skurwiel z Halifaksu raczył wskazać mu właściwą drogę do punktu poborowego. Przede wszystkim nie powinien był

słuchać Hirama i uciekać do Halifaksu. A gdyby tak nie ściągnął Hardy'ego ze schodów, to nic z tego... Gdyby nie zaczął odmawiać różańca nad trumną nieszczęsnego topielca Aubreya Parsonsa. Gdyby nie uganiał się za protestantką, której matka nie chciała nawet o nim słyszeć. Tak po prawdzie to nie powinien był w ogóle zadawać się Hiramem, nie powinien opuszczać Renewa.

Nocami, gdy cały obóz pogrążony był w ciszy, Wish potrafił leżeć przez wiele godzin, cierpiąc podobne katusze, podczas gdy Harris z Ansteyem spali lub również leżeli w milczeniu, przeglądając własne wykazy. Spoglądając wstecz na strugi zdarzeń i okoliczności, odnosił przyprawiające o mdłości wrażenie, że tak właśnie miało być. Doszedł do przekonania, że nawet najsubtelniejsza zmiana – gdyby obudził się wcześniej tamtego dnia, w którym zobaczył Mercedes po raz pierwszy; gdyby w knajpie w Halifaksie wypił jedno piwo mniej lub jedno piwo więcej – nawet najbardziej pozbawiona znaczenia wariacja wystarczyłaby, aby odmienić bieg wydarzeń, a jego życie przybrałoby całkiem inny obrót. Lilly zawsze twierdziła, że rękę Boga można odnaleźć w szczegółach, że to on kieruje człowieka w prawo lub w lewo. Wish odnalazł swego rodzaju pociechę w myśli, że to Bóg jest winny.

Po tym, jak z Tomem i Billym-Peterem wyładowali figurę Jezusa na nabrzeżu w St. John's, golnęli sobie na pokładzie parę szklaneczek bimbrowa. Z miejsca, w którym przycumowali, dało się słyszeć okrzyki członków Armii Zbawienia. Młody jegomość wymachiwał plikiem gazetki „Good News” i przekrzykiwał szum handlu kwitnącego w porcie.

Kiedy zapadł zmrok, Tom od razu położył się spać pod pokładem, a dwaj młodszy mężczyźni zeszli na ląd, by zobaczyć miasto. Rozpoznali tawernę po wylewającym się z niej świetle i gwarze, gdy ktoś otworzył drzwi od ulicy. W środku było pełno żołnierzy, Kanadyjczyków z Pierwszego Batalionu Black Watch^[9]. Pili z zawadiackim zapamiętaniem, wszyscy co do jednego towarzyscy i wylewni. Stawiali dwóm Nowofundlandczykom kolejki. Żołnierz nazwiskiem Kent nachylił się nad stołem i wskazał ich palcem. Jego głowa wyglądała tak, jakby ktoś właśnie wyjął ją z pudełka; był ostrzyżony na płaskiego jeża, szczękę miał przedziwnie kwadratową.

– Zaciągacie się, chłopaki? – spytał. Otarł górną wargę z potu i uśmiechnął się do nich. – Gwarantuję wam, że nic tak nie działa na panienki, jak mundur. – Pokręcił kanciastą głową. – Jak wyczują, że człowiek może popłynąć za ocean, to aż się garną, żeby go pożegnać, jak należy. Małego mam już obtartego prawie do krwi.

Po zamknięciu knajpy zostali zaproszeni do jakiegoś mieszkania przy George Street. Żołnierze, tuzin miejscowych dziewczyn, powietrze niebieskie od dymu. W kącie gramofon zarzynający płytę z rozrywkowymi melodiami. Butelki rumu Old Sam na koślawym stoliku do kart.

– Pszczoły do miodu – powiedział Kent, wskazując ręką mieszaninę mundurów i młodych kobiet.

Po paru godzinach Billy-Peter nachylił się do Wisha siedzącego w fotelu przy gramofonie.

– Musi być chwilę do świtu – stwierdził. – Staruszek będzie chciał płynąć do domu.

Dziewczęta właśnie zaczynały pozbywać się elementów garderoby, żołnierze rozebrali się do podkoszulków. To nie był dobry moment na wychodzenie.

– W porządku – powiedział jednak Wish, podnosząc się z fotela, by podążyć za Billym-Peterem. Przy drzwiach musieli wycofać się pod ścianę, by wpuścić grupkę nowych gości. Wish tylko przelotnie zerknął na nowo przybyłych. Zdążył przejść pół drogi do przystani, zanim na dobre rozpoznał twarz mężczyzny z nawoskowanym wąsem. Hiram Keeping.

Wymyślił jakąś nędzną wymówkę – że zostawił w tamtym mieszkaniu chustkę do nosa – i powiedział Billy’emu-Peterowi, że zaraz go dogoni. Szedł tam już z myślą, by pomówić z Hiramem o pracy. By zostać w St. John’s na dobre.

Gdyby nie natknęli się na tę knajpę pełną żołnierzy. Gdyby Kent nie zaprosił ich na George Street. Gdyby Hiram nie wszedł do mieszkania dokładnie w tamtej chwili. Gdyby nie jego cholerny wąs. Nie było w tym wszystkim żadnego wzoru ani zamysłu, który Wish potrafiłby rozpoznać. Dłubał jednak między elementami tej mozaiki, dopóki nie udało mu się zasnąć.

Czwartej nocy był już poważnie odwodniony, aż dzwoniło mu w głowie. Wnętrze powiek miał jak z papieru ściernego. Nieświadomie poruszał ustami, próbując wyprodukować choć odrobinę śliny. Słyszał szelest suchej skóry, to Harris i Anstey robili to samo, nawet przez sen. Śnił o wodzie pod wszelkimi postaciami, o rzekach i szemrzących potokach, o deszczówce spływającej ulicami miasta, o jeziorach i głębokich, ciemnych sadzawkach na pustkowiach w głębi lądu. Napelniał złożone dłonie, wysnzione szklanki i kufle, wypijał do dna, raz po raz, lecz

nie przynosiło mu to żadnej ulgi. Za każdym razem, gdy wybudzał się z tych majaków, załamywał się i zaczynał łkać, wydając z siebie ciche, suche jęki, które zdawały się na swój sposób niezwiązane z nim. Jakby to sama noc lamentowała.

Głód stanowił fizyczny wysiłek, był ciężarem, który Wish wlokł za sobą już od lat, a o którym czasami – we śnie lub po pijaku – udawało mu się zapomnieć. Natomiast cztery dni bez wody doprowadziły go na skraj obłądu.

Przebudziwszy się jakiś czas przed świtem, Wish dostrzegł człowieka kucającego przed klatką. Podniósł się na łokciach.

– Kto tam? – spytał.

– Osano.

– Wody. *Mizu*. – Podczołgał się do krat. –*Mziu*.

Osano pokręcił głową.

– *Asa* – powiedział.

– Chuj z jutrem – szepnął Wish. Kilkukrotnie przechylił dłoń przy ustach. – Pić. *Mizu*.

– *Asa* – powtórzył Osano przepaszającym tonem, po czym wstał i odszedł.

Wypuszczono ich po porannym apelu; żaden nie był w stanie utrzymać się na nogach o własnych siłach. Odległy warkot samolotów na niebie. Amerykańskie bombowce przelatywały tak daleko, że nikt w obozie nawet nie podniósł głowy. Anstey większość minionej nocy przeleżał w delirium, bredząc coś pod nosem. Przecinając plac apelowy, Wish z Harrisem objęli towarzysza ramionami. Żar gorączki dało się odczuć przez koszulę. Poczłapali niepewnym krokiem w stronę baraku, zgarbieni niczym trzej zniedołęzniali starcy. Usłyszeli dźwięki

eksplozji niosące się z odległości wielu mil, to bombowce zrzuciły swój ładunek na cele w okolicach Nagasaki.

– Niech Jankesi się pośpieszą – powiedział Harris. – Bo będzie po nas.

Wish rozmyślał o wizycie Osano. Cywil zdołał przekuć swój udział w bimbrowniczym interesie w jakąś formę wpływu na tłumacza, co wystarczyło, by uratować ich przed natychmiastową egzekucją czy powolną śmiercią w bambusowych klatkach. Wish próbował podzielić się z Harrisem pokrzepiającą myślą w podobnym duchu, lecz jego język był zbyt suchy i spuchnięty, by nadać kształt słowom.

MERCEDES

Zostawili za sobą tłumy wypełniające ulice śródmieścia i ruszyli na Signal Hill przez osiedle Battery. Po prawej zostawili Dead Man's Pond, wiszący w powietrzu zatęchły zapach stojącej wody. Co jakiś czas mijały ich z mozołem ciężarówki pełne żołnierzy, wstawieni mężczyźni śpiewali i pokrzykiwali do nich, wozy zwalniały na ich wysokości, a pasażerowie wyciągali ręce, proponując przejażdżkę. Mercedes wolała jednak spacer.

Rano nad miastem poniosło się bicie kościelnych dzwonów, statki w porcie zadęły w gwizdki i syreny, a samochody jeździły po ulicach, rycząc klaksonami. Hiram zamknął zakład i wybiegł na zewnątrz z jedną ręką wetkniętą w rękaw płaszcza i z kapeluszem w dłoni. Zostawił Mercedes w tyle, gdy dziewczyna przystanęła pod sklepem Bashów. Frontowe drzwi były zamknięte, obeszła więc dom i tylnymi drzwiami dostała się do kuchni, w której już trwało świętowanie. W izbie tłoczyła się rodzina Bashów oraz większość pozostałych Libańczyków z miasta, na piecyku szemrało kilka dużych garnków, na blacie stała otwarta butelka rumu. Rania wy ścisnęła Mercedes i ucałowała ją w oba policzki, a wszyscy zebrani – mężczyźni, kobiety i dzieci – wstali, by czekać na swoją kolej.

Po południu wyszli z domu i zeszli Prescott Street nad wodę, gdzie na ulicach stały tysiące ludzi. Na budynkach wisiały flagi i kolorowe chorągiewki, ludzie wychylali się z okien nad chodnikami. Przez tłum niosły się fale długich wiwatów, dało się

słyszeć spontaniczne wykonania *God Save the King* czy *Ode to Newfoundland*^[10]. W całym tym poruszeniu i zgiełku Mercedes czuła się jednak dziwnie przygaszona.

Wczesnym wieczorem wymknęła się Bashom i ruszyła w stronę Kirku. Dostrzegła z daleka inne zbiorowisko, blokujące ulicę na Long's Hill; po obu stronach stały już sznury samochodów. W pół drogi do szczytu usłyszała dźwięk jego trąbki. Z tysiąc osób zebrało się wokół niego, by posłuchać. Mercedes nigdy nie przyzwyczała się do tłumów w St. John's, do tego anonimowego ścisku na ulicach, do fizycznej bliskości. Nawet przejście przez grupę obcych gapiów było dla niej nieprzyjemne. Zakryła dłonią usta i nos, by odciąć się od ich zapachu, po czym zaczęła przeciskać się ku wolnemu kręgowi na środku, gdzie stał Johnny Boustani.

Był w mundurze, ale głowę miał odkrytą. Wieczór był niezwykle ciepły; na twarzy trębacza zbierały się kropelki potu. Odegrał *If Stars Could Talk* i *Breeding Along with the Breeze*; między utworami tłum wznosił ręce i nagrodził go owacjami, a on dwukrotnie skłonił się, nie odrywając instrumentu od ust, i płynnie przeszedł do kolejnej melodii. Gdy sięgał wyższych rejestrów, wklęśła linia jego pleców przywodziła na myśl napięty łuk. Grając, obracał się powoli, by muzyka rozeszła się na wszystkie strony świata. Gdy w końcu zauważył Mercedes, urwał melodię, wciągnął dziewczynę na wolny skrawek nawierzchni i pocałował ją prosto w usta, przy wtórze wiwatów tłumu. Jego oddech cuchnął alkoholem, co zdziwiło Mercedes. Nigdy jeszcze nie widziała, żeby Johnny pił. Wycofała się szybko, krzycząc do niego, że ma grać dalej.

Zaimprovizowany koncert trwał jeszcze jakieś dwadzieścia minut, aż w końcu dwaj policjanci przepchnęli się przez zbiorowisko, machając po drodze rękami i nakazując ludziom, by przestali blokować ulicę. Johnny spakował trąbkę i stał tak, wpatrując się w Mercedes. Niezgrabnie wzruszył ramionami, zażenowany albo tym, że zrobił z siebie widowisko, albo że ona przyłapała go na picciu, albo że ją tak bezczelnie pocałował.

– Miałem ochotę sobie pograć – wyjaśnił.

– Zabierz mnie na Signal Hill, dobrze?

Już zapadał zmrok; idąc na wschód, musieli zmagać się z wzbierającym tłumem ludzi zmierzających na dworzec kolejowy, by powitać członków 5. Regimentu, którzy wracali wieczornym pociągiem. Po drodze ludzie ściskali dłoń Johnny'ego i przystawali, by poczęstować żołnierza łyżkiem z butelki czy piersiówki. Widząc brawurę, z jaką Johnny odrzucał głowę w tył, obserwując jabłko Adama tłoczące alkohol w głąb gardła, Mercedes nabrała przekonania, że chłopak jest pijany. Stanowił jednak jej przepustkę na Signal Hill.

Na szczycie, u stóp Cabot Tower, zastali rozochocone grupki amerykańskich żołnierzy, podśpiewujących razem, wybuchających śmiechem. Gdy podeszli bliżej, zupełnie obcy ludzie zaczęli ich obejmować i wciskać im alkohol. Mężczyźni klepali Johnny'ego po plecach tak mocno, że ten o mało nie padł na twarz i ledwo zdążył stanąć prosto, by przygotować się na kolejny cios. Mercedes wyminęła ich wszystkich, weszła w suchą trawę i zaczęła schodzić w dół zbocza, w kierunku Queens Battery, kilku dział stojących na przyłдку bezpośrednio ponad przesmykiem Narrows.

To był jej ulubiony cel letnich spacerów, od kiedy zorientowała się, że towarzystwo Johnny'ego Boustaniego wystarczy, by zaspokoić dociekliwość patroli żandarmerii wojskowej, mogących zakwestionować jej prawo do przebywania na wzgórzu. Zdarzało się, że stała tu godzinami, podczas gdy Johnny siedział nieopodal w trawie i podśpiewywał coś cicho pod nosem, a podziemny szmer miasta wlatywał ku nim z ciemności zalegających u ich stóp. Odległy pomruk ruchu ulicznego, okrzyki i śmiechy. Nikłe snopy światła wyciekające spod osłon okrywających reflektory samochodów.

Słyszała za plecami kroki, zbliżające się poprzez trawę, lecz nie odwróciła się od miasta.

– Tak myślałem, że tutaj cię znajdę – powiedział Johnny.

– Sądziłam, że teraz pozapalają światła. Dlaczego wszystko jest nadal zaciemnione?

Wyciągnął rękę ponad jej ramieniem, by wskazać światła jaśniejące na zachodnim brzegu portu. – Podświetlili dworzec dla 5. Regimentu.

Przyszła tutaj z nadzieją, że ujrzy miasto rozmigotane, rozżarzone, niczym stworzenie ozdrowiałe po długiej, wyniszczającej chorobie. Wojna w Europie dobiegła końca. Światła pokładowe statków powinny jaśnieć na redzie, latarnie na zboczach wzgórz otaczających zatokę powinny wykwić jak grona borówek na krzewie ciemności.

– To chyba jedyne miejsce w całej Wspólnocie Narodów, gdzie nadal trwa zaciemnienie – stwierdziła. Rozczarowanie kłuło ją w klatce piersiowej.

– Ten widok to nic wielkiego – odparł Johnny. – Powinnaś zobaczyć Boston nocą. Nowy Jork.

– Założę się, że są piękne – powiedziała łagodnie.

– Są. – Zamilkł na chwilę. – Ale nie tak piękne, jak ty.

Mercedes odsunęła się o krok dalej.

– Ile już dzisiaj wypiełeś, Johnny Boustani?

– Mercedes, czy człowiek nie może się trochę zabawić? Wojna się skończyła, na miłość boską.

– Nie dla wszystkich – odparła. – Jeszcze nie.

Od wczesnej jesieni 1942 roku mieszkała nad zakładem Hirama, w tych samych pokojach, które Wish zajmował, zanim wyjechał cichcem do Halifaxu i Anglii. Wprowadziła się mniej więcej w tym czasie, gdy on płynął na pokładzie Wakefielda ku tropikom. Nie miała pojęcia, dokąd Wish płynie; odnosiła wrażenie, że go traci. Wynajęła jego pokoje u Hirama, by oddalić od siebie to uczucie. By znaleźć ukojenie, śpiąc w tym samym łóżku co on, czytając listy w tym samym fotelu, pod tym samym oknem co on, spoglądając na widok, który on nosił w pamięci.

Za dnia odpracowywała czynsz w zakładzie; z początku prowadziła księgi i zajmowała się drobną papierkową robotą, a w końcu nauczyła się obsługiwać projektor i zarabiała po pięć dolarów za popołudnie, wyświetlając filmy na przyjęciach urodzinowych dzieciaków w domach kupców przy Circular Road. Kiedy Hiram pracował w mieście, asystowała mu przy wykonywaniu fotografii portretowych. Nie wpuszczał jej natomiast nigdy do ciemni, w której wywoływał odbitki. To była przerobiona szwalnia, z zakrytym oknem i odrzwiami uszczelnionymi, by nie wpuszczały światła z korytarza.

– To nie przystoi – wyjaśnił – by mężczyzna mojego autoramentu zamykał się w tak ciasnej, a do tego ciemnej, ciemni z dziewczyną w twoim położeniu.

– A co moje położenie ma wspólnego z twoją ciemną ciemnią?

– Wiesz, co ludzie potrafią wygadywać.

Po tę samą wymówkę sięgnął, gdy Mercedes zaproponowała, że wynajmie pokoje na górze.

– Nie boisz się mieszkać tutaj sama? – spytał. – Ze mną?

– Jesteś raczej nieszkodliwy.

Twarz Hiram pociemniała.

– Gównu o mnie wiesz, panienko. Nie zapominaj o tym.

Wiedziała od Wisha, że Hiram dawno stracił swoje „usposobienie „ przez alkohol. Obawa o przyzwoitość była tylko na pokaz; Mercedes zraniła jego dumę. Dodała: – Ojciec nauczył mnie, jak zadbać o siebie w towarzystwie tobie podobnych.

Hiram odziedziczył swoją rezydencję po rodzicach. Dom był tak duży, że mogłoby tu zamieszkać z dwanaście osób, a w razie czego i więcej. Od początku wojny tysiące ludzi zjeżdżały do miasta, by podejmować pracę w porcie i bazach wojskowych, a znalezienie zakwaterowania graniczyło z cudem. Niektórzy twierdzili, że w tych okolicznościach samotnictwo Hiram jest dość niepatriotyczne, a Mercedes podejrzewała, iż przystał na jej propozycję po części dlatego, że chciał stępić ostrze krytyki. Był natomiast nieustępliwy co do obowiązującego dziewczynę zakazu wstępu do ciemni, a ona chętnie pozwoliła mu odnieść to małe, symboliczne zwycięstwo.

Zgodnie z przewidywaniami Hiram ludzie gadali. Była jego nieślubną córką spłodzoną w zamierzchłych czasach w jakiejś

osadzie rybackiej, a teraz przyjechała, by odszukać ojca. Mercedes i Hiram zawarli potajemnie związek małżeński. Była w ciąży, miała urodzić jego dziecko.

– Nie znajdziesz za grosz inwencji w plotkach – stwierdził, dzieląc się z nią tymi pogłoskami. – W kółko jedno i to samo, powtarzane do znudzenia.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że czuje się dobrze w jego towarzystwie, zwłaszcza, że dysponował niewyczerpanym zasobem anegdot o południowym wybrzeżu, spośród których niejedna dotyczyła w jakimś stopniu Wisha. Na trzeźwo Hiram nie mówił o nim zbyt wiele, jakby obawiał się, że może zaprzeczyć jakiejś historyjce, którą Wish jej o sobie opowiedział. Rzadko jednak bywał trzeźwy i nigdy nie pozostawał w tym stanie zbyt długo.

Ulubiona opowieść Hiram o Renew: Pierwszego wieczora, gdy wyświetlał film w magazynie Kane'a, rozstawił projektor i poszedł się napić u Toma Keatinga. Kiedy wrócił dwie godziny później, sala była już wypełniona po brzegi ludźmi siedzącymi na krzesłach, pułapkach na homary i skrzynkach, które przynieśli ze sobą. A wszyscy, co do jednego, usadowili się przodem do tej ściany, pod którą stał projektor.

– Wish również – dodał Hiram. – Na swój sposób to miało jakiś sens. W końcu to tam znajdowała się *maszyna*. To tam powinno się wszystko dziać.

W opiniach Hiram na temat wszystkiego i wszystkich z małych osad rybackich pobrzmiwała protekcjonalność – nawet gdy wyrażał podziw. Jakby chwalił lekko upośledzone dziecko.

Jego jedynym źródłem prawdziwej przyjemności w życiu, poza piciem, był hazard. Obstawiał każdy zakład, na jaki tylko udało

mu się znaleźć chętnych. Kiedy wiosenna kra zablokuje port i jak długo się utrzyma. Data pierwszego opadu śniegu w tym roku. W marcu na zamrożonym jeziorze Quidi Vidi odbywały się gonitwy; konie, które na co dzień ciągnęły przez miasto artykuły spożywcze, węgiel i mleko, rywalizowały ze sobą lub z nadarżającymi się nieczęsto konkurentami z osad rybackich. Krążyły pogłoski, że Hiram wygrał tam setki dolarów. Mówił, że to łatwa forsa.

– Choćby od tego zależało ich życie, protestanci nigdy nie obstawiają, że przegra protestancka szkapa. To samo z katolikami. Ja nie mam podobnych skrupułów – mówił. Po obstawieniu pewniaka zacierał dłonie i szeptał: – Dał go Bóg w ręce moje.

Mercedes nie rozumiała jego nałogu i nie omieszkała mu o tym powiedzieć.

Przyjrzał się jej, przekrzywiając głowę.

– Sama jesteś hazardzistką – oznajmił. – Nie różnisz się niczym ode mnie.

Czuła, że jej uszy robią się czerwone.

– *Nie jestem* – odparła. Według jej babki hazard był gorszy niż picie czy tańczenie.

– Wybrałaś konia – stwierdził Hiram. – I postawiłaś na niego wszystko, co masz.

Zrozumiała, że mężczyzna ma rację.

Mówił dalej: – Jeden raz na sto zdarza się, że zakład sam cię wzywa. Zazwyczaj hazard to zwykle zgadywanie w ciemno, ale nie tym razem. Jakby zawisła nad tobą ręka Boga, wskazując ci, czy iść w tę stronę, czy w tamtą. Każdy normalny człowiek

podwinąłby ogon i zwiął z obawy, że w razie porażki się zbłąźni. Ale nie ja. I nie ty.

- A co się stanie, jeśli ostatecznie jednak się zbłąźni?
- Jedyne, co działa na korzyść nas, hazardzistów, to wiara.

—

Któregoś ranka poprosiła Wisha, żeby zdjął koszulę. Po prostu chciała na niego popatrzeć.

To było dzień po pogrzebie małego Willarda Slade'a. Dwa dni po tym, jak Wish zaskoczył ją pod płotem, wcisnął głowę pod jej spódnicę i trzymał ją tam jak człowiek próbujący utopić się w wiadrze wody. Myślała, że musi być pijany, skoro zachowuje się w taki sposób; próbowała odciągnąć go od siebie, szarpała za włosy coraz mocniej, gdy nagle poczuła, że w oddali narasta coś nieznanego, że nadciąga ku niej niczym wezbrana fala zmysłów, że po drodze nabiera rozpędu i ciężaru. Wydawało się jej, że to coś gwałtownego i okrutnego, z początku była przerażona, a w pół drogi przez jej pierwszy w życiu orgazm złapał ją skurcz w prawej łydce, i tak padła na Wisha, wijąc się niczym jakiś ewangelik w transie.

Dopiero po fakcie była w stanie posegregować to wszystko na zrozumiałe kategorie, oddzielić falę rozkoszy od strachu, od bólu w łydce, która wciąż ją ćmiła. Przeleżała bezsennie całą noc, dręczona wspomnieniem jego ust tam na dole. Nie wyobrażała sobie, żeby ktokolwiek w Cove miał kiedyś do czynienia z takimi rzeczami, uznała więc, że to musi być coś, co robią katolicy. Dostawała wypieków na samą myśl, że ktokolwiek z domowników mógłby się dowiedzieć, że pozwoliła na coś takiego.

- *Leż spokojnie* – jęknęła Agnes.

Wish podniósł się z ziemi, przyklęknął i wzruszeniem ramion rzucił szelki. Rozpiął koszulę. Na piersi ani włosa. Wgłębienia nad obojczykami dość duże, by pomieścić łyżkę wody. Blade, skurczone sutki, jak u niemowlęcia. Objęła jego nagi tors ramionami i trzymała go tak, wodząc palcami po wydatnej klawiaturze jego kręgosłupa. Dotknęła jego karku, jego znamienia, i zaczęła liczyć, sunąc ręką w dół aż do kości ogonowej, wsuwając palce za pasek spodni. Szesnaście kręgów. Powtórzyła tę liczbę w myślach, aby ją zapamiętać.

Jakby wiedziała, że musi chłonać go jak najszybciej, powierzyć pamięci dosyć, by przeprowadziła ją przez rozstanie.

– Na co jeszcze chciałabyś popatrzeć? – spytał.

Podniosła wzrok i zerknęła na jego twarz. W pytaniu nie było za grosz lubieżności. Albo była ona tak delikatnie spleciona z czymś innym – z nieśmiałą powagą – że Mercedes nawet nie przyszło do głowy, iż mogłaby czuć się urażona.

– Wszystko – odpowiedziała.

– Ależ Mercedes. Nie bądź zachłanna.

– Wszystko – powtórzyła.

Uśmiechnąwszy się do niej, wstał z trawy i sięgnął do sprzączki paska. Gdy położył tam dłoń, zawahał się.

– Widziałaś już kiedyś nagiego mężczyznę?

– Nie.

Dał kilka kroków w tył, w kierunku wody.

– Dokąd się wybierasz?

– Zostań tam, gdzie jesteś – odparł. Pozwolił spodniom opaść na ziemię, wyszedł z nich i stanął przed dziewczyną w samych skarpetkach. Skóra tak blada, że Mercedes widziała ażurowy

wzór sinych żył na miednicy. Włosy łonowe gęste i ciasno poskręcane, jakby nocami pieczołowicie zawijał te loki na szmatkach. I to coś. Nie przyszło jej do głowy żadne inne określenie. To było zeszywniałe i twarde, stało na baczność. Końcówkę miało jak ciemny kapelusz grzyba, na całej długości drżało od pulsującej krwi. To narzędzie wyglądało tak idiotycznie, że przez chwilę Mercedes sądziła, iż nie powstrzyma się od śmiechu.

Podniosła się na kolana i uniosła jedną rękę, przytykając palce do ust. Pomyślała, że rzeczy spadają na człowieka bez ostrzeżenia. To właśnie znaczy być zakochanym. Niewyobrażalne rzeczy spadają na człowieka nagle, a on jest zupełnie inną osobą i pragnie czegoś całkiem innego, niż oczekiwałby tego świat. Nie miała pojęcia, jak powiedzieć Wishowi, co przyszło jej do głowy. To było coś, co robią katolicy. Dopóki go nie spotkała, w jej świecie nie istniały słowa mogące to opisać. Stał zbyt daleko, by mogła go dotknąć, wyciągnęła więc ku niemu rękę.

Zaczęła: – Wish. – On już sięgał po spodnie. Próbowwała go powstrzymać. – Chcę ci to zrobić – powiedziała.

Szybko podniósł na nią wzrok. Zauważyła, że Wish dobrze wie, o co jej chodzi. Odwrócił się jednak i podciągnął spodnie. Na szyi gniewne czerwone znamię. Założył koszulę i zapiął ją, wciąż stojąc plecami do dziewczyny.

A więc zrobiła coś nie tak. Mówienie o tym było niewłaściwe, może nawet myślenie o tym było niewłaściwe, a teraz on chciał od niej uciec.

– Pewnie sądzisz... – zaczęła.

– Nie. Nie, skądże. – Uklęknął przy niej i zaczął całować ją w twarz, ucałował jej usta i oczy. – Oczywiście, że nie. Po prostu...

– Po prostu co?

– Po prostu mamy na to mnóstwo czasu. Zrobimy to jak należy. Kiedy się pobierzemy.

– W takim razie co to było przedwczoraj? Kiedy ty?

– To był tylko przedsmak. – Uśmiechnął się na ten niezamierzony żarcik, a Mercedes poweselała wraz z nim. – Przedsmak tego, co nas czeka.

Wtedy napełniło ją to ufnością do Wisha, ta jego niespodziewana wstrzeźliwość, jego nalegania, by odłożyć skonsumowanie, jak to nazywał. A teraz żałowała, że zgodziła się czekać, jakby czasu mieli pod dostatkiem. Błąkała się po pokojach, dotykając to jakiegoś mebla, to jakiegoś sprzętu, którego on również musiał dotykać, wciąż wybierała lub odrzucała imiona dzieci, zmieniała krój sukni ślubnej czy kolorystykę kapy przeznaczonej na wyimaginowane łóżko.

Uderzyło ją to, że Hiram nazwał ją hazardzistką. Musiała przyznać, że w tym wszystkim jest coś ze sposobu myślenia hazardzisty – zaryzykowała już tak wiele, że nie mogła odczuwać inaczej, nie mogła żywić nadziei na inne zakończenie. Uczucie było nieuchwytnie i niewyraźne, lecz nie mniej rzeczywiste niż wszystko, co dotąd czuła. Była jak osoba niewidoma od urodzenia, która nigdy nie doświadczyła wzroku – poza tym, że wszystkie pozostałe zmysły sugerowały jego brak.

Hardy odwiedził ją w zakładzie Hiram krótko po jej przeprowadzce.

Kiedy wszedł, Mercedes stała za kontuarem i wpatrywała się w drzwi. Włosy miał prawie białe – wypłowiałe po całym lecie spędzonym na wodzie. Gdy położył dłonie na blacie, zerknęła w dół i dostrzegła obrączkę.

– Pobraliście się z Ruthie?

– Dzień po Bożym Narodzeniu, kiedy pastor przyplął, by odprawić nabożeństwo.

Powiedział jej, że przed samymi świętami Clive’a Reida o mało nie zabiła gorączka, ale facet wrócił na wodę, gdy tylko pogoda zrobiła się na tyle przyzwoita, by można było łowić. W salce za kościołem wybuchł pożar, plebania doszczętnie spłonęła, ale sam kościół udało się uratować.

Mercedes zdała sobie nagle sprawę, że dotąd myślała o Cove i jego mieszkańcach jak o zastygłych w czasie, jakby ich życie uległo zawieszeniu z chwilą, gdy ona je opuściła. Wyobrażała sobie, że wszystko trwa tam równie niezmiennie, co oni w jej umyśle. Teraz ujrzała ich żywoty wprawione w ruch, jak gdyby przewijała film, przepuszczając między kciukiem a palcem wskazującym taśmę, a na niej dni i pory roku, miłości, choroby i zgony. To wrażenie przyprawiło ją o zawrót głowy; oparła się obiema rękami o ladę, by utrzymać się na nogach.

– Sadie – zaczął brat.

– Umarła, prawda?

– Przed świętami – odparł. – Odeszła spokojnie.

Mercedes pomyślała o niezachwianych przekonaniach babki, o jej uporze. Jediną książką, jaką kobieta kiedykolwiek przeczytała, była Biblia. Pięć wersetów każdego wieczora, i tak

przez całe życie przebrnęła przez oba Testamenty z pół tuzina razy. *Spokój* do niej nie pasował.

– Co zrobiłaś z włosami? – spytał Hardy. – Wyglądasz świetnie, nie powiem.

Mercedes tylko wzruszyła ramionami.

– Jak się miewa Ruthie?

– Sade, mogłabyś zaproponować mi filiżankę herbaty.

Zabrała go do jednego ze swoich dwóch pokoiów na górze i postawiła czajnik na płycie elektrycznej.

– Skąd wiedziałeś, że znajdziesz mnie tutaj?

– To było jedyne miejsce, które przyszło mi do głowy. – Podniósł puszkę zagęszczonego mleka, którą siostra postawiła obok filiżanek. – Myślałem, że to jest racjonowane. Tylko dla ludzi z dziećmi.

– Hiram zna tych i owych – powiedziała, wskazując mu jego miejsce. Nie mogła uwierzyć, że Hardy jest przy niej, na wyciągnięcie ręki. Od kiedy brat stanął w drzwiach, nie dotknęli się ani razu, a teraz nagle poczuła brak dotyku, tak jak nieraz doznawała niespodziewanie przypływu głodu, który niezauważony podkradał się do niej godzinami.

Hardy nigdy jeszcze nie widział takiego ustrojstwa jak przenośna płyta grzewcza, zasypał więc siostrę gradem pytań, na które Mercedes nie znała odpowiedzi.

A potem spytał równie swobodnym tonem: – Jak tam sprawy z twoim chłopem? Wciąż macie się ku sobie?

– Pytasz w imieniu matki?

Nie odpowiedział od razu; widziała, że starannie dobiera słowa.

– Matki to... – zaczął. – Nie wspomina o tym. O tobie. – Skinął brodą na jej ręce. – Ty nie wyszłaś za męż.

– Wyjdę – odparła. – Kiedy on wróci zza oceanu.

– Skąd?

– Poszedł na wojnę. W przeciwieństwie do niektórych.

Hardy przyglądał się jej przez jakiś czas. Czajnik zaczął podskakiwać na płycie, Mercedes wstała więc, by zaparzyć herbatę.

– Sadie, zamierzasz w ogóle wrócić do domu?

– Domu? – spytała gniewnie. Wciąż stała plecami do niego. – Domu? – powtórzyła.

Kiedy babcia zachorowała, Helen lub Mercedes odczytywały jej na głos wieczorne pięć wersetów, bez względu na to, czy staruszka była wystarczająco przytomna, by je pojąć. Pod koniec czytały *Księgę Rut. Albowiem mię gorzkością wielką Wszechmogący napełnił. Wysyłam stąd obfitą a próbną mię przywrócił Pan.*

– Agnes za tobą tęskni.

Był bliski płaczu, nie mogła już dłużej znieść wyrazu jego twarzy.

– Ani mi się waż – powiedziała. Wmieszała do herbaty łyżkę mleka.

– Twarda z ciebie sztuka, nie powiem – szepnął. – W ogóle o nas nie dbasz, co?

– Tu masz herbatę – oznajmiła, po czym pobiegła korytarzem do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Po paru minutach Hardy zawołał ją po imieniu, ale nie ruszyła się, dopóki nie usłyszała, że brat zszedł po schodach i otworzył drzwi na ulicę.

Gdy Amerykanie założyli Fort Pepperell, Johnny Boustani został przydzielony do biura wywiadu Armii Stanów Zjednoczonych, choć zawsze wymawiał słowo „wywiad” tak, jakby chodziło o jakąś zabawę w dziennikarzy. Po zaginięciu Wisha Johnny często nieoficjalnie zasięgał informacji i przedstawiał Mercedes domysły co do prawdopodobnego położenia jego kompanii – Kiusiu na południowym zachodzie, okolice Nagasaki. Nie sposób było jednak stwierdzić, czy Wish żyje i czy nie oddzielił się od towarzyszy. Johnny robił, co mógł, żeby nie odpowiadać na pytania Mercedes dotyczące warunków w obozach jenieckich. Kiedy zaczęła go przyciskać, powiedział: – Ja tylko przesuwam chorągiewki na mapach.

– Ktoś musi coś wiedzieć.

– Mercedes, naprawdę nie dotarło do nas zbyt dużo wieści na ten temat.

– A więc jest aż tak źle, co?

– Może będzie dla ciebie lepiej – odparł – jeśli o niektórych rzeczach nie będziesz wiedziała.

Pisała do Wisha przez całą wojnę, co miesiąc słała listy w niezmienną ciszę, adresując je do jego bazy w Anglii. Nawet ona odnosiła wrażenie, że to bezcelowe starania. Alternatywę stanowiło jednak uznanie Wisha za martwego.

—

Mercedes spytała: – Hiram, co ci wiadomo na temat jego ciotki Lilly? – To było na początku, kiedy próbowała wydobyć z niego każdy strzęp informacji o Wishu. – Dlaczego zamknęli ją w klasztorze?

– Gada po łacinie – odrzekł Hiram.

Mercedes wpatrywała się w niego.

– Mówią, że nauczyła się sama. W dzieciństwie. – Zrobił dziwną minę. – Pogłoska krążąca po wybrzeżu głosi, że Lilly zaczęła mówić do księdza po łacinie, zanim skończyła dziesięć lat. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, gdzie mogła nauczyć się tego języka. Sama twierdzi, że to Bóg zsyłał jej wiadomości w księgach, które pojawiały się znikąd i rozplywały się w powietrzu, gdy je przeczytała.

Mercedes przypomniała sobie rękę kobiety obejmującą ją w pasie, bijące od niej ciepło.

– Przez wiele lat mieszkała sama, aż do dnia, gdy Wish ją znalazł.

– Znalazł gdzie?

– Wish nic ci o tym wszystkim nie mówił?

– Nic.

– Nie boisz się czasem, że dowiesz się za dużo? – burknął Hiram, najwyraźniej postanawiając, że więcej nic już nie powie. Po chwili dodał: – Wish znalazł ją na podłodze, w tej maleńkiej szopie, w której mieszkała. Ramiona miała wyrzucone w bok, jakby były przybite do krzyża. A jej dłonie krwawiły.

– Jak to krwawiły?

– Wtedy zabrali ją do klasztoru – kontynuował Hiram. – Wish i tak już mniej lub bardziej pomieszkiwał u Keatingów. Razem z Billym-Peterem i Tomem łowili ryby i wchodzili na rozbite statki. Robili w bimbrze, rozprowadzali alkohol na wybrzeżu. Trudno go winić za to, że nie chciał mieszkać z ciotką pod jednym dachem.

– Owszem. Trudno.

Stwierdziła ze zdziwieniem, że poznawanie kogoś nie sprowadza się do gromadzenia informacji, do zwyczajnego

sumowania szczegółów w celu dotarcia do pewnej spójnej całości. Powody, dla których Wish nie powiedział jej prawie nic na temat Lilly, były oczywiste. Bóg zwracał się bezpośrednio do niej, podczas gdy Wish spał w pokoju obok. Znalazł ją na podłodze, krew sączyła się z jej dłoni. Jak stwierdziła Patty Keating, Lilly nie była z tego świata.

Każdy drobiazg dotyczący Lilly, o którym dowiadywała się Mercedes, sprawiał, że kobieta zdawała się jej jeszcze bardziej nierzeczywista. A przy okazji oddalał odrobinę również Wisha. Wydawało jej się to nie w porządku, że można się czasem dowiedzieć o człowieku rzeczy, które sprawiają, iż rozumie się go gorzej.

Nauczyła się sprawdzać taśmy Hirama po jego wyprawach wzdłuż brzegu; powoli przewijała filmy wstecz, a jej palce rejestrowały każdą nierówność naderwanej kliszy. Zatrzymywała projektor, wycinała jedną lub dwie klatki i sklejała równo przycięte końce filmu klejem, który nakładała pędzelkiem. Oczekiwała jakąś minutę, żeby klej złapał, po czym znowu zaczynała przepuszczać taśmę przez palce. Wiedziała, że ludzie nie zwrócą większej uwagi na czkawkę aktora, na lekki przeskok w ruchu tam, gdzie dokonała tych drobnych napraw. Kiedy jednak była zmuszona wyciąć dłuższe fragmenty uszkodzonej kliszy nieraz znikaly całe słowa i frazy. Gdy w *Zielonej dolinie* pan Gruffydd powstrzymywał się przed pocałowaniem Angharad, twierdząc, że nie ma prawa, a ona gonila za nim do drzwi i mówiła „Jeżeli to ja dysponuję tym prawem”, nikt z widzów – poza Mercedes – nie wiedział, że kiedyś zwykła dodawać: „To właśnie je odstępuję”. To było zupełnie jak dar jasnowidzenia, znajomość

tajemnych fragmentów świata, niewidzialnych dla pozostałych śmiertelników.

A jednak coś w tym procesie napawało ją niepokojem. Łatwość, z jaką pasma rozmów i gestów ginęły z życia filmu. Nocami rozmyślała nad tym, co by się stało, gdyby zapomniała tamtych słów, tamtych krótkich, znaczących spojrzeń. Kształt tych historii zmieniłby się bezpowrotnie.

Po raz ostatni Hardy odwiedził ją wczesną jesienią 1943 roku. Kiedy brat wszedł do zakładu i zdjął czapkę z głowy, Mercedes rozgrywała przy kontuarze partyjkę warcabów z Johnnym Boustanim.

– Akurat byłem w mieście – wyjaśnił Hardy.

Mercedes przedstawiła sobie obu mężczyzn, a po paru chwilach pogaduszek o niczym Johnny wziął czapkę i płaszcz, po czym zostawił ich samych. Hardy odprowadził go wzrokiem i posłał siostrze pytające spojrzenie.

– Filizankę herbaty?

– Chciałem tylko na ciebie popatrzeć. Sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– W porządku.

Stanął przed nią z czapką w rękach. Lekko przekrzywił głowę i dobrze przyjrzał się siostrze.

– Jak na moje oko, wyglądasz nieco *nish*^[11]. Masz dosyć jedzenia?

Nie dostała od Wisha żadnej wiadomości od upadku Singapuru, od czternastu miesięcy.

– Jem dobrze – skłamała. – Hardy, czy ktoś umarł?

– Wszyscy mają się świetnie. Ruth urodziła po Bożym Narodzeniu. Dziewczynkę. Chciałem, żebyś wiedziała. – Wskazał drzwi ruchem głowy. – A ten tutaj, Johnny.

– To tylko przyjaciel.

Na widok brata poczuła się tak samotna, że zrobiło się jej słabo. Chciała, by jak najszybciej zszedł jej z oczu. Hardy najwyraźniej dostrzegał jej zniecierpliwienie, zdawał się zbity z tropu. Przywiózł wiadomości z całej zimy, ale po prostu wpatrywał się w siostrę, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu ruszył do wyjścia; zanim wyszedł na zewnątrz, przystanął pod drzwiami.

– Zawsze możesz wrócić do Cove – powiedział – jeśli tutaj ci się nie ułoży.

– Wiesz, Hardy, tam mi się już nie ułożyło.

Cisnął czapkę na podłogę.

– Do jasnej cholery, Mercedes! – Nachylił się i szybko podniósł czapkę. – Ty i matka – powiedział. – Sam nie wiem, która z was jest bardziej zawzięta. – Założywszy czapkę na głowę, wyszedł na ulicę.

—

W początkach 1944 roku Mercedes wreszcie dostała liścik od Wisha. Kartkę wypisaną jego ręką, z jego podpisem na dole. Została nadana przed osiemnastoma miesiącami, zaraz po jego przybyciu do japońskiego obozu jenieckiego. Mercedes pobiegła prosto do sklepu Bashów i zaczęła skakać po izbie, wymachując kartką. Sammy przyglądał się jej z szerokim uśmiechem, absolutnie zdumiony. Amina złapała Mercedes za nadgarstek, wydarła jej kartkę i odczytała treść na głos. Mercedes ugryzła się w wierzch dłoni. Słuchając słów Wisha z ust kogo innego, czuła się niemal tak, jakby on sam do niej mówił.

Tego wieczora Bashowie wyprawili odświętną kolację, by uczcić dobre wieści. Johnny Boustani siedział cicho w kącie. Przyłączał się do toastów, a kiedy zaczęło się muzykowanie, śpiewał razem z innymi, ale przez cały wieczór ani razu nie spojrzał na Mercedes. Amina siedziała obok niego, łącząc się z nim w cichym ubolewaniu, które trwało przez całą kolację, przykryte zgiełkiem zabawy. Za każdym razem gdy jej wzrok spotykał się ze spojrzeniem Mercedes, wyraz jej twarzy zdawał się pytać: „A co z nim?”.

Mercedes sądziła, że gdy wyprowadzi się z domu Bashów, będzie widywać Johnny’ego Boustaniego rzadziej. Było jednak odwrotnie. Jej przeprowadzka pozbawiła ich ograniczeń narzucanych przez zastępcze macierzyństwo Ranii. Dwa razy w tygodniu Mercedes chodziła z Johnnym na filmy wyświetlane w kinie bazy wojskowej. „The Basha Orchestra” przygrywała na potańcówkach w siedzibie USO^[12] czy klubach Commodore i Old Colony Kiedy Johnny nie grał z zespołem, razem z Mercedes tańczyli, gawędzili z kobietami z rodziny Bashów lub wychodzili na papierosa.

– Traktujesz go jak psa – zganiła ją Amina. – Pozwalasz mu się tak za sobą uganiać.

– Nic nie poradzę na to, jak on się zachowuje.

– Zachęcasz go.

– Johnny Boustani zakochuje się w każdej – przypomniała Mercedes. – Czy przypadkiem sama mi tego nie powiedziałaś?

Na podstawie rad udzielonych jej kiedyś przez ojca Mercedes stwierdziła, że Johnny’emu od początku chodzi tylko o jedno, że próbuje nakłonić ją do tego pięknymi słówkami. W końcu

podarował sobie gadaninę, zaakceptował wytyczone przez nią granice i wciąż chodził tuż za nimi, niczym więzień na spacerunku. Uważała, że wystarczy powiedzieć mu szczerze, kogo darzy uczuciem, a potem pozwolić, by na własną rękę ocenił swoje szanse.

Widzieli pojedynczy reflektor lokomotywy, która wynurzyła się zza zakrętu przy wiadukcie i powoli wtoczyła na oświetloną stację. Gdy żołnierze 5. Regimentu zaczęli wysiadać na peron, nad zatoką poniósł się ryk tłumu. Błaszane tony orkiestry „CLB Armoury Band”^[13].

– Jak długo potrwa jeszcze wojna na Pacyfiku? – spytała Mercedes.

– Niektórzy twierdzą, że osiemnaście miesięcy. Ale możliwe że teraz, gdy możemy rzucić do walki całe nasze siły, pójdzie już szybciej. – Po chwili Johnny dodał: – Podejrzewam, że nas też niedługo stąd przeniosą.

Słyszała żal pobrzmiwający w jego głosie.

– Johnny Boustani, dlaczego marnujesz na mnie tyle czasu?

– Pozwól, że sam ocenię, czy to zmarnowany czas.

– Znasz moje zdanie.

– Wszyscy znają zdanie Mercedes Parsons – stwierdził. – A zwłaszcza sama Mercedes.

– Byłeś dla mnie dobry. Nie sądź, że tego nie doceniam.

Zatoczył się po pijaku, po chwili wyrównał krok i ruszył w kierunku Cabot Tower.

– Idź w cholerę, Mercedes – rzucił.

Wołała za nim, ale nie zwracał na nią uwagi. Założyła ręce i zapatrzyła się na światła ceremonii powitalnej, przekonana, że

Johnny wróci, gdy dopadnie go skrucha. Pół godziny później chodziła już między grupkami pod Cabot Tower i wypytywała o niego. Kilka osób widziało, jak ktoś odchodzi samotnie w kierunku klifów górujących nad morzem. Rozważała samotny powrót do domu, Johnny jednak błąkał się w pijanym widzie gdzieś w ciemnościach, ostatecznie więc stwierdziła, że nie może go tak zostawić. Zaczęła ostrożnie przemierzać ścieżki pośród skał i wykrzykiwać jego imię. Zdawało jej się, że upłynęło wiele godzin, zanim usłyszała wreszcie odpowiedź: „Nie ma tu żadnego Johnny’ego!”. Wciąż nawołując, podążyła śladem jego zaprzeczeń i znalazła go leżącego w krzakach kolcolistu. Wpatrywał się w gwiazdy.

– Nigdy nie leżałem w tak wygodnym łóżku – stwierdził, gdy uklękła przy nim na mchu.

– Jesteś wstawiony.

– No to co?

– Nie ufam zalanym mężczyznom.

– Ty? – spytał. – Mieszkasz z Hiramem Keepingiem.

– Hiram jest inny.

Przesunęła się, by przysiąc na ziemi. Noc na górze była zimniejsza niż w mieście. Mercedes objęła się ramionami.

– Zaraz tu zamarznię, Johnny Boustani. Wracajmy do domu.

Johnny wciąż nie odwracał wzroku od gwiazd.

– Kocham cię, Mercedes – wyznał.

A wtedy ona również popatrzyła w górę, odnalazła Wielki Wóz, Oriona. Starła się skupić wyłącznie na nich.

– Jestem w tobie zakochany, Mercedes – powtórzył.

– Jesteś pijany – skwitowała.

Nagle usiadł i popatrzył na nią.

– Wiem, że nie to chciałybyś usłyszeć, ale to fakt. Kocham cię.

Jak to u was mówią: Ilovesyou.

– Nie nabijaj się.

Znowu położył się na plecach, wyrzucając ramiona na boki.

– Johnny Boustani – powiedział – podporucznik, Biuro Wywiadu Armii Stanów Zjednoczonych. Ofiara wojny. – Zaczął chichotać. – Ukrzyżowany przez miłość do dziewczyny z osady rybackiej.

– Ile razy mam ci powtarzać?

– Mercedes, on nie wyjdzie z tego żywy.

– Johnny.

– Kiedy przypuścimy atak, sprawy przybiorą zły obrót dla tych gości.

Mercedes wstała i ruszyła w stronę ścieżki.

Johnny podniósł się na kolana i krzyknął za nią:

– Żółtki będą walczyć do ostatniej kobiety, do ostatniego dziecka. Mercedes, tak mówią Japońce. Z pewnością nie zamierzają tracić ani okruszka jedzenia, ani kropli wody, ani jednego swojego człowieka, by utrzymać jeńców przy życiu.

– Wymyślasz to na poczekaniu.

– Już są martwi, Mercedes. Wszyscy, co do jednego.

– Ty *skurwielu*. – Nigdy jeszcze nie wymówiła takiego słowa na głos.

– Mercedes, zatroszczę się o ciebie. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

– Zamknij się, Johnny.

– Mogłabyś mnie pokochać, gdybyś tylko się na to zgodziła. Gdybyś pozwoliła, żebym się tobą zaopiekował.

Zdążyła odejść tylko na parę kroków, ale ciemność sprawiała, że odległość zdawała się ogromna, Mercedes krzyknęła więc głośno: – Sukinsyn z ciebie, Johnny Boustani. Po co mi to mówisz?

Nachylił się do przodu i oparł na rękach, jakby miał zaraz zwymiotować.

– Jestem pijany – powiedział.

Wróciła do niego i złapała go za ucho. Podniosła jego głowę tak, by mówić mu prosto w twarz. – Powiedz, że to nieprawda.

– Przykro mi, Mercedes.

Przekręciła jego ucho.

– *Powiedz.*

Przez chwilę przyglądał się jej, skupiając błędny wzrok to na jej twarzy, to gdzieś za nią.

– To nieprawda – szepnął.

– Nie kochasz mnie – powiedziała.

– Nigdy nie kochałem. Nigdy nie pokocham.

Gdy go puściła, zwiesił głowę poniżej ramion. Ponownie złożył swoje ciało na ziemi, staw po stawie.

– Idę do domu – oznajmiła.

Nic nie odpowiedział, a ona ruszyła przed siebie po nierównym gruncie. Zerwał się wiatr; jedną ręką zebrała kołnierz kurtki pod szyją. Zerknęła przez ramię, ale w ciemności nie dostrzegła żadnego ruchu. Przystanąwszy, wypróbowała kilka innych słów, których nigdy wcześniej nie wymawiała na głos.

– Do cholery. – Znowu popatrzyła w niebo. – Na miłość boską.

– Ponownie cofnęła się do Johnny'ego, złapała go za klapy

marynarki i podniosła na nogi. Zarzucił jej rękę na ramiona, a ona na wpół poniosła go przez skały, a potem drogą w dół, ku światłom miasta.

W English Bay otworzyli kryty basen.

Nishino natknął się na trzech chłopaków ze szkółki językowej, członków Ligi Boskiego Wiatru. Szli w szortach i sandałach, z ręcznikami zarzuconymi na ramiona. Nie trzymali się z nim na co dzień, ale zaproponowali, żeby z nimi poszedł, zapatrywali się bowiem pesymistycznie na swoje szanse i szukali pocieszenia w liczebności.

Kierownik wyraził ubolewanie i bezsilnie wzruszył ramionami, objaśniając politykę obiektu. Czuli żrący zapach chloru niosący się od basenu. Starszy mężczyzna miał twarz jak księżyc w pełni, słomkowy kapelusz na głowie, szare spodnie podciągnięte wysoko na szelkach.

– Przykro mi, chłopaki – powiedział, sprawiał przy tym smutne wrażenie, jakby tą odmową skazywał się na samotność. Mało brakowało, a wzbudziłby w nich współczucie. Ostatecznie musieli obejść się smakiem i pójść aż do małego rozlewiska na strumieniu pod Steveston. O nowym basenie próbowali zapomnieć.

Odmowa nie dawała jednak Nishino spokoju, w następną sobotę wrócił więc na basen w pojedynkę. Dziadek znowu pokręcił głową.

– Żadnych Japońców – powiedział.

Nishino oparł się o framugę drzwi i wdał się w swobodną pogawędkę z kierownikiem. Tymczasem inni pływacy chodzili w tę i z powrotem w tę. W każdym wymienionym słowie, w każdym powszednim detalu Nishino wypatrywał szczeliny, ukrytej zapadni, uchylonego okna. Gdy chłopak powiedział kierownikowi, że mieszka na farmie za Kitsilano, staruszek się uśmiechnął.

– Zanim przeprowadziłem się do miasta, sam mieszkałem w Kits przez wiele lat – powiedział.

Tydzień później Nishino przyniósł z farmy pudełko świeżych truskawek. Zjedli owoce razem, a kierownik gadał o tym i tamtym, szczęśliwy, że znalazł słuchacza. Przed laty jego wuj pracował jako kierownik zmiany w młynie w dolince. Nishino oznajmił, że dokładnie w tym samym młynie jego dziadek znalazł pierwszą pracę, gdy przyjechał do Kolumbii Brytyjskiej. To było kłamstwo bezczelne, acz bezpieczne – Anglicy mieli kłopoty z odróżnianiem japońskich pracowników – a kierownik zdawał się zachwycony tą informacją.

– Bystry z ciebie kitajec – stwierdził. Ponownie przeprosił, robił to regularnie, za politykę obiektu. – Ludzie po prostu nie zgodziliby się na dzielenie basenu z takimi jak wy.

A wtedy Nishino złożył propozycję. Basen otwierano codziennie o dziesiątej. Kierownik zgodził się wpuszczać chłopaka i jego kolegów o siódmej trzydzieści rano pod warunkiem, że ulotnią się przed oficjalnym otwarciem.

– Jak ludzie się zorientują, że wpuszczam do wody Japońców, to stracę tylu klientów, że nie zostanę ze złamanym groszem – ostrzegł.

Na basenie panował zaduch, powietrze było gęste od wilgoci niczym w tropikalnym lesie. Chłopcy skakali na głęboką wodę z trampoliny, spadali na bombę i na dechę tyle razy, że piekła ich skóra. Chwilę po dziewiątej kierownik wychylił się z szatni i krzyknął, żeby kończyli. Popłynęli na płytką wodę, ku schodkom. Koledzy byli już w pół drogi na górę, gdy odwróciwszy się dostrzegli Nishino stojącego na szeroko rozstawionych nogach, z

rękami na biodrach. Ponad powierzchnię wystawała tylko jego głowa, na twarzy malował się wyraz głębokiego skupienia.

W tym momencie zrozumieli. Nie musieli o tym dyskutować ani snuć żadnych planów. Zeszli po schodkach z powrotem do basenu i stanęli na wyciągnięcie ręki od siebie. Po paru chwilach zawziętego wyteżania woli czterej chłopcy nasikali do czystej wody basenu.

WISH

Gdy Wish przeszedł między rzędami łóżek ustawionych w baraku szpitalnym, przy Ansteyu zastał Harrisa, który nasączył w rosole trochę chleba odkładanego dla najbardziej schorowanych jeńców i próbował karmić przyjaciela łyżką.

Anstey przechylił głowę.

– To ty, Wish?

– A słyszałem, że podobno ślepniesz, Ants.

Anstey leżał pod dwoma kocami, głowę miał podpartą na poduszce ze zwiniętego płaszcza.

– Wyczułem cię na węch – wyjaśnił.

– Jak tam dzisiaj, lepiej czy gorzej?

– Nadal tylko kolory. I kształty. Kolorowe kształty.

– No, otwórz szeroko – powiedział Harris, podsuwając mu łyżkę do ust.

Chory pokręcił głową.

– Jeszcze dwie łyżki.

– To strata czasu – szepnął Anstey – tak się pieścić z martwym człowiekiem.

– Zamknij się, Anstey.

– Ani się obejrzyjcie, a Wish odwiezie mnie do Francuskiej Świątyni.

– Powiedziałem: zamknij gębę.

– Harris, zdecyduj się, czy mam zamknąć, czy otworzyć. Naraz się nie da.

Harris postawił miskę między swoimi stopami.

– To zamknij, ty żałosny sukinsynu. – Popatrzył na Wisha i wyjaśnił: – Wszyscy w obozie są tak wygłodzeni, że odgryźliby nogę samemu Barankowi Bożemu, a ten tutaj chujek nie ma ochoty na odrobinę zupki.

Trudno im było patrzeć, jak życie powoli ucieka z Anstey a, niczym powietrze ulatujące z dziurawego balonu. Nie doszedł już do siebie po ich kwietniowej odsiadce w bambusowych klatkach, cierpiał nawracające ataki febry i dyzenterii. McCarthy kilkakrotnie prosił, by przeniesiono go do szpitala, ale tłumacz postarał się o to, by chory nadal pracował. Aż w końcu Anstey zaczął niedowidzieć. Przeleżał w baraku szpitalnym ostatnie dwa tygodnie lipca, ale to nie pomogło. Nie było żadnych lekarstw. Chorzy mogli liczyć tylko na zwolnienie z pracy i odrobinę chleba.

Harris podniósł miskę.

– No dalej, Ants. Nie zmuszaj mnie, żebym błagał.

Anstey otworzył usta tak szeroko, jak tylko był w stanie. Wish dostrzegł zielonkawoszary odcień jego podniebienia. Zupełnie jak u matki przed śmiercią. Anstey oddychał płytko i bardzo szybko; zachłysnął się odrobiną rosołu i dostał ataku kaszlu. Harris nachylił go do przodu i pomagał mu usiedzieć, podczas gdy jego wymizerowanym ciałem wstrząsały konwulsje. Plecy Ansteya były najeżone kręgami, tak wyraźnie wypychającymi skórę, że Wish mógłby je policzyć z drugiego końca sali.

Gdy kaszel ustał, Harris pomógł choremu ułożyć się na plecach. Siedzieli w milczeniu, czekając, aż Anstey dojdzie do siebie. Widząc przyjaciela w takim stanie, Wish powinien odczuwać jakąś postać smutku. Dotarła do niego jednak wyłącznie

potwierdzona ostatecznie bezsilność oraz towarzyszący jej beżużyteczny ochłap gniewu. Anstey wydał z siebie długie westchnienie i zgiął rękę w łokciu, dając im sygnał, że wszystko już w porządku.

Harris nagle zeszywniał i zerknął za plecy Wisha, ku drzwiom.

– Mańkut idzie – szepnął.

Tłumacz szedł przez barak, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo. Wish i Harris wstali, podobnie jak wszyscy pacjenci, którzy byli w stanie utrzymać się na nogach. Gdy znalazł się na ich wysokości, Wish z Harrisem pokłonili się, błagając w myślach, by poszedł dalej. Wiedzieli, że tak się nie stanie.

Brytyjski lekarz, który zazwyczaj zajmował się chorymi, był akurat w kuchni. Zdawali sobie sprawę, że tłumacz właśnie z tego powodu wybrał tę chwilę na odwiedzin w szpitalu. Zatrzymał się koło łóżka Ansteya, wciąż prowadząc rozmowę z japońskim sanitariuszem stojącym na końcu sali.

– Podobno możesz wstać bez problemu – zwrócił się do Ansteya.

– Nie ma siły, żeby *jeść* – powiedział Harris.

– Zachowujecie się jak dwie baby.

– On oślepl. – Harris podjął bezcelową walkę.

– Postawić go na nogi!

Harris skłonił się i ściągnął koce z Ansteya. Wychudzone nogi, kolana wielkości kokosów.

– Chodź, staruszk. Chodź.

Wish próbował im pomóc, ale tłumacz powstrzymał go, wznosząc rękę.

Anstey wstał, opierając się ciężko na barkach Harrisa. Z szacunkiem skinął głową w kierunku, z którego dobiegał głos Japończyka. Z trudem utrzymywał się na nogach, chociaż to Harris dźwigał większość jego ciężaru. Tłumacz przyglądał im się przez chwilę. Wyjął papierosy i zapalił. Machnął paczką Wishowi przed nosem.

– Papieroska?

Wish wpatrywał się w podłogę, nie zwracając uwagi na pytanie.

Tłumacz odczekał jeszcze chwilę, a gdy nabrał pewności, że chory nie zwali się na podłogę, poszedł dalej środkiem sali i wyszedł drzwiami na drugim końcu baraku.

Harris opuścił Ansteya na łóżko. Powiedział: – Ten kutas będzie pierwszy na mojej liście, jak już to wszystko się skończy. Jeśli tylko sam będę w stanie utrzymać się na nogach, tak mi dopomóż Bóg.

—

Po wieczornym apelu Wish i Harris poszli prosto na swoje prycze. Ich barak, mogący pomieścić osiemdziesięciu mężczyzn, był pełny, gdy w 1942 przyjechali do obozu. Pomimo późniejszego transportu nowych jeńców z Mushiroda zajęta była już zaledwie jedna trzecia łóżek.

– Daję Antsowi najwyżej parę tygodni – stwierdził Wish.

– To teraz jesteś lekarzem, tak?

– Harris, obaj widzieliśmy, jak wygląda jego podniebienie. No i ten kaszel.

– Jak będzie dostawał tylko taką cienką zupę, to za cholere nie przeżyje.

– Będziemy musieli przejść się nocą do magazynu Czerwonego Krzyża. Zobaczymy, czy trzymają tam jeszcze wołowinę.

Leżeli na pryczach, dopóki wszystko się nie uspokoiło. Na zewnątrz panowała absolutna cisza i nieprzeniknione ciemności. Nawet światła wartowni nad bramą były wyłączone, by nie wskazać amerykańskim bombowcom potencjalnego celu. Przeszli na tyły baraku, a Wish wczołgał się w przestrzeń pod podłogą. Po omacku odszukał schowek z alkoholem i wyciągnął z niego dwie butelki. Poszli dalej za barakiem, między ścianą a wysokim na dziesięć stóp płotem zwieńczonym zwojami drutu kolczastego. Minawszy szpital, ruszyli ku małemu składzikowi przy kwaterze dowództwa.

– Jeśli Mańkut tam dzisiaj siedzi, to już po nas – szepnął Harris.

Wish odkorkował jedną z butelek i pociągnął haust bimbrowy.

– Nie ma co umierać na trzeźwo – stwierdził, oddając ją Harrisowi. Pod drzwiami zagwizdał. Usłyszeli kroki w środku, ktoś lekko uchylił drzwi.

– Księżycówka – powiedział Wish, potrząsając butelką.

– *Aruko-ru.*

– *Ikahodo?*

– *Ni* – odparł Wish, pokazując w ciemnościach dwa palce.

– *Ni hon.*

– Który to? – szepnął Harris.

– Nie wiem. Ale wygląda na to, że zaschło mu w gardle. *Yoi aruko-ru* – powtórzył, znowu potrząsając butelką.

Drzwi otworzyły się na oścież; ukazało się w nich wyciągnięte ramię, które pomachało na nich, by weszli. Strażnik zamknął za

nimi drzwi, po czym zapalił latarkę i skierował ją w sufit, by nagle światło rozlało się po pozbawionym okien pomieszczeniu. Usta i nos miał zakryte chustą. Wish z Harrisem pokłonili się przed nim i wręczyli mu flaszki. Posadził ich na podłodze pod ścianą i podszedł do zamkniętych na kłódkę drzwi na tyłach. Otworzywszy je, skinął na nich.

Magazyn był wypełniony po sufit paczkami Czerwonego Krzyża, w większości już przetrząśniętymi i uszczuplonymi. W kącie dostrzegli dużą, białą, metalową skrzynię z wymalowanym czerwonym krzyżem. Była zamknięta pasami i najwyraźniej nikt jej jeszcze nie tknął.

– Wish – zawołał Harris, skinieniem głowy wskazując pojemnik. – Materiały medyczne.

Wish odwrócił się do strażnika i wskazał skrzynię.

– *Kono*. – Wzniósł przed nim dłoń z rozczapierzonymi palcami.

– *Go hon*.

– *No* – odparł strażnik po angielsku.

– *Yoi aruko-ru*. – Wish podniósł obie dłonie. – *Juu*.

Strażnik pokręcił głową. Wskazując skrzynię, powiedział:

– Nishino.

– Co? *Nani?*

– Nishino – powtórzył gniewnie strażnik. – *Intapurita*.

– Tłumacz?

– *Hai*.

Harris odwrócił się plecami do strażnika i powiedział: – Wish, moglibyśmy go załatwić na miejscu. We dwóch.

– Nie bądź głupi, Harris. Poszukaj lepiej kilku puszek wołowiny.

Strażnik, ogarnięty nagle wściekłością, zaczął coś na nich poszczekiwać, chcąc jak najszybciej się ich pozbyć.

Wish podniósł rękę.

– *Okay* – szepnął. – *Okay*. Harris, do diabła, pośpiesz się, zanim on straci panowanie nad sobą.

– Nie mam pojęcia, dlaczego zadają sobie trud i zakrywają twarze – zagaił Harris. – Jak dla mnie wszystkie te skurwysyny wyglądają identycznie.

Gdy w Singapurze zostali wzięci do niewoli, Wish odniósł takie samo wrażenie. Zmienił jednak zdanie po kilku tygodniach. Musiał natomiast przyznać, że w ich zachowaniu i sposobie myślenia kryła się absurdalna jednorodność, której nie potrafił przeniknąć. W połowie sytuacji w ogóle nie pojmował, jak funkcjonują ich umysły. Były rzeczy oczywiste, takie jak chciwość, małostkowość czy idiotyczne codzienne grzeczności, jakby byli zwykłymi sąsiadami w normalnym miasteczku. Równie często jednak Wish nie był w stanie odgadnąć, jak oni poruszają się między tymi oczywistymi stanami; jakimi uliczkami błądzą ich umysły.

Drugiej zimy spędzonej w obozie Wish poszedł z Ansteyem do kuchni, by zabrać zgniłe bataty, odłożone dla nich przez Holendrów. Przed drzwiami postawili na straży Harrisa, ale w środku natknęli się na Osano. Czekał już w kuchni, jakby ktoś mu doniósł o ich planie. Zaświecił im latarką w oczy i skoczył ku nim, wykrzykując jakieś zniewagi. Spoliczkował ich obu.

Wish próbował go uspokoić. Powtarzał wciąż: – *Aruko-ru*. My alkohol. Wspólnicy.

W końcu Osano odsunął się i wygłosił im kilkuminutowy wykład. Jego twarz tak krzywiła się z emocji, że wyglądał, jakby z trudem powstrzymywał łzy. Wtedy sięgnął do kieszeni koszuli i po raz pierwszy pokazał im przewołane zdjęcie córki, żony czy matki – nie sposób było stwierdzić, ile kobieta ma lat.

– *Mitte, mitte* – powtarzał, oświetlając zdjęcie latarką.

– Czego on od nas chce? – spytał cicho Anstey.

– Ten kutafon jest niedorozwinięty – oznajmił Wish. – Po prostu się uśmiechaj. – Przyjrzał się zdjęciu i wyszczerzył się do Osano. – Piękna – powiedział. – *Kirie*.

Przyszła mu na myśl Mercedes; sam też sięgnął do kieszeni i wręczył strażnikowi fotografię. Wskazał ją palcem i uderzył się ręką w pierś.

– *Okami. Watasha no okami*.

Osano przytaknął i skłonił się lekko przed Wishem. Cała trójka poczuła absurdalny przypływ ulgi, jakby udało im się wyjaśnić jakieś potworne nieporozumienie i na powrót ustanowić delikatną równowagę uprzejmości i współpracy. Uśmiechali się do siebie i kłaniali raz po raz.

– Teraz już pójdziemy – oświadczył Wish. – *Tachisaru*. – Powoli wycofali się z Ansteyem z pomieszczenia, wciąż kłaniając się strażnikowi.

Harris, który pobiegł do baraku, gdy tylko usłyszał wrzaski dobiegające z kuchni, przechadzał się nerwowo między łózkami.

– Co tam się stało, na Chrystusa?

– Żałuj, że nie słyszałeś, jak ten tutaj trajkotał – zaśmiał się Anstey, wskazując Wisha i wyrzucając z siebie jakiś bełkot, który w założeniu miał kojarzyć się z japońszczyzną. – Poczysz się

jeszcze trochę gadać jak żółtek, to zaczniesz ci się przebarwiać skóra.

Dopiero gdy Wish przemyślał wszystko na spokojnie, doszedł do wniosku, że musieli nakryć Osano na podkradaniu jedzenia. Tamtego popołudnia przyszła rzadka dostawa mięsa, trzydzieści kilogramów wołowiny dla więźniów. Na czarnym rynku za parę kilo mógłby zgarnąć okrągłą sumkę. To Wish był jeszcze w stanie zrozumieć. Mógł również zrozumieć okrzyki i ciosy, którymi Osano próbował zatuszować własne wykroczenie. Natomiast uniżenie i szacunek, z jakimi odtąd Japończyk niezmiennie się do niego odnosił, pozostawały dla Wisha tajemnicą. Jakby Wish wciąż mógł mu jakoś zaszkodzić.

Harris krzątał się między paczkami Czerwonego Krzyża na końcu pomieszczenia.

– Mam trzy puszki–oznajmił. – Do tego ćwierć funta czekolady.

– To musi nam wystarczyć. *Dorno* – powiedział, kłaniając się strażnikowi, na co Japończyk zareagował, odprowadzając go pod same drzwi z pistoletem przystawionym do skroni.

—

W sobotnie popołudnie przyjechała ciężarówka z urnami z okolicznych obozów. Wish, McCarthy i Holender wyszli na plac apelowy. Po Osano nigdzie nie było śladu. Zajrzawszy do skrzynki, Wish naliczył jedenaście urn, poza trzema z ich własnego obozu.

– Dużo się dzieje – skwitował van der Meulen.

– Baczność! – krzyknął ktoś za ich plecami.

Tłumacz stał kilka kroków za nimi. Wszyscy trzej skłonili się przed strażnikiem.

– Wsiadać – rozkazał.

Gdy wyjeżdżali z doliny, wszyscy pasażerowie milczeli. Tłumacz stał twarzą do kierunku jazdy, jakby to on prowadził. Kiedy ciężarówka wjechała na utwardzoną drogę i nabrała prędkości, Japończyk schował się przed wiatrem i usiadł oparty o kabinę.

McCarthy spytał: – Gdzie jest dzisiaj pan Osano?

– Cywilni strażnicy zostali zwolnieni ze swoich obowiązków – oznajmił Nishino. – Jak się miewa wasz kanadyjski przyjaciel? – spytał Wisha.

Wish nawet na niego nie spojrzał; udawał, że nie dosłyszał pytania przez ryk silnika i wiatru.

– Szeregowy Anstey – podjął temat McCarthy – rozpaczliwie potrzebuje lekarstw.

– Ogromna szkoda, że tak mało ich mamy.

– Wystarczyłoby kilka tabletek antybiotyku, aby utrzymać go przy życiu.

– Tak jak powiedziałem. Ogromna szkoda.

Holenderski oficer zaskoczył wszystkich, mówiąc: – Wie pan, my nie jesteśmy zwierzętami.

Nishino zamilkł na chwilę, jakby naprawdę rozważał jego słowa.

– To zachowujcie się jak ludzie – powiedział.

Dalej jechali w milczeniu, aż wreszcie zatrzymali się przed kościołem. Wnieśli do środka tyle urn, ile się dało na raz. Na koniec Wish wrócił po dwie ostatnie w towarzystwie tłumacza.

Lato płynęło, a Mańkut stawał się coraz bardziej nieobliczalny. Z początku w jego okrucieństwie kryła się jakaś logika, zamiar umocnienia swojej pozycji w obozie czy przeprowadzenia

osobliwego odwetu na Harrisie i Ansteyu. Przed paroma tygodniami dotarły do nich jednak pogłoski o postępach czynionych przez Amerykanów. Od tego czasu tłumacz zdawał się morderczo nie zrównoważony. Wish odnosił wrażenie, że gdyby teraz powiedział coś nie tak, to Japończyk byłby w stanie po prostu zastrzelić go na miejscu. Powiedziałby, że więzień próbował uciec. Wish rozważał to z zaskakującym spokojem. Poczł nawet przedsmak ulgi na myśl, że wszystko mogłoby skończyć się na tym parkingu przed kościołem, u stóp Maryi. Jego Mercedes. Gwiazdy Morza.

– Jak pan ma na imię? Nishino, tak?

Głowa tłumacza obróciła się gwałtownie.

Wish skłonił się przed nim, nie odrywając wzroku od swoich stóp.

– Wiele bym dał, żeby dostać trochę z tych lekarstw, które ukrywa pan w magazynie Czerwonego Krzyża. – Wish potraktował milczenie tłumacza jako zachętę. – Zdobę dla pana wszystko, czego zażąda pan w zamian.

Wciąż patrzył w dół, kiedy tłumacz dzielił go otwartą dłonią w twarz. Wish zatoczył się na ciężarówkę, zonglując urnami, by nie pozwolić im spaść na ziemię. Podciągnął się do góry, opierając ramiona o samochód. Pokłonił się po raz drugi.

– Zanieście urny do kościoła.

Wish już miał ruszyć ku świątyni, ale się powstrzymał. „Zachowujcie się jak ludzie” – powiedział im wcześniej tłumacz. Wish spytał: – Gdzie nauczył się pan tak mówić?

– Jak mówić? Jak Kanadyjczyk?

Dwaj mężczyźni przyglądali się sobie, dopóki Nishino nie powiedział: – Do środka.

– Bez tych lekarstw Anstey umrze.

– To się zdarza żołnierzom – oznajmił tłumacz.

—

W poniedziałek rano Wish, Harris i grupa innych jeńców została zwolniona z pracy przy oczyszczaniu stoczni z gruzów. Wręczono im kilofy i łopaty czarne od węglowego pyłu z kopalni, w których pracowali jeńcy z innych obozów. Brygada zajęła się kopaniem w obozie rowów głębokich na pięć stóp i szerokich na trzy, które potem zalewano betonem. McCarthy wraz z wyższymi stopniem Holendrami i Amerykanami już od wielu miesięcy nękali Koyagiego pytaniami o schrony bombowe dla jeńców. Fakt, iż uległ ich prośbom, wskazywał na to, że nie należało się spodziewać końca nalotów. A traktowanie jeńców jako coś więcej niż tylko zbędną siłę roboczą do niewolniczej pracy – choć poprawa była marginalna – wyglądało na przyznanie się Japończyków do tego, że mogą odnieść porażkę.

Pracowali u boku Amerykanina nazwiskiem Spalding, który kopiąc, bezustannie gadał, jakby mówienie było koniecznym warunkiem oddychania. Wish nie miał zielonego pojęcia, skąd Amerykanin czerpie do tego energię. On sam musiał opierać się ciężko na łopacie i wypychać słowa z ust. Ten wysiłek nie różnił się niczym od przerzucania ziemi szuflą.

Spalding był jednym z nielicznych spotkanych przez Wisha amerykańskich jeńców, którzy nie mieli pełnego uzębienia. Był tak opalony, że wydawał się obleczony garbowaną skórą jakiegoś zwierzęcia.

– To ty jesteś tym chłopakiem od bimbru? – spytał Wisha pierwszego ranka.

Wish przytknął palec do ust.

Spalding pokazał na migi, że usta ma zamknięte.

– Skąd jesteś?

– Z Nowej Fundlandii.

Spalding dziwnie na niego spojrział.

– Z Nowo-co?

– Z Nowej Fundlandii. Z nowo znalezionej ziemi.

– Brzmi jak zmyślona nazwa.

Wish się uśmiechnął.

– To kraj Boga.

Spalding parsknął.

– To samo mój ojciec mówił o Północnej Dakocie. *Kraj Boga*.

Nie wiem, w jakiego Boga on wierzył, że plótl takie głupoty. – Nabrał pełną łopatę ziemi i wyrzucił ją ponad skrajem dziury. – Ta robota nie jest taka znowu najgorsza – stwierdził. – Zanim zaciągnąłem się do wojska, przez dziewiętnaście lat mieszkałem w Sherwood. Nie byłem jeszcze dość duży, żeby palić, kiedy wlokłem po miasteczku sanie z mlekiem przy minus czterdziestu. Mleko w butelkach zamarzało na kamień. A potem przez całe lato przerzucałem siano przy plus czterdziestu. Kurde. Zawsze mówiłem, że wolałbym pracować w piekle, gdyby porządnie płacili.

– No, to co sądzisz o płacach? – spytał Harris.

Spalding wzruszył ramionami i wbił łopatę w ziemię.

– Nie narzekam – stwierdził.

Posłał im szeroki uśmiech pełen wyrw.

Wieczorami odwiedzali Ansteya. Wymieniali się plotkami i pogłoskami, snuli jałowe wspominki o domu. W toku każdej rozmowy przychodził moment, gdy chory zasypiał lub kładł się, by słuchać w milczeniu, zanadto zmęczony, by samemu mówić dalej. Jeśli senna cisza ciągnęła się zbyt długo, Anstey szeptem prosił, by mu coś opowiedzieli, a wtedy któryś z przyjaciół wypełniał pustkę, wydobywając ze swojej przeszłości jakieś przypadkowe wspomnienie.

Wish opowiedział Ansteyowi o tym, jak w dzieciństwie wybrał się z Billym-Peterem zapłować na ptactwo. To było pod Renew's, pewnego późno jesiennego popołudnia. Wzięli ze sobą psa Patty. Keatingowie karmili sukę tylko obierkami i zepsutymi rybami, a i tego zawsze dostawała za mało, był więc z niej nadpobudliwy pies myśliwski. Pożarła pierwsze dwa czy trzy ptaki, które udało im się ustrzelić; dopiero gdy się nasyciła, zaczęła aportować je w całości. Chłopcy i tak polowali bardziej dla zabawy niż dla jedzenia. Strzelali ze śrutówki do nurzyków w locie. Wish ustrzelił jednego nieopodal łódki, suka skoczyła więc za burtę, a Billy-Peter zaczął wiosłować w tamtą stronę. Wish widział, że psina kłapnęła zębami na powierzchni wody i zawróciła ku nim. Te jej dziwaczne pomarańczowe brwi. Wciągnęli ją na pokład, ale po nurzyku nie było nigdzie śladu. „Musiał tak szybko pójść na dno” – zawyrokował Billy-Peter. Dziwna sprawa, ale ptaków wokół było pod dostatkiem, specjalnie się więc nad tym nie zastanawiali.

Gdy tylko wrócili do domu, suka położyła się za piecykiem i nie podniosła się już nazajutrz, ani rano, ani wieczorem. Przestała jeść, nie chciała się ruszyć. Warczała, gdy tylko ktoś się zbliżył. Przeleżała tak trzy dni, a wszyscy zdążyli spisać ją na straty.

Trzeciego popołudnia jęknęła cicho i powlokła się do drzwi, dziwnie powłócząc tylnymi łapami. Wish wypuścił ją na dwór, a ona poczłapała na skraj lasu, gdzie zaczęła chodzić w kółko, bezustannie skowycząc. Ogon zadarty wysoko, tylne łapy w dziwnym przysiadzie. To byłaby niezła komedia, gdyby nie fakt, że zwierzę cierpiało takie katusze. Wish nie miał pojęcia, co się dzieje, ani jak mógłby pomóc, stał więc po prostu i patrzył, jak pies wydała nurzyka w całości, dziobem do przodu. Ptakowi nie brakowało ani jednego pióra, nie był nawet draśnięty. Zdawał się przedziwnie spokojny i niewzruszony jak na stworzenie, które zostało tak splugawione.

Anstey zasnął w trakcie tej opowieści. Kiedy Wish skończył, przez jakiś czas siedzieli z Harrisem w milczeniu. Wish przyglądał się choremu, na w pół ociemniałemu mężczyźnie, leżącemu przed nim bez ruchu. Jak stworzenie, które świat połknął w całości i wysrał.

Do następnej środy zdążyli zbudować po jednym schronie na każdą parę baraków. W czwartek brygadę wyprowadzono za bramę, na płaski skrawek terenu, jakieś sto jardów od płotu. Tutaj znowu kazano im kopać, tym razem sześć stóp w głąb. Sznurki rozpięte między palikami wyznaczały granice kwadratowego wykopu o boku długim na jakieś dwadzieścia kroków. Wieczorem, skrawając Ansteyowi do rosołu kawałeczki wołowiny z puszką, Harris wspomniał o wymiarach dołu.

- Co to będzie? – spytał.
- Pewnie kolejny schron.
- Za duży. Przy uderzeniu bomby taki wielki betonowy strop pękłby jak szyba.

– W porządku. W takim razie co to będzie? – powtórzył pytanie Harris.

Przez dłuższy czas Anstey leżał w milczeniu, a dwaj koledzy czekali na odpowiedź. Był już niemal całkiem ślepy, wpatrywał się pustym wzrokiem w sufit. Nie byli w stanie nic wyczytać z jego oczu, to napawało ich niepokojem.

– Nie mam pojęcia – powiedział w końcu tonem wskazującym na to, że ma w tym względzie przemyślenia, którymi woli się nie dzielić.

Gdy nazajutrz rano wymaszerowali poza obóz, gromadka cieśli w cywilu już wbijała pale w odległości jakichś piętnastu stóp od dołu. Wkopując się coraz głębiej w ziemię, jeńcy zerkali na powstający nieopodal drewniany podest. Gdy Japończycy wbijali gwoździe, stukot młotków odbijał się echem od ścian baraków.

– Co oni tam budują, do diabła? – spytał w końcu Wish.

Spalding przestał kopać i popatrzył na niego piorunującym wzrokiem. Po chwili wrócił do pracy, dźgając ziemię łopatą tak wściekle, jakby przegrywał w zawodach.

– No?

– To platforma na cekaem, ot co – wyjaśnił, nie przerywając pracy.

Wish i Harris stanęli na palcach i przyjrzeni się pracującym cieślom, po czym powiedli wzrokiem po dole, który kopali. Po raz pierwszy popatrzyli na niego, rozumiejąc, w czym tak naprawdę stoją.

– Kurwa – szepnął Spalding. – Kurwa, kurwa, kurwa. – Nagle rzucił łopatę na ziemię, wziął się pod boki i wybuchnął śmiechem.

– Cesarska Armia Japonii musi naprawdę nie najlepiej sobie radzić.

Koreański strażnik stanął na skraju wykopu i zaczął wrzeszczeć na Amerykanina, żeby wracał do pracy.

– W zasadzie co za różnica? – spytał Spalding głośno. Szeroko rozłożył ramiona. – Czy teraz, czy później. Co za jebana różnica?

Harris odsunął się na parę kroków od Amerykanina. Wolał nawet na niego nie patrzeć. Strażnik wpadł niemal w histerię, wyrzucił z siebie niezrozumiały strumień słów. Nagle Wish usłyszał, że Koreańczyk odlicza od pięciu w dół.

– Trzy – przetłumaczył na angielski. – *Dwa*, Spalding.

Amerykanin schylił się po łopatę.

– A, w cholere. – Wyrzucił porcję ziemi tak, że wylądowała koło butów strażnika. – Ta robota nie jest taka znowu najgorsza.

—

Anstey przestał jeść, jeszcze zanim zdążyli wykorzystać całe mięso, które dla niego kupili. Harris uparcie wzbogacał zupę każdego wieczora, przemycając do szpitala konserwę i skrawając maleńkie kawałki wołowiny do miski. Gdy było jasne, że Anstey nie będzie już w stanie zjeść więcej, oddawał zupę innym pacjentom. Wish dziwił się sobie, że tak łatwo pozwala koledze rozdawać mięso. Chociaż, wnioskując z postępów w budowie stanowiska cekaemu, i tak już wszyscy byli martwi. Jedzenie zdawało się pozbawione znaczenia.

Wish i Harris mówili do siebie na zmianę, do Ansteya również, choć zazwyczaj nie mieli pewności, czy słyszy choć słowo. Same pogłoski o przebiegu wojny, o rozpaczliwej sytuacji, w jakiej znaleźli się Japońcy. Dzień wcześniej wydarzyło się coś przedziwnego i monumentalnego, coś bezprecedensowego, wciąż

słyszeli słowo „Hiroszima”. Obozowi strażnicy zachowywali się inaczej, powlekała ich jakaś szklista kruchość.

– Słuchaj, Ants, gdy Jankesi tu dotrą, z tego jebanego kraju nie zostanie kamień na kamieniu – oznajmił Harris. – Kitajce też o tym wiedzą.

Ich rozmowom towarzyszył przytłumiony nastrój oczekiwania, zajadle nihilistyczna nadzieja. Z rezygnacją założyli, że zginą w preludium amerykańskiej inwazji. Żyli już tylko myślą o tym nieuniknionym wydarzeniu.

Ronnie Matthews wszedł na salę szybkim krokiem.

– Mańkut – zakomunikował.

– Idzie tutaj?

– Prosto.

Harris i Wish rozejrzeli się po sali. Na końcu siedział lekarz z japońskim sanitariuszem.

– Co jest? – spytał Matthews.

– Konserwa – szepnął Wish.

Tłumacz wszedł do szpitala i bez wahania ruszył w ich stronę. Matthews wyszedł drzwiami na drugim końcu baraku.

– Pod łóżko – podpowiedział Wish.

Podnosząc się, Harris upuścił puszkę na ziemię i kopnął ją tak, by nie leżała na widoku.

– Co to było? – wrzasnął tłumacz.

Wish i Harris skłonili się, lecz nie odezwali się ani słowem. Odepchnąwszy ich na bok, tłumacz sięgnął pod łóżko i wyjął konserwę.

– Ten człowiek – oznajmił, wskazując Ansteya – dopuścił się kradzieży z magazynu Czerwonego Krzyża.

Brytyjski lekarz już szedł do nich między łózkami.

– Ten człowiek nie jest w stanie o własnych siłach usiąść w pościeli – powiedział.

– Zostanie przeniesiony do celi i zaczeka, aż komendant wyznaczy odpowiednią karę.

– Nie ma mowy. – Harris stanął między tłumaczem a łóżkiem.

– To ja ukradłem puszkę. Ja ukradłem tę pierdoloną wołowinę.

Wish odwrócił wzrok.

– Zaczekajcie tutaj – rozkazał tłumacz, ruszając w stronę drzwi.

– Jezu, Harris – jęknął Wish. – On cię za to zatłucze. – Zwrócił się do lekarza: – Niech mu pan powie, na miłość boską!

– Niech mi co powie? – spytał Harris.

– Już dawno było po Ansteyu, ty głupia pizdo. To już trup.

– Nie zginie z ręki tego skurwiela, co to to nie.

W głosie Harrisa zabrzmiał oskarżycielski ton, który sprawił, że Wish ochłonął. Przeszył go zimny dreszcz.

– Wszyscy jesteśmy trupami – oznajmił Harris.

Tłumacz wrócił do szpitala z dwoma strażnikami u boku.

– Ty! – wskazał Harrisa konserwą. – Ty to ukradłeś.

– Tak jest.

– Nieprawda – wciął się Wish.

– Spierdalaj, Furey.

– To nie on ukradł.

– Kłamca! – krzyknął Harris.

Tłumacz wznosił ręce, okazując nietypowe opanowanie. Odczekał, aż obaj więźniowie zamilkną.

– Kto ukradł tę puszkę? – spytał Wisha.

– Ja ukradłem.

Następnie tłumacz skinął puszką na Harrisa.

– Czy ty ją ukradłeś?

– Tak jest. Ja ją ukradłem.

Tłumacz spoglądał to na jednego, to na drugiego jeńca. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, nie wydawał się ani zaskoczony, ani zadowolony, ani urażony. Była tylko ta nieodgadniona szklistość.

– Doskonale – powiedział w końcu. – Obaj za mną.

Wish stracił władzę w nogach, nie był w stanie dać kroku naprzód. Harris wyminął go i ruszył w stronę drzwi. Po drodze szepnął: – Ty głupia pizdo.

—

Podczas wieczornego apelu Wish i Harris zostali ustawieni przed jeńcami zebranymi na placu. Kapitan Koyagi przesłuchał ich za pośrednictwem tłumacza, a oni ponownie przyznali się do kradzieży z magazynu Czerwonego Krzyża. Obaj zostali rozebrani do półnaga i ustawieni na klęczkach, plecami do słupa. Ręce związane im z tyłu.

Koyagi wygłosił wykład poświęcony niegodziwości kradzieży; wyjaśnił, iż materiały Czerwonego Krzyża stanowią wspólne dobro wszystkich jeńców, a więc przywłaszczając je, szkodzą tylko sobie nawzajem. A potem skinął na tłumacza.

Wish patrzył, jak tłumacz i drugi strażnik zbliżają się z bambusowymi kijami w rękach. W twarzy Nishino nie było już śladu po udawanej wesołości, została tylko ponura stanowczość, posępna szczerłość. Wish przypomniał sobie nagle o Mercedes; zdał sobie sprawę, że już od wielu tygodni niemal wcale o niej nie

myśli. Jakby nie było dla niej miejsca pośród pewników, które przyjął dla siebie.

– Harris, odszukasz dla mnie Mercedes – powiedział, chociaż zdawał sobie sprawę, że przyjaciel ma nie większe szanse na przeżycie. Mimo wszystko znalazł w tej złudzie pewne ukojenie. – Opowiesz jej.

– W porządku.

Wish wlepił nieobecny wzrok w punkt za plecami oprawców, przypomniał sobie twarz Mercedes tamtego ranka, gdy nad Washing Pond stanął przed nią nago. Dziewczyna wyglądała tak, jakby miała zaraz wybuchnąć śmiechem, ale nagle zatraciła się w patrzeniu. Pomyślał, że to był przedziwny akt miłosny; on stał nago, z dala od niej, a ona po prostu mu się przyglądała.

Przywołał wyraz jej twarzy. Sam zatracił się w nim na chwilę.

Po porannym apelu Nishino obserwował więźniów wlokących się na swoje stanowiska pracy lub do pojazdów, które czekały pod bramą, by wywieźć ich do stoczni lub do którejś z kopalni węgla położonych dalej nad zatoką. Podczas odliczania zdarzyło się dwanaście pomyłek – przez to że niektórych więźniów brakowało w szeregu. Każdego, który się pomylił, Nishino okładał kijem, wykrzykując przy tym jego właściwy numer. To wyglądało na celową strategię, kaleczyli język albo udawali, że go nie znają. Za każdym razem, gdy zadawał cios, czuł bolesny skurcz w plecach.

Opuściwszy plac apelowy, położył się w baraku, by chwilę odpocząć. Przez jego umysł wciąż przepływały koszmarne szczegóły tego, co wydarzyło się w Hiroszynie. Powiedziano im, że wszystkie żywe istoty w mieście – ludzie i zwierzęta – zostały spieczone na węgiel. To było nie do pomyślenia, to było zbyt surrealistyczne, by można było dać temu wiarę. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej wściekły ani bezradny. Myślenie o tym go wyczerpywało.

Nie miał pojęcia, jak długo spał, zanim adiutant komendanta obudził go, potrząsając za ramię. Kapitan Koyagi wzywał go do siebie. Nishino wiedział, że to oznacza złe wiadomości. Gdy szedł przez plac, słońce stało wysoko, musiało już być późne przedpołudnie. Gabinet komendanta znajdował się w budynku przy samej bramie, pod wieżyczką strażniczą. Dotąd Nishino był w tym pokoju sam z oficerem tylko raz – gdy przyjechał z obozu Mushiroda i przedstawił komendantowi list polecający od porucznika Sakamoto. Umebowanie było skromne: pod ścianą drewniany stół, szafka na akta, przy biurku dwa krzesła z prostymi oparciami. Jedynym zbyt kownym akcentem był głęboki

fotel komendanta, obity zieloną skórą mebel w angielskim stylu. Koyagi stanął za biurkiem i przeczytał list polecający, co jakiś czas zerkając na podwładnego. Zakończywszy lekturę, natychmiast złożył kartkę i pokłonił się od niechcienia, pozwalając Nishino odmaszerować. Ten nie miał pojęcia, jaka była treść listu od Sakamoto, ale na pewno nie przypadła ona do gustu Koyagiemu. W stosunkach z nowym tłumaczem komendant był profesjonalny, aczkolwiek chłodny. Powierzył mu co prawda zarząd obozem i nigdy nie krytykował jego postępowania, lecz i tak w sposobie bycia przełożonego Nishino odczytywał głęboko zakorzenioną niechęć.

Kiedy tłumacz wszedł do gabinetu, Koyagi podniósł się ze skózanego fotela. Skłonili się przed sobą.

– Usiądźcie – rzekł Koyagi, wskazując proste krzesła.

Nishino zerknął na meble, potem znów na oficera. Koyagi był od niego niemal o głowę niższy. – Wolałbym stać.

– Jak sobie życzycie.

Nishino skupił wzrok na blacie biurka.

– Wiecie, dlaczego was wezwałem?

Nishino pomyślał, że to może być wszystko. Żeby mu powiedzieć o amerykańskiej inwazji. Że jeńcy mają być rozstrzelani i pogrzebani, a obóz spalony. Wszystko zmierzało ku jakiemuś ostatecznemu, apokaliptycznemu finałowi; Nishino miał wrażenie, że dowódca odkryje zaraz przed nim przeznaczenie jego oraz całej Japonii. Koyagi przeszedł obok Nishino i przystanął przy pojedynczym oknie, wychodzącym na plac apelowy. W tej chwili stali niemal plecami do siebie, jakby mieli zaraz stoczyć pojedynek.

– Od jak dawna służycie w Cesarskiej Armii, szeregowy Nishino?

– Niecałe sześć lat.

– Szkolenie bojowe odbyliście pod porucznikiem Kurakake.

– Tak jest.

– To dobry człowiek. Dobry żołnierz.

– Tak jest.

– A jednak miękki. To jego jedyna słabość. Jest miękki.

– Pozwolę sobie zachować odmienne zdanie.

Z gardła Koyagiego dobiegł nieokreślony dźwięk.

– Wasza lojalność wobec niego jest godna pochwały. Nauczył was zabijać, Nishino?

– Oczywiście.

– W jaki sposób?

– Mieliśmy... – Nishino zamilkł na chwilę – na więźniach.

– Każdy z was miał zakłuć bagnetem więźnia?

– Tak jest.

– Czy ktoś w waszej jednostce odmówił?

– Niektórzy mieli opory.

Nishino słyszał, że za jego plecami Koyagi odwraca się od okna.

– Powiedźcie, jak porucznik Kurakake obchodził się z takimi żołnierzami? Ze słabeuszami?

– Bił ich płazem miecza.

– Czy to okazało się wystarczające?

– W większości przypadków.

– W większości przypadków?

– Jeden z żołnierzy nadal nie był w stanie.

– Ten żołnierz nazywał się Ogawa. Chozo Ogawa.

Nishino obrócił głowę i spojrzał wprost na kapitana.

Wyprężył się mocniej, przenosząc większość ciężaru ciała na lewą nogę.

– Tak jest.

– Ogawa płakał, tak?

– Tak.

– I co dalej?

– Gdy bicie nie poskutkowało, porucznik Kurakake kazał mi asystować.

– W jaki sposób?

– Stanęliśmy ramie w ramie i dźgaliśmy więźniów razem.

– Ile razy to powtórzyliście?

– Pięć, sześć. Aż Ogawa przestał płakać.

– Nie czuliście pogardy do Ogawy?

– Oczywiście, czułem. On się nie nadawał. Nie nadawał się na żołnierza.

– Czy wiedzieliście o jego koneksjach z porucznikiem Kurakake?

– Wtedy nie. Nie wiedziałem.

Koyagi wrócił za biurko i usiadł w swoim fotelu.

– Proszę – powiedział. – Usiądźcie.

Plecy Nishino były mokre od potu. Kręciło mu się w głowie. Koyagi ponownie wskazał ręką krzesła, w końcu więc tłumacz usiadł.

– Byłem w szkole oficerskiej z porucznikiem Sakamoto, waszym poprzednim komendantem z obozu Mushiroda – oznajmił

Koyagi. – Prosto ze szkoły wysłano nas do Mandżurii. Dowódcą naszej kompanii był niejaki pułkownik Ogawa.

– Ojciec Chozo Ogawy?

Koyagi przytaknął i zapalił papierosa. Nachylił się nad biurkiem, by poczęstować Nishino. – Było nas wtedy dwudziestu dwóch nieopierzonych oficerów. Nie wiedzieliśmy o wojnie nic poza tym, co mówili nam na zajęciach. Wysłano nas więc na tygodniowe szkolenie terenowe. Wiecie, kto nas szkolił, szeregowy?

– Porucznik Kurakake?

– Dokładnie. Porucznik Kurakake. – Koyagi przyglądał się tłumaczowi z dziwnym wyrazem twarzy, jakby ze zdumieniem i radością. – I porucznikiem pozostał do dziś.

– Porucznik Kurakake woli walczyć.

– Być może. Może dlatego. Z pewnością był z niego dobry żołnierz, dobry nauczyciel. W pierwszych dniach szkolenia zabierał nas w miejsca, gdzie rozegrały się niedawno bitwy, pokazywał, co poszło dobrze, a co źle. Kazał nam przełożyć naszą książkową wiedzę na pole walki. Dyskutowaliśmy o strategii, taktyce. A wszędzie wokół krwawe ślady prawdziwej rzezi. – Uśmiechnął się do Nishino. – Rozumiecie, miałem wtedy dwadzieścia dwa lata. Dotąd zdarzyło mi się tylko spoliczkować człowieka. Obawiałem się, że nie starczy mi siły charakteru, by przeistoczyć się w żołnierza. – Oficer się zaciągnął. – Przedostatniego dnia Kurakake zabrał nas do aresztu. Była tam cela pełna chińskich więźniów. Pokazał nam tych ludzi. W większości cywilów. Wieśniaków. Chłopów. Powiedział: „Oto materiał, który posłuży do wypróbowania waszego męstwa”. I pozwolił nam odmaszerować.

Po chwili milczenia komendant na nowo podjął opowieść: – Rano zaprowadzono nas na miejsce *próby*. Nad krawędzią dołu głębokiego na trzy metry stały krzesła dla dowódcy regimentu, dowódców batalionów i kompanii. Było tam też dwudziestu czterech związanych więźniów z przepaskami na oczach. Nishino, wtedy zrozumiałem, na czym ma polegać nasza próba. Kurakake skłonił się przed dowódcą regimentu i rozkazał, by sprowadzono do dołu jednego z więźniów. Chińczyka zanesiono na miejsce i zmuszono, aby uklęknął. Kurakake po kolei popatrzył każdemu z nas prosto w oczy. Powiedział: „Głowy należy obcinać w ten sposób”. Nieopodal stało wiadro wody. Obnażywszy miecz, sięgnął po chochlę i polał obie strony ostrza. Stał za plecami więźnia, rozsunął stopy, by nie stracić równowagi, wznosił miecz ponad głowę.

Koyagi ledwo napoczął papierosa, ale już nachylił się nad biurkiem i zgniótł go w popielnicze.

– Byłem ósmy wśród młodych oficerów. Gdy przyszła moja kolej, w głowie miałem tylko jedną myśl: „Nie zrób nic niewłaściwego”. Wcześniej jeden stracił zimną krew i zaczął po prostu rąbać głowę więźnia. Musiał ciąć wiele razy, zanim udało mu się go wreszcie zabić, a Kurakake wrzeszczał na niego, wymyślając mu od głupców. Ja nie chciałem okryć się hańbą. Pokłoniłem się przed dowódcą regimentu i obnażyłem miecz. Zgodnie z zaleceniem polałem ostrze wodą i stanąłem za więźniem. Wzniosłem miecz ponad ramię i zadałem cios na jednym wydechu: *Yo!* – Koyagi wykonał ruch otwartą dłonią. – Obmyłem miecz i wytarłem w papier. Chowając go, zauważyłem, że ostrze wygięło się lekko od uderzenia.

I ja również nie byłem już taki sam, Nishino. Podobnie jak wszyscy żołnierze. Gdy wieczorem wróciłem do jednostki, byłem w pewien sposób silniejszy. Byłem gotów do służby. Nie miałem wątpliwości, że to właśnie moje *destiny*. – Oficer użył angielskiego słowa, kalecząc je w staromodny sposób.

– Panie kapitanie, wciąż nie wiem, dlaczego mnie wezwaliście.

– Wasz przyjaciel Chozo – zaczął Koyagi – nie dostał się do szkoły oficerskiej. Jego ojciec przed śmiercią podjął kilka prób wysłania go do wojska, ale to było po prostu niewykonalne. To była wielka hańba dla rodziny, choć Chozo był najmłodszym synem. Starszy brat Ogawy poprosił porucznika Kurakake, by go przyjął, by zrobił z niego mężczyznę. A przynajmniej dał mu dobrą śmierć. Ale to już wiecie.

– Po części.

– Porucznik Kurakake powinien był odmówić.

Nishino szeroko otworzył oczy.

– Nie mógł.

– A zgodziwszy się, powinien pozwolić, aby Ogawa zginął i problem rozwiązał się sam. To jednak słabość porucznika Kurakake. Jest miękki. Pozwala, by zbyt wiele formalnych wymogów cywilnego życia dochodziło do głosu w czasie wojny.

Zapadło długie milczenie. Obaj bezceremonialnie wpatrywali się w siebie nawzajem.

– Kurakake dobrze się o was troszczył w latach waszej służby, szeregowy Nishino. Za pośrednictwem porucznika Sakamoto. Za moim.

– Nie jestem pozbawiony wdzięczności.

Koyagi wyjął klucz z kieszeni na piersi i otworzył szufladę biurka po prawej stronie. Wyjąwszy pojedynczą kartkę, położył ją na blacie tak, by Nishino mógł się jej przyjrzeć.

– Ostatnie wyrazy wdzięczności od porucznika Kurakake – oznajmił.

Pismo zostało nadane przez głównego dowódcę obozów jenieckich Kempeitai^[14] w Tokio. Zaadresowane było do szefów sztabów armii na terytorium Korei, Tajwanu, Kwantungu, północnych Chin i Hongkongu, jak również do komendantów wszystkich obozów jenieckich. Nagłówek brzmiał: *Obozy jenieckie Radio #9 Ścisłe tajne.*

Osobom, które dopuściły się znęcania nad jeńcami i internowanymi, lub w inny sposób zasłużyły na ich skrajnie negatywną opinię, udziela się pozwolenia na rozwiązanie zaistniałej sytuacji poprzez natychmiastowe przeniesienie do innej jednostki lub oddalenie się z zachowaniem dyskrecji.

Nishino podniósł wzrok na Koyagiego. Oficer wpatrywał się w swoje ręce. W piśmie było jeszcze coś o niszczeniu dokumentów, które mogłyby być wykorzystane przez wroga na niekorzyść Japonii, ale Nishino nie był już w stanie się na tym skupić.

– Co to znaczy?

– To znaczy – odparł Koyagi – że zbliżają się czasy, kiedy my, żołnierze, będziemy osądzeni według formalnych wymogów cywilnego życia.

– Nigdy się nie poddamy – załamał mu się głos; zaczął mówić głośniejszym głosem, by ukryć emocje. – Japonia nigdy się nie podda!

– Kiedyś również w to wierzyłem – przyznał komendant. – Ale to... – szukał właściwego słowa. – To zdarzenie w Hiroszynie.

- Proszę o przeniesienie.
- Nie mam gdzie was przenieść, szeregowy. Armia już na nic się wam nie zda.
- Nie zamierzam dezertować.
- Oczywiście, wybór należy do was. Wśród jeńców obozu Mushiroda macie jednak wielu wrogów. Macie krew na rękach.
- Nie wstąpiłem do Armii Cesarskiej po to, by zawierać przyjaźnie.
- Jestem przekonany, iż nie wstąpiliście do Armii Cesarskiej również po to, by skończyć jako jeńiec – mówiąc, Koyagi wstał ze swojego skórzanego fotela. Nie dał tłumaczowi czasu na odpowiedź. – Odmaszerować, szeregowy Nishino. Życzę szczęścia.

Nishino poszedł prosto do swojego baraku. Rzucił na łóżko swoją skrzynię i szybko przejrzał zawartość. Z dna podniósł niedużą brązową kopertę i wysunął z niej na rękę medal. Niebieska wstęga z czerwonymi i białymi pasami. Srebrny medal z podobizną króla Jerzego. Miał go przez całą wojnę. Jakby mógł w ten sposób zawstydzić ojca.

Schował medal z powrotem do koperty i włożył ją do kieszeni na piersi. Spakował ubrania do worka na ramię i sięgnął pod łóżko po kilka butelek alkoholu od Osano. Wrzuciwszy je również do worka, wymaszerował prosto w słońce. Na chwilę oślepiła go światłość dnia; zmrużył oczy, usłyszał warkot silników. Osłoniwszy oczy dłonią, popatrzył w górę i dostrzegł cztery smugi sunące po niebie na południe. Gdy tak się im przyglądał, powoli skręciły i zawróciły w kierunku Nagasaki. Więźniowie, którzy jeszcze zostali w obozie, zaczęli biec do schronów, lecz Nishino po prostu stał i patrzył na samoloty lecące nad ich głowami w stronę

miasta. Nie rozumiał, dlaczego jeszcze nie rozpoczęły bombardowania. Nagle coś zrzuciły, pomyślał, że to wygląda jak trzy małe spadochrony.

A po chwili ponad wzgórzami otaczającymi Nagasaki rozbłysło drugie słońce, które jaśniało ciemnoniebieskim światłem i pochłaniało świat, nad którym zapłonęło.

MERCEDES

Siedziała u boku Johnny'ego Boustaniego w świetlicy w siedzibie USO.

Już od dwóch lat spotykali się tam w każdy czwartek w porze obiadowej, by słuchać jazzu i klasyki na elektrycznym gramofonie. Cole Porter i Louis Armstrong, Debussy, Beethoven, Chopin. Dizzy Gillespie, Benny Goodman. King Oliver's Creole Jazz Band.

Promienie słońca, wyciśnięte już z ostatnich kropli letniego ciepła, wpadały przez okno i słały się na podłogę bladymi kwadratami. Od kapitulacji Japończyków upłynęły dwa miesiące. Mercedes dowiedziała się od Johnny'ego oraz z doniesień lokalnej gazety, że obozy jenieckie na japońskich wyspach zostały wyzwolone po amerykańskim lądowaniu w końcu sierpnia. A ona wciąż nie miała żadnych wiadomości od Wisha.

Johnny, który nieoficjalnie zasięgał informacji za pośrednictwem przyjaciół, dowiedział się, że jeńcy, którzy przetrwali pobyt w obozach na Kiusiu – włączając tych spod Nagasaki – zostali ewakuowani na okrętach amerykańskiej marynarki, a większość przed przeniesieniem do rezerwy i powrotem do domu lądowała w San Francisco. Nie był jednak w stanie dowiedzieć się od Armii Brytyjskiej niczego, co pozwoliłoby wnioskować, czy Wish wrócił z Japonii, czy też zginął jeszcze przed wyzwoleniem obozów.

– Wszędzie kompletny chaos – stwierdził Johnny. – Brytyjczycy nadal nie wiedzą, jaki los spotkał setki jeńców, którzy trafili do

Niemiec.

- Gdyby Wish żył – zaczęła.
- Mercedes, listy się gubią.
- Ale nie telegramy. Nie telefony.

Słuchali płyty z *Koncertami brandenburskimi*. W tygodniach po japońskiej kapitulacji liczył się tylko Duke Ellington; czasami odsuwali fotele pod ściany, żeby tańczyć *jitterbuga*. Oczekiwanie na wiadomości od Wisha dłużyło się jednak coraz bardziej, a w końcu Mercedes straciła serce do nikotynowego rauszu big-bandów i chciała już słuchać tylko klasyki.

– Wszystkie oficjalne wiadomości trafiłyby zapewne do Renew's. Do jego ciotki.

- Lilly wie, jak mnie znaleźć.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wydmuchując kłęby papierosowego dymu pod sufit.

– Hiram obstawia, że pierwszy śnieg spadnie najdalej w tydzień po piętnastym listopada.

– Mnie to pasuje. Mam nadzieję już nigdy nie oglądać tutejszej zimy.

- Johnny Boustani, co zrobisz, kiedy wrócisz do domu?

– Bo ja wiem. Znajdę sobie kogoś. Założę rodzinę. – Odchrząknął, by zdławić głupawy chichot.

Zdała sobie sprawę, że już nigdy nie wróci do tego pokoju. Że najprawdopodobniej nie usłyszy już więcej muzyki, w której się tutaj zakochała. Filmy w bazie, potańcówki dla amerykańskich żołnierzy – wszystko to już się kończyło, a jej życie miało diametralnie się zmienić, po raz drugi w ciągu dwudziestu jeden lat, które przeżyła.

– Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy – powiedziała.

Johnny zerknął na nią ze skwaszoną miną i podszedł do gramofonu, by zmienić stronę. Szum i trzaski na rozbiegówce niczym szmer ognia w kuchennym piecyku. Odwrócił się do Mercedes.

– Tyle ci powiem. A ty się nie odzywaj, dopóki nie skończę. – Zaczekał, dając jej szansę na protest. Nic nie powiedziała, więc zaczął mówić dalej: – Wiem, że nie czujesz – zawahał się – że nie czujesz do mnie tego, co ja do ciebie. – Odetchnął. – Gdyby ci się jednak nie ułożyło. Gdybyś usłyszała to, czego się spodziewam. Chciałbym, żebyś się zastanowiła. – Wlepił wzrok w stopy.

– Ale z ciebie krasomówca, Johnny Boustani.

Uśmiechnął się do swoich butów i pokręcił głową.

– Na trąbce za to grasz pierwszorzędnie, to muszę ci przyznać.

– W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać. To tylko chciałem powiedzieć.

Ukryła twarz w dłoniach, a Johnny odwrócił wzrok. Nastawił muzykę głośniejszą, żeby Mercedes nie musiała się obawiać, że ktoś na korytarzu usłyszy jej lamenty.

Pożegnalna kolacja dla Johnny'ego Boustaniego odbyła się w następną sobotę. Mercedes spędziła większość dnia w kuchni z kobietami z rodziny Bashów, krojąc, mieszając i zmywając. Przygotowały *tabbouleh* i *kibbeh*, a Mercedes posiekała garści ostatniej w tym sezonie dzikiej mięty, którą pozbierała z Aminą na brzegach rzeki Waterford.

Wieczorem w domu stłoczyły się dziesiątki ludzi, wylewające się z kuchni w jedyne przejście między półkami w sklepie, gdzie ustawiono stoły i krzesła dla gości. Przyszły wszystkie libańskie

rodziny z miasta, przybyli najbliżsi przyjaciele Johnny'ego z wywiadu. Mercedes siedziała między Johnnym a majorem Dumbrowskim. Gawędzili o pogodzie oraz o tym, co stanie się z amerykańskimi żołnierzami, którzy wciąż stacjonowali w mieście. Na końcu długiego stołu rozległa się salwa śmiechu, a Sammy zawołał Johnny'ego, machając obiema rękami. Johnny przeprosił Mercedes i majora, a dziewczyna odwróciła się do wojskowego.

– Wie pan, czytałam ostatnio o tych bombach atomowych.

Gazety opisywały je językiem stanowiącym mieszankę komiksowych hiperboli i biblijnych, apokaliptycznych sformułowań. *Nowa superbroń aliantów. Deszcz zniszczenia, jakiego jeszcze nie widziano na ziemi.* Mercedes pytała Johnny'ego, czy mógłby coś dodać do relacji „Evening Telegram”, lecz on wymówił się niewiedzą, co tylko podsyciło jej żądę poznania konkretnych informacji.

– To naprawdę zdumiewające – stwierdził major. – W całej historii ludzkości nie zdarzyło się nic podobnego. – Zniżył głos i nachylił się do Mercedes. – Rozumie panienka, to poufne informacje. – Postukał jej dłoń palcem wskazującym. – Wciąż mamy w tej dziedzinie wiele do odkrycia. Ocenia się, że temperatura w hipocentrum wynosiła od pięćdziesięciu do stu milionów stopni. Fala uderzeniowa o prędkości sześciuset mil na godzinę. Wszystko w strefie zero zostało zrównane z ziemią w ciągu kilku sekund. Wokół hipocentrum znajduje się szczególnie obszar, w którym wszystko paruje: budynki i ludzie ulegają po prostu dezintegracji. – Wykonał rękami iluzjonistyczny gest, jakby chciał powiedzieć: „puf”. – Nic nie zostaje.

Od wielu tygodni Mercedes tworzyła w myślach różne scenariusze w swego rodzaju koszmarnej grze wyobraźni. Zrozumiała, że nic z tego nie umywa się do strasznej rzeczywistości. Czuła się jednak przedziwnie obojętna na fakty; gdy major mówił, wpatrywała się w jego usta. Jego zęby zdawały się zbyt wielkie i zbyt białe, by mogły być prawdziwe.

Dumbrowski kontynuował: – Nieco ponad dwie mile od strefy zero w Nagasaki stał biurowiec, w którym pracowało pięćset kobiet. Podmuch wyrzucił większość przez okna. Leżały porozrzucane na trawie jak lalki, bez śladu sińców czy oparzeń.

Dostrzegłszy wyraz twarzy Mercedes, pohamował się.

– Panno Parsons, mówimy tu o końcu wojny. Wszelkich wojen. To, co świat przeszedł przez ostatnie pięć lat, już nigdy się nie powtórzy. Proszę to sobie wyobrazić. Zanik wszelkich działań zbrojnych. Co za *niebywale osiągnięcie*.

– Dobrze się czujesz? – spytał Johnny, zajmując swoje miejsce przy stole.

– W porządku – odparła. – Świetnie.

Po kolacji pomogła posprzątać ze stołów i odstała swoją turę ze ścierką do naczyń, podczas gdy mężczyźni przygotowywali instrumenty w sklepie. Później jednak wymknęła się tylnymi drzwiami, nie czekając, aż zacznie się muzykowanie. Nieśpiesznie wróciła do Hirama, jeszcze wolniej weszła po schodach do swojego pokoju. Nie zapaliła światła. Dom stał pusty przez cały dzień, był wyziębiony, ale Mercedes po prostu położyła się na kocach, jakby w ogóle nie zwracała uwagi na chłód.

Nigdy tak naprawdę nie zwątpiła – ani razu przez cały czas spędzony w St. John's. Była przekonana, że będzie wiedziała, jeśli

Wish umrze. Że po prostu to poczuje. Że Wish pojawi się jej tak samo jak widmo ojca, siedzące na krześle pod drzwiami sypialni. Ta myśl wydała jej się nagle staroświecka i żałosna. Nawet wspomnienie ociekającego wodą ojca na korytarzu zdawało się śmiechu warte, biorąc pod uwagę, w jakim świecie teraz żyła. Ludzie znikali bez śladu. Przypomniała sobie ruch, który major wykonał rękami. *Puf.*

Wish był martwy. A ona straciła czy to siłę, czy to wolę, by sądzić inaczej.

Była zawieszona gdzieś między snem a jawą, gdy zaskoczyło ją pukanie do drzwi na dole. Chwilę jej to zajęło, zanim rozpoznała znajome kształty komody i krzesła w kącie. Usłyszała chrzęst klucza w zamku, trzask odsuwanej rygla. Podniosła głowę z poduszki. Hiram odbywał swój ostatni jesienny objazd, był na południowym wybrzeżu i nie miał wrócić do St. John's jeszcze przez wiele dni.

Ktoś zawołał: – Mercedes!

Johnny Boustani wszedł po schodach i ponownie ją zawołał. Leżała bez ruchu, czekając, aż ją znajdzie. Wszedł do jej pokoju dziennego, zapalił i zgasił światło. Otworzył drzwi sypialni.

– Nie włączaj światła – poprosiła Mercedes.

Przyglądał się jej, stojąc w drzwiach.

– Skąd wytrzasnąłeś te klucze?

– Rania wzięła je od Hirama. Na wszelki wypadek. Przysłała mnie, żebym sprawdził, czy wszystko w porządku.

– Która godzina?

– Nie wiem. – Jego sylwetka nabierała kształtów w ciemności. Opierał się o framugę. – Po północy. Nikt nie miał pojęcia, gdzie

się podziałaś.

Nie powiedziała nic więcej, a on przeszedł przez pokój i usiadł koło niej na łóżku. Wyczuła zapach alkoholu.

- Przegapisz tańce.
- Johnny, on nie żyje.
- Kto?
- Wish.
- Nie masz pewności.
- On nie żyje.

Plasnęła go otwartą dłonią w pierś, zacisnęła palce na materiale koszuli. Przyciągnęła go ku sobie i jednocześnie podniosła się z posłania, tak że stuknęli się zębami. Gdy go całowała, czuła w ustach krew, a ten smak przyprawił ją o zawrót głowy. Rozsunęli ubrania na tyle, na ile było to konieczne, a Mercedes wciągnęła go między swoje nogi. Poczowała to pierwsze ostre szarpnięcie, jakby ktoś wyrwał szew z rany. Gryzła Johnny'ego w kark, uderzała o niego biodrami.

Jeszcze nigdy nie była tak wściekła.

Skończył szybko i położył się na niej bez ruchu, podczas gdy ona wciąż podrygiwała i ocierała się o niego.

- No dalej – syknęła. – Ty skurwielu.
- Podparł się na rękach, żeby się jej przyjrzeć.
- Mercedes – szepnął.

Zepchnęła go z siebie, zanim powiedział cokolwiek więcej. Sturlała się z łóżka i wstała, poprawiając bieliznę i rajstopy, wygładzając spódnicę i bluzkę.

Za jej plecami Johnny usiadł ze spodniami spuszczoneymi do kostek. Buty i marynarkę wciąż miał na sobie.

– Mercedes?

– Musisz już iść – oznajmiła. – Powiedz Ranii, że ze mną wszystko w porządku.

W następną środę Johnny Boustani wypłynął z St. John's na pokładzie amerykańskiego transportowca. Dostał przeniesienie do Fort Lowell pod Bostonem. Przy pożegnaniu Johnny i Mercedes prawie się do siebie nie odzywali. Chłopak wręczył jej kopertę z danymi kontaktowymi bazy oraz adresem i telefonem jego rodziców w Pennsylvania. Nie przytulili się ani nie pocałowali, tylko podali sobie ręce.

– Do zobaczenia – powiedział.

– Nie wyjadę stąd, dopóki nie dostanę wiadomości – odparła. – Takich czy innych.

– Wiesz, gdzie mnie szukać.

Pierwszy śnieg spadł dziewiętnastego listopada. Hiram wygrał w sumie siedem dolarów i wręczył całą kwotę Mercedes.

– Kup sobie coś ładnego – poprosił.

Wydała pieniądze na podróż przybrzeżnym promem do Renew's. Popłynęła sama, a po zejściu na ląd poszła prosto do domu Toma Keatinga, gdzie Patty zaparzyła jej herbaty i posadziła ją przed takimi samymi bułeczkami z melasą i słoniną jak poprzednio.

– Dobry Boże, aleś ty wyrosła od ostatniego razu. Stałaś się już kobietą.

– Jak się miewa Lilly Berrigan?

– Wróciła do domu. Siostry mają ją tam na oku.

Mercedes dowiedziała się już o tym od Hiram, który przywiózł do St. John's plotki z południowego wybrzeża półwyspu.

- Czy dostała jakiegokolwiek wieści?
- Z tego, co mi wiadomo, ani słowa.
- Gdzie mieszka Lilly?

Zgodnie z przewidywaniami Mercedes chatka, przekształcona z obórki dla kóz, była malutka. W izbie służącej za kuchnię i salon pod ścianą stała leżanka, a obok piecyk Maid of Avalon, odzyskany z jakiegoś wraku przez Toma Keatinga i wyproszony przez siostry. Jediną ozdobę stanowiło Przenajświętsze Serce, wiszące na ścianie przy rurze odprowadzającej dym. Naprzeciw łóżka pojedyncze, kwadratowe okienko i stół sklecony ze starych desek. Za sypialnię służyła Lilly druga izdebka, tak mała, że z trudem mieściła się tam prycza i krzesło stanowiące stolik nocny. Mercedes i Patty nie zastały nikogo w środku, usłyszały jednak zza chaty dźwięk siekiery spadającej na drewno. Poszły na tyły.

Lilly Berrigan była równie wychudzona i blada, co we wspomnieniach Mercedes. Była ubrana w wypłowiałą sukienkę, na głowie miała zawiązaną chustę. Przyglądała się im, stojąc z siekierą przy biodrze. Wokół pieńka piętrzyły się brzoźowe i świerkowe szczapy.

– Lilly, przecież mówiłam, żebyś dała spokój z drewnem, a ja przyślę Billy’ego-Petera, żeby je porąbał – zaczęła Patty.

Lilly nie zwracała na nią uwagi.

– Witaj, Mercedes – powiedziała. Opuściła głowicę siekiery na ziemię i oparła się na trzonku, łapiąc oddech. Przyglądała się dziewczynie w taki sposób, że Mercedes odniosła wrażenie, iż jej twarz jest przezroczysta, a wszystko, co pod nią, widoczne jak na dłoni. – Dobrze wyglądasz.

– Pomyślałam, że może ma pani dla mnie jakieś wiadomości.

Lilly podeszła do Mercedes, dotknęła jej twarzy i pozwoliła ręce spłynąć po przedniej części jej płaszcza.

– Myślę – powiedziała cicho – że masz już wszystkie wiadomości, których potrzebujesz.

To oczekiwanie doprowadzało Mercedes do szału. Wiedziała, ale musiała czekać na dowody. Znowu poczuła narastającą wściekłość, musiała ją zdławić, by wypowiedzieć kolejne zdanie.

– Lilly, dasz mi znać, prawda? Jeśli czegokolwiek się dowiesz.

Lilly wróciła do pieńka i postawiła na nim kawałek brzozy.

Rozłupała go równo siekierą, a połówki spadły na ziemię po obu stronach.

– Dam ci znać.

Później Mercedes poszła na samotny spacer, powędrowała na klify ponad Aggie Dinn's Cove. Opatuliła się płaszczem i prawie do zmroku siedziała, wpatrując się w ocean. Gdy w końcu wstała, była zeszywniała z zimna. W drodze powrotnej przechodziła koło kościoła i zaszła na tyły, do groty z posągami Maryi. Gwiazdy Morza. Na jej lewym nadgarstku wisiał różaniec, nad głową widniała mosiężna aureola z napisem: „Niepokalanie Poczęta”.

Chodząc z Bashami do bazyliki, Mercedes ani razu nie modliła się do Maryi Panny. Była zaskoczona, że teraz poczuła taką potrzebę. Zaczęła powtarzać wers z Księgi Rut, który zapamiętała kiedyś, odczytując go na głos babce. „Nie wiedz mię do tego, abym cię opuścić i od ciebie odejść miała”. Dalej nie była w stanie powtórzyć.

Zamiast tego pomodliła się o przebaczenie. Nie potrafiła jednak przyznać przed sobą, o przebaczenie za co.

Gdy nazajutrz wróciła, w zakładzie nie było śladu po Hiramie. Czasami sypiał popołudniami, jeśli za dużo wypił, Mercedes poszła więc do swojego salonu tak cicho, jak potrafiła. Usłyszała, że Hiram woła ją z ciemni na tyłach domu.

– To ty, Mercedes?

Zeszła po schodach i stanęła pod drzwiami.

– Dowiedziałaś się czegoś? – spytał.

– Nie – odparła. – Niczego.

Słyszała, że Hiram krząta się za drzwiami. Po paru minutach wyszedł na korytarz. Twarz miał bladą, na jego skroniach wisiały krople potu.

– Tak się zastanawiałem – mówiąc, wycierał ręce w szmatkę i nie odrywał od nich wzroku. – Kiedy Wish wyjeżdżał, myślał, że zabił Hardy’ego. Kiedy się zaciągnął. Możliwe, że sądził, iż powinien ukryć niektóre rzeczy.

– Użył prawdziwego nazwiska. Inaczej moje listy by do niego nie dotarły.

– Mógł natomiast podać jakiś inny adres niż Renew’s. Nie mieli nic na piśmie, żeby to sprawdzić. Mógł skłamać co do najbliższej rodziny.

– A więc jakiegokolwiek oficjalne listy...

– Mogły wylądować wszędzie. – Westchnął przeciągle. – Zrobiłem z tego wszystkiego niezły burdel.

Dotknęła jego ramienia i poszła do swojego pokoju. Spędziła tam resztę dnia.

—

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem Mercedes dostała paczkę zaadresowaną obcym charakterem pisma. Kiedy przyszła poczta, Hiram był w zakładzie sam. Nie było adresu zwrotnego,

ale paczka została nadana w Halifaksie. Potrzęsawszy przesyłką, Hiram odgadnął, że w środku musi kryć się druga koperta. Odłożył ją na kontuar i udawał, że zajmuje się innymi sprawami, co jakiś czas zerkając na paczkę i czekając na powrót Mercedes.

W początku grudnia dziewczyna wysłała telegram do Johnny'ego Boustaniego, a później w rozmowach telefonicznych ustaliła z nim, że przed Nowym Rokiem poleci do Montrealu, gdzie według informacji Johnny'ego łatwiej było o amerykańską wizę. Można tam było również dojechać pociągiem z Bostonu, Johnny zamierzał więc przyjechać po nią, gdyby miała jakiegokolwiek problemy w konsulacie. W takim wypadku zamierzali wziąć ślub w Montrealu i razem pojechać pociągiem do Stanów.

Mercedes nie wytłumaczyła tych planów ani słowem, ale Hiram nie miał wątpliwości, że dziewczyna jest w ciąży. Paczka z Halifaksu tak bardzo go uwierała, że musiał regularnie wycofywać się do gabinetu na szklaneczkę whisky. Wiedział, że to może być tylko jedno. Koperta aż zarzyła się na blacie. Gdy się odwracał, dostrzegł ją kątem oka; zdawała się podskakiwać niczym pstrąg wyrzucony na skałę. Za każdym razem Hiram musiał znowu iść do gabinetu.

Gdy Mercedes wróciła do domu, Hiram był już porządnie zalany. Siedział w gabinecie z głową opartą o blat biurka, pogrążony w półśnie. Ocucił się na tyle, by dostrzec dziewczynę stojącą w drzwiach i powiedzieć: – Witaj, Mercedes, kochanie.

– Dlaczego się nie położysz?

– Nie mogłem ryzykować wspinaczki na schody. – Opadł na oparcie krzesła, jego tułów ułożył się pod dziwnym kątem, którego najwyraźniej nie był w stanie skorygować. – Nie radzę już sobie z alkoholem tak dobrze, jak za dawnych czasów.

– Co się z tobą stanie, kiedy wyjadę?

– Poradzę sobie. – Teatralnie zamachał rękami. – Wszyscy jakoś sobie radzą, co nie? Wszyscy idą naprzód. Założę się, że nawet nie będę za tobą tęsknił. Jak można tęsknić za kimś, kto nagle wpada do pokoju i przerywa człowiekowi taką wspaniałą drzemkę.

Odwróciła się, żeby przejść do zakładu, ale Hiram ją powstrzymał.

– Mercedes. Pytanie. – Położył dłonie na kolanach, żeby zachować równowagę. – Gdyby istniał sposób...

– Tak?

– Sposób, by dowiedzieć się, co się stało z Wissem. Gdyby ktoś oznajmił, że wie i może ci powiedzieć. Rozumiesz, pytam z czystej ciekawości. Oczywiście, nie mój zasrany interes. Ale biorąc pod uwagę okoliczności.

– O czym ty gadasz?

– Pytam, czy chciałabyś wiedzieć. Żyje czy nie żyje.

W tym momencie dobrze mu się przyjrzała: twarzy spuchniętej od alkoholu i pijackiego snu, purpurowemu nosowi poprzecinanemu żyłkami niczym liść, ciemnoczerwonej przedzie odcisniętej na policzku przez blat biurka. Idiotycznym wąsom.

– O co tu chodzi, Hiram?

– Po prostu odpowiedz na to pieprzone pytanie, dobra?

– Nie.

– Nie?

– Nie.

Potarł twarz dłońmi i znowu popatrzył na dziewczynę.

– Nie, nie odpowiesz na pytanie?

– Nie – odparła. – Nie chciałabym wiedzieć.

– Dlaczego nie, Mercedes? – spytał, przekrzywiając głowę.

– Myślę – zaczęła. – Wiem, że on nie żyje. – Zawahała się i przygryzła wargę. – Ale założmy, że żyje, ale rozmyślił się co do mnie. Co do nas. Że żyje, ale postanowił, że nie będzie mnie szukać. Wolałabym nie. – Wykonała nieznaczny gest ręką. – Wiem, że on nie żyje – powtórzyła.

Hiram znowu potarł twarz. Szorował mocno.

– Dokucza ci ból głowy, Hiram?

– Chyba zaraz padnę trupem.

– Przyniosę ci mokry ręcznik.

Hiram odczekał, aż jej kroki rozlegną się na piętrze. Podeszedł do kontuaru, chwycił kopertę i rozejrzał się, szukając dogodnej skrytki. Gdy Mercedes zaczęła schodzić na parter, poleciał pędem do gabinetu i wcisnął paczkę do szuflady.

– Proszę – powiedziała.

– Dzięki, kochana.

Rozparł się na krzesło i rozwiesił sobie ręcznik na twarzy.

– Hiram?

– Mmm?

– Myślisz, że postępuję właściwie?

Powoli zdjął ręcznik, ale nie spojrzął na nią.

– Mercedes, mam nadzieję, że będziecie z Johnnym szczęśliwi.
To dobry człowiek. Szczęśliwy człowiek.

– Właściwie czy niewłaściwie?

– Nie ma czegoś takiego jak „właściwie „ czy „niewłaściwie „. Są tylko większe lub mniejsze szanse wygranej. Mnie się twoje szanse podobają. – Ponownie zakrył twarz rękami.

Wish opowiadał jej, że tamtej nocy Lord's Cove nawiedziły jeszcze dwie fale, choć żadna nie była już tak potężna, jak pierwsza. Oczekali na wzgórzach, a gdy nabrali pewności, że jest już po wszystkim, zeszli na brzeg, przedzierając się przez pobożowisko. Matka niosła go na plecach, żeby jej się nie zgubił. Było już ciemno, ale niebo było czyste, a księżyc dość duży, by mogli ocenić ogrom zniszczeń. Ich dom zniknął, podobnie jak większość domostw w okolicy. Pomosty, łodzie i magazyny zostały porwane i roztrzaskane; plaża zmieniła się w pole połamanego drewna. Na płyciźnie leżały na wpół zanurzone cielska tuzina potopionych krów.

Kilka budynków zostało w całości zmytych z fundamentów. Z trudem dojrzeli je na wodzie, ciemniejące ponad powierzchnią niczym wraki, w większości już mocno przechylone i w pół drogi na dno. Był jednak jeden dom, niemal u wejścia do zatoki. Wish mówił, że ten budynek unosił się na wodzie prosto, jakby został specjalnie zbudowany po to, by pływać. Na morzu martwa cisza. Kiedy woda wyniosła dom w morze, w piecyku musiał palić się ogień. Od gwałtownego ruchu komin zapewne oderwał się od ściany albo sam piecyk wyrócił się na podłogę. Połowa kuchni stała w ogniu, okno było podświetlone od wewnątrz czerwono-pomarańczowym blaskiem, który zdawał się pulsować, na zmianę przygasać i rozbłyskiwać, niczym potężne serce bijące w izbie. Na całym wybrzeżu nie było ani jednego światełka, wyłącznie ten

plomień pochłaniający dom na wodzie. Wish mówił, że w życiu nie widział nic, od czego zionęłaby większa samotność.

Przed świtem Mercedes wstała z łóżka i ubrała się w pośpiechu. Poszła na drugie piętro i zaczęła dobijać się do sypialni Hiram. Łomotała w drzwi bezustannie, nawet gdy usłyszała, że mężczyzna wstał i zaczął krzątać się po pokoju w poszukiwaniu ubrań.

– Jezu, Mercedes. O co chodzi?

– Masz coś – odparła. – List albo co. Gdzie to jest?

Oparł czoło o ościeżnicę.

– Hiram. Do jasnej cholery.

Zeszli na dół po ciemku, w gabinecie Hiram zapalił lampę. Wyjął kopertę z szuflady, lecz zanim wręczył ją dziewczynie, powiedział: – Popełniasz błąd, Mercedes. Sama tak powiedziałaś.

Wyciągnęła rękę, a Hiram podał jej przesyłkę.

– Chcę być sama – powiedziała – kiedy ją otworzę.

Hiram przepchnął się koło niej, mamrocząc coś pod nosem. Zanim usiadła przy lampie i przyjrzała się kopercie, odczekała, aż usłyszy kroki mężczyzny na schodach. Sądząc po delikatnym kroju pisma, adres został zapisany kobiecą ręką. Z drugiej strony litery były zbyt rozchwiane, ostatecznie więc Mercedes stwierdziła, że nakreślił je mężczyzna – schorowany lub stary. Pieczętka z poczty w Halifaksie. Zanim Mercedes przystąpiła do otwierania przesyłki, podkręciła lampę.

W środku znalazła drugą zamkniętą kopertę oraz kwadratową kartkę wrzuconą luzem. Rozłożyła liścik. W kroju pisma znać było tę samą rozedrganą rękę, która zapisała adres.

Droga Mercedes Parsons.

W tym miejscu przerwała i zgięła się w pół, siedząc na krześle z czołem opartym o biurko. Trwała w tej pozycji przez dłuższy czas, oddychając płytko przez zaciśnięte zęby. Podniósłszy się, rozprostowała liścik na blacie.

Droga Mercedes Parsons,

Nazywam się Jim Harris, służyłem razem z Twoim Wishem. Zanim popłynęliśmy na Pacyfik, powierzył mi załączony przedmiot, prosząc, bym wysłał go do Ciebie w przypadku, gdyby nieszczęśliwie on sam nie mógł już do Ciebie wrócić. Nadaję ten list z ogromnym żalem. Wish często o Tobie mówił i zawsze pragnął dla Ciebie wszystkiego, co najlepsze. Z wyrazami ubolewania, JH.

Mercedes natychmiast sięgnęła po drugą kopertę, nie dając sobie chwili przerwy, nie chcąc pozwolić, by powstrzymała ją jednoznaczna nieodwołalność tych słów. Drżały jej ręce; miała kłopoty z zahaczeniem papieru paznokciem i rozerwaniem koperty. W środku nie było żadnej kartki, żadnego listu czy notki. Tylko jeden przedmiot, coś skręconego na dnie. Mercedes wytrząsnęła to na blat. Kawałek sznurka z zawiązanymi supełkami.

Po raz ostatni popatrzyła na Nową Fundlandię przez okno samolotu lecącego do Montrealu. Szary poranek, słońce tylko chwilami przebijające się przez gęste chmury. Warkot silników tak donośny, że właściwie nie dało się porozmawiać z pasażerem obok, co zresztą ucieszyło Mercedes. Samolot wspiął się stromo ponad polami Torbay, po czym gwałtownie przechylił się na prawe skrzydło i skręcił nad miastem. Mercedes dostrzegła ciemny sutek Cabot Tower na szczycie Signal Hill, a dalej na południe latarnię

na Cape Spear. Statki kotwiczące w zatoce, wieże bazyliki dominujące nad płaskimi, smołowanymi dachami domów. A po chwili byli już za miastem, wciąż pnąc się w górę ponad zaśnieżonymi pustkowiami półwyspu Avalon. Pośród pól bieli wyróżniały się tylko granitowe grzbiety, łupki, świerki i karłowate krzaki o barwie rdzy.

Wzlecieli już tak wysoko, że Mercedes pomyślała, iż nie byłaby w stanie odróżnić sylwetki człowieka, gdyby ktoś tam był. Postanowiła, że zapamięta to miejsce właśnie tak, jako pusty, biały ląd, usiany ostrymi skałami i czarnymi plamami zamarzniętych sadzawek, obrzeżony zimnym granatem oceanu. Wpatrywała się zawzięcie, jakby mogła na stałe wypalić w swoim umyśle właśnie ten obraz, zastępując nim wszelkie pozostałe.

A potem znaleźli się ponad chmurami.

1994

MERCEDES

1.

To nie była ta zatoka.

Nad półwyspem Avalon piękny czerwcowy dzień. Samolot przechylił się na skrzydło, podchodząc do lądowania, a Mercedes wpatrywała się w poszarpaną linię brzegową z jej kieżą białych grzywaczy. Sięgnąwszy do torby, wyjęła okulary przeciwsłoneczne i założyła je na swoje normalne szkła, by schronić się przed blaskiem. Nad Narrows górowała Cabot Tower. Mercedes przytknęła palec do szyby.

– Z zatoką jest...

Córka nachyliła się do okna, by popatrzeć jej przez ramię.

– Co mówisz?

– Z zatoką jest coś nie tak.

Isabella rozparła się w swoim fotelu.

– Minęło prawie pięćdziesiąt lat, Mercedes. – Gdy była zła, zwracała się do matki po imieniu, żeby zwiększyć dzielący je dystans. Bella wciąż nie doszła do siebie po wczesnej pobudce.

Mercedes uparła się, że muszą dotrzeć na lotnisko Logan International trzy godziny przed czasem, żeby zapewnić sobie miejsce przy oknie na ostatni etap podróży. Liczyła na dobrą pogodę i właśnie taki widok, gdy samolot zakreśli pętlę nad oceanem i zejdzie nisko nad klifami, nad przesmykiem, nad zatoką. Isabella próbowała nakłonić ją do wyjazdu o rozsądniejszej godzinie, aż w końcu Mercedes zasugerowała, że

sama może przejechać samochodem trzydzieści pięć mil dzielące ją od lotniska. Córka odebrała matkę o piątej rano, a nigdy nie była rannym ptaszkiem. Przesiedziały w hali odlotów parę godzin; Bella z nadąsaną miną popijała kawę, podczas gdy za oknem kolejne samoloty kołowały do startu. Mercedes musiała odfajkować na tablicy każdy samolot, który oderwał się od pasa.

– American Airlines, lot 11 – mówiła. – Los Angeles. Lot 175, United.

W końcu Isabella wstała i przesiadła się dalej, by nie słyszeć matki.

W Halifaksie przesiadły się na lot do St. John's, a po starcie Mercedes wyjęła spod fotela swoją torbę z czarnego płótna i zajrzała do niej po raz piętnasty.

– On się nigdzie nie wybiera, mammo.

Mercedes puściła to mimo uszu i sięgnęła do torby, by dotknąć metalowego pojemnika.

– Boustani w pudełku – powiedziała. Oparła się i zamknęła oczy, wsłuchując się w głosy rozbrzmiewające wokół. Po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat, nie licząc rozmów telefonicznych z Agnes, słyszała nowofundlandzki akcent. Przysnęła kilka razy, ukołysana relaksującym szelestem przierzucanych przez Belle błyszczących kartek czasopisma. Wciąż zmieniała pozycję, próbując uśmierzyć ból w biodrach i krzyżu, wysuwając spuchnięte stopy z butów.

– Uspokoisz się wreszcie? – spytała Bella.

– Poczekaj, aż sama się zestarzejesz – odparła Mercedes. – Wtedy pogadamy.

To samo mówiła kiedyś Belli o macierzyństwie. „Poczekaj, aż sama zostaniesz matką. Wtedy pogadamy”. Teraz straszyla córkę starością. Przeszło jej przez myśl, że może staruszką też Bella nigdy nie będzie.

Mercedes wpatrywała się w miasto. Południowy brzeg zatoki zdawał się opuszczony. Koszary z czasów wojny domy budynki gospodarcze i nabrzeża–wymiecione. W dolinie rzeki Waterford czteropasmowa autostrada na estakadzie. Rzędy stojaków do suszenia ryb w Battery zniknęły ale domy wciąż tam stały rozrzucone bezładnie na skale. Na północ od zatoki dostrzegła bliźniacze wieże bazyliki, pod nimi Kirk. Nad wodą nowe biurowce, obrzydliwa czerwona cegła i szkło. Na wiele mil poza obszarem, który uważała za miasto, teren był poszatowany na regularne działki budowlane i szeregi sklepów.

I zatoka zmieniła się w jakiś sposób – tego Mercedes była pewna. Miała inny kształt. Niby twarz dziwacznie zdeformowana rękami linii brzegowej. Ta bezsprzeczna, lecz nieokreślona zmiana roznieciła w Mercedes płomień niepokoju, który dotąd udawało jej się trzymać w ryzach. Wiedziała, że na początek będzie musiała znaleźć łazienkę.

– Co się zmieniło?

– Mamo, myśl w głowie, a nie na głos – poprosiła Bella.

Gdy samolot zakończył kołowanie, Mercedes i Bella zeszły po schodach na płytę lotniska i przeszły do terminalu. W mroku za otwartymi drzwiami hali przylotów czekał tłum ludzi. Mercedes rozglądała się po twarzach, ale nie była w stanie odróżnić ich rysów. W budynku panowały niemal absolutne ciemności, jakby ktoś zasłonił wszystkie okna.

– Co, na Boga? – powiedziała głośno. Złapała oburącz za paski swojej torby i zaczęła iść tak blisko Isabelli, że stykały się ramionami.

Jakaś kobieta podeszła do niej i złapała ją za ramiona.

– Sadie! – krzyknęła. – Po coś ty je założyła?

– O Jezu. – Mercedes zdjęła okulary przeciwsłoneczne. – Zapomniałam, że mam je na nosie. – Przyjrzała się siostrze, dostrzegła mgnienie matki za siwymi lokami, za wydatnymi, obwisłymi policzkami. W płatkach uszu głębokie zmarszczki jak u ojca. Przytuliła się do niej. – Cześć, Agnes – powiedziała. Rozmyta woń pudru i perfum przyćmiła zapach, którego Mercedes szukała. Wyprostowała się szybko. – Aggie, zaraz się zsikam. Gdzie oni tu mają łazienki?

Przejechały przez White Hills i dalej przez Pleasantville, między szeregami klockowatych wojskowych kwater, przekształconych w cywilne mieszkania i biura, gdy w latach sześćdziesiątych Amerykanie opuścili St. John's. Pojechały brzegiem jeziora Quidi Vidi, skręciły w King's Bridge, a po chwili w Military Road. W Georgestown Mercedes kazała im krążyć z pół tuzina razy wokół tego samego kwartału, nie potrafiła jednak stwierdzić, gdzie pośród rzędów domów znajdował się zakład Hiram. Zjechały Duckworth Street i pojechały z powrotem Water Street, a po drodze Mercedes wymieniała wszystkie sklepy i zakłady z czasów wojny, wskazując ich dawną lokalizację. Na końcu Water Street Agnes skręciła w lewo w Harbour Drive – ulicę, która jeszcze nie istniała, gdy Mercedes opuściła St. John's. Tony skał, wydobyte ze zboczy wzgórz na południowym brzegu

zatoki, zrzucone do wody razem z gruzem i kawałami betonu. Utwardzona nawierzchnia, na całej długości betonowe nabrzeże.

– Wiedziałam, że coś się zmieniło – powiedziała Mercedes. Odwróciła się do Isabelli, siedzącej na tylnym siedzeniu. – Bella, nie mówiłam, że coś się zmieniło?

– Mówiłaś, Mercedes.

– Chcecie pojechać na Signal Hill? – spytała Agnes.

– Bella?

– Szkoda by było nie skorzystać z takiej pogody.

Znalazły wolne miejsce na parkingu Parks Canada^[15] pod Cabot Tower. Zmagając się z silnym wiatrem, wysiadły z samochodu i podeszły do niskiego murku z kamieni, by popatrzeć na miasto.

Agnes złapała Bellę pod ramię i dobrze jej się przyjrzała.

– Nie jest do ciebie ani trochę podobna, Sade. Musi być z niej wykopany ojciec.

Mercedes zerknęła na Isabellę. Pomyślała, że to nieszczęśliwa twarz, w kształcie gruszki, z wszystkimi ważniejszymi punktami zbitymi ciasno pośrodku – Bella wyglądała tak, jakby była permanentnie urażona. Miała dwadzieścia dziewięć lat, ale na swój sposób zdawała się rozczarowana życiem. Jakby do tej pory wszystko było tylko próbą generalną, a ona nie miała przekonania, czy wybierze się na premierę.

Mercedes popatrzyła na miasto.

– Nie sądziłam, że kiedykolwiek jeszcze je zobaczę.

– Chcesz załatwić to teraz? – spytała Bella.

– Nie jestem gotowa. Jeszcze nie.

– Mamo, on nie żyje już od trzech lat.

– Chcę, żeby jutro był przy mnie – odparła. Westchnęła przeciągle. – Johnny nigdy nie miał najlepszego zdania o tym miejscu. Nie wiem, dlaczego zażyczył sobie, żebym rozsypała jego prochy właśnie tutaj.

– Chciał cię po prostu jakoś ściągnąć do domu – wyjaśniła Agnes. – Takie jest moje zdanie.

Mercedes natychmiast dostrzegła prawdę, której dotąd sobie nie uświadomiła.

– Agnes, z nas dwóch to ty zawsze byłaś tą inteligentną.

– W każdej chwili chętnie przehandluję inteligencję na urodę.

– Widzisz, w co obraca się uroda – zaśmiała się Mercedes.

Agnes zsunęła ciemne okulary siostry i dotknęła uszkodzonej strony jej twarzy.

– Gdzie jest płyta?

Mercedes nakreśliła linię od lewego oczodołu w dół policzka, po czym założyła z powrotem okulary.

– Myślę, że teraz przejdę się z Johnny m na krótki spacer za wieżę – powiedziała, lecz nie ruszyła się z miejsca.

—

Agnes mieszkała w budynku zaraz przy Torbay Road, naprzeciwko szeregu sklepów. Na dole pudełkowaty salon z aneksem kuchennym. Zdjęcia trójki dzieci ustawione na telewizorze. Pół tuzina zdjęć Agnes i Davida z różnych lat – na wszystkich ujęciach ukrywał chorą rękę w kieszeni lub za plecami żony. Ag wyszła za najmłodszego syna Clive'a Reida jeszcze w Cove. David uczył wszystkie dzieciaki, od przedszkola do II klasy, dopóki w 1964 roku nie zamknięto szkoły. Kiedy ich dzieci wyjechały na uniwersytety i do pracy na stałym lądzie, David

przeszedł na emeryturę i małżeństwo przeprowadziło się z Fogo do St. John's. David zmarł przed rokiem.

Po kolacji Agnes otworzyła butelkę sherry. Isabella wypiała tylko parę łyków, a następnie poszła na górę, żeby się położyć. Za oknem ledwo się ściemniło.

– Wszystko z nią w porządku?

– Wcześniej dziś wstała – odparła Mercedes, chociaż w jej umyśle proste pytanie siostry rozlało się po wszystkich zakamarkach życia córki.

Bella była najbardziej nieoczekiwanym z nieoczekiwanych dzieci. Przyszła na świat prawie dwadzieścia lat po Marion, o której Mercedes nauczyła się już myśleć jak o ich jedynym dziecku. Przez niemal dwie dekady mówiła na męża „Jednostrzałowy Boustani”. A tu nagle Isabella.

– Nie do wiary, że jeszcze nie wyszła za mąż – stwierdziła Agnes.

Mercedes przewróciła oczami. Od kiedy Bella skończyła dwadzieścia lat, przez jej życie zdążyło przewinąć się kilku mężczyzn, ale żaden nie zdołał uporać się z jej obojętnością i brakiem celu w życiu. Mercedes rzadko ich poznawała, czasami znała wyłącznie imię, przez co podejrzewała, że niektórzy mogli być żonaci. Każdy nieudany związek sprawiał, że córka stawała się odrobinę smutniejsza i bardziej przekorna. W wieku dwudziestu sześciu lat Bella dokonała aborcji, a później mówiła o tym tak, jakby chodziło o bolący ząb. Mercedes miała wrażenie, że nonszalancja córki w kwestii uczuć jest zbyt wyuczona, by mogła być szczerą. Jej apatia i zmęczenie życiem graniczyły z autodestrukcyjną nienawiścią.

– A teraz z nikim się nie spotyka? – spytała Agnes.

Mercedes głośno wypuściła powietrze przez zaciśnięte wargi.

– Toż to grzech. Taka z niej kochana dziewczyna.

– Może dla ciebie. – Mercedes wzniosła kieliszek sherry. –

Wobec reszty z nas jest chłodna jak cyc wiedźmy.

Agnes z odrazą zakryła usta ręką.

– *Sadie* – szepnęła.

Twarz Mercedes nagle przybrała poważny wyraz.

– Odkąd przeprowadziłam się do Stanów, nikt nie mówił na mnie *Sadie*.

Przez chwilę przyglądały się sobie w milczeniu.

– Witaj w domu – powiedziała Agnes.

—

Nazajutrz rano kilkaset osób zgromadziło się na Duckworth Street przy pomniku poległych żołnierzy, by uczcić pięćdziesiątą rocznicę lądowania w Normandii. Wieńce składano w nieustającej mżawce przemówień i modlitw. Mercedes stała z Isabellą i Agnes po drugiej stronie ulicy, trzymając się na obrzeżach tłumu. Wciąż nie lubiła dużych zbiorowisk, tej ich wilgotnej, dusznej woni, z której nie dało się wyodrębnić ani jednego konkretnego zapachu. Dla Mercedes było to jak biały szum, drażniące brzęczenie.

Rano, zanim którakolwiek z nich się przebrała, Mercedes przytuliła siostrę przy zlewie. Chciała zdążyć, zanim Agnes się przypudruje; wcisnęła twarz w jej szyję i odetchnęła jej zapachem.

– Pachniesz dokładnie tak, jak zapamiętałam.

– O Jezu – powiedziała Bella. – Uważaj, ciociu Agnes, wyniuchał cię Nos.

– Czym pachnę?

– Sobą.

– A co to za zapach, jeśli można spytać?

– To... – zawahała się – trochę jak zapach przypieczonego, domowego chleba.

Bella odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

– Z masłem czy bez?

– Cicho bądź, Bella.

Agnes uśmiechnęła się do Mercedes, zawstydzona przedziwnym gestem intymności.

– Może tosta? – spytała.

– Kiedyś zabrałam ją do kina – zaczęła Isabella. – A ona wciąż wyciągała głowę do góry jak węszący pies. Pytała: „Czujesz? Czujesz ten zapach?”. Myślałam, że zwariowała. W końcu zawyrokowała: „Kupa dziecka. Śmierdzi tu dziecięcą kupą”.

Mercedes stała z ciasno skrzyżowanymi rękami. Agnes spoglądała to na Isabellę, to na siostrę.

– Co to było?

– Popcorn. – Bella znowu odrzuciła głowę w tył. – Ona myśli, że popcorn w kinie pachnie jak kaka.

– Kiedy karmi się dzieci piersią – wytłumaczyła Mercedes. – Naprawdę tak jest.

– Co chcesz na śniadanie? – spytała Agnes, rozpaczliwie próbując zmienić temat.

– Zjedz tosta, mamó – zaproponowała Bella.

Agnes posłała siostrzenicy groźne spojrzenie.

– Sadie, mogę zrobić ci owsiankę.

– Wystarczy herbata – powiedziała Mercedes chłodno.

—

Z miejsca, w którym stały, niemal nie sposób było zobaczyć, co dzieje się u stóp pomnika.

– Może podejźmy trochę bliżej? – zaproponowała Agnes.

– Gdyby Johnny żył, wolałby trzymać się trochę na uboczu. Zawsze był zawstydzony, że służył tutaj, a nie za oceanem.

– Wiele było rodzajów służby, Sadie. Johnny był jednym ze szczęściarzy. – Agnes uniosła okulary, by przetrzeć oczy.

– A Hardy był w marynarce handlowej, tak? – spytała Isabella. Agnes przytaknęła.

– Ruthie mu nie pozwoliła... To była jego żona. Więc Ruthie mu nie pozwoliła zaciągnąć się do wojska. Marynarka handlowa to było wszystko, na co mógł liczyć. Wstąpił do niej w drugiej połowie 1943 roku. – Wzięła wdech i powoli wypuściła powietrze nosem. – Kiedy wrócił do domu na przepustkę, opowiadał niesamowite historie.

– Na przykład jakie?

– Isabella –upomniała ją Mercedes.

– Jakie, Agnes?

– Pływali w tych wielkich konwojach, wiesz, statki marynarki handlowej razem z okrętami marynarki wojennej. Gdy któryś statek został storpedowany, reszta po prostu płynęła dalej. Nawet jeśli na powierzchni pływali rozbitkowie, konwój nie mógł się zatrzymać, żeby nie stracić kolejnych statków. Kiedy Hardy płynął po raz pierwszy, trafiono dwa. Na morzu zupełna cisza, ani podmuchu wiatru. Hardy widział w wodzie mężczyznę, który unosił się w kamizelce ratunkowej i po prostu patrzył, jak konwój płynie dalej. Brytyjczyk. Facet podniósł rękę w górę i zaczął nią machać, krzycząc: „Taxi! Taxi!”. Obrócił to w żart.

– Jezu. Opowiadał ci takie rzeczy? – spytała Bella.

– Przy kobietach nie mówił ani słowa. Opowiedział to, kiedy pił u Clive’a. Ja dowiedziałam się od Davida po ślubie. – Agnes zamilkła, a Mercedes zebrała się w sobie, złapała za paski od torby i trzymała się ich kurczowo. – Nieraz myślę o Hardym – dodała Agnes – jak unosi się na powierzchni i patrzy, jak statki odpływają.

– Nie wiemy – zaczęła Mercedes. – Nie wiemy, co się z nim stało, poza tym, że jego statek poszedł na dno. – Próbowała nie dopuścić, aby w jej głosie dało się słyszeć gniew. – Nie zadręczaj się tym.

– Daj jej spokój, Mercedes.

– Możemy po prostu zamilknąć i popatrzeć, co się tam dzieje?

Bella odwróciła się i mocniej ścisnęła ramię ciotki. Żadna z nich nie odezwała się ani słowem.

Kiedy Mercedes po raz ostatni widziała się z Hardym w St. John’s, nie miała pojęcia, że brat przyjechał, żeby zaciągnąć się do marynarki handlowej. Po chrzcinach Marion Johnny nalegał, żeby Mercedes napisała do domu. Do listu załączyła zdjęcie córeczki w szantungowej szatce. Agnes odpisała, załączając nekrolog Hardy’ego. Gdy Mercedes się dowiedziała, brat nie żył już od ponad roku. A przez ten czas w jej umyśle wciąż był żywy. Myślała, że wypływa na łowiska, na których ojciec spędził całe życie, że wychowuje dzieci z Ruthie. Czuła się jak idiotka, że przez cały czas wyobrażała go sobie wiodącego szczęśliwe życie, a do tego znajdowała w tych wyobrażeniach odrobinę szczęścia dla siebie.

Mówcy gadali bez końca. Mercedes nie miała pojęcia, dlaczego uroczystość musi dłużyć się równie mocno co wojna, którą

upamiętnia. Zimny deszcz zaczął padać dokładnie w chwili, gdy młody kadet podniósł do ust trąbkę, by odegrać sygnał na capstrzyk. Mercedes nagle poczuła się tak zmorzona głodem, tak wściekle wygłodniała, że odniosła wrażenie, iż ziemia osunęła się odrobinę pod jej stopami. Jej nozdrza zalała woń amoniaku; bezskutecznie próbowała chwycić się płaszcza Aggie, lecz zaraz upadła na chodnik.

Kiedy doszła do siebie, przy jej łóżku stały dwie osoby – Isabella oraz młody mężczyzna w białym kitlu, który właśnie mówił:

– Większość zaburzeń jest tymczasowa. Wszystko zależy od ciężkości wstrząśnienia mózgu. – Chłopak wyglądał tak młodo, jakby dopiero od niedawna kwalifikował się do egzaminu na prawo jazdy.

– Sprawę komplikuje fakt, że pani matka w poprzednim wypadku również doznała wstrząśnienia. Niektóre skutki mogą się kumulować. A w przypadku osoby w tak podeszłym wieku...

– Jestem tutaj – wcięła się Mercedes. Ponownie zamknęła oczy.
– Nie ogłuchłam.

– Pani Boustani – radośnie powitał ją doktor.

– Bella, od jak dawna tu leżę?

– Od wczoraj.

– Wczoraj?

– Pani Boustani, czy pamięta pani którąś z naszych rozmów?

Mercedes przyjrzała się lekarzowi.

– Nie – odparła gniewnie.

– Czy wie pani, jak się nazywam?

– Widzę pana po raz pierwszy w życiu. Uśmiechnął się do niej.

– Doktor Mullaly. Będę się panią opiekował podczas pani pobytu w szpitalu. Paskudnie się pani uderzyła. Będziemy musieli poddać panią kilkudniowej obserwacji.

Spróbowała usiąść.

– Isabella, gdzie Johnny? Gdzie twój ojciec?

– Tutaj, mamó. – Wskazała torbę leżącą na krześle przy łóżku. Mercedes opadła na poduszkę.

– Nie cierpię szpitali. Tak tu zawsze... – Przez jej twarz przemknął wyraz dezorientacji i strachu.

– Co się stało? – spytał lekarz.

Wzięła głęboki wdech przez nos, próbując doszukać się wszechobecnego medycznego zapachu, którego tak nie znosiła. Poczowała jednak tylko dojmującą pustkę.

– Chciała pani coś powiedzieć.

– Nie, nic. Nieważne.

– Pani Boustani – drażył Mullaly. – Czy miała pani właśnie jakieś słowo na końcu języka, ale nie mogła go sobie pani przypomnieć?

– Nie – odparła.

Już miał zadać kolejne pytanie, gdy na salę wparowała Agnes, niosąc plastikowy pojemnik i wymachując egzemplarzem „Evening Telegram”.

– Sadie, piszą o tobie w gazecie!

– Oż ty, kurwa.

– Mamó – szepnęła Bella.

Agnes odłożyła pojemnik na składany stolik i rozpostarła gazetę na łóżku.

– Patrzcie, patrzcie, patrzcie. „Obchody zostały na krótko przerwane, gdy pani Mercedes Boustani (z domu Parsons) doznała omdlenia”.

Mercedes przewróciła oczami.

– „Pomocy udzielił jej obecny na miejscu zdarzenia personel medyczny St. John Ambulance^[16]. Poszkodowana została przewieziona do szpitala Health Sciences Centre, gdzie stwierdzono u niej wstrząśnienie mózgu. Pani Boustani, urodzona na Little Fogo Island, jest wdową po por. w st. sp. Johnnym Boustanim, który podczas drugiej wojny światowej stacjonował w St. John’s”.

– Skąd oni to wszystko wiedzą?

Agnes popatrzyła na siostrę z otwartymi ustami.

– Zapytali mnie.

– Jezu, Agnes.

– No dobrze – wtrącił doktor Mullaly. – Na dzisiaj starczy wrażeń. Pani Boustani, potrzebuje pani odpoczynku.

Bella otworzyła plastikowy pojemnik i podsunęła go matce.

– Mamo, poczęstuj się babeczką.

– Prosto z pieca – dodała Agnes.

Mercedes wzięła jedną z babeczek i zbliżyła ją do ust. Ciasto było jeszcze ciepłe, ale w ogóle nie czuła zapachu. Miała wrażenie, że ktoś wetknął jej głowę do styropianowego pudełka.

– Nie jestem głodna – stwierdziła. Oczy zaszczyły jej łzami, odwróciła się do okna.

– Sądzę, że najlepiej będzie – zwrócił się do Isabelli doktor Mullaly – jeśli pozwolimy pani mamie odpocząć w samotności.

Cała trójka wyszła razem z sali.

Po trzech dniach Mercedes była w stanie usiąść przy łóżku w rozkładanym fotelu i popatrzeć w malutki telewizorek przez jakąś godzinę – potem głowa zaczynała jej pękać z bólu. Bella zeszła na dół po kawę, a tymczasem Mercedes obserwowała, jak mąż i żona w talk-show ciskają w siebie krzesłami. Usłyszała, że ktoś łagodnie wymawia jej imię. Gdy się odwróciła, przy łóżku kobiety, która spała obok, ujrzała Aminę, stojącą z wyczekującym wyrazem twarzy, trzymającą czarną skórzaną torebkę.

– To pani przyjaciółka? – spytała Mercedes.

– Znałam ją przed laty. W czasie wojny. Nie miałam nawet pojęcia, że przyjechała.

– Nie wygląda najlepiej.

– Przeczytałam o niej w gazecie. Pisali, że uderzyła się w głowę.

Amina farbowała włosy, były czarne jak węgiel. Miała na sobie ciemną bluzkę bez rękawów, czarną spódnicę do kolan i buty na obcasach, jakby wpadła tu po drodze na potańcówkę w siedzibie USO. Nogi trzydziestolatki.

– Czy ona jest w śpiączce?

– Amina – ujawniła się z uśmiechem Mercedes.

Amina posłała jej zdziwione spojrzenie.

– Mercedes? – spytała. – Mercedes? Ty *wiedzmo!*

– Dobry Boże, dziewczyno, nic się nie zmieniłaś przez te pięćdziesiąt lat.

Amina przeszła przez salę, nachyliła się nad nią i pocałowała ją w oba policzki. Przysiadłszy na skraju łóżka, złapała ją za rękę.

– Mercedes, jak długo będą cię tutaj trzymać?

– Jeśli dzisiejszej nocy nie zmoczę łóżka ani nie wpadnę w wariacki szal, to będę wolna.

– Nie masz pokoju w hotelu, prawda? Kiedy cię wypuszczą, musisz zamieszkać u mnie.

Mercedes uśmiechnęła się i ścisnęła jej dłoń, chcąc odsunąć zawód, który miała jej sprawić. Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy poszła z Aminą i jej matką nad rzekę Waterford, żeby zbierać miętę. Nie umiała odróżnić jej od trawy. „Ech wy, Nowofundlandczycy” – powiedziała wtedy Rania. „Smak soli nie jest jedynym smakiem na świecie „. Zgniółwszy w palcach liść mięty, podetknęła go Mercedes pod nos. „Widzisz? Rośnie, gdzie się nie obejrzyysz, ale nikt na tej wyspie nie potrafi jej rozpoznać”. Miejscowi nazywali Libańczyków „trawożercami” ze względu na ich dziwny zwyczaj zbierania i gotowania nadrzecznych chwastów. Zapach mięty już zawsze przynosił Mercedes do tamtej kuchni przy Rawlin’s Cross, do tamtych głośnych, niedorzecznie pięknych kobiet. To była najczystsza woń, z jaką kiedykolwiek się spotkała, tak intensywna, jaskrawa i nieskazitelna, że wydawała się stanowić niemal odrębną przestrzeń. Mercedes zdała sobie sprawę, że może już nigdy jej nie poczuć.

– Amina, jesteś teraz sama?

– Mam dwóch synów, dbają o mnie.

– Co z twoimi rodzicami? No i z Mayą i Sammym?

– Rodzice oczywiście już nie żyją. Maya i Sammy w latach pięćdziesiątych wrócili do Libanu. – Po chwili spytała: – Zamierzałaś do mnie zadzwonić przy okazji tej wizyty w mieście?

Mercedes popatrzyła na ekran telewizora, na którym mąż z żoną wili się bezradnie w objęciach mężczyzn ubranych w

niebieskie koszulki z nadrukiem *SECURITY* na plecach. Publiczność nagradzała ich owacjami na stojąco. Mąż i żona wskazywali się palcami, wrzeszcząc coś do siebie.

– Mercedes, słyszałam o Johnnym, przyjmij wyrazy współczucia.

– Byłaś szczęśliwa, Amina? W małżeństwie?

– Już od dziesięciu lat jestem sama. Prawie zapomniałam, co to małżeństwo. Sądzę, że tak, zazwyczaj byłam szczęśliwa.

– Ja również. Wciąż zapominam, jak mi się poszczęściło.

– Jak się miewa Marion? Musi już być koło pięćdziesiątki.

Mercedes odwróciła wzrok od telewizora. Podczas wizyty w St. John's nie zamierzała dzwonić ani do Aminy, ani do nikogo innego. Właśnie dlatego, że chciała uniknąć tego nieuchronnego pytania.

Amina zakryła usta ręką.

– Och.

– To było już całe życie temu – stwierdziła Mercedes. – Marion nie miała jeszcze osiemnastu lat.

– Co się stało?

– Zrządzenie losu – odparła. Nie dodała nic więcej. Kobiety rozglądały się po pokoju niczym dwie sąsiadki z przedmieścia, które wyczerpały właśnie temat pogody. Mercedes rozboleła głowa.

– Pamiętasz Lilly? – spytała w końcu Amina.

– Ciotkę Wisha?

– Mieszka w St. John's. U Sióstr Miłosierdzia, w Domu Opieki św. Patryka.

– Jeszcze żyje?

– Na pewno żyła kilka miesięcy temu. Skończyła dziewięćdziesiąt lat. Widziałam w wieczornych wiadomościach. Pokazali jej zdjęcie i tak dalej.

Mercedes dotknęła czoła koniuszkami palców.

– Wyłączyłabyś mi, proszę, ten telewizor? Strasznie boli mnie głowa.

– Pójdę już, dam ci odpocząć.

Mercedes popatrzyła na Aminę, lecz nie była w stanie przypomnieć sobie jej imienia.

– Gdzie Isabella? – spytała.

– Powinnaś sobie trochę poleżeć – oznajmiła Amina, biorąc Mercedes pod ramię i pomagając jej wstać z fotela. Ułożyła ją w łóżku i znowu pocałowała w oba policzki. – Znajdziesz mój numer w książce telefonicznej. Zadzwoń, kiedy poczujesz się lepiej.

Mercedes zasnęła, zanim Amina zdążyła opuścić salę.

Marion zabrała matkę na poszukiwania waty cukrowej na terenie wesołego miasteczka, a Johnny poszedł do namiotu, gdzie zaraz miały rozpocząć się popołudniowe występy. Mercedes niespecjalnie zależało na wacie cukrowej – obrzydliwie słodkiej płataninie pozlepianych włókien rozpuszczających się w ustach – było to jednak lepsze niż podrzędne rodeo, na które przyszedł jej mąż. Cheerleaderki okrążające wybieg przed kolejnymi pokazami: kowbojskie czapki i buty z cekinami, amerykańskie flagi w skórzanych uchwytach przy strzemionach. Mercedes sama nie wiedziała, co ją bardziej odstręcza, konie czy te dziewczyny.

Spędzili pół lata, podróżując przez Środkowy Zachód Stanów i prerie. Marion ukończyła szkołę średnią i na jesieni miała pójść do niedużego college'u artystycznego w Kalifornii. Przejechali

przez Góry Czarne w Dakocie Południowej i wjechali do Montany. Dalej zamierzali skierować się na południe przez Idaho i Nevadę, a na koniec odstawić Marion do college'u. Między Forysthe a Custer wciąż migały im tablice reklamujące rodeo – na każdej widniała skąpo odziana *cowgirl* ślącą podróżnym uśmiechy z grzbietu konia. Z każdą mijaną reklamą Johnny stawał się coraz bardziej natarczywy.

– Mercedes, czas na *ro-day-o*. Kiedy Marion będzie miała następną okazję, żeby coś takiego zobaczyć?

– Johnny Boustani, może Marion wcale nie ma ochoty oglądać *ro-day-o*?

– Dlaczego by jej nie spytać?

Oboje odwrócili się do córki siedzącej na tylnym siedzeniu.

– Tato, patrz na drogę – westchnęła Marion. A potem spytała:
– Będzie wata cukrowa?

Miała ciemne włosy po ojcu i oczy po matce; wyrosła wyższa od rodziców, tak że na pierwszy rzut oka zdawała się dużo starsza niż w rzeczywistości. Świata poza nią nie widzieli, zwłaszcza że stawało się już jasne, iż będzie ich jedynym dzieckiem. Marion była stanowcza w swoich przekonaniach, co przywodziło Mercedes na myśl jej babkę. Cecha ta nie oznaczała jednak, że dziewczyna była w jakikolwiek sposób zamknięta na świat. Kiedy miała jedenaście lat, jej klasa pojechała na wycieczkę do Isabella Gardner Museum w Bostonie. Marion wróciła do domu z postanowieniem, że zostanie malarką. Rodzice uciułali dość pieniędzy, żeby wysłać ją na prywatne lekcje, w weekendy dowozili ją do Bostonu na zajęcia z rysunku i malarstwa. Parę godzin każdej soboty spędzali w państwowych galeriach, a raz czy

dwa razy w roku wracali do muzeum Gardner, by Marion mogła znowu popatrzeć na swoje ulubione dzieła. Tancerka Degasa w czarnej sukni z wysokim kołnierzem. Maryja z Dzieciątkiem w towarzystwie anioła, pędzla Botticellego. *Koncert Vermeera*. Mercedes nie miała pojęcia, co takiego w nich było, że córka wciąż chciała do nich wracać.

– Wiesz, Marion – mówiła, zbliżając twarz do autoportretu Rembrandta – on się wcale nie postarzał od naszej ostatniej wizyty.

Marion wyjmowała dolara z kieszeni kurtki.

– Kawiarnia – mówiła. – Idź. Daj mi godzinę.

Mercedes nieraz odnosiła wrażenie, że to Marion jest dorosła w ich rodzinie, że dziewczyna toleruje głupie pomysły rodziców z tą samą pełną zakłopotania wyrozumiałością, jaką matki okazują dzieciom. Na festynie w Custer w stanie Montana zajęła ją poszukiwaniami waty cukrowej, żeby Johnny mógł sobie spokojnie popatrzeć na dziewczuchy okrążające wybieg. Skubiąc różowe obłoczki, błąkały się w tłumie z dala od głównego namiotu, w którym co chwilę rozbrzmiewały fanfary. Tętent kopyt niósł się po ziemi, tak że grunt trząsał im się pod stopami.

Jak Mercedes dowiedziała się później, w sercu tragedii znajdowała się flaga.

Wałacha coś spłoszyło, jakiś hałas w tłumie, błysk światła. *Cowgirl* spadła z siodła, ale flaga mocno tkwiła w uchwycie przy strzemieniu. Koń wybiegł galopem z namiotu, a drzewce wciąż smagało go niczym bicz. Na dworze przypląw poruszenia, fala podniesionych głosów tocząca się ku matce i córce. Mercedes odwróciła się w ostatniej chwili; dostrzegła łeb konia przecinający

tłum. Zdążyła położyć rękę na ramieniu Marion, lecz zaraz zwierzę odtrąciło ją barkiem, a córka została wchłonięta i powleczone dalej przez nurt kopyt tłukących o ubitą ziemię.

Gdy Mercedes się przebudziła, nie pamiętała odwiedzin Aminy. Towarzyszył jej wyłącznie ucisk w klatce piersiowej, który skojarzyła z Marion. Agnes spała w rozkładanym fotelu, oświetlona blaskiem telewizora.

Od chwili poczęcia Belli Mercedes myślała o kolejnej ciąży jak o swego rodzaju rekompensacie, jakby świat chciał wynagrodzić jej stratę córki. Jednak tej nocy, gdy odeszły jej wody, straciła zimną krew. Johnny zaniósł jej walizkę do samochodu, ale ona nie chciała wyjść z domu.

– Nie dam rady – jęczała. – Nie zniosę utraty kolejnego dziecka. – Skurcz zgiął ją w pół, wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

Johnny uklęknął przed nią i obiema dłońmi otarł jej łzy z twarzy.

– Na miłość boską, Mercedes. To coś więcej niż bolący ząb.

Gdy przebrnęła przez poród, wcześniejsze uczucie zadośćuczynienia powróciło z dużo większą siłą niż podczas ciąży. Posunęła się do tego, że całkowicie wyparła z pamięci swoją chwilę zwątpienia; później zażarcie dyskutowała z Johnnym za każdym razem, gdy opowiadał tę historię.

Mercedes w każdą rocznicę śmierci Marion odwiedzała Isabella Gardner Museum, by wpatrywać się w te prastare obrazy tak jak córka. Imię Belli miało dyskretnie upamiętnić utracone dziecko, miało stanowić pryzmat, mogący odbić nieco światła Marion i skierować je do życia drugiej córki. Johnny miał

zastrzeżenia co do narzucania tak bezpośredniego związku między nimi, lecz ostatecznie dał za wygraną, widząc, że Mercedes zamierza postawić na swoim.

– Ag – szepnęła Mercedes. – Agnes, gdzie jest Isabella?

Siostra zaczęła wiercić się na fotelu.

– Gdzie Bella? – ponownie spytała Mercedes.

– Wysłałam ją do domu, żeby odpoczęła.

– Która godzina?

Agnes podsunęła zegarek do twarzy.

– Ósma trzydzieści. Przespałaś kolację.

Mercedes skinęła głową. Coś ją uwierało w myślach, pod zwałami żalu po Marion kryło się jakieś ziarnko grochu.

Agnes stanęła przy łóżku i ujęła ją za rękę.

– No i proszę – powiedziała. – Tylko na nas popatrz.

– Agnes, o czym ty, do cholery, mówisz?

– Sama nie wiem – zaczęła się nagle bronić. – Po prostu: tylko na nas popatrz.

– Znaczy, na dwie wdowy?

– Tak.

– Same na tym świecie – dodała Mercedes.

– O tym właśnie myślałam.

– Porzucone przez wszystkich, których kiedykolwiek kochały.

– Sade, zawsze byłaś taka bezczelna? – spytała Agnes.

– Chyba zawsze byłam do tego zdolna – uśmiechnęła się Mercedes.

– Od powrotu nie wspomniałaś o nim ani razu.

– O kim?

– Nie udawaj głupiej.

Mercedes posłała siostrze piorunujące spojrzenie, próbując odstraszyć ją od tematu.

– Na pewno o nim myślisz. Teraz, gdy znów tu jesteś – ciągnęła Agnes.

– Johnny był dobrym mężem.

– Nie mówię przecież nic złego o Johnnym.

– To co mówisz? Że nie uporałam się z czymś, co przeżyłam w wieku szesnastu lat?

– Spokojnie, Sadie.

– Agnes, ja go właściwie nie znałam. Już prawie nie pamiętam...

– Gdybyś się z tym uporała, odwiedziłabyś rodzinne strony już dawno.

Zamilkły na jakiś czas. Mercedes wciąż coś uparcie uwierało; starała się to zidentyfikować. Nagle świadomość spłynęła na nią niczym głos spomiędzy gwiazd.

– Kiedy stąd wyjdę – oznajmiła – chcę odwiedzić Świętego Patryka.

– Co?

– Dom Opieki Świętego Patryka. Jest tam ktoś, z kim muszę się zobaczyć.

Dom Sióstr Miłosierdzia stał na niedużym wzniesieniu na północ od Elizabeth Avenue. Mercedes nakłoniła Agnes i Bellę, by podjechały tam z nią zaraz po jej wyjściu ze szpitala.

– No więc kogo chcesz odwiedzić? – dociekała Agnes.

– Kobietę, którą poznałam, gdy mieszkałam w St. John's.

– Jaką kobietę?

– Ag, przymknij się i jedź.

Gdy porozmawiały z pielęgniarką w recepcji, Mercedes poprosiła córkę i siostrę, by czekały na nią w holu.

Bella wzniosła ręce i pozwoliła im opaść bezwładnie. Agnes ujęła ją pod ramię i zaprowadziła na ławkę pod oknem.

– Twoja matka zawsze taka była. – Mercedes dosłyszała słowa siostry.

– Znaczy, jaka? – spytała.

Bella odwróciła głowę i zawołała: – Czekamy, Mercedes!

Mercedes pojechała windą na czwarte piętro, wciąż powtarzając w głowie numer pokoju. Powoli przeszła korytarzem, po drodze zaglądając w każde otwarte drzwi. Nie mogła się opanować, to było jak mijanie oświetlonych okien nocą. Poskręcane stworzenia śpiące przed telewizorami lub niemal całkowicie zakopane pod kocami na łóżkach. Panowała tu atmosfera podobna do szpitalnej, ten sam nienaturalny stan higieny i ładu. Zamiast napięcia i gorączkowego pośpiechu czuło się jednak domieszkę cichej rezygnacji.

Od kiedy imię i miejsce zamieszkania Lilly w tajemniczy sposób pojawiły się w jej głowie, Mercedes nie była w stanie myśleć o nikim innym. Wspominała ostatni raz, gdy widziała tę kobietę, stojącą za chałupą z siekierą w rękach. Lilly podeszła wtedy do niej, wpatrując się w nią swoim nieziemskim wzrokiem. Dotknęła jej twarzy, a potem brzucha. Powiedziała: „Masz już wszystkie wiadomości, których potrzebujesz”. Dopiero po latach Mercedes zorientowała się, że była już wtedy w ciąży, ale sama jeszcze o tym nie wiedziała.

W pokoju 417 widok z korytarza zasłaniała opiekunka, odwrócona tyłem do drzwi i opatulająca pensjonariuszkę szalem.

Mercedes lekko zapukała.

– Proszę – odpowiedziała dziewczyna. – Zaraz zaczniesz się program.

– Dzień dobry – przywitała się Mercedes.

Opiekunka zerknęła przez ramię.

– Pomyliłam panią z kimś innym. Właśnie przygotowuję panią Berrigan na jej program.

– Lilly Berrigan? – upewniła się Mercedes.

– Zgadza się. Proszę usiąść.

Dziewczyna podeszła do małego kolorowego telewizora ustawionego na komodzie i obróciła go tak, by stał dokładnie przodem do Lilly Staruszka przyglądała się opiekunce z lekko wysuniętym językiem i wyrazem rozbawienia na twarzy, jakby wcale nie chciała ani szala, ani obróconego telewizora i zgadzała się na te wszystkie zabiegi tylko po to, żeby zrobić przyjemność dziewczynie.

– Witaj, Lilly – powiedziała Mercedes, wchodząc do pokoju.

Starowinka podniosła na nią wzrok i skinęła głową.

– Witaj – wyszeptała z trudem.

– Mam na imię Kathleen – przywitała się opiekunka, wyciągając rękę do Mercedes. Miała dobre sześć stóp wzrostu.

– Od jak dawna Lilly tu przebywa?

– Już tu mieszkała, gdy zaczynałam, a jestem wolontariuszką od siedmiu lat. W latach osiemdziesiątych przenieśli ją z Waterford.

– Z zakładu psychiatrycznego?

– Zgadza się.

Mercedes zerknęła na Lilly, która nie zwracała na kobiety najmniejszej uwagi. Właśnie zaczynało się *Koło fortuny*, po pokoiku niosły się fale metalicznego aplauzu.

– Jest nieszkodliwa – uspokoiła ją Kathleen. Odwróciwszy się do Lilly, spytała podniesionym głosem: – Prawda, kochana? – Uśmiechnęła się do Mercedes. – Na starość takie zaburzenia zwykle przechodzą w swego rodzaju remisję. Chociaż Lilly wciąż zdarzają się gorsze momenty.

Dziewczyna kipiała tak obezwładniającą pogodą ducha, że Mercedes poczuła się zmęczona, jakby za długo siedziała w pełnym słońcu.

Kathleen zerknęła na zegarek.

– Zazwyczaj przychodzi przed programem.

– Kto? – spytała Mercedes. Pytanie samo w sobie było dość niewinne.

– Jej siostrzeniec.

Zalała ją fala absurdalnego uczucia, że oto została wezwana, że teraz ręka Boga wskaże jej, czy iść w tę stronę, czy w tamtą. Czowała spokój i pustkę; była gotowa, by ją nappełnił.

– Jej siostrzeniec? – powtórzyła.

– Tak – potwierdziła dziewczyna, stojąc już w drzwiach. – Zna go pani?

Starowinka wpatrywała się w telewizor, klaszcząc nieporadnie za każdym razem, gdy na ekranie zakreśliło się koło. Mercedes obróciła się dwukrotnie pośrodku pokoju, po czym wyszła, nawet nie zwracając sobie głowy pożegnaniem z Lilly.

– I jak tam? – zapytała Agnes, podnosząc się z ławki, gdy Mercedes zeszła do holu. – Nie było jej w pokoju?

– Muszę na chwilę usiąść.

– Mamo, dobrze się czujesz?

– Dobrze, dobrze. Muszę tylko chwilę posiedzieć.

– Pójdę po samochód – oznajmiła Agnes. Zostawiła je pogrążone w milczeniu. Mercedes wpatrywała się w drzwi wejściowe, podnosiła się lekko z ławki za każdym razem, gdy ktoś je uchylił.

– Co się z tobą dzieje? – spytała Bella.

Do środka wszedł mężczyzna w jasnym reglanie i brązowych spodniach. W ręce niósł duży kartonowy kubek z kawiarni Tim Hortons. Łysa łepetyna tak ciemna i gładka, jakby ktoś ją wypolerował. Pas siwych – właściwie całkiem białych – włosów okalający głowę niczym wieniec laurowy. Na skroniach nieduże konstelacje starczych przebarwień. Ta sama przedziwnie pociągła, przystojna twarz. Gdy czekał na windę, Mercedes wpatrywała się w niego. Wciskając guzik w kabinie, obrócił się tak, że ich oczy spotkały się na chwilę. Gdy ruszył w górę, Mercedes przyglądała się lampkom nad drzwiami. Winda wjechała na czwarte piętro.

– Kto to był? – zagadnęła ją Bella podejrzliwie.

– Ktoś, kogo kiedyś znałam – wyjaśniła Mercedes. – Dawno temu. – Wstała z ławki. – Jestem już gotowa – oznajmiła, wciąż zachowując nieprawdopodobny spokój.

Gdy wsiadły do samochodu, Mercedes poprosiła: – Zabierzcie mnie na Signal Hill.

Z początku Mercedes zamierzała rozsypać prochy Johnny'ego na skałach, możliwie najbliżej miejsca, w którym pijany po raz pierwszy wyznał jej miłość. Z parkingu pod Cabot Tower w tamtą stronę prowadziły drewniane schody, opadające sto stóp w dolinę. Dalej ścieżka pięła się niepewnie między kilkoma biegami

schodów po przeciwnej stronie. Isabella nie zgodziła się, by matka tak krótko po wypadku wybrała się na taką wspinaczkę, Mercedes postanowiła więc zejść do baterii dział górującej nad Narrows. Bella poszła razem z nią; nie pozwoliła jej nawet ponieść torby.

W mieście dzień był spokojny, ale na górze dał porywisty, natarczywy wiatr, którego podmuchy szarpały ubrania kobiet to z jednej, to z drugiej strony. Schroniły się pod ścianą niedużego kamiennego budynku, a Bella wyjęła urnę i wręczyła ją matce.

Mercedes wyszła na otwartą przestrzeń, przyciskając pojemnik do piersi. Przez chwilę obracała się we wszystkie strony świata, szukając zawietrznej, lecz w końcu poddała się i po prostu z zamkniętymi oczami wysypała zawartość urny. Chmura szarego pyłu zawirowała wokół niej, po czym wzleciała nad łąkę i wody przesmyku. Mercedes musiała strzepnąć popioły z włosów i ubrań.

Robiła wszystko bez emocji, na chłodno, jakby realizowała warunki umowy zawartej przez obcych ludzi. Nie była w stanie wyzbyć się myśli, że to Johnny wszystko zaaranżował, że w jakiś sposób zaszczeplił w jej głowie imię i miejsce pobytu Lilly, wiedząc, na kogo się tam natknie. Za każdym razem, gdy wspominała Wisha, jej umysł zalewały wirujące strugi iskier, odsuwała więc te myśli od siebie. Ze strachu, że runie na ziemię jak długa. Chcąc pozostawić mężowi jeszcze jeden dzień, zanim jej życie zmieni się na zawsze – po raz ostatni.

WISH

1.

Harris zmarł w Halifaksie zaraz po wojnie, a Wish skierował się znowu na zachód, przebył Quebec i dotarł do północnego Ontario, gdzie przepracował kilka lat w kopalniach złota w Cobalt i Kirkland Lake. Nieustępliwe zimy trwały po osiem miesięcy, ale Wish nie czuł wpływu pogody. Gdy spuszczano górników w klatce pół mili pod ziemię, temperatura w szybie stopniowo rosła. Na powierzchni minus czterdzieści, a kopalnia przypominała szklarnię, powietrze było tym gorętsze i wilgotniej sze, im głębiej zjechali. Wish myślał nieraz, że gdyby tylko wkopali się dość głęboko, gdzieś tam na dole faktycznie znaleźliby piekło, jak zawsze twierdził prałat.

O ile to było możliwe, próbował trzymać się na uboczu. Znalazł sobie łóżko pośród francuskojęzycznych brygad z Quebecu, by nie ciążyły mu oczekiwania innych, że będzie brał udział w pogawędkach o niczym, codziennych rozmowach, kłótniach. Wyglądał posępnie i ascetycznie, a Francuzi mówili na niego *le moine* ze względu na jego brak zainteresowania pokerem, tańcami czy odbywanymi z iście religijnym namaszczeniem cotygodniowymi wizytami w burdelu. Pracował po godzinach tyle, na ile tylko pozwalało kierownictwo, a po robocie pił w samotności. Zarobione pieniądze przechowywał w puszcze po tytoniu razem z listami i zdjęciem Mercedes oraz kilkoma pamiątkami z wojny. Na chwilę przed śmiercią Harris wcisnął mu

Medal Wojskowy. Potem Wish siadywał czasami z odznaczeniem w zbiorowej sypialni, pijany i samotny, wodząc palcem po szczegółowo odwzorowanym profilu króla Jerzego. Starannie przystrzyżona broda. Epolety i kołnierz wojskowej marynarki. Na piersi szereg własnych medali samego króla.

W początku lat pięćdziesiątych Wish pracował u boku mężczyzny, który stracił oko w wojnie koreańskiej. Wpadł wtedy na pomysł, by wrócić do wojska. Rzucił robotę w Kirkland Lake i pojechał pociągiem do Stanów. Wciąż miał z dziesięć kilo niedowagi i nie przeszedł komisji lekarskiej; takiej ewentualności w ogóle nie przewidział. Błąkał się bez celu po Środkowo-Zachodnich Stanach, przyjmując przypadkowe prace i zapomogi, a w końcu osiadł na jakiś czas w Chicago. Za dnia pracował jako mechanik na linii kolejowej zakładów mięsnych Armour and Company, a przez sześć wieczorów w tygodniu obsługiwał projektor w mieszczącym pięćdziesięciu widzów kinie na obrzeżach Canaryville, kilka przecznic na zachód od dzielnicy Bronzeville. Wynajmował jednoosobowy pokój w pensjonacie nieopodal kina, z łóżkiem polowym, stołem, dwoma krzesłami, płytą elektryczną i radiem. Na ścianach zawiesił pół tuzina starych plakatów, które znalazł w kabinie projekcyjnej. *Godzilla* i *Latające talerze*. Jane Rüssel na łożu z siana w *Wyjętym spod prawa*, w ustach jedno wyzywające źdźbło słomy. *Czerwone trzewiki*. *Siła zła*. Rita Hayworth w *Damie z Szanghaju*, w czarnej sukni z odsłoniętymi plecami, obok napisu „Nic nie wiesz o grzechu”.

Mieszkał na pograniczu chicagowskiego South Side, nieopodal obszaru zwanego Black Belt^[17]. Setki Murzynów codziennie

przechodziły przez Canaryville w drodze do zakładów mięsnych, gdzie wraz z Polakami i Litwinami pracowali przy uboju zwierząt. Jedyłą ciemnoskórą osobą, jaką Wish znał z imienia, była Magnolia Cooksey, która po ostatnim seansie przychodziła do kina, by zamieść z podłogi prażoną kukurydzę i zeszkrobać z krzeseł gumi do żucia. Nie miał pojęcia, ile kobieta może mieć lat. Dość młoda twarz, lecz jej czarne włosy były poprzecinane strugami siwizny. Podśpiewywała coś sobie, sprzątając kolejne rzędy. Wish jeszcze nigdy nie spotkał osoby obdarzonej tak kolosalnym tyłkiem.

Podczas wieczornych seansów Wish pociągał z piersiówki, siedząc naprzeciw projektora, dopóki nie przyszedł czas na zmianę szpuli. Wpatrywał się w szare, migotliwe „V”, odcinające się w czerni sali, słuchał stłumionych, prawie niezrozumiałych dialogów. Do zakończenia ostatniej projekcji zdążył się zawsze dyskretnie upić. Wyłączał aparaturę i z przesadną starannością odkładał taśmy na miejsce. Przed wyjściem pieczołowicie doprowadzał kabinę do porządku, prostował krzesła, pojemniki na szpule i śmietnik, niczym człowiek próbujący zatrzeć ślady walki.

W drodze do wyjścia zaglądał do Magnolii. O tej porze nigdy nie bywała dalej niż w jednej trzeciej sali. Zawsze to ona opuszczała budynek ostatnia. Podjęła pracę w kinie mniej więcej w tym samym czasie co on, również była w mieście nowa. Zdradzał to jej południowy akcent. Czuł do niej przez to pewną sympatię. Przez fakt, że sam rozumiał jej pozycję na obrzeżach świata, w którym oboje się znaleźli.

– Dobranoc, Magnolia – wołał do niej.

– Wzajem, psze pana Fureya – odpowiadała. „*Mister*” wymawiała: „*mista*”. – Niech no się pan wyśpi, jak należy – mówiła, nie odrywając wzroku od podłogi.

Jej akcent był dla niego zupełnie obcy, ale z drugiej strony w tym miękkim przeciąganiu samogłosek było coś, co przywodziło mu na myśl sposób, w jaki mówili ludzie na Nowej Fundlandii. To nieskrępowanie w obchodzeniu się ze słowami, swobodne wyjście poza sztywne ramy. Uwielbiał słuchać jej mowy, chociaż przywoływała chropowatą tęsknotę za domem, której nie czuł od pierwszych dni w obozie.

– Dzięki, Magnolia – mówił.

Rano budził się bez budzika. Parzył sobie herbatę i na śniadanie podgrzewał fasolkę na płycie elektrycznej. Jadł prosto z puszki, stojąc w oknie i spoglądając na poranny ruch. Jeśli pogoda była choć w miarę przyzwoita, szedł do pracy na piechotę, a jeśli nie – jechał kolejką.

Kolacje jadał w taniej restauracji naprzeciw kina; siadywał samotnie przy kontuarze z kilkoma gazetami wybranymi przypadkowo ze stosu, który kelnerki ustawiały na półce nad wieszakami. Do steku z jajkami wypijał trzy, cztery kubki kawy, przeglądając bez zaciekawienia prasę. Nie interesowało go w niej nic konkretnego, chciał tylko zabić czas. Zaczynał od działu sportowego, o ile dało się go znaleźć, a potem przechodził do rozrywki, recenzji filmów, kolumn z plotkami. Na pierwsze strony zaglądał tylko w ostateczności: gdy nie było już nic do czytania, zerkał na nagłówki i podpisy pod zdjęciami.

Przy barze zawsze pracowała ta sama kelnerka, kobieta starsza od niego o co najmniej dwadzieścia lat. Na niebieskiej

tabliczce przypiętej do piersi widniało imię „Ingrid”. Mówiła z niemieckim, a może austriackim, akcentem; podejrzewał, że przyjechała do Stanów jako nastolatka, gdzieś między wojnami. Nosiła obrączkę – Wish założył, że musiała wyjść za Irlandczyka, skoro pracowała tak daleko od Lincoln Square, gdzie mieszkała większość niemieckich imigrantów. Nigdy jednak nie pytał o szczegóły, a sam nie podał jej nawet swojego imienia. Zwracała się do niego per „Joe „, podobnie jak do wielu innych stałych klientów. Nigdy nie pozwoliła, żeby w jego kubku pokazało się dno. O 6.20 kładł pod talerzem dwadzieścia pięć centów napiwku i przechodził przez ulicę, by przygotować projektor do pierwszego seansu.

W niedziele wyświetlał tylko jedną popołudniówkę, resztę dnia miał dla siebie. Najczęściej spędzał ten wolny czas, leżąc na swoim łóżku polowym i czekając, aż zapadnie zmrok. Radio, nastawione na relację z meczu baseballowego na Comiskey Park, szczebiotało do siebie jak dziecko pozostawione w kołysce. Wish nienawidził tego martwego czasu; odpędzał kolejne godziny, paląc papierosa za papierosem. Liczył niedopałki na głos po japońsku. Już niemal całkowicie zapomniał ten język, ale liczby wracały do niego bez trudu.

Kilka tygodni po ich odsiadce w klatkach Nishino przyłapał Wisha i Ansteya na paleniu. Leżeli pod barakiem, nieopodal dołka z alkoholem, a tłumacz wywołał ich i nakazał im podeprzeć się tak, jakby mieli zaraz robić pompki. Nishino posłał strażnika po pana Osano, a oni czekali, utrzymując pierś wysoko nad ziemią, podparci na koniuszkach palców. Gdy Osano się pojawił, tłumacz kazał mu bić Wisha, a sam zajął się Ansteyem. Bambusowe kije spadały na ich plecy i uda, wydając przy tym podobny dźwięk jak

kije baseballowe na Comiskey Park. Niska piłka. Cywilny strażnik bił z zaangażowaniem charakterystycznym dla człowieka żyjącego w strachu, że w każdej chwili może znaleźć się na ziemi obok więźniów. To był koniec wszystkiego, co Osano mógł zrobić dla Wisha. Taką wiadomość chciał im przekazać tłumacz.

Gdy Nishino skończył robotę, Osano również odsunął się od jeńców. Wish pozwolił sobie odprężyć się na tyle, by wziąć głęboki wdech, a wtedy tłumacz kopnął go czubkiem buta, prosto pod zebra. Wish padł na ziemię, próbując oddychać mimo spienionego bólu; zaraz przeturlał się na bok, by się wyrzygać. Przez tydzień nie był w stanie oddawać moczu. Dopiero po miesiącu mógł sikać na stojąco.

Wish wypuszczał kółka dymu ku sufitowi, patrzył, jak płyną i rozmywają się w powietrzu. Przez całe niedzielne popołudnie pił piwo. Chłodził je w wiadrze przy łóżku, a puste butelki odstawiał na parapet. Wypaliwszy dwudziestego szóstego papierosa tego wieczora, wstał, by wyłączyć radio oraz zdjąć koszulę i spodnie.

W poniedziałek bladym świtem obudził się bez budzika.

Latem 1955 roku Wish zaczął spotykać się z niejaką Jane Adams. Poznali się w kinie przed piątkowym seansem. Jane czekała w kolejce do stoiska z przekąskami, on akurat szedł do toalety. Gdy go dostrzegła, pomachała do niego radośnie i zatrzymała się z ręką wzniesioną niezręcznie w górę, jakby pomyliła go z kimś innym. Miała na sobie turkusową sukienkę z krynoliną. Ciemno-czerwona szminka, pomalowane rzęsy, brązowe włosy poskręcane w loki. Pomyślał, że to przesada, jak na kino.

– Armour and Company? – zagadnęła.

Pracowała na taśmie w tych samych zakładach, pakowała smalec i wędzone mięso. W całym procesie to było jedno z nielicznych zajęć zarezerwowanych dla kobiet. Kilka razy widziała go w kolejce, wysiadali na tej samej stacji.

– Często chodzisz do kina? – spytała.

– Nie – odparł. Uśmiechnął się. – Tak – zmienił zdanie. – Pracuję w kabinie projekcyjnej. Chyba cię tu wcześniej nie widziałem.

– Miałam iść na potańcówkę w Aragon Ballroom. Byłam tam umówiona z paroma dziewczynami z zakładu.

Patrzył, jak jej twarz zalewa rumieniec.

– To miał być pierwszy raz od lat – dodała. – Od końca wojny. Kiedy dotarłam na miejsce, okazało się, że brakuje mi pięciu centów na wejściówkę. Już za późno, żeby jeździć kolejką do domu i z powrotem. A skoro już byłam odstawiona. – Odsunęła lekko rękę od ciała. – Nie chciałam, żeby wysiłek poszedł na marne.

– No to – zaczął Wish. Marzył tylko o tym, żeby się odlać, kiwał się na nogach do przodu i do tyłu. – Miłego seansu.

W ciągu kolejnych kilku tygodni spotkał ją dwukrotnie w kolejce. Tym razem jej brązowe włosy były proste, związane z tyłu w zgrzebny kucyk. Owdowiała w czasie wojny, miała dwóch synów. Mąż zginął we Włoszech. Spytała Wisha, czy lubi tańczyć.

– Nie mam nic przeciw porządnej potupajce – powiedział, a ona popatrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem. – Tak – wyjaśnił. – Lubię tańczyć.

W niedzielę wieczorem poszli do Aragon Ballroom. Ona miała na sobie tę samą turkusową sukienkę co w kinie, włosy ułożone w takie same loki. „Tiny Bradshaw Orchestra” przygrywała

swingowe i big-bandowe melodie, osadzone w potężnym, synkopowym rytmie, który sprawiał, że sala pękała w szwach. Wish, który znał tylko tańce ludowe, czuł się zagubiony w tym skocznym mrowisku. Jane zaprowadziła go w kąt sali, z dala od największego rozgardiaszu. Uczyła go *jitterbuga* i *Lindy Hopa*. Ten uścisk jej dłoni, gdy odskakiwała od niego. Spojrzenie, które posyłała mu przez ramię, zanim zaczynała wracać ku niemu niczym linka z haczykiem między kolejnymi rzutami. Piersi kołyszące się pod materiałem sukienki. Jej dłoń na jego krzyżu, podpowiadająca, czy iść w tę stronę, czy w tamtą.

Gdy wrócili do jego malutkiego pokoiku, Jane odtańczyła z nim walca, który zakończył się przy łóżku. Przez cały wieczór oboje pociągali z piersiówki, w pokoju o mało nie wpadli na stół. Nie odrywając swoich ust od jego, Jane sięgnęła do tyłu i rozpięła sukienkę, pozwalając jej opaść na podłogę. Do pokoju wpadało światło latarni ulicznej; Wish odchylił się do tyłu, by przyjrzeć się Jane, podczas gdy ona dawała krok poza krąg materiału leżący na ziemi. Odwróciła się, by zawiesić sukienkę na oparciu krzesła.

Zerknęła na niego przez ramię.

– Wszystko w porządku, Wish?

Skinął głową, a ona podeszła do niego i objęła go ramionami. Wsunęła nogę między jego nogi, a gdy go całowała, przycisnęła udo do jego krocza.

Gdy wszedł w nią po raz pierwszy, zachłysnęła się powietrzem, jakby zadał jej ranę. Podniósł głowę, by spojrzeć jej w oczy.

– Sprawilem ci ból?

– Chcę, żeby trochę bolało – szepnęła, bujając biodrami, by go popędzić.

Zanim skończył, sięgnęła ręką za jego plecy i wetknęła mu mokry palec w tyłek. Ten niespodziewany ból go rozpałił. Żar zalał go po końcówki palców.

Potem długo nie mógł zasnąć; próbował zrozumieć, co sprawiło, że przez tyle czasu wzdragał się przed tą słodyczą. A w jego głowie nadal rozbrzmiewał głos przestrogi, wciąż udzielający mu rady złożonej z jednego słowa: „Uciekaj, uciekaj, uciekaj”.

We wrześniu coś się stało z Magnolią Cooksey. Przyszła do kina ponura i zamknięta w sobie. Nie podśpiewywała już podczas pracy, a gdy Wish przystanął, żeby życzyć jej dobrej nocy, odpowiedziała zwięźle: „Tak jest, psze pana”. Odnosił wrażenie, że kobieta żywi do niego o coś osobistą urazę, chociaż nie miał pojęcia, o co mogłoby chodzić.

Któregoś wieczora zapytał: – Magnolia, wszystko u ciebie w porządku?

Była właśnie w połowie rzędu; stanęła prosto, kładąc rękę na oparciu fotela.

– Psze pana Fureya. Pan wie, skąd pochodzę? Gdzie jest mój dom?

– Jesteś z Południa, tak?

– Z Missisipi. Z delty.

– Czymś cię uraziłem?

Schyliła się nad podłogą, dając mu do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

Następnego ranka, jadąc kolejką do pracy, opowiedział Jane o Magnolii. Sądził, że może chodzi o jakiś damski problem, coś, co druga kobieta będzie w stanie mu wyjaśnić.

Jane lekko odwróciła głowę i wypuściła powietrze przez zaciśnięte wargi. Od ich pierwszej wspólnej nocy dawała mu ogólnie do zrozumienia, że myśli o małżeństwie. Fakt, że Wish ignorował jej wzmianki, przyprawiał ją o coraz głębszą frustrację. Gdy mówiła mu, że go kocha, on tylko kiwał głową wtuloną w jej włosy lub ścisnął jej dłoń, niezdolny do odwzajemnienia jej wyznań. Mówił sobie, że to po prostu kwestia czasu. Musiała myśleć o swoich dwóch synach i nie zamierzała czekać bez końca.

– A kto to wie, co siedzi w głowie czarnucha? – odparła. Powiedziała to niemal z rozrzewnieniem. Spojrzała mu prosto w oczy. – Mam teraz większe zmartwienia – dodała.

Po piątkowym seansie zasnął na stole w kabinie projekcyjnej. Po raz pierwszy od wielu lat przyśniło mu się czuwanie nad zwłokami małego Willarda Slade'a; chłopak siedział w swojej trumnie, a Mercedes weszła do izby i pocałowała trupa prosto w dziurę, która niegdyś była ustami.

Obudził się, gdy Magnolia Cooksey weszła do kabiny, żeby zamieść podłogę i opróżnić kosz na śmieci. Gdy tylko go zobaczyła, zaczęła wycofywać się z pomieszczenia.

– Przepraszam, psze pana Fureya. Myślałam, że już pan wyszedł.

– Nic się nie stało, Magnolia. – Głowa mu ciążyła, gdy ją podniósł, miał wrażenie, że słyszy przelewający się w niej płyn. Stanął na nogi i chwycił za krawędź stołu, żeby złapać równowagę. Sprzątaczką przerwała sen, zanim Mercedes zdążyła odwrócić się do niego i wypowiedzieć słowa, które teraz i tak rozbrzmiewały w jego głowie niczym jedna z kwestii dialogowych, które wycinał, naprawiając filmy. „Nie rób ze mnie kurwy”.

– Wrócę, jak już pan tu wszystko skończy – powiedziała Magnolia, przeciągając samogłoski.

– Wejdz, wejdz, kochana. – Rozglądał się za płaszczem. – Wejdz, ja już idę do domu.

Stała częściowo ukryta za drzwiami. Gdy na nią zerknął, dostrzegł białka jej ogromnych oczu, jaśniejące pośród czerni twarzy.

– O co chodzi, Magnolia?

– Skąd pan jest, psze pana Fureya?

– Magnolia, mam na imię Wish.

– Z Irlandii, psze pana Wisha? Mówi pan jak Irlandczyk.

– Nie – odparł.

– Ale nie z tych stron.

– Nie, nie z tych.

– Wrócę, jak już pan tu wszystko skończy – powtórzyła.

– Magnolia.

Zdażyła już prawie zamknąć drzwi, zajrzała do środka przez szparę. Zdał sobie sprawę, że mu nie ufa. Nigdy mu nie ufała: pijanemu białemu mężczyźnie w opustoszałym kinie.

– Ładne imię. Magnolia. Miałem kiedyś przyjaciółkę – zwierzył się. – Na imię jej było Mercedes. Słyszałaś kiedykolwiek o kimś, kto nosiłby takie imię?

– Nie, psze pana. Nie przypominam sobie. – A po chwili dodała: – Wrócę, jak już pan tu wszystko skończy.

—

W poniedziałek przeglądał gazety, czekając, aż Ingrid przyniesie mu kawałek placka z orzechami. Wziął kilka dzienników; na spodzie stosu leżał „Chicago Defender” sprzed tygodnia, murzyńska gazeta, której dotąd Wish nie widywał w

restauracji. Wyciągnął ją i rozłożył na kontuarze, by zerknąć na nagłówki. Cała pierwsza strona była poświęcona historii Emmetta Tilla, nastolatka z South Side, który tego lata zaginął podczas odwiedzin u wuja w Missisipi. Wish słyszał coś na ten temat w zakładzie, ale nie zwracał na to większej uwagi. Większą część strony zajmowało zdjęcie tłumów z Black Belt, które zebrały się, by przejść przed otwartą trumną chłopca, gdy jego zwłoki sprowadzono do Chicago. Niezliczone rzesze ludzi wylewające się na ulice.

Drugie zdjęcie przedstawiało ciało chłopca w trumnie. Wish wpatrywał się w ten obraz, leżący zaraz na lewo od kubka z kawą. Powiódł po czarno-białym kwadracie drżącymi palcami. Zwłoki odnaleziono w rzece Tallahatchie, trzy dni po zaginięciu chłopaka. Ciało zostało obciążone wirnikiem z odziarniarki do bawełny, przywiązany do szyi za pomocą zwoju drutu kolczastego. W gazecie wyjaśniono, że czternastolatek zagwizdał na białą kobietę. Jej mąż i szwagier wyprowadzili chłopaka z domu wuja, grożąc mu rewolwerem. Wish przyjrzał się ponownie zdjęciu tłumy. Wiedział, że Magnolia Cooksey była w tej masie ludzi, że czekała na swoją kolej, by popatrzeć na chłopca.

– Wypuścili ich – oznajmiła Ingrid. Stała przed nim, spoglądała na gazetę.

– Kogo?

– Mężczyzn, którzy ponoć zabili tego chłopaka. Dzisiaj mówili w radiu.

– Wypuścili?

– Niewinni.

Wish znowu zerknął na gazetę. Twarz na zdjęciu – to nie była twarz. Została tak zmasakrowana, że ponad krawatem i kołnierzykiem koszuli widać było tylko bezkształtną papkę. Nie było nosa. Ciemna plama nad uchem, w miejscu, gdzie kula trafiła w czaszkę. Gdyby nie podpis pod zdjęciem, Wish nie poznałby nawet, że zamordowane dziecko było czarnoskóre. Zwłoki umieszczono pod szkłem, by osłonić żałobników przed potwornym smrodem.

– Obstawiam, że nigdy się nawet nie dowiemy, kto to zrobił – skwitowała Ingrid. Jedną rękę położyła na biodrze, w drugiej trzymała talerz z plackiem. Postawiła go na kontuarze, z odrazą wzruszając ramionami.

Wish złożył gazetę i wstał ze stołka. Wyjawszy z kieszeni dwa dolary, położył je obok talerza.

– A co z plackiem? – zawołała Ingrid, gdy stał w drzwiach.

Wyszedł w wieczorne powietrze, wdychał je łapczywie, próbując uspokoić żołądek. Rozejrzał się po ulicy, po czym ruszył w kierunku pensjonatu.

W pokoju wyjął spod łóżka polowego swoją jedyną walizkę i upchnął do niej tyle ubrań, ile się zmieściło. Resztę zostawił w maleńkiej szafie. Zdjąwszy tylną ściankę radia, wyjął z niego niedużą kopertę, zdjęcie Mercedes i zwitek dolarów, które odkładał od przyjazdu. Głównie dwójki, piątki i dziesiątki, parę dwudziestek. Wyciągnąwszy piątaka, zostawił go na stole razem z kluczem i wiadomością, że nie potrzebuje już pokoju. W każdym bucie ukrył po pięćdziesiąt dolarów, resztę włożył do kieszeni. Napełnił piersiówkę i wcisnął do walizki nienapoczętą butelkę whisky. Otworzył kopertę i wyjął z niej Medal Wojskowy, który

dostał od Harrisa. Przez chwilę ważył go na ręce. Rozważał zostawienie go w pokoju, ostatecznie jednak włożył medal do koperty i schował w kieszeni płaszcza. Swój egzemplarz „Chicago Defendera” położył na ubraniach. Nietwarz ze zdjęcia przyglądała mu się, gdy zamykał walizkę. Zapiął zatrzaski. Wychodząc, wyłączył światło.

Z Chicago pojechał pociągiem do Madison, a potem na północ, przez Sauk City, Baraboo, Black River Falls i Wisconsin Rapids. W końcu zatrzymał się na kilka miesięcy w Eau Claire, w dolinie Chippewa. Wynajmował na tygodnie pokój przy Runway Avenue. Żył z oszczędności oraz dorywczej pracy w przewozach i przeprowadzkach. Każdego niedzielnego poranka szedł na dworzec kolejowy i pytał, dokąd jadą najbliższe pociągi. Zawiadowca już go rozpoznawał.

– Wschód czy zachód?

– Nieważne – mówił Wish. – Zachód.

– Wie pan – powiedział zawiadowca którejś niedzieli – mówiłem już tydzień temu, i wcześniej też. Dzisiejszy pociąg na zachód jedzie do St. Paul w Minnesocie. Stamtąd może pan pojechać, gdzie dusza zapragnie. Jedzie pan czy nie?

– Tak tylko pytam z ciekawości – wyjaśnił Wish. – Gdzie bym wylądował, gdybym pojechał.

Zawiadowca był wysokim mężczyzną o ziemistej cerze. W mniemaniu Wisha nadawał się idealnie na właściciela zakładu pogrzebowego. Proste, czarne włosy zaczesane do tyłu, idealnie zadbane dłonie. Chodził w pasiastej koszuli, powyżej łokci nosił druciane obręcze.

– Podać przykład?

– Chętnie.

Kolejarz wyciągnął mapę.

– Proszę bardzo. – Miasta i miasteczka na liniach kolejowych wskazywał przy pomocy pióra. – Na przykład jedzie pan z St. Paul pięćdziesiątką siódemką przez Monticello, Albany i Glenwood. Dalej przez Wahpeton i Detroit Lakes do Dakoty Północnej.

– Do Dakoty Północnej?

– Owszem.

Wish przez jakiś czas przyglądał się mapie.

– A jest tam jakieś Sherwood?

Zawiadowca podniósł na niego wzrok.

– Chce pan dotrzeć do Sherwood?

– Tak pytam z ciekawości.

– Z West Fargo pojedzie pan na północ pociągiem Burlington Northern. Wsiądzie pan w Great Falls i dalej pojedzie na zachód.

– Dźgał mapę piórem. – Devil's Lake. Rugby. Granville. W Granville linia Burlington Northern skręca na północ, nią dojedzie pan na miejsce. Jak pan chce, może pan spać, aż wykopią pana z wagonu. Sherwood to koniec linii.

Ostatnio jechał pociągiem przez prerie, gdy z Harrisem po wojnie wracali z San Francisco nad Atlantyk. Mila za milą, ten sam łagodny pejzaż, trawiaste przestrzenie pocięte na prostokąty. Dostrzegł w tym krajobrazie coś z oceanu w dniach największego spokoju; z początku przepełniło go to nostalgią. Niebawem jednak pejzaż zaczął wydawać się surrealistyczny, sztuczny jak panoramy robiące za tło w filmach. Jakby prerie zostały wyrównane czyjąś ręką, a dywan zieleni, brązów i ochry rozwinięty z rolki. Z jakiegoś powodu Dakota Północna przywodziła mu na myśl

szpital; połacie pól wyszorowane do czysta, antyseptyczny błękit bezkresnego nieba. Czuł tutaj ten sam nieokreślony lęk.

Zjadł cienki stek z jajkami w jadłodajni przy głównej ulicy, a kelnerka zapisała mu adres wdowy, która wynajmowała pokoje na noc lub na tydzień. Przypomniała mu się pani Gillard z Cove.

– Dlaczego to wdowy zawsze wynajmują pokoje?

Kelnerka wzruszyła ramionami.

– Chyba po prostu mają dużo miejsca.

Kiedy wyszedł na Main Street ze swoją jedyną walizką, na zewnątrz było już ciemno. Dał porywisty wiatr, Wish postawił więc kołnierz marynarskiego płaszcza, który kupił w Eau Claire. Gdy dotarł pod trzykondygnacyjny wiejski dom, zadzwonił do drzwi.

Spał do przedpołudnia, na śniadanie udało mu się wrócić do jadłodajni. Na dworze było koło zera, po oknach restauracji spływała woda skraplająca się od środka. Wnętrze było puste, nie licząc dwóch mężczyzn skulonych w kącie. Ławy obite pomarańczowym winylem, pęknięcia zaklejone taśmą.

– Wyspał się pan? – spytała kelnerka.

– Za wszystkie czasy, skarbie.

Miała na sobie akryłowy uniform w tym samym musztardowym kolorze co obicia mebli. Jej brwi zostały wyskubane do zera i odrysowane za pomocą kredki. Przyniosła do jego przegrody dzbanek z kawą oraz kilka gazet. Zakrył kubek dłonią i poprosił o herbatę z odrobiną świeżego mleka.

– Świeżego, znaczy nieskwaśnianego?

Podniósł wzrok znad gazet.

– Co proszę?

– Poprosił pan o *świeże* mleko.

– Tam, skąd pochodzę – wyjaśnił – mleko jest albo *świeże*, albo z puszki. – Kelnerka wciąż wpatrywała się w niego. – Nieważne.

– Nie chciałby pan przypadkiem steku i jajek, tak jak wczoraj? Zastanowił się nad tym i wzruszył ramionami.

– Czemu nie.

Przerzucał strony gazet, zwracając uwagę na wyniki meczów hokejowych sprzed ponad tygodnia, dopóki kelnerka nie przyniosła mu śniadania.

– Czegoś jeszcze panu trzeba?

– Szukam przyjaciela.

Uniosła jedną ze starannie wyrysowanych brwi.

– A cóż to za przyjaciel, że musi go pan szukać?

– Byłem z nim w wojsku.

Odsunęła się od niego, z dzbankiem zwisającym niedbale z palców.

– Kimkolwiek pan jest – stwierdziła sceptycznie – to na pewno nie Amerykaninem.

– Byłem w brytyjskiej armii.

– Nie brzmi pan jak Brytyjczyk. Wzruszył ramionami.

– Jak się nazywa ten pana przyjaciel?

– Spalding.

– Lucas?

– Imienia nie znam.

– Nie wpadł przypadkiem w jakieś tarapaty, co?

– Akurat tędy przejeżdżałem. Pomyślałem, że może uda mi się go znaleźć.

– Rozejrzy się pan dobrze. Przez Sherwood nikt tak po prostu nie przejeżdża.

– Wiesz, gdzie go znajdę?

Chodził w tę i we w tę przed domem Spaldinga, szukając jakiegoś znaku, że ktoś jest w środku. W końcu stanął na ganku, zastanawiając się, co właściwie robi w Sherwood, w Dakocie Północnej, po co niepokoje obcego człowieka. Czego tu szuka. Nie chodziło mu o nic, co potrafiłby nazwać słowami, ale to wcale nie oznaczało, iż jest to rzecz nierealna czy niegroźna. Nie pił od wyjazdu z Eau Claire, czyli od dwóch dni; nagle poczuł ten brak w głębi siebie, zatrzęsły się pod nim nogi.

– Zapukasz, czy będziesz tak tu sterczał do wieczora? Spalding stał pod ścianą i wycierał ręce w szmatkę.

– Cześć, Lucas.

– Znamy się?

– Trochę czasu już minęło. – Wish zszedł z podestu. – Nagasaki #14 – wyjaśnił.

– Dobry Jezu – szepnął Spalding. – Jezu, Jezu. Pan Bimber. Wish uśmiechnął się do niego, chociaż nie potrafił stwierdzić, czy Amerykanin cieszy się, że go widzi.

– Przytyło ci się – stwierdził Spalding.

– Akurat tędy przejeżdżałem. Pomyślałem, że może uda mi się ciebie znaleźć.

Spalding uśmiechnął się odrobinę nieufnie.

– Widzę, że naprawiłeś sobie zęby – zagaił Wish.

– Armia dała na to pieniądze, jak wróciłem do domu. Przez dłuższy czas zdawało mi się, że mam usta pełne kamyczków. Brakowało mi tych wszystkich otwartych przestrzeni. – Brudną

szmatą wciąż wycierał ręce ze smaru. – Musiałem od nowa nauczyć się płuć. A co tam u ciebie, panie...

– Wish Furey.

– Zgadza się. I u twojego kolegi? Harrisa, tak?

– Harris nie żyje.

– Serio? Napijesz się?

Poszli wybetonowaną ścieżką do szopy za domem. Nieduży piecyk na drewno wypluwał nieco ciepła w kącie. Po blacie pod ścianą walały się części rozkręconej strzelby myśliwskiej.

– Czyszczę ją przed sezonem – wyjaśnił Spalding. – Polujesz?

– Ostatnio polowałem przed wojną. Na jesieni chodziłem na karibu, czasem na kuropatwy. – Oparł się o blat, by złapać równowagę. – Jak tam z tym piciem, Spalding?

Gospodarz zdjął z półki nad blatem butelkę Canadian Club i dodatkową szklanę, po czym nalał im po dwa palce. Podał szklanę Wishowi.

– Dalej pędzisz tę swoją podłą księżycówkę?

Wish wypił łyk żytniej whisky i odparł: – Dzisiaj taniej wychodzi kupować alkohol w sklepie. – Rozejrzał się po szopie, nad blatem jedno małe okienko, pod sufitem goła żarówka. Radio stojące na półce obok flaszki mrucało zaciągniętą szumem wersję *The Streets of Laredo*.

– Siadaj. – Spalding skinął na jedyne krzesło w pomieszczeniu, ustawione nieopodal piecyka.

– Nieczęsto cię ktoś odwiedza?

– Nieczęsto. – Spalding podskoczył i przysiadł na blacie.

– Żonaty?

– Cóż. Technicznie rzecz biorąc. Hajtnąłem się, kiedy puścili mnie z woja. Wydawało się, że tak właśnie powinienem postąpić po tym, jak władowałem całą tę kasę w zęby. – Wyszczrzył się, jakby chciał się nimi pochwalić.

– Gdzie ona jest?

– Wyprowadziła się do rodziny. Mieszka w Bismark. Już od lat.

– Przynajmniej nie mieliście dzieciaków.

– Dziewczynkę. Teraz ma pewnie siedem czy osiem lat.

– Udała się?

– Dwie ręce, dwie nogi. Jeśli o to ci chodzi.

– Widujesz ją?

Zajrzał do szklanki.

– Mówiłem. Nieczęsto mnie ktoś odwiedza. – Podniósł butelkę i wręczył ją Wishowi. – Często się.

Wish nalał sobie pół szklanki i pociągnął kolejny spory łyk.

– Nie masz mi za złe, że tu jestem, co, Lucas?

Spalding bez słowa zsunął się z blatu i odwrócił się od Wisha. Zaczął składać strzelbę, dopasowywać nasmarowane elementy płynnymi, wprawnymi ruchami. Wish uważnie mu się przyglądał. Przez te lata prawie się nie zmienił, na głowie wciąż ten sam płaski język, twarz nadal wściekle wymizerowana. Opuściła go natomiast pomyłeńcza aura, którą niegdyś roztaczał.

– Co się stało z Harrisem? – spytał nagle Spalding.

– Zachorował.

– Zachorował na co?

– Chyba na raka. Kiedy nas wypuścili, trochę przybrał na wadze, ale niebawem zgubił to wszystko z nawiązką. Kiedy dojechaliśmy pociągiem na wschód, Harris był już tylko cieniem

człowieka. Wypadły mu wszystkie włosy. Nie byliśmy w kraju nawet dwa miesiące.

Spalding pokiwał głową, wycierając szmatką lufę strzelby.

– Ostatecznie sam to skończył – dodał Wish.

Spalding zamarł.

– Znaczy, zabił się.

Wish nic nie odpowiedział.

Spalding wyciągnął rękę i wyłączył radio.

– Po to tutaj przyjechałeś? Żeby mi to opowiedzieć? – spytał.

– Gdyby o to chodziło, przyjechałbym już dawno – wyjaśnił Wish. – Nie mam pojęcia, po co przyjechałem.

Spalding złamał strzelbę, wsunął dwa naboje i zatrzasnął ją z powrotem.

– Kiedy mnie badali na statku w drodze do domu, lekarz powiedział, że powinienem się cieszyć, jeśli dociągnę do czterdziestki.

– Mnie powiedzieli to samo.

Spalding trzymał strzelbę na wysokości bioder.

– Wygląda na to, że nam dwóm na razie nieźle idzie.

– Na to wygląda.

– Jutro jadę zapolować na jelenie. Jeśli chcesz, możesz się przyłączyć.

Przez chwilę przyglądali się sobie w milczeniu.

– W porządku – powiedział w końcu Wish. Wychylił resztę whisky. – Pojadę z tobą.

—

Nazajutrz przed świtem Spalding podjechał przed dom wdowy. Wish czekał za frontowymi drzwiami; gdy zobaczył światła samochodu na końcu ulicy, wyszedł na zewnątrz. Pojechali drogą

107 na wschód, po jakimś czasie wschodzące słońce zaświeciło im prosto w twarze.

– Mam termos kawy–oznajmił Spalding, wręczając go Wishowi.

Wish odkręcił termos i skrzywił się na ciemny, gryzący zapach.

– Sama kawa. Na polowaniu nie piję.

Jechali na wschód, aż dotarli do Cut Bank Creek. Tam Spalding zaparkował na poboczu i zapowiedział: – Teraz zasuwamy na piechotę.

Wziął dla Wisha stare buty, kapelusz oraz myśliwską kamizelkę do zarzucenia na płaszcz. Pozbierali z bagażnika strzelbę i sprzęt, po czym zaczęli iść na południe wzdłuż rzeki. Słońce wisiało już całe ponad horyzontem, ale poranek był rześki i suchy od mrozu.

Kierowali się w stronę rzadkiej kępy drzew nad zakolem rzeki. Drzewa zdawały się odsuwać od nich z tą samą prędkością, z jaką oni ku nim szli. Dzień wstał już na dobre, zanim wreszcie dotarli na miejsce. Podzielili się kanapką z mięsem z konserwy i zapili letnią kawą.

– Podchodzą do rzeki między drzewami – szepnął Spalding. Kucał ze strzelbą na kolanach. Popatrzył Wishowi prosto w oczy.

– Chcesz strzelić, jak któryś się pokaże?

– Jeśli nie masz nic przeciwko, to podejmę decyzję w ostatniej chwili.

Spalding odwrócił się w stronę rzeki, zapatrzył się w powolny, czarny nurt.

– Wróciłeś kiedykolwiek do „kraju Boga”?

– Jeszcze nie.

– Myślałem, że czekała tam na ciebie dziewczyna?

– Nic z tego nie wyszło.

– Znaczy, ona nie czekała czy ty nie pojechałeś jej szukać?

– Zamierzamy tu dzisiaj polować czy siedzieć i mleć jęzorem?

– Ja zamierzam skończyć tę kanapkę. – Spalding popatrzył w górę, na błękit. – Piękny dzień. Takie dni niemal mnie przekonują, że mój staruszek nie mylił się jednak co do Dakoty Północnej. – Po chwili dodał: – Nigdy ci nie opowiedziałem, jak skończyłem w obozie Nagasaki #14, co nie?

– Nigdy.

Przesunął się, by przykucnąć wygodniej.

– Zanim nas przenieśli do Japonii, siedzieliśmy w obozie na terenie Tajlandii. Krążyły wtedy pogłoski, że trafić do Japonii to jak pojechać na wakacje, ale złotki wyślą tam wyłącznie zdrowych jeńców. Żeby stwierdzić, kto jest w wystarczająco dobrym stanie, mieli wykonać szereg testów. Jednym z nich miał być test stolca. – Zaklął pod nosem. – Wojsko działa tak samo chyba na całym świecie. – Plotka głosiła, że trzeba będzie oddać zdrowy stolec i pokazać go podczas apelu. Powiedzmy, coś dość twardego, żeby dało się to trzymać w dłoni. A połowa z nas wciąż szczała tyłkami, nie zdołaliśmy przyzwycząć się do tego parszywego ryżu, którym nas karmili. Postanowiliśmy jednak, że nie pozwolimy, by odrzucili nas z tego powodu. Mówiło się, że ci, co zostaną w Tajlandii, dostaną kulkę w łeb.

Spalding uśmiechnął się szeroko. Wish wciąż nie przyzwycząił się do jego pełnego uzębienia. Wzbudzało w nim nieufność.

– W tamtym obozie latryna stała nad strumieniem, który niósł wszystko na pole za płotem. W dniu stolcowego apelu pomiędzy

wychodkiem a płotem kręciło się kilkuset facetów. Czekaliśmy, aż jakiś zdrowy żołnierz wybierze się na poranną przechadzkę do kibla. – Zaczął chichotać; wtulił brodę w klatkę piersiową, próbując się powstrzymać. – Zgraja dorosłych mężczyzn – wzdrygnął się – bijąca się o gówna. – Otarł oczy wierzchem dłoni. – Właśnie w ten sposób wylądowałem w Nagasaki #14. Dorwałem twardego klocka. Zaprezentowałem go na apelu z taką dumą, jakby to był sztandar kompanii. – Wziął głęboki oddech. – Ja pierdołę.

– Odstraszysz jelenie – wtrącił Wish.

– Chcę tylko przez to powiedzieć, że nie zrobiliśmy wtedy nic, czego musielibyśmy się wstydzić. Bez względu na to, jak to wygląda z dzisiejszej perspektywy. – Spalding wpatrywał się w rzekę.

– Nie sądzisz, że może jednak niektórzy z nas przedobrzyli, nawet jak na tamte standardy?

Spalding splunął w trawę. Podniósł strzelbę z kolan i przytrzymał ją na rękach tak, jakby chciał ocenić jej wagę.

– Jesteś pewien, że nie chcesz jej wziąć?

Wish przyglądał mu się bez słowa.

– Nie wyręcę cię – oznajmił Spalding. – Jeśli po to tu przyjechałeś.

Wish powoli się podniósł.

– Powinniśmy iść dalej.

– Chyba tak – odparł Spalding.

—
Nie zobaczyli ani jednego jelenia, chociaż chodzili przez cały dzień. Gdy wrócili do Sherwood, poszli prosto do restauracji. Obaj zamówili specjalność zakładu – wątróbkę w cebuli, z purée i

mieszanymi warzywami. Czekaając, popijali piwo. Po porannej rozmowie prawie się do siebie nie odzywali i wyglądało na to, że chyba już tak zostanie. Siedzieli w milczeniu, czekając na obiad, potem jedli bez słowa. Obaj byli wygłodniali, skupili się tylko na tym, co mieli na talerzach. Po posiłku zamówili kolejne piwo i zapalili.

Spalding powiedział wreszcie: – Jeśli chodzi o jedzenie, to nigdy się z tym nie uporałem. Nie zostawię na talerzu ani okruszka. Z trudem się powstrzymuję, żeby go nie podnieść i nie wylizać do czysta.

Wish nachylił się nad stołem.

– Z czym jeszcze się nie uporałeś?

– Teraz, kiedy tu mieszkam – zaczął – to jakbym leżał w łóżku, w którym sypiałem za dzieciaka. Już nie pasuje tak, jak kiedyś. To zupełnie co innego niż miejsce, które wspominałem, będąc tam.

– Spalding pociągnął z butelki. – A ty?

– Co ja?

– Ona nie czekała czy ty nie pofatygowaleś się, żeby sprawdzić?

Wish nie odezwał się ani słowem.

– Mniejsza z tym – stwierdził Spalding. – Nie mój interes.

Wish podniósł płaszcz z siedziska obok i zaczął przetrząsać kieszenie. Gdy znalazł kopertę i pierwszą stronę „Chicago Defendera”, rozwinął gazetę i obrócił ją tak, by Spalding mógł przyjrzeć się zdjęciu. Amerykanin tylko przelotnie na nie zerknął.

– Kogoś ci to przypomina? – spytał Wish.

Spalding wypił spory łyk piwa.

Wish wysunął medal na stół. Na wstędze poziome pasy granatu, bieli i czerwieni. Srebrny krążek.

– Harris wręczył mi go przed śmiercią. – Obróciwszy medal, wskazał na rewers. – Coś tu wygrawerowali. Widzisz?

– Nie wygląda zbyt sensownie.

– To po japońsku, ot co. Właściciel tego medalu wygrawerował na nim coś po japońsku. Po co miałby robić coś takiego?

– A skąd ja mam wiedzieć?

– On nauczył się angielskiego w Kanadzie. – Wish popatrzył na Spaldinga. – Nishino – wyjaśnił. – Tłumacz.

– Tak ci powiedział?

– Na wiele sposobów. Pewnie to tam dorwał ten medal.

– No i co?

– Nie wiem. Nie wiem. Kurwa.

Spalding zgniótł papierosa w popielniczce.

– Po co dzisiaj ze mną pojechałeś nad rzekę?

– Myślałem, że na polowanie.

Amerikanin złożył gazetę na pół, by ukryć zmasakrowaną twarz. Opadł na oparcie.

– Po co to ze sobą nosisz?

Wish wepchnął medal do koperty.

– Nie wiem.

Spalding pozwolił tym słowom wybrzmieć. Po chwili poradził: – Nie możesz dopuścić do tego, żeby ten skurwiel tak do ciebie wracał.

Wish zdobył się na wymuszony uśmiech.

– A co, jeśli tak naprawdę nigdy mnie nie opuścił?

– W takim wypadku. – Spalding zamilkł na chwilę. – Powinieneś chyba porozmawiać o tym z księdzem.

– Chuj z księdzem – szepnął Wish. Wyjąwszy z kieszeni pięciodolarówkę, położył ją pośrodku stołu.

– Chodzi mi o to, żebyś przestał się tym tak zadręczać – wyjaśnił Spalding.

– Za resztę zatankuj – powiedział Wish, wstając od stołu. Wziął gazetę i skierował się do wyjścia.

– Ej, Furey – zawołał za nim Spalding.

Odwrócił się, kładąc już rękę na klamce.

– Masz na nogach moje buty.

Wish zerknął w dół.

– Zostawię w wozie.

2.

Drzwi zakładu w Georgestown były otwarte, Wish wszedł więc bez pukania. W pomieszczeniu od frontu po Hiramie nie było śladu. Sprzęt walał się za ladą i pod jedną ze ścian; aparaty, projektory i kontuar pokrywała gruba warstwa kurzu. Wish zajrzał do ciemni, której drzwi były otwarte na oścież. Na podłodze stos kuwet, w powietrzu kwaśny smród zaniedbania. W maleńkim biurze panował nieład dobrze znany Wishowi z dawnych czasów, sterty kwitów i ksiąg rachunkowych przemieszanych ze szmatławymi powieściami i pożółkłymi gazetami sprzed dziesiątków lat. Tu i ówdzie puste szklanki pachnące alkoholem.

Wish wszedł na piętro i zajrzał do pokojów, w których niegdyś mieszkał, ale dławiły się one bezładną mieszaniną pudeł, wysłużonych mebli i przestarzałego sprzętu filmowego. Te

pomieszczenia wydawały mu się już zupełnie obce. Staął u stóp schodów prowadzących na drugie piętro.

– Hiram! – zawołał. Na górze było cieplej; poczuł wilgotny, zatęchły zapach snu i brudnych ubrań. Sypialnia była zaciemniona kocem zawieszonym na oknie, ale wpadało do niej dość światła, by dało się dojrzeć nieposłane, puste łóżko oraz ubrania walające się po podłodze i jedynym krześle w izbie. Jakiś smród niósł się zza zamkniętych drzwi toalety. Hiram leżał w środku, wyciągnięty na podłodze niczym stworzenie wyrzucone na plażę przez fale. Twarz miał fioletową i spuchniętą. Odór szczyn i rzygowin. Wish podniósł z toaletki lusterko i przytrzymał je pod nosem mężczyzny. Mgielka na szkle. Ujawszy Hirama za poły płaszcza, wywlókł go do sypialni, gdzie wmanewrował bezwładną masę na materac, kończyła po kończyźnie.

– Cholerny z ciebie wieprz, Hiram.

W niedużej kuchence znalazł czajnik i paczkę herbaty ekspresowej. Suchary w torbie, ciasteczka z dżemem. Postawił czajnik na ogniu i przysiadł pod oknem na skrzyni po mleku. Włączył radio stojące na parapecie; chciał rozorać pokrętłem ciężkie zasy szumu, ale nie znalazł ani jednej stacji. Ostatecznie zapatrzył się na ulicę, próbując wyobrazić ją sobie tak, jak wyglądała przed dwudziestu laty, gdy nad nią mieszkał.

Czajnik zaczął gwizdać, przywołując go z powrotem do kuchni, do zapachu chwili obecnej. Do 1960 roku. Do jego pierwszej wizyty na Nowej Fundlandii, odkąd wyruszył na wojnę. Nie umiał wyjaśnić, dlaczego sprowadziło go tutaj coś tak pozbawionego znaczenia, jak przełom dekady – skoro wiele ważniejszych powodów do niego nie przemówiło. Stwierdził, że to musi być coś

charakterystycznego dla katolików. Dwunastu apostołów. Czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Uznawał liczby za talizmany, podobnie jak krucyfiks czy paciorki różańca. Nie było tu miejsca na logikę.

Wspomniawszy szereg pustych flaszek ustawionych na podłodze w toalecie oraz stan zakładu na dole, Wish wywnioskował, że Hiram jest o krok od zapicia się na śmierć i stara się osiągnąć ten cel z determinacją wykluczającą jakiegokolwiek inne zajęcia. Nie miał pojęcia, czy mężczyzna go rozpozna. Wniósł do sypialni dwa kubki herbaty i zdjął koc z okna. Oparłszy Hiramą o szczyt łóżka, zaczął szczypać go w uszy, wykrzykując jego imię.

W odpowiedzi doczekał się nieokreślonego bulgotu oraz ruchu zwiotczącej ręki, próbującej go odgonić.

– Jeszcze trochę woli walki w tobie zostało, co, Hiram?

W ciągu kwadransa udało mu się wmusić w Hiramą łyżeczką pół kubka herbaty i wycisnąć z niego pojedyncze sylaby. Wciąż jednak nic nie wskazywało na to, aby mężczyzna go rozpoznawał.

– Znasz mnie, Hiram? – krzyknął Wish. – Wiesz kim jestem?

Popatrzył na Wisha spod opadających ciężko powiek.

– Ty nie żyjesz wybełkotał.

– Wróciłem z zaświatów, żeby cię dręczyć, ty skurwielu.

Przez twarz Hiramą przemknęło coś w rodzaju uśmiechu.

– Oddałem ci już tego piątaka, którego ci wisiałem?

Siedzieli w malutkiej kuchni przy biurku, którego Hiram używał jako stołu. Na dworze ciemno, izdebka oświetlona niedużą lampą stojącą na blacie. Hiram przespał jeszcze kilka godzin, a teraz pił drugą herbatę, obficie wzbogaconą whisky.

– Dałeś mi pięć dolarów, zanim zszedłem z pokładu promu. Nie pamiętasz?

Hiram wgrzył się w zleżałe ciastko z dżemem i zaczął mówić z ustami pełnymi kleistej papki: – Połowy życia nie pamiętam. – Wzniósł kubek. – Już nie radzę sobie tak dobrze z alkoholem.

– Hiram, gdzie ona jest?

Mężczyzna zajrzał do kubka.

– Wyjechała zaraz po wojnie. Przeprowadziła się do Stanów, wyszła za Amerykańca. Porządny facet.

Wish widział, że Hiram zastanawia się, jak dużo powinien zdradzić.

– No co? – spytał.

– Słuchaj Wish, zdaje mi się, że gdy wyjeżdżała, była w ciąży. W każdym razie tego bym się spodziewał. Więc pojechała i wyszła za niego.

– Gdzie?

– Pod Boston. Lovell czy coś w ten deseń. Może Lowell? Jezu. Wish Furey. Jak Łazarz z grobu. Miałeś jakieś wieści o Lilly?

– Nie.

– Przez jakiś czas siedziała tutaj, w Waterford.

– W psychiatryku?

– To było ponad rok temu. Miała jeden ze swoich ataków, wszystko wskazuje na to, że całkiem paskudny. W Renew's nikt nie miał pojęcia, co z nią począć, więc ksiądz odesłał ją tutaj. Zapewne już wróciła do domu.

– Jest obłąkana?

– A co myślałeś? – spytał Hiram. Wydawał się szczerze zaintrygowany – Sądziłeś, że jest jakąś świętą czy inną taką

cholera?

Wish sam nie wiedział, co myślał.

– *Capoperduto* – powiedział. Poczuł swego rodzaju ulgę, która przyprawiła go o gęsią skórkę.

Zgodnie z przewidywaniami Hirama Lilly została już dawno wypisana z Waterford. Wish pojechał autostopem nową drogą na południe, aż do Aquaforte. Resztę drogi do Renewa pokonał na piechotę. Dotarł na miejsce już po zmroku. Nowa szosa przebiegała pod samymi oknami domu Toma Keatinga. Pokoje na parterze były oświetlone elektrycznymi lampami. Nie przystanąwszy nawet pod domem, Wish skręcił w ścieżkę okrążającą budynek od północy. Minął cmentarz i poszedł za kościół, nad strumień. Zatrzymał się przy niskim płocie przed grotą i spojrzał na Maryję. Na Gwiazdę Morza. Skalne ściany, niegdyś nagie, były w połowie porośnięte jakimś pnączem.

Po raz ostatni Wish dotknął stóp Maryi w drzwiach Francuskiej Świątyni w Nagasaki tamtego dnia, gdy komendant poddał obóz majorowi McCarthy'emu. Witraże powylały z okien, ale budynek stał na tyle daleko od centrum miasta, że mury pozostały w miarę nienaruszone. Kościół został przekształcony w swego rodzaju obóz uchodźców, ławki odsunięto i ustawiono w stos pod jedną ze ścian, by zrobić więcej miejsca. Pozapalano lampy olejne i rozwieszono je na ścianach. W ich świetle kuliły się niezliczone zastępy rannych i konających. Na posadzce koczowały setki ludzi. Smród spieczonego ciała.

– Urządził sobie posłanie w piwnicy – oznajmił Wish. – Koło urn.

Głowy tych, którzy jeszcze nie spali, obróciły się ku nim, lecz nikt z obecnych w kościele nie odezwał się ani wyraźnie nie poruszył.

– No to jazda – powiedział Harris.

Stąpając ostrożnie pomiędzy leżącymi ludźmi, trzech mężczyźni pokonali drogę ku drzwiom na lewo od ołtarza, za którymi kryły się schody na dół. Po wyzwoleniu obozu żołnierze uzyskali dostęp do pistoletów – każdy miał broń przy sobie. Dla tłumacza jednak zaplanowali coś innego. Wish i Harris zwerbowali na tę wyprawę Spaldinga, bali się bowiem, że we dwóch nie będą mieli dość siły, by dać Japończykowi to, na co sobie zasłużył. Na schodach nie było światła. Harris miał przy sobie latarkę, nie zapalił jej jednak z obawy, że mogą się w ten sposób zdradzić.

– Jesteś pewien, że siedzi tam na dole? – szepnął Spalding.

– Widziałem go.

– A jeśli zdążył już gdzieś zwać?

– Zamknij się, Spalding – uciął Harris.

Wish szedł ciemnym korytarzem, sunąc ręką po ścianie. Po drodze odliczał kolejne drzwi. Zatrzymał się przed drugimi od końca.

– Harris, latarka gotowa?

Wish obszedł niski murek przed grotą i uklęknął na trawie pod figurą Maryi.

– *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum. Benedicta tu in mulieribus, et benedictus fructus ventris tui, Jesus.* – Dalej nie był w stanie powtórzyć.

—

Chatka Lilly była opuszczona. Ktoś zrobił sobie z niej drewnutnię; stopy szczap piętrzyły się pod ścianami. Wishowi

przeszło przez myśl, że mógłby spytać o ciotkę w klasztorze, poszedł jednak z powrotem przez Renew, wybierając tym razem ścieżkę nad wodą, by ominąć grotę. Wszedł do rozświetlonego domu Keatingów, stanął w drzwiach kuchni. Pomieszczenie było tak zatłoczone jak zwykle, z początku więc nikt nie zwrócił na niego większej uwagi. Tom Keating spał na leżance, a dwóch maluchów siedziało obok niego, drocząc się ze sobą. Billy-Peter, który właśnie rozdawał karty przy stole, zerknął w stronę drzwi. Położył talię przy deseczce do zaznaczania punktacji.

– Jezusie Ogrójecki – szepnął.

Wish na chwilę odsunął ręce od ciała, w niemal przeproszającym geście.

Patty Keating właśnie wychodziła ze spiżarni z dzbanem wody. Gdy dostrzegła Wisha, upuściła naczynie na ziemię i podbiegła do niego. Na przemian przytulała go i okładała pięściami po piersi, cały czas krzyząc. Tom usiadł na leżance, przyłożył zgiętą dłoń do ucha i zaczął wykrzykiwać pytania, próbując zorientować się, co to za zamieszanie.

Resztę wieczora Wish spędził w kuchni Keatingów, pijąc piwo i rozmawiając z Tomem oraz Billym-Peterem o połowach ryb, losie wszystkich znajomych z Renew oraz zmianach, które zaszły na wybrzeżu od 1949 roku, kiedy to Nowa Fundlandia przyłączyła się do Kanady.

– W naszych stronach wszyscy głosowaliśmy przeciw – wyjaśnił Tom Keating. Cały czas wydawał się lekko zaskoczony, jakby nie spodziewał się, że będzie mu jeszcze dane obudzić się z drzemki. W ustach nie miał ani jednego zęba, słowa miał

dziąsłami niczym jakąś papkę. – Prałat nie omieszkał nam powiedzieć, żebyśmy w referendum zagłosowali przeciw.

– Ja głosowałam za – podkreśliła Patty. Siedziała w koszuli nocnej, z siwymi włosami zaplecionymi w warkocze, ręce miała skrzyżowane na brzuchu.

– Ona i tak będzie się smażyć w piekle – skwitował Billy-Peter.

– Zbudowali nam drogę – dodała. – A co miesiąc dostajemy od rządu czek na dzieciaki. Niczego nie żałuję.

Żona Billy’ego-Petera siedziała nieco z boku i szydełkowała. Geraldine Bavis. Wish sam umówił się z nią kilka razy, zanim wyjechał z Renew. Mówili na nią Deen. Ksiądz nakrył ich nad Aggie Dinn’s Cove; nic jeszcze wtedy nie zaczęli, było tylko trzymanie się za ręce i parę niewinnych pieszczot. Monsignore Power postanowił wybić im czułości z głowy, grożąc im ogniem piekielnym, i pokuśtykał za Wishem, okładając go po ramionach brzoźową laską. Następnej niedzieli w kościele prałat naskoczył na rodziców Deen, wyrzucając im brak formacji duchowej córki. Dziewczyna już nigdy nawet nie spojrzała na Wisha.

Dwóch chłopaków siedzących na leżance z Tomem Keatingiem stanowiło potomstwo Billy’ego-Petera i Deen.

– Jak mają na imię? – spytał Wish.

– Ten tutaj to Billy – wyjaśnił Billy-Peter. – A mały to Peter. Na górze śpi trzeci.

– Nie marnowaliście czasu – stwierdził Wish, na co Deen uśmiechnęła się do koronkowej serwetki, nad którą pracowała.

Najstarszy miał prawie dziesięć lat, na czubku głowy grzebień zadartych włosów. Niespokojne usposobienie, które sprawiało, że

przywodził na myśl ptaka, na przemian przestraszonego i bezczelnego.

– Byłeś na wojnie – zagaił.

Dotąd nikt o tym nie wspominał.

– Prawie nie byłem – zaprzeczył Wish. – Brytyjczycy poddali Singapur chwilę po tym, jak tam wylądowałem. Nie zdążyłem oddać ani jednego strzału.

Twarz chłopaka skrzywiła się w grymasie.

– To nikogo nawet nie zabiłeś?

Wish pociągnął łyk piwa.

– Tego nie powiedziałem, prawda? – Zwrócił się do Billy’ego-Petera: – A gdzie ostatnio mieszkuje Lilly?

– W klasztorze. Słyszałeś, że przez jakiś czas była w mieście?

– Owszem.

– Teraz trzęsie całym zakonem. Siostrzyczki świata poza nią nie widzą, jakby była nowo narodzonym barankiem.

– Będzie przeszczęśliwa, jak cię zobaczy – oznajmiła Patty. – Ona nigdy nie wierzyła, że zaginałeś na dobre.

Wish zerknął na Toma, który najwyraźniej znowu uciął sobie drzemkę tak, jak siedział.

– Przeze mnie nie możecie normalnie pójść spać.

– Mamo, zaprowadź go do łóżka – powiedział Billy-Peter.

Minęło jeszcze kilka godzin, zanim reszta zebranych w kuchni rozeszła się do łóżek na górze lub do swoich domów. W końcu Wish i Billy-Peter zostali we dwóch przy piwie; palili, żeby zająć czymś ręce.

Po przeprowadzce do Renew’s Wish zaczął służyć do mszy razem z Billym-Peterem. Nosili krzyż za księdzem Powerem,

dzwonili, przyklękali, skłaniali głowy. Sennie powtarzali modlitwy po łacinie, chyba że jakaś fraza rozbudziła ich pokwitającą wyobraźnię. *Aufer a me, Domine, cor lapideum, aufer cor coagulatum, aufer cor incircumcisum*. Zabierz serce z kamienia, zabierz serce zatwardziałe, zabierz serce nieobrzezane. Nawet po łacinie ta wzmianka wystarczyła, by obaj zaczęli ukradkowo chichotać. Ksiądz Power musiał pacnąć każdego dłonią w tył głowy, by stłumić śmiech, zanim wymknie im się spod kontroli.

Gdy kobiety podchodziły do komunii, chłopcy polowali na nieczęsty widok głębszego dekoltu. Zdejmując komże po mszy, wystawiali dziewczynom oceny, szeregowali je w porządku pożądania. On nazywał swoje zestawienie *The Wish List*^[18].

– Gdybym tylko kiedyś dorwał tę Geraldine Bavis – rozmarzył się. – Chryste Panie.

Billy-Peter odepchnął go obiema rękami.

– Musisz najpierw obrzezać swoje serce!

– Wyglądacie z Deen na szczęśliwych – powiedział Wish w kuchni Keatingów.

– Radzimy sobie. Ty też wyglądasz nie gorzej niż przed laty.

– Ani zadrapania. – Wish uniósł ramiona w tym samym geście skruchy co przed paroma godzinami.

– Nie zabawisz tu dłużej, co?

– Zostawię ci trochę pieniędzy, żebyś zaopiekował się Lilly.

– W klasztorze niczego jej nie brakuje.

Wish wyjął portfel i odliczył sto dolarów. – Bądź co bądź.

– Odłożę je. Na wszelki wypadek.

– Mam więcej, gdybyś potrzebował. Dam wam znać, jak gdzieś się osiedlę.

– Podczas wojny przyjechała tutaj twoja kobieta, wiesz? – powiedział Billy-Peter.

– Mercedes?

– Z drugą dziewczyną i amerykańskim żołnierzem. Szukała ciebie. – Zamilkł na chwilę. – Co się z nią stało?

– Wyszła za tego Amerykańca.

Billy-Peter lekko odchylił głowę do tyłu. – Serio? – Wyglądało na to, iż ta informacja stanowi odpowiedź na wszystkie jego pytania dotyczące losów Wisha po wojnie. – Gdzie zamierzasz teraz pojechać?

Wish wzruszył ramionami. – Tak pomyślałem, że mógłbym spróbować szczęścia pod Bostonem.

3.

Bladym świtem obudził się ze wzrodem. Gdy wstał, popatrzył w dół ze zdziwieniem. Podniecenia nie czuł za grosz, ale na tej pale mógłby spokojnie zawiesić płaszcz.

– Kogo to ja widzę – powiedział. Próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatnio był w tym stanie. Żył już samotnie tak długo, że prawie nie zauważał tego braku. Nie potrafił ustalić w przybliżeniu ani czasu, ani miejsca.

Na Nową Fundlandię wrócił na dobre w początku lat osiemdziesiątych, gdy Billy-Peter napisał, że Lilly znowu przyjęli do Waterford. Wish pracował wtedy jako mechanik w przydrożnej stacji obsługi w Nowym Meksyku. Żył samotnie po niedawnej implozji ostatniego związku w długiej serii romansów z kobietami dorównującymi mu pod względem niewyparzonego języka i słabości do alkoholu. Nalewał paliwo, naprawiał tłumiki, zmieniał

olej. Dobijał już do sześćdziesiątki i czuł, że jemu również przydałaby się jakaś zmiana.

Billy-Peter zaszedł do niego koło dziesiątej i rozgościł się w kuchni, zasiadając przy stole z filiżanką kawy. Po śmierci Deen odwiedzał Calvert regularnie. W każdy czwartek przyjeżdżał, by podczas odwiedzin Wisha u Lilly w św. Patryku ugotować gulasz lub usmażyć w głębokim tłuszczu frytki z mortadelą. Wieczorem siadali we dwóch z talerzami na kolanach, oglądając jakiś mecz albo stary film wyłapany przez antenę satelitarną przykręconą na dachu przez najstarszego syna Billy'ego-Petera.

– Jakież nowiny? – spytał Billy-Peter, podnosząc kubek do ust. Na głowie miał niebieską bejsbolówkę, nasadzoną tak wysoko, jakby między włosami a czapką upchnął sobie płaty bawełny.

– Dzisiaj rano mi stanął – oznajmił Wish, na co Billy-Peter wyrzucił nosem strumień kawy. – Wiem, wiem – powiedział Wish z niedowierzaniem.

Billy-Peter otarł twarz.

– Cuda i znaki – powiedział – na czas ostateczny.

Wish roześmiał się razem z nim. Nie mógł jednak wyzbyć się wrażenia, że faktycznie kryje się w tym coś nedorzecznie apokaliptycznego. To było zmartwychwstanie tak nieoczekiwane i zagadkowe, że musiało nieść za sobą jeszcze jakieś inne znaczenie poza samym fizycznym faktem. Nadal to roztrząsał, kiedy po *Kole fortuny* zabrał Lilly do świetlicy. Gdy sadowił ciotkę przy stole pod oknem, ktoś brzdąkał na pianinie stare hymny i rozrywkowe kawałki, a Lilly fałszywie nuciła ich melodie. Przyniósł do stołu talię kart i plastikową tabliczkę do zaznaczania punktów w *cribbage*, którą trzymał w jej pokoju, po czym rozdał karty.

Pomyślał, że może również popada w obłąd, że spędza zbyt wiele czasu w towarzystwie obłąkanych.

Lilly była w stanie podnieść karty i utrzymać wachlarz, ale w trakcie gry Wish musiał wskazywać jej karty po kolei, aby dowiedzieć się, których chce się pozbyć, a które wyłożyć na stół. Był zadziwiony tym, że ciotka zawsze jest w stanie grać. Zdarzały się dni, gdy nie wiedziała, gdzie się znajduje, nie pamiętała, jak siostrzeniec ma na imię, ale nigdy nie zapominała prostej, karcianej arytmetyki, zasad i schematów władających grą. Wish obliczał jej wynik na tabliczce, przesuwając zapałki, których używali zamiast kołków do punktacji. Starał się przegrywać i zazwyczaj mu się to udawało.

– *Laurus* – obwieszczała Lilly po każdym zwycięstwie, klaszcząc w dłonie. Wish zwieszał głowę w wyrazie udawanej rozpacz i powtarzał pod nosem: – *Fundo, fundo, fundo.* – Klęska, klęska, klęska.

Gdy po powrocie na Nową Fundlandię odbył rozmowę z lekarzem opiekującym się Lilly w Waterford, dowiedział się, że przebierała się w stroje przypominające z grubsza szaty kapłana – niektóre wykradzione z kościoła, inne zaimprovizowane z własnych ubrań. Błąkała się po Renews, udzielając sakramentów mewom i psom, dokonując po łacinie egzorcyzmów na owcach, kamieniach i zardzewiałych szczątkach pralki porzuconej przez kogoś przy drodze. Na twarzy lekarza dało się dostrzec lekki uśmiezek.

– Panu się to wydaje przezabawne, co? – spytał Wish.

Lekarz wzruszył ramionami. Mówił z lekkim akcentem, chyba wschodnioeuropejskim.

– To dość nieszkodliwe urojenia – stwierdził. – Dużo mniej niepokojące niż jej dawniejsze wysoki. Jej stan się ustabilizował. Nie widzę przeciwwskazań, aby ją wypisać.

– To co jeszcze tutaj robi?

– Nie ma gdzie się podziać, panie Furey. Klasztor w Renews został zamknięty. Nie mamy dokąd jej odesłać.

Wish kupił w cenie używanego samochodu opuszczony dom w Calvert, pomiędzy St. John's a Renews. Używany samochód również kupił. Dwa razy w tygodniu dojeżdżał nim z południowego wybrzeża Avalonu do St. John's, by odwiedzać Lilly i załatwiać formalności związane z przeniesieniem jej do domu opieki. Później przez większość dekady odbywał cotygodniowe pielgrzymki do św. Patryka, by oglądać z ciotką telewizję i pozwalać jej ogrywać się w karty pod oknem w świetlicy.

Fundo, fundo, fundo.

Po trzeciej porażce z kolei ustawił zapalki w ich wyjściowej pozycji na tabliczce.

– Twarda z ciebie sztuka, Lilly. Cholera, cieszę się, że nie gram z tobą na pieniądze.

Kiedy podniósł wzrok, ciotka uśmiechała się, spoglądając na coś ponad jego ramieniem. Nagle poczuł na karku czyjąś dłoń, lekkie muśnięcie. Obrócił całe ciało, żeby nie naciągnąć sobie pleców. Kobieta cofnęła rękę jak oparzona. Była korpulentna, miała siwe włosy, a z jej twarzą coś było nie tak – na policzku dostrzegł długą, ledwie widoczną szramę otoczoną plamą martwoty. Przekreślił się na krześle jeszcze mocniej, by popatrzeć prosto na nią. Ona cofnęła się o krok; nie z niepewności, lecz by lepiej mu się przyjrzeć.

– Chciałam się tylko upewnić – wyjaśniła, wskazując jego szyję. – To znamię.

A wtedy coś w tej kobiecie dało krok naprzód, jakby wyszła z ocienionych drzwi prosto w słońce. Jakby dziewczyna, którą niegdyś znał, wyjrzała przez okno w tym, co pięćdziesiąt lat może zrobić z człowiekiem. Oczy zielone jak kawałki szkła oszlifowane przez morze.

– Oż, w cholere. Mercedes Parsons.

– Wish, myślałam, że jesteś martwy.

Przez myśl przemknęło mu słowo „spóźniony”, ale nie był w stanie go wypowiedzieć. Mercedes przyglądała mu się ze stoickim spokojem, ani trochę nie zbита z tropu. Jej opanowanie podsyciło tylko popłoch, który ogarniał Wisha. Musiała się spodziewać, że zostanie go przy tym stole, musiała go jakoś wytropić.

– Dobry Boże, Mercedes.

Odsunęła jedno z krzeseł i usiadła przy stole.

– Witaj, Lilly.

Lilly skłoniła się na swoim wózku.

Wish był zamroczony jakby się upił; uśmiechał się głupkowato, by ukryć zaskoczenie, nagły przyptyw strachu. „Teraz nic jej nie powstrzyma” – pomyślał. Wyciągnął z pudełka jeszcze dwie zapałki i umieścił je na tabliczce, po czym posłał Mercedes pytające spojrzenie. Siedzieli w milczeniu, podczas gdy Wish tasował i rozdawał karty. Podczas tej i następnej partii nie odzywali się do siebie, nie licząc pólówek niezbędnych do rozgrywania kolejnych rozdań i podliczania wyniku. Wish schronił się za przypadkowym deszczem kart, za prostymi wzorami piętrzącymi się na stole w toku gry. Próbował odgadnąć, co ona tu

robi, wymyślić, co mógłby jej powiedzieć. Mercedes zdawała się w pełni zadowolona z siedzenia z nim tutaj tak, jakby siadywali razem przez całe życie, jakby nic między nimi nie wymagało odpowiedzi, wyjaśnień czy przeprosin. Za każdym razem, gdy się do niego uśmiechała, Wish czuł się tak samo, jak tamtego pierwszego popołudnia w Cove, gdy czekał na nią w pustej sali, a ona i tak go zaskoczyła, stając w drzwiach. Wyczekujący i obnażony. Przestraszony, dziecinny, niecierpliwy. Całkiem skołowany.

Pod przeciwległą ścianą pianista z trudem kuśtykał przez utwór, który Wish pamiętał z czasów wojny. Muzyka sprawiła, że w jego umyśle rozbrzmiały słowa: *We'll meet again, dont know where, don't know when*^[19]. Ta melodia wydawała mu się nieprawdopodobnie prastara, przedwieczna niczym światło.

Lilly przysnęła na swoim wózku. Wish rozważał odwiezienie ciotki do pokoju, lecz bał się zniweczyć czar kart, nadać inny bieg sprawom między sobą a Mercedes. Zamiast tego po prostu przestał rozdawać karty Lilly. Dalej grali we dwójkę. Przekładając karty, Wish stukał w talię na szczęście. Po jakimś czasie Kathleen podeszła do nich i odwiozła Lilly do pokoju. Grali jeszcze przez chwilę, lecz brak staruszki napełnił ich niepokojem, jakby zwrócił ich uwagę na całą masę innych braków. Mercedes rozdała karty i popatrzyła na Wisha znad wachlarza.

- Co robisz na Nowej Fundlandii? – spytał.
- Mąż chciał, żebym rozsypała tutaj jego prochy.
- Zmarł?
- Trzy lata temu.

Pomyślał, że powinien złożyć jej kondolencje, ale zdołał wydukać tylko: – Skąd wiedziałaś, że mnie tutaj znajdziesz?

– W zeszłym tygodniu złożyłam wizytę Lilly. Kathleen powiedziała mi, że bywasz tutaj regularnie.

– Kurwa mać, ta to miele ozorem. – Wish podniósł swoje karty i zaczął bez celu przekładać je w rękach. – A jak znalazłaś Lilly?

Widział, że zwleka, jak gdyby preparowała kłamstwo, lecz w ostatniej chwili powstrzymała się przed jego wypowiedzeniem. Wzruszyła ramionami.

– Czysty przypadek.

Cyfry i rysunki na kartach przestały dla niego cokolwiek znaczyć; uczucie oszołomienia niepostrzeżenie powróciło.

Mercedes poprosiła: – Opowiedz mi o Jimie Harrisie.

Błyskawicznie podniósł wzrok.

– O Jimie Harrisie – powtórzyła. – Po wojnie przysłał mi krótki list i tamten kawałek sznurka. Co miało oznaczać, że nie żyjesz.

To było oskarżenie; Wish czuł, że rumieniec zalewa jego twarz.

– Byłaś już wtedy zapyłona, co nie?

Zdrowa strona jej twarzy skrzywiła się, jakby ją spoliczkował.

– Według Hiramby byłaś – zaczął, próbując nie wyjść na takiego dupka.

– Czekałam na ciebie, dopóki nie... – Zamilkła i powiodła dłońmi po spódnicy. – Nie dostałam od ciebie żadnej wiadomości – szepnęła.

Wish wyjął chustkę i otarł oczy. „Staruszek” – pomyślał. Ostatnimi czasy płakał na zawołanie, jak gdyby ktoś odkręcał mu w głowie kurek. W rocznicę lądowania w Normandii poszedł pod

pomnik i poryczał się jeszcze przed rozpoczęciem ceremonii. Wycierał smarki chusteczką. „Żałosny pierdziel” – dodał. Odchrząknął i popatrzył w okno.

– Jim Harris – powtórzyła.

– Jimmy Harris... – zaczął, po czym znowu odkaszlnął. – Siedziałem z nim pod Nagasaki. Z nim i Ansteyem. Anstey już nie wyszedł z obozu. A Harris zaczął chorować, gdy jechaliśmy do domu pociągiem z San Francisco. Rak go zdemolował, nic nie zostało. – Wish nachylił się i popatrzył na swoje stopy. Jeden łokieć na stole, drugi na oparciu plastikowego krzesła.

– Byłeś z nim. Jechałeś tym pociągiem.

– Byłem z nim przez cały czas. Byłem, gdy zrzucili bombę. I wtedy, gdy przeszukiwaliśmy gruzy. – Zerknął na nią. – Zmierzam do tego, że to, co przyprawiło go o chorobę, siedziało również we mnie. Lekarze tego przede mną nie ukrywali. – Pokręcił głową. – Nikt nie zasługuje, żeby przez coś takiego przechodzić. Żeby patrzeć, jak ktoś kona w taki sposób.

Podniosła swoje karty.

– Zachowałam ten list na długo. List i sznurek. – Ani śladu łez. Chłodna, cicha furia.

– Zmusiłem go, żeby napisał do ciebie – przyznał Wish, prostując się na krześle. – Z początku nie chciał. Mówił, że to... – Przekrzywił głowę, jakby przysłuchiwał się rozmowie toczonej na drugim końcu sali. – Powiedziałem mu, że jeśli tego nie zrobi, pozwolę mu umrzeć w samotności.

Poprzekładała karty w swoim wachlarzu. Wish widział, że Mercedes rozważa to, co usłyszała, że próbuje na nowo poukładać fakty ze swojego życia w świetle tego, że on siedzi przed nią żywy.

Spodziewał się, że znienawidzi go, zanim skończy te wysiłki. Nie mógł jej za to winić.

Zanim Japończycy skapitulowali, jeńcy z obozu Nagasaki #14 zostali podzieleni na brygady i przewiezieni do miasta, gdzie zbierali i palili zwłoki. Pośród ruin leżały niezliczone tysiące ciał, a w niektórych trudno było już dopatrzeć się ludzkich kształtów. Poczerniałe kości – kręgosłupy z miednicami, kości udowe, czaszki – wciąż ciepłe w dotyku, wiele dni po wybuchu. Wydobywali ciała spod gruzów: kadłuby, ręce i nogi, niczym jakieś dziwaczne podmorskie stwory wywleczone na powierzchnię. Układali trupy w sterty, polewali stosy ludzkiego mięsa benzyną i podpalali. Twarze zakrywali sobie szmatami, próbując odgrodzić się od gęstego fetoru wiszącego w powietrzu. Bez względu na porę dnia w mieście panował wciąż niebieskawy, pylasty półmrok. Pierwszego ranka Wish ujrzał kobietę siedzącą na betonowym stopniu: szyję, twarz i bok głowy miała spieczone na wiór, dziury w postrzępionym skalpie odsłaniały ściemniałą biel czaszki. Karmiła piersią niemowlę, którego plecy pokryły się pęcherzami od promieniowania. Dziecko skojarzyło się Wishowi z kawałkiem słoniny wyjętym z pieca. Kobieta zdawała się nie dostrzegać ani otoczenia, ani niemowlęcia, które trzymała w ramionach. „Umarli dla świata” – pomyślał. Nie czuł jednak cienia współczucia dla kobiety i jej dziecka. To był jego pierwszy dzień poza celą, każdy ruch sprawiał mu ból; oddawał się ciężkiej pracy przy zwłokach z ponurą satysfakcją. Co najmniej tego samego, co tam widział, życzył każdemu złotemu skurwielowi w tym kraju.

Mercedes spytała: – Naprawdę pozwoliłbyś Harrisowi umrzeć w samotności?

Przez jego twarz przemknął zawzięty uśmieszek.

– Nie wiem. To było dawno temu.

– Wish, którego znałam...

Wzruszył ramionami.

Złożyła dłonie i karty na kolanach.

– Nigdy mnie nie szukałeś? Nawet ci to przez myśl nie przeszło?

– Mercedes, to było dawno temu.

—

Poszli razem korytarzem do pokoju Lilly. Mercedes wzięła go pod rękę, a on nie wiedział, jak się od niej opędzić, dopóki nie musieli odsunąć się pod przeciwległe ściany, by przepuścić środkiem jedną z pensjonariuszek na wózku inwalidzkim. Później trzymał się już blisko swojej ściany, tak by Mercedes nie mogła go dotknąć, nie wyciągając celowo ręki.

W pokoju Lilly przed telewizorem siedziała młoda kobieta, której Wish nie znał.

– Cześć, Bella – przywitała się Mercedes.

– Znudziło mi się siedzenie na dole – oznajmiła dziewczyna, mierząc Wisha wzrokiem.

– To moja córka – przedstawiła ją Mercedes.

Wish patrzył to na jedną, to na drugą kobietę.

– Jest za młoda – powiedział.

Mercedes klepnęła go wierzchem dłoni.

– Nie jestem aż taka stara.

Opamiętał się i wybuchnął śmiechem, jakby powiedział to tylko dla żartu, po czym przedstawił się dziewczynie.

– Isabella – przywitała go, przyglądając mu się nieufnie.

Nie miał pojęcia, jak wiele o nim wiedziała.

– Jak znalazłaś pokój Lilly? – spytała Mercedes.

– Wychodząc z windy, natknęłam się na wulkan energii.

– Kathleen?

– Powiedziała, że mogę tutaj na ciebie poczekać. – Bella wstała z fotela. – To co, jedziemy?

Mercedes szybko rozejrzała się po pokoju. Wyglądało na to, że pytanie córki ją zaskoczyło. Zerknęła na Wisha, lecz ten unikał jej wzroku.

– Chyba tak. Dobrze, jedziemy.

Isabella wyszła na korytarz, by tam poczekać na matkę. Mercedes znowu zaczęła rozglądać się po pokoju tak, jakby mieszkała w nim przez lata i miała opuścić go na zawsze.

– Mamo! – zawołała Bella.

– W porządku. Do zobaczenia, Lilly. – Mercedes odwróciła się do Wisha, lecz zaraz ruszyła ku drzwiom. Przystanęła w nich na chwilę, plecami do pokoju. – Zamierzam odwiedzić Cove – powiedziała. Gdy spojrzała na Wisha, zadziwiła go długość jej blizny, dziwaczna martwota tej części twarzy. Wydawało się, że jest sparalizowana po wylewie. – Chcę pojechać do Fogo i poszukać kogoś, kto popłynąłby ze mną do Cove. Nie chciałbyś przypadkiem się wybrać?

– Nie – odparł. – Nie. Dziękuję. Obowiązki mi nie pozwolą.

Zauważył, że ta bezceremonialna odmowa sprawiła jej ból.

Musiał ugryźć się w język, żeby nie zacząć roztrząsać tematu. Stał, słuchając, jak Mercedes z córką idą korytarzem do windy. Brał długie wdechy, jeden za drugim. Myślał: „Już po wszystkim”. Ta myśl nie przyniosła mu żadnej ulgi.

Gdy wrócił do Calvert, wóz Billy'ego-Petera stał jeszcze na zwirowym podejździe przed domem. Zapadał już zmierzch, w domu paliło się światło. Z komina leciał dym, szczapy płonęły w piecyku, przepędzając wieczorny chłód. Wish przez jakiś czas siedział w samochodzie. Z jakiegoś powodu widok wozu Billy'ego-Petera go zaskoczył. Zdziwił go widok samego domu. Nie pamiętał drogi powrotnej z St. John's, myślał o Harrisie, o śmierci Ansteya na chwilę przed japońską kapitulacją.

W ostatnich dwóch dniach życia Anstey zapadał w sen tak głęboki, że były to swego rodzaju omdlenia. Nie był świadomy jakichkolwiek ruchów czy hałasów w otoczeniu, bólu i niewygód, własnego głodu i pragnienia. Wiedzieli już, że lada chwila wojna dobiegnie końca, przez co fakt, iż nie mogą nic zrobić dla przyjaciela, napawał Wisha jeszcze dotkliwszym poczuciem bezsilności. Brytyjski lekarz podnosił koce, by zbadać sine stopy chorego, skontrolować postęp plam sunących ku jego kolanom. Anstey od czasu do czasu wynurzał się z ciężkiego snu, by spytać o datę, o porę dnia. Wymieniał imiona Wisha i Harrisa, a gdy mu odpowiadali, niemal niezauważalnie kiwał głową. A potem znowu zapadał w sen, nieraz na kilka godzin.

Pod koniec życia Ansteyem targały spazmy niemej paniki, głowa mechanicznie podskakiwała na łóżku, ślepe oczy otwierały się szeroko, a szczęki pracowały tak, jakby w powietrzu zabrakło tlenu. Harris obejmował go ramieniem, żeby się położył; szeptał coś, żeby go uspokoić, choć nic nie wskazywało na to, że przyjaciel go słyszy. W przeciągu kilku sekund Anstey znowu osuwał się w śmiertelny bezruch, lecz jego nedorzeczne rozgorączkowanie w chwilach ataku przyprawiało Wisha o mdłości. Miał wrażenie, że

ktoś raz po raz zmusza go do oglądania egzekucji. Ramiona Harrisa drżały, gdy wodził palcami po czole i policzkach Ansteya. „Co za pierdolony skurwiel” – tylko tyle mógł z siebie wykrztusić. „Co za jebana pizda”. Nie było wątpliwości, kogo miał na myśli.

Skremowali zwłoki Ansteya zaraz po jego śmierci, a następnej nocy Wish wymknął się z obozu z jego prochami. Włożywszy urnę i latarkę do parcianej torby, wyjechał na rowerze, który stał oparty o ścianę głównej wartowni. Spodziewał się, że mogą go zastrzelić, ale nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Po wybuchu niektórzy strażnicy zdezerterowali, wśród nich również i tłumacz. Ci, którzy zostali, zajmowali się obozem z obojętnością równą tej, z jaką w mieście matka karmiła swoje poparzone dziecko. Zdawało się, że wszystko, co widoczne gołym okiem, było całkiem pozbawione znaczenia.

Był zbyt słaby, by wjechać na rowerze pod górę; zmagając się z podjazdami, pochylał się nad siodełkiem i kierownicą. Zjeżdżając po drugiej stronie, próbował złapać oddech. We Francuskiej Świątyni dotknął stóp Maryi, po czym ostrożnie wszedł pomiędzy tłumy kryjące się w kościele. Zamierzał odmówić różaniec, ale wokół ołtarza koczowali cywile w przeróżnych stanach udreki, Wish ruszył więc prosto do podziemi.

Błąkał się po korytarzach, otwierając na oścież kolejne drzwi, świecąc latarką po ścianach. W każdym pomieszczeniu spoglądały na niego przestraszone oczy. Gdy wreszcie odnalazł kryptę, zastał tam kogoś wyciągniętego na podłodze. Dał krok nad śpiącym mężczyzną i powiódł snopem światła po półkach. Gdy natrafił na kilka nazwisk i jednostek, które rozpoznawał, złożył wśród nich szczątki Ansteya i odwrócił się w stronę drzwi. Światło

przemknęło po śpiącej postaci. Okulary w drucianych oprawkach odłożone na podłodze przy głowie mężczyzny. Wisła zaczęła piec skóra na czaszce; trwał w bezruchu, czekając, aż zawrót głowy ustanie. Przykucnął przy człowieku leżącym na ziemi. Z ust zionęło mu alkoholem. Ciemny pieprzyk wysoko na lewej kości policzkowej.

Nishino zadomowił się w krypcie: tu i tam ubrania, kubek, parę butelek bimbrowego przez Wisła w obozie, jako oświetlenie kilka wotywnych świeczek. W kącie wiadro śmierdzące gównem. Zamienił swój mundur na cywilne ubrania, ale pod ścianą leżał wojskowy worek. Wisł dał krok nad Japończykiem i zajrzał do worka. Pistolet w skórzanej kaburze. Zerknął przez ramię na śpiącego mężczyznę, starając się myśleć, myśleć, myśleć. Zastanawiał się, czy nie zabić go na miejscu, czy po prostu nie wpakować mu kulki w łeb. Nie wiedział, czy w kościele nie koczują jacyś inni żołnierze, a jeśli tak, to czy w razie czego pofatygują się, żeby go zatrzymać. Wyjął kaburę z worka i podkraść się do drzwi. Opróżniwszy magazynek, wsunął naboje do kieszeni na piersi i wrócił do krypty, by odłożyć broń do worka Nishino.

Przed kościołem przyklęknął u stóp Maryi, wyszeptał krótką modlitwę. Wyciągnął rower z krzaków, w których go wcześniej ukrył, i ruszył w drogę powrotną do obozu, zdeterminowany, ogarnięty euforią. Gdy jechał, w jego głowie rozbrzmiewały słowa: „Dał go Bóg w ręce moje”.

Billy-Peter wyszedł przed dom.

– Kolacja gotowa! – zawołał.

Wish otworzył drzwi samochodu i wysunął na zewnątrz nogi, dodatkowo popychając bezwładny ciężar rękami. Nie wiedział, czy zdoła ustać o własnych siłach, przez parę minut opierał się więc o drzwi, by nabrać pewności. Sięgnął do samochodu, by wyjąć kawę, którą kupił w drodze powrotnej, po czym poniósł ją do domu. Wchodząc do kuchni, zatoczył się lekko i uderzył o stół.

Billy-Peter zaśmiał się: – O Jezu, chyba nie idziesz tak dziwnie, bo znowu ci stanął, co?

– Boli mnie głowa – odparł Wish, mijając Billy’ego-Petera i kierując się do sypialni na tyłach domu.

– No to chyba zostawię ci kolację w piekarniku?

Nie pofatygował się, żeby odpowiedzieć. Zamknął za sobą drzwi sypialni.

Nazajutrz obudził się późnym rankiem. Przysiadł na łóżku i powoli rozejrzał się po pokoju, próbując odgadnąć porę dnia po kącie, pod jakim światło wpadało przez okno. Po blacie biurka walały się drobniaki i kubki po kawie. W szafie puste plastikowe wieszaki, pod nimi sterta brudnych ubrań. Czuł wściekły kociokwik, był smutny i niespokojny, choć nie potrafił określić przyczyny. Podniósł z szafki nocnej niemal pusty kubek z Tim Hortons i dopił resztkę zimnej kawy.

Wciągnął na siebie spodnie i koszulę, walające się po podłodze przy łóżku, po czym ruszył bosy do kuchni, wciąż mocując się z rozporkiem. Przy kuchennym stole zastał Billy’ego-Petera z Mercedes, jej córką oraz trzecią kobietą, której nie znał. Popijali sobie herbatkę, jakby to był normalny poranek w tym domu. W tym momencie wszystkie wydarzenia poprzedniego dnia wypłynęły na powierzchnię jego umysłu.

– Dzień dobry – przywitał go Billy-Peter, wstając z krzesła.
– Zaparzę ci kawy.
– Co ty tutaj robisz, do cholery?
– Zostałem na noc. Wieczorem pomyślałem, że powinienem mieć cię na oku.

– Nie do ciebie mówię. – Odwrócił się do Mercedes. – Jak mnie tutaj znalazłaś?

– Kathleen powiedziała mi, że mieszkasz w Calvert.

– Chryste Panie, ja pierdołę. Co za długaśny jęzor. Isabella skwitowała: – Czarujący jegomość, mamó. Przyjrząwszy się trzeciej kobiecie, rozpoznał w niej siostrę Mercedes. Trzymała w ręce małe zdjęcie portretowe. Spytał ją:

– Skąd to masz?

– Wcześniej zaszedłem do sypialni, żeby zobaczyć, czy już przypadkiem nie wstałaś – wyjaśnił Billy-Peter. – Pomyślałem, że panie zechcą je zobaczyć.

To był portret wykonany podczas wojny w zakładzie Hirama, Mercedes w młodości, prastare czernie pomięte i wypłowiałe. Sam Wish nie patrzył na fotografię od lat, kopertę wyciągnął na wierzch poprzedniego wieczora, siedząc samotnie w sypialni. Tylko po to, żeby przypomnieć sobie fakty fizjonomii Mercedes. By zestawić ją z twarzą kobiety, która zasadziła się na niego w domu opieki. Potem odłożył zdjęcie na biurko. Gdy ujrzał je wyciągnięte na widok wszystkich zebranych, zalała go fala emocji. Niesprecyzowane, podstępne wrażenie, że został zdradzony. Wskazał palcem Billy’ego-Petera.

– Ty suczy pomioście – zaczął.

– Wish, uspokój się.

– Wypierdalaj mi stąd. I oddawaj klucz do drzwi.

– Nie masz zamka w drzwiach, ty głupi chuju.

Wish przez chwilę przyglądał się Billy’emu-Peterowi.

– Kurwa. – Pomaszerował na ganek i wcisnął gołe stopy do butów.

– Dokąd się wybierasz?

– Idę się napić u Mercera.

– Mercer otwiera dopiero w południe.

– Zaczekam. – Wyprostował się i sięgnął do klamki.

– Wish.

– Co, do cholery?

– Masz rozpięty rozporek – powiedział Billy-Peter z cwany uśmieszkiem.

– Kurwa mać – szepnął Wish.

A Isabella i ta druga – jak jej było na imię? – obie wybuchnęły śmiechem, kiedy on walczył z rozporkiem. Zdjął z wieszaka bejsbolówkę i wyszedł. Żwir podjazdu zachręścił pod jego stopami. Przy samochodzie Wish zdał sobie sprawę, że zostawił kluczyki w domu.

Kiedy wrócił, Billy-Peter skinął na ekspres do kawy i powiedział: – Już prawie się zaparzyła.

Wish coś wykrzyknął, jakąś gardłową, pozbawioną sensu sylabę. Rzucił bejsbolówkę przez kuchnię, ale w pół drogi do blatu czapka obróciła się i spadła na linoleum. W jego piersi coś przekręciło się i opadło dokładnie w ten sam sposób.

Mercedes powoli obracała filiżankę na stole, przyglądając się mężczyznom kontemplującym czapkę leżącą na podłodze.

– Mercedes, jaki to ma sens, żebym jechał z tobą do Cove? – spytał wreszcie Wish.

– Nie mam pojęcia.

– I nie masz też najbledszego pojęcia, z kim w ogóle rozmawiasz. Naprawdę nie masz.

– Może dlatego cię zapraszam.

– Usiądź sobie spokojnie, synku – powiedział Billy-Peter, stawiając na stole kubek kawy. – Ona jest uparta jak osioł.

Wish położył ręce na biodrach i popatrzył w sufit.

– Do najśłodszej kurwy nędzy.

Siostra Mercedes wstała i podsunęła mu składane krzesło. Czuł się pokonany na całej linii. Wdeptany w ziemię. Podszedł do stołu i usiadł obok niej. *Agnes* – tak miała na imię.

– Dziękuję, Agnes – powiedział. – Dziękuję.

4.

Pojechali samochodem Agnes, najpierw cztery godziny do Gander, a potem na północ, wzdłuż wybrzeży Notre Dame Bay. Przez cały czas było zimno i mokro, brzegi spowijała mgła.

– Pogoda na kapelany – stwierdził Wish.

Mercedes i Agnes wciąż przerzucały się spostrzeżeniami nad oparciem fotela, wyliczały zmiany, jakie zaszły na północno-wschodnim wybrzeżu, od kiedy jako małe dziewczynki mieszkały na Little Fogo. Utwardzone drogi i linie wysokiego napięcia. Szkoły, lodowiska i boiska do baseballa. Bungalowy z poddaszami. Wypielęgnowane trawniki. Sklepiki całodobowe.

Samo Cove zostało opuszczone w latach sześćdziesiątych, mniej więcej w tym czasie, gdy Amerykanie wynieśli się z bazy w

Pleasantville. Rząd prowincji zmusił mieszkańców dziesiątek małych, odizolowanych osad do przeniesienia się do miast ze szkołami i ośrodkami zdrowia. Ludzie pakowali do łodzi wszystko, co dało się zabrać, a porzucali to, czego się nie dało. Domy, magazyny i nabrzeża. Sieć pieszych ścieżek i szerszych drózek dla wózków, prowadząca do pomostów i szop nad wodą, rozjeżdżone saniami szlaki, którymi przed każdą zimą wleczono z lasów drewno na opał. Krzaki agrestu, Washing Pond, Spell Rock. Całe pokolenia pogrzebane obok siebie na cmentarzu.

Po wojnie większość dużych wysp w zatoce nawleczono na nitkę grobli, tak że ze stałego lądu można było pojechać na New World Island, a prosto stamtąd do Twillingate. Jednak na Fogo nadal można było dostać się tylko promem. Czekając w kolejce na przystani w Farewell, stali z włączonym silnikiem, żeby nie zmarznąć.

– Bella jeszcze nigdy nie płynęła łodzią – oznajmiła Mercedes.
– Prawda, Bella?

– Nie mogę się doczekać.

Dwa tuziny samochodów wjechały na dolny pokład promu. Gdy Wish zaciągnął hamulec, wszyscy wyszli we mgłę i stanęli przy barierce, by patrzeć, jak prom powoli odbija od nabrzeża. Poza osłoniętą przystanią poczuli orzeźwiające podmuchy wiatru; na otwartych wodach Notre Dame Bay promem zaczęło gwałtownie zarzucać to na sterburtę, to na bakburtę.

Bella położyła obie dłonie na poręczy i popatrzyła na białe grzebienie piany.

– Ile ma potrwać ten rejs?

– Mniej więcej czterdzieści pięć minut.

– Dobrze się czujesz? – spytała Agnes.
Z twarzy dziewczyny odpływały już wszelkie barwy.

– Chyba położę się na chwilę w samochodzie.
Agnes poszła z siostrzenicą; obie zniknęły pod pokładem.

– Jej ojciec też był do niczego na wodzie – przyznała Mercedes.
– Bella w ogóle wydaje się coś nie w sosie.
– Jest nie w sosie od urodzenia. – Mercedes zapatrzyła się w reling. – Ani trochę nie przypomina Marion.

– A ile Marion ma lat?
– Wish, Marion nie żyje.
– Ach. – Wychylił się za burtę. Mercedes opowiedziała mu o rodeo, o spłoszonym koniu i szramie na swojej twarzy, a on przez cały czas przytakiwał, wpatrując się w fale, jakby już kiedyś słyszał tę historię i nie przerywał jej tylko po to, by zrobić kobiecie przyjemność.

– Tak się zastanawiałem – przyznał. – Skąd ta blizna.
– Straciłam pięć zębów z tej strony. Kość policzkowa była potrzaskana. O śmierci Marion dowiedziałam się dopiero w szpitalu. Wstawili mi płytę. Na lotniskach uruchamia wykrywacze metalu. – Dotknęła policzka koniuszkami palców. – Większość nerwów obumarła.

– Nerwy akurat zawsze miałaś ze stali.
Wzięła go pod ramię.
– Bardzo długo obwiniałam o to wszystko ciebie.
Odchylił się, by dobrze jej się przyjrzeć.
– Rozumiesz, ta twoja plama na karku. A straciłam córkę w taki sposób. Jakby była w tym jakaś logika. – Zaśmiała się lekko na myśl o swojej naiwności.

Wish rozumiał, że trudno będzie od ręki zaprzeczyć jej wnioskowi. Świat zarzucał ludzkie życie tyloma bzdurami, że niektóre z nich okazywały się nedorzecznie przekonujące.

Milczeli przez dłuższy czas, wpatrując się w kilwater rozwijający się za promem, dopóki nie poczuli niosącego się po kadłubie drżenia silników pracujących na wstecznym.

Mercedes zapytała: – Co cię tam spotkało, Wish?

– Ile chcesz wiedzieć, Mercedes?

– Wszystko.

– Ależ kochana. Nie bądź zachłanna.

– Wszystko – powtórzyła.

Noc spędzili w pensjonacie prowadzonym przez małżeństwo z Ontario. Hendersonowie zaserwowali im na kolację małże zawijane w plasterki boczku oraz sałatkę z pomidorami, oliwkami i kozim serem.

– Ser sprowadzamy z St. John's. Dwa razy w tygodniu Richard jeździ do Gander po warzywa, ale i tak czasami trudno dostać cokolwiek świeżego – wyjaśniła pani Henderson.

– Za to powietrze jest zawsze świeże – dodał Richard. Żarcik wydawał się dobrze wyćwiczony i niezręczny zarazem. – Zresztą właśnie dlatego się tutaj przeprowadziliśmy – oznajmił i zaśmiał się ponownie.

Hendersonowie znali w Tilting człowieka, który od lat wypuszczał swoje owce w Cove na Little Fogo, żeby w lecie zwierzęta pasły się swobodnie na wyspie. Ponoć miał wypłynąć lada dzień.

Agnes grzebała w sałatce, dyskretnie odkładając na bok tyle sera, ile tylko mogła, by nie wydać się nieuprzejma. Kiedy

Hendersonowie wyszli z jadalni, szepnęła: – Tylko ludzie, którzy w dzieciństwie nie mieli kóz, mogą jeść coś takiego.

Nazajutrz przed południem stali już na przystani i przyglądali się, jak Gerry Foley wiąże nogi dwudziestu pięciu owcom i wnosi zwierzęta po jednym na pokład swojego kutra. Krępy, barczysty mężczyzna o bujnej brodzie przeszytej siwizną.

– Już prawie trzydzieści lat, jak wszyscy wynieśli się z Cove – powiedział. – Po co wam tam płynąć?

– Spędziłam tam dzieciństwo – wyjaśniła Mercedes.

– Serio? A jak się nazywasz?

– Parsons. Tak się nazywałam. Sadie Parsons.

Powtarzał jej imię pod nosem, jakby pocierał magiczną lampę.

– Sadie Parsons, Sadie Parsons. – Dźwignął na pokład kolejną owcę, po czym nagle odwrócił się do Mercedes. – To nie ty uciekłaś przypadkiem w czasie wojny, żeby szukać tego katolika?

– A co, czyżby pisali o tym w gazecie? – spytała Sadie.

– Nie mieliśmy wtedy gazety – wyjaśnił Foley. – Ale sporo gęb tutaj kłapało. Ten facet zginął na wojnie, zgadza się?

Mercedes popatrzyła na Wisha.

– To on? – spytał Gerry. – Słodki Jezu i Mario pocieszona. A więc jednak cię znalazła? Dziwne, że nigdy o tym nie słyszeliśmy. To wasza dziewczucha?

– Nie – wyjaśniła Isabella. – Nie ich.

Bella widocznie wzdragała się przed wejściem na pokład. Owce beczwały i wierciły się pod nogami, jakby cały pokład był jednym żywym stworzeniem. Niósł się od nich zapach gówna. Isabella usiadła na rufie, tak daleko od zwierząt, jak tylko się dało.

Stąpając ostrożnie, Mercedes przeszła na dziób. Znowu zimny dzień, ale już bez mgły. Little Fogo jak plamka w oddali.

Agnes w ostatniej chwili podjęła decyzję, że nie popłynie.

– Gdy w sześćdziesiątym szóstym zamknęłam za sobą drzwi naszego domu, wyglądał tak samo jak za życia rodziców – powiedziała. – I tak chcę go zapamiętać. – Gdy odpływali, patrzyła za nimi z nabrzeża. – Pozdrówcie wszystkich ode mnie! – krzyknęła.

Ledwie wypłynęli z zatoki, Bella zakryła usta ręką i nachyliła się do przodu.

– Ona zaraz zwymiotuje – obwieścił Wish, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Gerry krzyknął do niej ze sterówki: – Za burtę, moja panno! Chryste Panie, nie rzygaj mi w łodzi!

Dziewczyna pochyliła się nad relingiem i zwymiotowała do oceanu.

– Nie żałuj sobie, kochana! Zanęcisz ryby – zawołał Foley.

W sterówce Wish oparł się plecami o ścianę.

– Zadajesz sobie sporo trudu. Żeby tak wozić zwierzęta co roku.

– W domu muszę trzymać je za płotem. Rada twierdzi, że obżerają ludziom rabatki. Wszyscy teraz powykładali sobie na podłogach dywany, boją się, że wniosą do domu odrobinę owczego łajna. – Przewrócił oczami. – Weźmy na przykład ten kuter. Pływałem nim na dorsze od dwudziestego siódmego. Aż dwa lata temu rząd zamknął łowiska. Nie mają nic lepszego do roboty niż zatruwać mi życie swoimi zarządzeniami, dekrétami i

moratoriami. – Uśmiechnął się do Wisha. – Zdaje się, że o to właśnie walczyliśmy na wojnie.

Godzinę później rozedrgany kuter dobił do pomostu na płyciźnie po północnej stronie zatoki, pod Spell Rock. To był jedyny pomost w Cove, który jeszcze się nie zawalił. Nie uchodziło wątpliwości, że Gerry Foley musiał się porządnie napocić, żeby utrzymać go w takim stanie. Zeszli z pokładu, a mężczyzna zaczął łapać zwierzęta za nogi i wyładowywać je na nabrzeże. Bella, blada i rozedrgana, usiadła pod Spell Rock i oznajmiła, że dogoni ich za jakiś czas.

Mercedes i Wish ruszyli ścieżką ubitą kopytami owiec Gerry'ego. Po drodze Mercedes wskazywała każdy mijany budynek, wymieniając imiona jego mieszkańców, jakby gospodarze wciąż jadali i sypiali pod tymi zapadniętymi dachami. Po przykościelnej salce nie było śladu; Mercedes wyjaśniła Wishowi, że spłonęła w czasie wojny. Kościół jeszcze stał, ale drzwi gdzieś zniknęły. Przeszli przez otwarty portal. Świątynia zmieniła się w swego rodzaju oborę, ławki stały do góry nogami pod jedną ze ścian, a otwartą przestrzeń zaścielała słoma i wyschnięty owczy gnój. Podmuchy wiatru wdzierały się przez puste okna. Prosty, drewniany krzyż z ołtarza zniknął. Mercedes podeszła do okna i popatrzyła na cmentarz za kościołem.

– Jesteś gotowa, żeby tam iść? – spytał Wish.

– Jeszcze nie. Nie jestem. Pójdźmy najpierw na południową stronę przystani.

Powoli obeszli czarę zatoki. Ścieżką zaczął dreptać w ich kierunku tuzin owiec. Po Belli wciąż nie było śladu. Wszystkie warsztaty, sieciarnie i stojaki do suszenia ryb na dobre zniknęły

znad brzegu lub zmieniły się w stosy poszarzałego drewna. Z wody wystawały resztki kilku gabionów, stanowiących niegdyś fundamenty nabrzeży.

Wish wszedł ostrożnie w stertę drewna i odrzucił na bok badyle przykrywające kratownicę z nierówno ociosanych belek, po czym zaczął wodzić po niej dłońmi.

– Czego szukasz?

– To była czyjaś sieciarnia. Pomyślałem, a nuż... – Podniósł się znad belek i przeszedł nieco dalej, oddzielając kolejne deski od pozostałych. – Proszę bardzo – powiedział, przebiegając palcami po literach wyrytych nożem w belce. To był rejestr, kalendarz, dziennik, w którym przez lata dokonywano przypadkowych wpisów. Wish zaczął odczytywać je na głos.

Pułapka zarzucona 24 czerwca

Przygotowanie okna 17 marca 1959 wilgotno bez ptaków

Długość trumny 5'9"

22" od głowy do ramion, gł. 12"

21" szer. w barkach

Powrót do domu 12 maja 1946

Śnieżnie 4 kwietnia 1962, szkuta wyremontowana

Hood przy nabrzeżu wyładunek soli

17 czerwca nadal ani ryby

29 VI pułapka odczepiona od kry

zarzucona znowu 01 VII 1953

Wyprawa do sklepu 17 czerwca 1961

7 wrz. Clive Reid utonął rano

Znajome imię momentalnie wybiło go z rytmu. Przestał odczytywać napisy i wyprostował się. Mercedes już się od niego

oddalała, wracała na ścieżkę. Wszędzie wokół pobojowisko.

Wish zwrócił się twarzą do zatoki i przysiadł na belce, z której przed chwilą czytał. Słyszał narzekania owiec rozchodzących się po ścieżynkach. Gdy zerknął na Spell Rock, dostrzegł Bellę idącą w jego kierunku.

– Gdzie mama?

– Poszła na południowy brzeg.

Popatrzyli w tamtą stronę; zobaczyli Mercedes zmierzającą powoli ku domowi, w którym przyszła na świat.

Bella usiadła przy nim na belce i przez jakiś czas wpatrywała się w zatokę.

– To dla ciebie stąd uciekła, prawda? – spytała.

– Matka ci to powiedziała?

– Tata. Powiedział, że mama porzuciła całe swoje życie dla ciebie.

Wish uśmiechnął się do niej zaskoczony. Nie miał pojęcia, po co ojciec miałby mówić córce takie rzeczy.

– Wiesz, twoja mama i ja byliśmy wtedy tylko dziećmiakami.

– Aha – burknęła w sposób, który wskazywał na niezadowolenie lub powątpiewanie. Najwyraźniej zastanawiała się, czy mówić coś jeszcze na ten temat. Powiodła wzrokiem po plaży.

– Wygląda to tak, jakby ktoś zrzucił tu bombę.

– Powinniśmy iść do twojej matki.

—

Poprowadził Bellę wzdłuż ściany domu. Gałęzie świerków i olch drapały ich po rękach i nogach. Zajrzeli przez tylne drzwi prowadzące do kuchni; wewnątrz unosił się osobliwy zapach deszczu i mokrej trawy. Ani śladu Mercedes. Pleciony płot z gałęzi

zniknął z za domu. Nie było również zabudowań, które niegdyś stały na podwórzu. Pośród drzew rosnących gęsto za kuchnią stał tylko podwójny wychodek bez drzwi. Wish przeprosił Bellę i podążył ku niemu między krzakami borówek, stąpając po kwadratowych płytach z łupków, które niegdyś służyły za fundamenty spizarni i składzików.

Wygódka, która spośród wszystkich zabudowań stała najdalej od domu, była niemal całkiem zarośnięta krzakami. Wish przecisnął się między gałęziami i wszedł do kabiny pozbawionej drzwi. Sikając w ciemność, czuł niedorzecznie słodki zapach mchu. Wyszedł na zewnątrz i, zapinając rozporek, przyjrzał się małemu budynekowi. To na pewno nie był ten sam wychodek, który stał tutaj w tysiąc dziewięćset czterdziestym, a jednak Wisha bez ostrzeżenia dopadła myśl o tym, jak oparł młodą Mercedes o ścianę, jak przyklęknął pod jej zadartą spódnicą, by wtulić usta w jej słodycz. W niezrozumiały sposób wróciło do niego echo uczucia, które mu wtedy towarzyszyło. Czuł się żaloszny, lekkomyślny, absolutnie przekonany do tego, co robi. Zdał sobie sprawę, że zdążył już o tym zapomnieć. Zawsze potrafił przywołać faktury, barwy i smaki, lecz nie pamiętał już, jak to było nagle stwierdzić, że jest zakochany w Mercedes. Że będzie ją kochał. Oparł rękę na zbutwiałej framudze i popatrzył w szare niebo. Samo wspomnienie przyprawiło go o zawrót głowy.

Gdy Wish wrócił do domu Parsonsów, Bella była już w środku. Pod stopami nierówna, zmurszała podłoga. Rama leżanki w tym samym kącie co niegdyś. Stół w dokładnie tym samym miejscu pod oknem. Na ścianie dwa ciemne prostokąty w miejscach, gdzie kiedyś wisiały obrazki, królowa Wiktoria oraz król Billy

przekraczający Boyne. Już chciał powiedzieć Belli, że to w tej izbie po raz pierwszy całował się z Mercedes, gdy usłyszał kroki na piętrze.

Poszedł do schodów na korytarzu i zawołał: – Mercedes! – Stopnie były wyraźnie przechylone, jakby znajdowali się na łodzi, która nabiera wody i już kładzie się ciężko na burtę. Wchodząc na górę, opierał rękę na ścianie; nie ufał, że poręcz go utrzyma. Ostrożnie ruszył korytarzem na piętrze. Miejscami przez dziury w podłodze mógł zajrzeć do pomieszczeń na dole. – Mercedes! – zawołał.

– Tutaj.

Znalazł ją w sypialni. Mocowała się z gałką wieńczącą nogę starej, żelaznej ramy od łóżka. Pod ścianą stała komoda bez dwóch szuflad. W zasłoniętym oknie były jeszcze szyby.

– Nie mogę jej wyjąć – powiedziała. – Spróbuj, dobrze?

Zaczął szarpać się z nogą łóżka, powoli wysuwając gałkę o parę milimetrów. W połowie przerwał, żeby nabrać tchu. Ręce miał już czerwone od rdzy. Po chwili wrócił do roboty; obracał i ciągnął gałkę, postępując do wtóru skrzypienia prastarej ramy.

Bella zawołała z dołu: – Mam was zostawić samych?

– Przymknij się, Bella! – zawołała Mercedes, uśmiechając się do Wisha. – Pewnie już by ci nawet nie drgnął, co? – Położyła rękę na jego ramieniu. – Biednemu, staremu Johnny’emu sflaczał na wiele lat przed śmiercią.

Wish zaczął szamotać się z łóżkiem, rozgniewany swobodną czułością pobrzmiewającą w jej głosie, zupełnie jakby łączyły ich lata nieskomplikowanej zażyłości. Gdy wreszcie gałka ustąpiła, Mercedes minęła Wisha i zajrzała do rury, po czym włożyła do

otworu palec i zaczęła czegoś szukać. Wyjęła niedużą paczuszkę zawiniętą w szmatkę, potrząsnęła nią lekko, pobrzękując monetami. Sparciały sznurek pękł jej w palcach, gdy zaczęła go rozwiązywać. Otworzyła zawiniątko na komodzie.

– Właśnie stąd wzięłam pieniądze na podróż do St. John's.

Wish podniósł jeden z banknotów do światła. Dwa dolary.

1931. Prawny środek płatniczy Nowej Fundlandii.

Mercedes odszukała pośród monet prostą, złotą obrączkę. Podniosła ją na dłoni.

– Obrączka babci – wyjaśniła. Zawinęła paczuszkę i włożyła ją do swojej torby. – Próbowала mi ją dać, zanim opuściłam Cove, żeby cię odnaleźć.

Uderzyło go rozrzewnienie, z jakim to powiedziała. Odsunął się od niej na parę kroków.

– Pamiętasz, że o mało stąd nie uciekłem, zanim twój ojciec się utopił? – spytał.

Przytaknęła.

– Agnes mówiła, że musi być jeszcze coś, co mnie tu zatrzymało. Pamiętasz?

– A kiedy ci to powiedziała?

– To ty mi powiedziałaś – odparł – że ona tak uważa.

– W porządku.

Widział, że Mercedes nie pamięta tamtych rozmów, ale przytakuje, aby dowiedzieć się, do czego on zmierza.

– Wróciłem, żeby ci za coś zadośćuczynić. Za coś, co stało się tego wieczora, kiedy pocałowałaś mnie w kuchni. Pamiętasz.

Uśmiechnęła się.

– Czy ja już umarłam?

– Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy cię dotknąłem?

– Poszłam zobaczyć co u babci, a potem wszyscy wrócili z kościoła. Zanim wyszedłeś, nie zdążyłam odezwać się do ciebie ani słowem.

– Zanim poszłaś do babci – wyjaśnił. – Wyrwałaś mi się.

– Ja nie. – Na twarzy wyraz niedowierzania.

Uśmiechnął się, zerkając na swoje stopy.

– Wyrwałaś się i powiedziałaś: „Nie rób ze mnie kurwy”.

Pokręciła głową, lecz po wyrazie jej twarzy poznał, że wspomnienie do niej wraca. Pamięć o jej własnym wahaniu oraz słowach, które sprawiły, że Wish bezradnie posadził tyłek na krześle. Zaczęła: – Ja nie.

– Hiram ci nigdy nie powiedział, że postawił na to pieniądze?

– Na co?

– Nie bądź głupia, Mercedes.

– *Na co?*

Wish oparł się o ramę łóżka.

– Gdzie nie popłynęliśmy z filmami, Hiram zawsze oceniał moje szanse na to, że prześpię się z jakąś kobietą. Zazwyczaj chodziło o mężatki, których mężczyźni spędzali sezon na Labradorze.

– Założyłeś się z nim?

– Mercedes, byłem tylko gówniarzem. Przede wszystkim byłem wściekły na twoją matkę. Zakład stanowił tylko pretekst.

Poprawiła paski torby, jakby spadały jej z ramienia.

– Byłem tylko gówniarzem – powtórzył. – Za pięćdziesiąt centów posunąłbym dziurę w płocie.

Uśmiechnęła się, spoważniała, znowu się uśmiechnęła. Odchyliła głowę, by zaczerpnąć powietrza.

– Dziurę w płocie – powtórzyła. Zdawało się, że każdy oddech wstrząsa jej ciałem niczym uderzenie w twarz.

– Mercedes.

Wyszła z pokoju, obiema rękami kurczowo ściskając paski torby.

Poszedł za nią do poręczy, wołał ją, lecz nie zwracała na niego uwagi, pozwolił jej więc odejść. Klnąc pod nosem, wrócił do sypialni i stanął przy oknie. Szyby były tak stare, że szkło zdawało się spływać i zbierać u dołu. Prążkowane tafle deformowały wszystkie zakątki Cove, które dało się stąd dostrzec. Owce pojawiały się i znikaly jak drobniki mieniące się pod wodą. Dwie kobiety wyszły z domu i ruszyły ścieżką w dół; ich sylwetki falowały w prastarym szkle niczym pustynne miraż.

Od tak dawna nie czuł już nic do Mercedes, że zakładał, iż wszystko wypaliły w nim jego podróże, długie lata tułaczey pracy i picia, szereg nietrwałych związków. A jednak się mylił. Poczł się tak, jakby ekshumował istotę, która przeleżała całe stulecia na mokradłach: ciało w całości, oblicze szerniałe i wygarbowane przez torf, lecz rozpoznawalne. Barwy ubrań zakamuflowanych pod mokrą glebą wciąż niezmiennone.

Opuścił obóz niedługo po tym, jak przetoczyła się po nim wezbrana fala wiatru i gorąca. Najpierw jeden widmowy puls, a po chwili gwałtowny poryw powracającego powietrza, jakby ktoś wyrzucił je na linie i szarpnął, by wróciło na miejsce. Potrzaskane okna. Wszystko, co nie było przymocowane, potoczyło się najpierw w jedną, a później w drugą stronę. A potem przytłaczająca, głucha cisza. Nishino podniósł się z ziemi i wyszedł przez bramę. Ponad wzgórzami w niebo pięła się szara chmura; wysoka centralna kolumna niczym łodyga potężnej rośliny, na szczycie łuszczący się równomiernie wykwit. Obłok był upiornie symetryczny, jak gdyby stanowił wytwór świadomej myśli. Podążając zboczem doliny, Nishino wciąż obserwował chmurę rozprzestrzeniającą się po ciemniejącym niebie. Jej widok przyprawiał go o dreszcze.

Dotarłszy na grzbiet wznoszący się nad obozem, dostrzegł w oddali pozostałości stoczni. Budynki i magazyny, niszczytele i lotniskowce obrócone w sterty złomu. A za nimi spustoszenie, którego nie sposób było skatalogować. Nishino odwrócił się od miasta i przez godzinę szedł w przeciwnym kierunku bez żadnego zamysłu, aż zawędrował pod Francuską Świątynię. Mury były nienaruszone; kościół stał pusty, gdy Nishino podszedł do ołtarza i odgarnął potłuczone szkło z ławki.

Niebawem zaczęli napływać inni. Nishino nie zwracał na nich uwagi, nikt się nie odzywał. Zupełnie jakby gromadzili się na jakieś z góry zapowiedziane nabożeństwo. Późnym popołudniem świątynia była już pełna ludzi; niektórzy zaczęli odsuwać ławki pod ściany, żeby zrobić miejsce na podłodze. Wśród osób szukających schronienia w kościele byli i tacy, którzy przyszli z dzielnic położonych bliżej centrum. Ci byli dotkliwie poparzeni.

Nieopodal Nishino pod ścianą leżał chłopiec, roztrzęsiony jak w febrze. Chłopak był półnagi, wyglądał tak, jakby ktoś zdarł mu z torsu ogromny płat skóry – odsłonięte mięśnie na żebrach, na obrzeżu rany cynober i czerń. Matka siedziała przy jego głowie, a chłopiec wciąż błagał ją o lody, uparcie powtarzając prośbę, bez chwili przerwy na odpowiedź. Nishino czuł na sobie wzrok kobiety, a w końcu zdał sobie sprawę, że to jego mundur zwrócił jej uwagę, że matka oczekuje od niego jakichś wskazówek lub pomocy. W tej chwili odniósł wrażenie, że są w nim utkwione oczy wszystkich zebranych w kościele. Zadrżał pod ciężarem tych spojrzeń; jego ramiona zaczęły się trząść, zęby zaklekotały.

Podniósł swój worek, otworzył drzwi za ołtarzem i zszedł po schodach do podziemi. Błądząc po ciemnych korytarzach, znalazł puste pomieszczenie. Nie było tu okien, a przez drzwi wpadało tylko tyle światła, że zdołał upewnić się, że jest w salce sam. Zatrzasnąwszy drzwi, oparł się o nie i usiadł w nieprzeniknionych ciemnościach. Próbował uspokoić oddech, powstrzymać stukanie zębów. Stłumione głosy ludzi zgromadzonych w kościele przenikały przez ogarniający go mrok.

Wiedział, że będzie musiał pozbyć się munduru. Zaczął opróżniać kieszenie i odkładać przedmioty na nieduży stosik. Na koniec wyłowił z kieszeni medal i przez jakiś czas siedział, trzymając go w drżących dłoniach, wodząc palcem po zarysie głowy króla.

To siostra mu go przyniosła. Miała wtedy zaledwie dziesięć lat, ale już odziedziczyła po matce wszystkie obowiązki, nie licząc zarządzania rodzinnymi finansami. Gotowała dla mężczyzn, pracowała na farmie i dbała o dom, sprzątała, prała i zaszywała

ubrania. W soboty, kiedy ojciec wioził warzywa na rynek i zostawał na noc u swojej kochanki w New Westminster, dziewczyna wymieniała pościel, myła podłogi w łazienkach i porządkowała szafy.

– Skąd to wzięłaś? – spytał ją Nishino.

– Odwieszałam jego ubrania – powiedziała. Spuściła wzrok, zawstydzona oczywistym faktem, że przeglądała rzeczy ojca. – Na odwrocie jest jakiś napis.

Sięgnął po medal.

– Powinnaś się wstydzić, że przetrząsz jego kieszenie.

– Na początku jest imię ojca. Reszty nie rozumiem.

– Powinnaś się wstydzić, że nie znasz własnego języka.

– Noburo, co tam jest napisane?

– Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy – zganił ją, chowając medal do kieszeni.

Kochanką ojca była biała kobieta; bezdzietna wdowa, która prowadziła na rynku stragan założony przez męża przed pierwszą wojną światową. Mężczyzna poległ we Francji, a po jego śmierci żona zaczęła chodzić w ubraniach zmarłego i gumiakach za kolano. Nishino poznał ją jeszcze jako mały chłopiec, gdy woził z ojcem warzywa do New Westminster. Z początku był nią zafascynowany. Paliła papierosy, piła whisky i wyrzucała z siebie strugi przekleństw. Zdawała się nie dbać o to, co inni mówią czy myślą na jej temat. Po wyładowaniu ciężarówki jechali kilka mil za miasto, gdzie ojciec spędzał resztę popołudnia, łowiąc pstrągi, a Nishino płynął kawałek w górę rzeki. Czasami kobieta przyjeżdżała tam do nich i na jakieś pół godziny zniknęła z ojcem między drzewami.

Romans nie stanowił zbyt pilnie strzeżonej tajemnicy, był jednak pieczołowicie maskowany i odgradzany od życia – funkcjonował tak głęboko pod powierzchnią codzienności rodziny, że można było całkiem nie zwracać na niego uwagi. Dopiero po śmierci matki sprawa wniknęła w ich życie w sposób bardziej otwarty. Ojciec zaczął zostawać na noc u kochanki w New Westminster, a kobieta od czasu do czasu jadała z nimi w domu, w Kitsilano. Ani razu nie posunęli się natomiast do takiego bezwstydu, by choćby sugerować dzieciom, iż mogłaby spędzić noc w łóżku ich zmarłej matki.

Coraz bardziej publiczny charakter tego związku oznaczał również coraz większy rozgłos wśród miejscowych. Dwa razy zdarzyło się, że nieduże bandy białych przyjechały na ich farmę, by powybijać okna, próbując odstraszyć ojca Nishino od kobiety. Pijani co do jednego. Grozili, że doszczętnie wszystko spalą, jeśli Japończyk nie wróci do posuwania żółtych kobiet.

Symbole wyryte na rewersie medalu znalezionego przez siostrę oznaczały: „Hisatsune Nishino. Starszy szeregowiec. Somma. Ypres. 1917–18”. Ojciec zapewne poznał kobietę, bo był z jej mężem w jednym regimencie. Kiedy odwiedzała ich na farmie w Kitsilano, przynosiła ze sobą całe naręcza gazet i czasopism: „The Vancouver Sun”, „The New York Times”, „The Washington Post”, „Adantic Monthly”, „Anvil”, „New Masses”. Spędzała cały wieczór, gniewnie przerzucając kartki i wygłaszając swoje opinie na temat przeczytanych wiadomości. Nie było takiego wydarzenia ze świata, które uznałaby za niewarte komentarza. Kanclerz Hitler uznał Mandżukuo i publicznie poparł działania Japonii w Chinach. Prezydent Cardenas wywłaszczył amerykańskie

koncerny naftowe w Meksyku. Ojciec Nishino siedział obok, paląc i powoli przytakując. Nigdy się nie sprzeciwiał, nigdy nie dyskutował. Austria i Węgry uznały rządy Franco w Hiszpanii. Liga Narodów przyjęła rezolucję w sprawie zbadania kwestii użycia trujących gazów bojowych przez japońskie oddziały w Chinach.

– Trujące gazy – mówiła. – A pieprzona Liga Narodów przyjmuje sobie rezolucje. O to walczyliście z George'em na wojnie?

Po jednej z tych wizyt Nishino opuścił rodzinną farmę o trzeciej w nocy i poszedł na piechotę do Vancouver. W domu zostawił liścik zaadresowany do starszego szeregowca Hisatsune Nishino. Wyjaśnił w nim, dokąd się wybiera. Gdy wchodził na pokład statku wypływającego do Tokio, medal ojca nadal ciążył mu w kieszeni.

Całymi dniami przez kościół przewijały się niezmiennie zastępy ludzi. Nishino rzadko opuszczał swoją salkę w piwnicy z obawy, że straci ją na rzecz innych dzikich lokatorów. Gdy było to konieczne, wymachiwał pistoletem, żeby zachować pomieszczenie dla siebie. Prawie nie jadł. Przesypiał większość dni i nocy; często śnił o matce, o tym, jak bezustannie pracowała w gospodarstwie czy na polu, jak uśmiechała się do niego, ukończywszy kolejne zadanie. Albo o tym, jak leżała na łożu śmierci i oddychała w przedziwny sposób, a każdy kolejny wdech był tak nagły, mechaniczny i oddalony od poprzedniego, że ogarnięty przerażeniem Nishino sam wstrzymywał powietrze, wyczekując na następne tchnienie matki.

Ocknął się w ciemnościach i łapczywie nabrał powietrza w płuca. Chwiejnym krokiem podszedł do ściany i oparł się o nią całym ciężarem ciała. Domyślał się, że już późno – z kościoła na górze nie dobiegały do niego żadne dźwięki. Zaczął wodzić dłońmi wokół, aż po omacku odnalazł butelkę, z której ostatnio popijał. Już prawie skończył mu się alkohol. Próbował liczyć dni od swojego przybycia do kościoła, ale nie wiedział już nawet, czy na zewnątrz jest jasno czy ciemno. Czuł się w krypcie jak więzień, wyrzucał sobie, że wymknął się z obozu jak tchórz, by skryć się w trzewiach katolickiego przybytku. Nawet Chozo Ogawie dane było umrzeć, jak przystało na żołnierza. Nishino zazdrościł chłopakowi.

Za to właśnie najbardziej gardził jeńcami wojennymi: kurczowo trzymali się życia, chociaż zostali już odarci z resztek godności. Teraz dotarło do niego, że on sam niczym się od nich nie różni; że kraj, w którym dorastał, zaraził go tą samą słabością. Brakowało mu odwagi, by przyłożyć lufę do głowy, pomimo ciężaru hańby, którą niósł, wciąż żyjąc.

Nishino znowu osunął się w sen; po jakimś czasie zbudził go dźwięk kroków na schodach, na końcu korytarza. Słuchał, jak się do niego zbliżają. Głosy zbyt stłumione, by dało się cokolwiek zrozumieć. Sss ssss sss – angielszczyzna.

Próbował znaleźć okulary, które wcześniej odłożył na podłogę; zakreślał po ziemi szerokie łuki dłońmi. Kroki na korytarzu zwolniły i ucichły pod jego drzwiami. Przyskoczył do swojej torby i wyjął pistolet z kabury, po czym odsunął się w najdalszy kąt pomieszczenia. Usłyszał słowo „*flashlight*”.

Drzwi z hukiem otworzyły się na oścież. Pojedynczy snop światła omiótł kryptę i zatrzymał się na Japończyku. Nishino nie

widział nic poza rozmytym kręgiem światłości. Przycisnąwszy lufę do głowy, zaczął szarpać za spust, raz po raz. Robił to jeszcze długo po tym, jak stało się jasne, że magazynek jest pusty. Jego skronią wstrząsał jedynie chłodny trzask broni.

– Bardzo miło pana widzieć—powiedział głos ukryty za światłem.

MERCEDES

1.

Tamtego ranka, zanim zaczęły szukać domu Wisha w Calvert, pojechały aż do Renew. Zaparkowały przed kościołem i poszły do grotty. Posąg Maryi stał w tej samej niszy, otoczenie jednak w niczym nie przypominało tego, co Mercedes widziała przed laty, gdy spojrzała na nią po raz pierwszy. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

– Wszystko było gołe – powiedziała. – W promieniu wielu mil nie było za grosz zieleni.

Kamienne ściany przed nimi pokrywała gęstwina pnączy, na pagórku za grotą rósł zadbanej gaj. Stacje drogi krzyżowej ustawiono wzdłuż ścieżki ocienionej świerkami i jodłami, cyprysami, głógami i jesionami. Stan, w jakim zastała to miejsce, zaskoczył Mercedes w całkiem przewidywalny, prozaiczny sposób. Zrozumiała, że od chwili, gdy ostatnio tu była, zdążyły już wyrosnąć dojrzałe drzewa, że jej nieobecność obejmowała całe życie. To sprawiło, że czas, który jej pozostał, wydał się niewiele warty – niewystarczający dla wszystkiego, czego oczekiwała.

Wish z pewnością nie zamierzał niczego zbyt łatwo przed nią odkryć. W jego zachowaniu kryła się wyrachowana nieszczerłość; delikatność, która zdawała się fałszywa i miała najwyraźniej kamufłować prawdziwe rany. Wyznał jej dokładnie tyle, by móc nadal ukrywać prawdę. Odsłonił nie więcej, niż Mercedes sama

mu wydarła. Jego kalkulacje doprowadzały ją do szału. Ta przebiegłość.

– Mamo, coś nie tak? – spytała Bella.

– Nic. Po prostu. – Wzięła głęboki wdech. – Czujesz tu jakiś zapach?

– Żaden.

– Rany boskie, wysił się trochę. Weź wdech.

Isabella przewróciła oczami i zaczęła wciągać powietrze nosem.

– Nic nie czuję – stwierdziła ponownie.

Agnes rzuciła: – Świerk. Morska woda.

– Ja nie czuję żadnych zapachów, od kiedy obudziłam się w szpitalu.

– Dlaczego nie powiedziałaś o tym lekarzom?

– Gdybym im powiedziała, to by mnie nie wypuścili, prawda?

– No cóż, i tak tam wracasz – zarządziła Bella. – Od razu.

– Może po powrocie z Cove.

– Nie wyklócaj się ze mną, mamo.

– Nie kłócę się, tylko oznajmiam.

– Nie bądź taka uparta, do cholery.

– Poczekaj, aż sama się zestarzejesz – odparła Mercedes. – Wtedy pogadamy.

– Jezu Chryste! – zachnęła się Bella.

Mercedes patrzyła za córką, która odmaszerowała w stronę Aggie Dinn's Cove, mijając po drodze stary klasztor. Agnes zerknęła na siostrę, na co Mercedes skinieniem głowy wskazała jej Bellę, dając do zrozumienia, że ma za nią iść. Gdy obie zniknęły, Mercedes podniosła wzrok na figurę Maryi, spojrzała w

jej pozbawione wyrazu oczy. Zbliżywszy rękę do policzka, dotknęła twardej metalowej płyty ukrytej pod martwą skórą. Jakby dotykała kamienia obleczonego warstwą materiału. Jeszcze raz nabrała powietrza przez nos. Żadnych zapachów. Miała wrażenie, że opuszcza ten świat stopniowo, zmysł za zmysłem.

Przeżegnała się i powiedziała: – Zdrowaś, Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami.

Nie odmówiła różańca czy *Ave Maria* ani razu od 1946 roku, kiedy przeszła na katolicyzm, by móc wyjść za Johnny'ego. Mąż nalegał, by wychować Marion w wierze; sam dbał o jej, jak to nazywał, rozwój duchowy. Mercedes zawsze wyśmiewała Johnny'ego i jego małe rytuały, odmawianie różańca w salonie, podczas gdy ona sprzątała talerze po kolacji, palenie świeczek u stóp świętych, modlenie się nowenną do św. Teresy. Gdy w 1959 roku wystawili na sprzedaż swój pierwszy dom w Lowell, Johnny zakopał w ogrodzie odwróconą figurkę świętego Józefa, na szczęście. „Dorosły facet, a modli się do lalek” – skwitowała wtedy Mercedes.

Po śmierci córki odszedł od Kościoła. Ochrzcili Isabellę, ale potem nie zdarzyło im się choćby przystanąć w kruchcie świątyni. Przez całe dziesięciolecie Mercedes ani razu nie usłyszała, żeby mąż odmawiał różaniec. Nie wiedziała, które tajemnice rozważa się którego dnia, zapomniała też kolejność, w jakiej zostały ułożone, pod posągami Maryi nie dawała jednak za wygraną i wyrzucała je z siebie tak, jak przychodziły jej do głowy. Gdyby wiedziała, którego świętego powinna zakopać na szczęście, również by to uczyniła.

Gdy odbili od nabrzeża w Tilting, Mercedes obeszła sterówkę i usiadła na dziobie kutra Gerry'ego Foley'a. Powiew sprawił, że oczy zaszyły jej łzami. Wyłowiła z torebki okulary przeciwsłoneczne i założyła je na nos, by osłonić się przed wiatrem. Na horyzoncie niewyraźna, rosnąca powoli wysepka Little Fogo. Mercedes odniosła wrażenie, że sama stoi w miejscu, a to wyspa wychodzi jej na spotkanie, nareszcie, po tylu latach oczekiwania.

A gdy opłynęli przylądek – pierwsze spojrzenie na Cove. Zamiast większości budynków szczątki na ziemi, drewno odarte z farby i ochry, poszarzone trzydziestoma latami słońca i deszczu. Kościół wciąż stał, Mercedes dostrzegła jednak, że wszystkie okna zniknęły, a duże, podwójne drzwi spadły z zawiasów. Po południowej stronie zatoki dom, w którym dorastała, stał wykoślawiony, jakby narysowało go dziecko.

– To nasz dom – zawołała do Wisha, wskazując budynek.

– Który?

– Tamten. Ostatni na południowym brzegu.

Oślonił oczy dłonią.

– Nie pamiętasz? – spytała.

Przepraszająco pokręcił głową, a Mercedes spojrzała za niego i zawołała do Belli: – Nasz dom!

Isabella przytaknęła ponuro, nawet nie spojrzawszy na brzeg.

Idąc ścieżką do domu, Mercedes cały czas wspominała Clive'a Reida, którego imię znaleźli wyryte na belce pod stertą desek na plaży. Agnes powiedziała jej, że utopił się przed laty, próbując wyciągnąć pułapkę przy wzburzonym morzu. Widok jego imienia na belce sprawił jednak, że Clive do niej wrócił. *The Tennessee Waltz*. Tamten niespodziewany pierwszy pocałunek. Szum krwi w

głowie, przez wiele tygodni, nawet gdy stwierdziła już, że sam Clive jej nie interesuje. No i poczucie winy, niczym błady spód liścia niesionego z wiatrem. Żonaty mężczyzna, a ona nie wyraziła sprzeciwu, nie zrobiła nic, by go powstrzymać.

Babka zaczynała dopiero osuwać się w chorobę, a jej delikatny stan sprawiał, że była bardziej czujna i spostrzegawcza. Ona jedyna zauważyła zmianę w dziewczynie. Mercedes twierdziła uparcie, iż babcia coś sobie wymyśliła, lecz ostatecznie przekonanie staruszki sprawiło, że dała za wygraną.

– Całowałam się z mężczyzną – przyznała w końcu.

Oddzielały właśnie śmietanę od mleka w chłodnej spizarni za domem; staruszka odstawiła rondel, który trzymała.

– Z jakim mężczyzną? – spytała.

Mercedes nie chciała spojrzeć jej w oczy.

Babka uniosła jej brodę jedną ręką, po czym wzięła zamach i spoliczkowała ją, wkładając w uderzenie całą siłę, jaką zdołała wykrzesać z leciwego ciała.

– Żyjesz w pobożnej rodzinie. Nie zapominaj o tym, dobrze ci radzę.

A potem do Cove przyplłynął Wish, chłop jak się patrzy, z tą pociągłą twarzą i konspiracyjnym uśmiechem, przez który odnosiło się wrażenie, że ma do powiedzenia coś ważnego, później, na osobności. Robił znak krzyża na widok wron. Nasłuchiwała się już dość babcinego gderania na temat jemu podobnych, by wiedzieć, co staruszka o nim pomyśli. Gdzieś w głębi Mercedes kryła się cząstka, na którą właśnie ten aspekt podziałał jak magnes.

Z daleka wydawało się, że dom stoi dość pewnie, ale znalazłszy się w środku, Mercedes niemal czuła, jak się kołysze. Ciemno, choć oko wykol, dopóki nie przypomniała sobie o okularach i nie zdjęła ich z nosa. Ściany złuszczone i zamoknięte, podłogi zbutwiały. Ruszyła korytarzem do salonu. Pokój był pusty; wykonane przez rzemieślników krzesła i ława, kredens i stoliki już zniknęły, kupione lub skradzione przez handlarzy antyków przeczesujących osady rybackie w poszukiwaniu towaru dla sklepów z Quebecu, Ontario czy Nowej Anglii. Próbowała przypomnieć sobie duszną, wypolerowaną woń, która definiowała to pomieszczenie w jej dzieciństwie, wyglądało jednak na to, że opuściła ją już nawet pamięć do zapachów.

Mercedes odwróciła się od drzwi i skierowała ku schodom. Wchodziła po jednym stopniu, przymierzając do każdego swój ciężar. W sypialni rodziców wciąż stała ogołocona rama od łóżka. Wyobraziła sobie babkę leżącą tutaj po pogrzebie syna. Wtedy, gdy staruszka zaproponowała wnuczce, by wzięła jej obrączkę. Mercedes złapała oburącz gałkę na lewej nodze od strony głowy, jednak ozdoba ani drgnęła. Postanowiła, że zaczeka, aż Wish przyjdzie znad wody.

Ścieżka prowadząca z domu na nabrzeże była nierówna, Mercedes musiała więc uważać, by po drodze się nie potknąć.

Brała długie, powolne oddechy, a każdy przyprawiał ją o szum w głowie. Świerkowa żywica i świeża trawa, niesiony z wiatrem nienagannie czysty aromat morskiej wody. Jakby w głębi ucha pękła jej bańka powietrza, a stłumione dźwięki nagle zaczęły wybrzmiewać głośno i wyraźnie. Jałowiec i zbutwiałe drewno, kwaśna woń olchowych zarośli. Mercedes czuła z daleka zapach

szamponu Isabelli, miód i drożdże, a pod nim ledwie wyczuwalną smugę zapaszku owiec przejmujących władzę nad Cove.

Stojąc w starej sypialni z rękami ubabranymi rdzą, Wish oznajmił jej, że to był zakład z Hiramem. Powiedział, że posunąłby dziurę w płocie. Gdy mówił, poczuła zawroty głowy, złapała więc oburącz za paski od torby. Nagle – po raz pierwszy w życiu – poczuła strach przed tym mężczyzną, przed tym, co może zrobić z jej wspomnieniami. Jej nozdrza wypełnił smród amoniaku; sądziła że zaraz zemdleje, lecz po chwili z za zapachu wyłoniła się woń domu, pleśń i stare żelastwo, spróchniały smrodek pokoiów ziejących pustką od lat, mysie odchody i naftalina. Tania woda po goleniu, którą skropił się Wish, alkohol i łykowata mięta, a pod tym coś paskudnego. Pot, starość i strach. Zepsucie. Zapragnęła świeżego powietrza, zostawiła go więc w sypialni i zeszła niebezpiecznie szybko po krzywych schodach.

Isabella, idąca ścieżką przed nią, zostawiała ją coraz bardziej w tyle.

– Bella! – zawołała Mercedes. Najchętniej położyłaby się tak, jak stała; wyciągnęłaby się w trawie przy dróżce i zasnęła. – Daj mi chwilkę.

Bella wróciła do matki.

– Wszystko w porządku, Mercedes?

– Po prostu daj mi chwilkę. – Uniosła ciemne okulary i przetarła oczy dłonią.

– Co tam się stało, mamó?

– Nic. Nic wielkiego. Po prostu. Wszystko.

– Możemy już wracać? – spytała Isabella. – Wszystko tu mamy załatwione?

– Chcę odwiedzić cmentarz – odparła Mercedes. – Później możemy wracać.

Cmentarny płot leżał na ziemi, pozostałości palików niemal całkiem zginęły w wysokiej trawie i świerkach okalających łąkę. Garstka owiec Gerry’ego Foleya już weszła na cmentarz i skubała trawę między nagrobkami – zapadniętymi i przekrzywionymi, złamanymi u podstawy i leżącymi w trawie, gdzie pochłaniał je powoli zielony przypyływ mchu. Najstarsze marmury były tak wytarte przez czas i żywioły, że wyryte na nich niegdyś nazwiska i daty całkiem zniknęły. Mercedes przechadzała się po cmentarzu, próbując przypomnieć sobie, gdzie pochowano jej ojca. Stanąwszy pośrodku terenu, obróciła się powoli.

Isabella wskazała jej przysadzistą, czarną tablicę z polerowanego kamienia.

– Ta musi być świeża – zauważyła.

Gdy podeszły tam razem, odnalazły grób ojca Mercedes. Matka i babka spoczywały po bokach. Z przodu widniała malutka tabliczka upamiętniająca Hardy’ego.

Bella przeciągnęła dłonią po nagrobku Helen. Czarny kamień był gładki jak szkło.

– Mamo, nie myślałaś, żeby przyjechać tu na jej pogrzeb? – spytała.

– Johnny próbował mnie namówić. Mówił, że jeśli nie pojedę, będę tego żałować do końca życia.

– I co?

– Jedna rzecz do żałowania więcej. Czy to ważne? – Zamachała ręką. – Muszę przysiąc.

Isabella pomogła jej usiąść na trawie i przycupnęła przy niej. Razem przyglądały się pracy owiec zgromadzonych po drugiej stronie łąki. Zwierzęta wykazywały się apatyczną konsekwencją, a dźwięk pysków skubiących świeżą trawę na grobach był niczym okno na poczynania życia w jakiejś tajemnej przestrzeni, jak spojrzenie na pierwotne łąknienie świata.

Bella skinęła brodą na kościół, do którego Wish właśnie podchodził ścieżką.

- Książę z bajki na szóstej.
- Zawołaj go do nas, dobrze?

Bella przyglądała się matce jeszcze przez chwilę, po czym wstała i krzyknęła na Wisha.

- Spotkamy się na kutrze – odkrzyknął.
- Powiedz mu, żeby tutaj przyszedł – nakazała Mercedes.
- Mama prosi, żebyś na chwilę podszedł!

Wish z trudem wyszedł na łąkę. Kulał, brakowało mu tchu. Przesunął palcem pod nosem.

- Jestem już chyba na to za stary.

Mercedes podniosła wzrok, sądząc, że być może mówi nie tylko o spacerach.

- To twoja rodzina, tak? – spytał.
- Tak.
- Twoja matka – powiedział, wskazując czarną tablicę.
- To, co z niej zostało.

Nachylił się do Isabelli.

- Jej matka nigdy nie miała o mnie najlepszego zdania.
- Raczej jej się nie dziwię – oznajmiła Bella.

Mercedes uśmiechnęła się do córki. Bezczelna jak jakiś *black*. To akurat Isabella odziedziczyła bezpośrednio po matce, tej jednej rzeczy Mercedes była pewna.

Wish odparł: – Sądzę, że między mną a Helen zaistniał rozdźwięk bardziej filozoficznej natury.

– Też tak zawsze sądziłam – przyznała Mercedes. – Nikt nic wtedy nie mówił nam, gówniarzom.

Wish przykucnął i podparł się niezgrabnie ręką, by przysiąc na ziemi.

– Co masz na myśli? – spytał. Wyglądało na to, że z ulgą podejmuje rozmowę na temat niezwiązany z tym, co zaszło w starym domu.

– Mama zachorowała na rok przed śmiercią. Mieszkała już wtedy z Agnes. Zazwyczaj miała tak wysoką gorączkę, że odchodziła od zmysłów, nikogo nie poznawała, nie wiedziała, gdzie się znajduje. Cały czas prosiła o księdza.

– O księdza?

– Z początku Ag sądziła, że to gorączka, wiesz, zwykle majaczenie. Ale ona bez przerwy o tym mówiła, a wyglądało już na to, że niedługo im umrze. Ag wysłała Davida do Tilting; przywiózł stamtąd kapłana. Na jakiś czas zostawili ich samych w izbie. – Mercedes zerknęła na Wisha, który gorączkowo poruszał ustami. Dodała: – Rodzina matki pochodziła gdzieś znad Conception Bay, ale przestali się nią interesować, kiedy przeprowadziła się tu z ojcem. Zawsze sądziłam, że chodziło tylko o to, że zaszła w ciążę przed ślubem.

– Była katoliczką – powiedział Wish.

– Przez lata nikt o tym nie wspominał.

Wish zaczął podnosić się na nogi, ale w trakcie dziwnie przechylił się na bok. Bella przyskoczyła do niego i złapała go za ramię.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Wyszarpnął rękę. Obiema dłońmi wygładził białe włosy okalające jego głowę.

– Mercedes – powiedział, jakby wymawiał to imię po raz pierwszy. Próbował przypomnieć sobie określenie McCarthy'ego: *Nuestra Señora de las Mercedes*.

– Musiało być jej ciężko przez te wszystkie lata. Opowiedziała Ag, jak w niecały tydzień po jej przyjeździe teściowa posadziła ją z kancjonałem i rozkazała: „Naucz się wszystkich psalmów, moja panno, bo w tym domu nie ma miejsca dla papistów”.

Wish wciąż kołysał się na nogach; Bella czekała przy nim z lekko wyciągniętymi rękami. Mężczyzna wpatrywał się w czarny nagrobek.

– No, miła pani – powiedział. Wydawało się, że powie coś więcej, lecz w końcu odwrócił się i popatrzył wpierw na Bellę, a potem na Mercedes. Ruszył w stronę kościoła, a one patrzyły za nim, gdy szedł ścieżką prowadzącą ku Spell Rock, kiwając sam do siebie głową.

– Po to go tutaj zawołałaś? – spytała Bella.

– Chyba tak.

– Bała się, że cię straci. Twoja matka.

– Wydaje mi się, że chciała oszczędzić mi tego, co ją spotkało. Bała się, że stracę całą rodzinę.

– To akurat niemal się sprawdziło, nieprawdaż?

Mercedes popatrzyła na Bellę, na jej gniewny uśmiech. Czuła unoszący się nad łąką zapach chlorofilu ze świeżo skoszonej trawy. Sięgnęła po rękę córki.

– Chodźmy.

2.

Przez pierwszy odcinek drogi powrotnej do St. John's Bella siedziała za kierownicą. Mercedes podsłuchiwała, jak Agnes szepcze do Wisha na tylnym siedzeniu: – Co się tam stało? – On nie odpowiedział jednak nic, co mogłaby dosłyszeć.

W Clarendville zatankowali na stacji i zjedli kurczaka w restauracji Mary Brown's, w której poza nimi nie było ani jednego klienta. Kiedy wrócili do samochodu, już zmierzchało, ruszyli więc ku nocy, Wish siedział za kółkiem, a fala ciemności opadała na nich, gdy jechali dalej na wschód. Kiedy pokonali przesmyk dzielący ich od półwyspu Avalon, na zewnątrz panował absolutny mrok, a ich świat ograniczył się do trzydziestu stóp drogi oświetlanych przez reflektory. Nad nimi ani jednej gwiazdy. Agnes z Isabellą drzemały z tyłu, a Mercedes zerknęła na Wisha, by upewnić się, że nie przysypia za kierownicą. Zdawał się czuć na sobie jej wzrok.

– Żebyś wiedziała, co prałat nam o was opowiadał.

– O kim?

– O was. O protestantach. Wrzucał was wszystkich do jednego worka, Billy'ego Sundaya^[20], Christian Science^[21], kwakrów, Alexandra Dowiego^[22], Armię Zbawienia. Małżeństwa na próbę, reformę więziennictwa i prohibicję. Zwykł mówić, że to chore imaginacje, przeciwne geniuszowi katolicyzmu.

– Przeciwnie czemu?

– Geniuszowi katolicyzmu. Zabawne, że spędzałem każdą mszę, marząc o cyckach jakiejś dziewczuchy, a i tak wciąż potrafię zacytować każde jego słowo. – Wish odetchnął. – Ksiądz Power nie miał o was najlepszego zdania.

Mercedes widziała, że Wish jest wściekły.

– To po hiszpańsku. Wiedziałaś o tym? – spytał.

– Co po hiszpańsku?

– Mercedes. Oznacza współczucie, miłosierdzie czy coś w tym stylu.

– Nie. Nie wiedziałam.

Wish pogroził jej palcem, nie odrywając oczu od drogi.

– Chciałaś wiedzieć wszystko, zgadza się?

– Tak powiedziałam.

– I nie zmieniłaś zdania?

Zawahała się, rozmyślając, czy nie jest na to zbyt zmęczona. Ostatecznie jednak stwierdziła: – Za stara jestem, żeby się zmienić.

Jego palce zacisnęły się mocniej na kierownicy, jakby chciał ją jeszcze pewniej chwycić.

– W obozie, w którym spędziłem wojnę, był taki jeden strażnik. Przez ostatnie sześć miesięcy był tam tłumaczem. Niejaki Nishino.

Mercedes przekręciła się na fotelu, by patrzeć na jego twarz oświetloną przez kontrolki z deski rozdzielczej. Mówił prawie przez godzinę, monotonicznie i bez emocji, jak człowiek składający oświadczenie pod przysięgą; wyliczał daty i wydarzenia, ofiary, sprawców i świadków, odpowiadał na pytania uzupełniające,

interpretował wypowiedzi, wymieniał nazwiska, które sobie przypominał. Osano, McCarthy, Spalding. Koyagi, van der Meulen. Nishino. Nishino. Nishino.

Opowiedział jej o śmierci Ansteya, o tym, jak sam zaniósł urnę do Francuskiej Świątyni, jak w krypcie natknął się na śpiącego tłumacza. Niczym podarunek.

– Wpadliśmy tam do niego następnej nocy Ja, Harris i Spalding. Siedział pod najdalszą ścianą z pistoletem w dłoni. Przytknął go do głowy i pociągnął za spust. Trzask, trzask, trzask, i tyle. Nie przestawał szarpać za cyngiel. Trzask, trzask, trzask. Weszliśmy do środka, ja z Harrisem, za nami Spalding. A Nishino klęknął przed nami z rękami zwisającymi swobodnie po bokach. Po prostu się poddał. Mieliśmy przy sobie te drewniane pałki, którymi strażnicy okładali nas w obozie, więc od razu przeszliśmy do rzeczy. Długo trzymał się prosto. Raz czy dwa podniósł się z podłogi. Nawet nie jęknął.

Mercedes dostrzegła, że Wish walczy, żeby nie poddać się emocjom, powiedziała więc: – Wygląda na to, że chyba dostał, na co zasłużył.

– Wtedy uważałem, że zostałem tam wezwany. To był sprawiedliwy czyn. – Uchylił okno, jakby bał się, że kobiety z tyłu go podsłuchają i chciał, by zagłuszył go szum wiatru. – Kiedy zaczęliśmy, nie było już różnicy, co słuszne, a co nie. Po prostu... Wiesz, te jego malutkie, świńskie oczka. Dzisiaj myślę, że to mógłby być dowolny Japoniec.

Mercedes wyciągnęła do niego rękę, ale opędził się od niej. Za oknem kryły się niewidoczne połacie pustkowi i zarośli, nad którymi kobieta przeleciała przed pięćdziesięciu laty, opuszczając

wyspę. Mercedes czuła potężną przestrzeń strzępiącą się w ciemnościach po obu stronach samochodu; miała wrażenie, że ta ziemia sama rzuca cień na słowa Wisha. Pomyślała, że kryje się w tym jakaś wrogość. Albo po prostu obojętność, co na jedno wychodzi.

Wish kontynuował: – To była ciężka robota, biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdowaliśmy. Musieliśmy pracować na zmianę, żeby nie stracić tchu. Przynieśliśmy parę pistoletów, Spalding powiedział więc, że powinniśmy go dobić i zabierać się stamtąd. Ale nie tego chcieliśmy.

Mercedes patrzyła na drogę, na odcinek nawierzchni wsuwający im się pod koła. Do St. John's zostało im niecałe pół godziny, bladożółty blask świateł miasta odbijał się od chmur na horyzoncie, jakby po ich wyjeździe ktoś podpalił stolicę, a teraz zgliszcza jeszcze się tliły.

– Wiesz, czego chcieliśmy, Mercedes? – Nic nie odpowiedziała, dodał więc: – Jeśli chcesz, możesz jeszcze zmienić zdanie.

– Wish, po prostu dokończ.

Skinął głową, ale przez dłuższą chwilę nic nie mówił, jakby to on zmienił zdanie.

– Wish?

– Kiedy zrobiliśmy swoje i skierowaliśmy się do drzwi, Harris złapał mnie za ramię i kazał mi potrzymać latarkę. Poświeciłem na Nishino, a Harris przetrząsnął jego kieszenie. Znalazł trochę amerykańskich dolarów i stary medal. Kiedy Harris skończył, jeszcze raz poświeciłem na zwłoki. Na twarz. Z uszu płynęła mu krew, oczy zasklepiła opuchlizna.

– Jezu, Wish.

– Już kończę. Staliśmy tak we trzech, patrząc na to, co z nim zrobiliśmy. A Harris. Sam nie wiem. Harris podszedł, otworzył rozporek i... – Wish wyjrzał przez boczne okno, potem znów utkwiał wzrok w drodze. – Naszczał na niego. Dokładnie tam, gdzie świeciłem latarką. Mówił: „Jak ci się podoba, ty żółty skurwielu?”. A potem Spalding stanął obok i zrobił to samo.

– Dosyc – powiedziała Mercedes.

– Tego właśnie chcieliśmy.

Opuściła swoją szybę na sam dół i wychyliła się prosto w ryk powietrza, żeby nie słyszeć już ani słowa. Napełniła głowę chłodem i szumem. W końcu Bella obudziła się z tyłu i kazała Mercedes zamknąć okno.

WISH

Zjechał z przelotówki na wysokości śródmieścia i skierował się na drogę prowadzącą na południowe wybrzeże, do Calvert. Cały czas pilnował prędkościomierza. Rozmawiając z Mercedes, przyłapał się na tym, że wciąż przyspieszał i musiał zdejmować nogę z gazu. Po tym, jak kobieta zamknęła okno, nie odezwali się już do siebie ani słowem, ale on wciąż błąkał się po podziemiach Francuskiej Świątyni, a wskazówka przesuwiała się za 100, no kilometrów na godzinę.

W podobnym roztargnieniu jeździł tą drogą, gdy wrócił na Nową Fundlandię, by zadbać o Lilly. Był wtedy w ciężkim stanie, większość dnia spędzał pijany, a na trzeźwo nie umiał normalnie funkcjonować. Po wycieczce do św. Patryka często w ogóle nie pamiętał jazdy, całą trasę pokonywał na automatycznym pilocie. Na Churchill Square zatrzymywał się na kawę i paczka, a przed wizytą u Lilly zjadał pół paczki tic-taców, nie potrafił jednak ukryć stanu, w jakim się znajdował. Staruszka dostrzegła to w jego niechlujnym ubiorze, w kaprawych oczach i ziemistej cerze, w wiecznym trzydniowym zarostie. Któregoś popołudnia wychyliła się ku niemu ze swego wózka i powiedziała: – Musisz poprosić Boga, żeby ci z tym pomógł. – Przechyliła dłoń przy ustach, pokazując mu, co ma na myśli.

To było w tym samym tygodniu, w którym wydał połowę oszczędności na samochód i dom w Calvert. Nie miał pojęcia, z

czego będzie żył. Był w wystarczająco paskudnym nastroju, by podjąć dyskusję z wariatką.

– Lilly, Boga nie ma – powiedział.

– *Adiutorium nostrum in nomine Domini qui fecit caelum et terram*. Bez Niego nic nie możemy zdziałać. Musisz modlić się w tej intencji do Przenajświętszej Panny, codziennie przez trzydzieści dni, prosząc o jej wstawiennictwo.

– Przyniosłem planszę do punktacji – zmienił temat. – Masz ochotę na partyjkę?

Wcześniej kończył z piciem już kilka razy, zawsze po to, żeby udobruchać kobiety, które i tak ostatecznie porzuciły go, gdy okazywało się, że na trzeźwo wcale nie jest łatwiejszy do zniesienia. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby skończyć z alkoholem, kiedy był samotny. Tamtej nocy jednak, po powrocie od św. Patryka, wylał do zlewu butelkę Screecha^[23]. Rano zaparzył sobie dzbanek kawy i przygotowywał kolejne co godzinę. Tak samo postępował każdego następnego dnia, od rana do wieczora pochłaniał kawę tak mocną, że mógłby w niej postawić łyżeczkę na sztorc. Pił ją z takim samym zapamiętaniem co wcześniej rum. Tylko po to, aby coś sobie udowodnić; żeby pokazać Lilly, że się myli. Kilka razy zachwiał się w postanowieniu i spędził wieczór u Mercera, gdzie wlewał sobie w gardło ciemny rum z colą, aż się zrzygał. Każdy upadek popychał go do zachowania trzeźwości przez jeszcze dłuższy okres. Nie pił już od lat. Czerpał nieco pociechy z faktu, że udało mu się to osiągnąć własną siłą woli.

Opowiadając Mercedes swoją historię, liczył na to, że odnajdzie podobną pociechę, że poczuje jakieś wyzwolenie czy ulgę, nie doświadczył jednak niczego takiego. Po fakcie miał wrażenie, że

dopuścił się wobec niej okrucieństwa, wręcz aktu przemocy, skoro poprowadził historię aż tak daleko, chociaż czuł, że Mercedes się wycofuje. A i tak się powstrzymał. Zataił przed nią szczegół, o którym nie wiedzieli nawet Harris i Spalding.

Kiedy dwaj mężczyźni skończyli odlewać się na zwłoki, chcieli, żeby Wish zrobił to samo. „Twoja kolej, panie Bimber” – powiedział Spalding, przywołując go do trupa. Harris nalegał: „No, ulżyj sobie”. Gdy odmówił, obaj się wściekli, jakby w ten sposób wyraził swoją ocenę ich postępowania. Prawda była jednak bardziej przyziemna i osobliwa: Wish zdał sobie sprawę, że jego kutas jest sztywny jak drąg. Przez długie miesiące spędzone w obozie nie poczuł nic, ani jednego utajonego drgnienia, mogącego sugerować, że jeszcze kiedykolwiek mu stanie. A potem nagle taki dziwny, niewytłumaczalny wzwód.

– Idziemy – zarządził. – Już po wszystkim, idziemy.

Mercedes wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia; nagle ujrzał przed sobą drogę, kręty odcinek pod Tors Cove. Wskazówka prędkościomierza dobijała do 120 kilometrów na godzinę. Zdjął nogę z gazu i musnął hamulec.

Bella zagadnęła z tylnego siedzenia: – Może ja powinnam na jakiś czas usiąść za kółko?

– Już dojeżdżamy do Calvert – oznajmił. – Poradzę sobie. – Zerknął na Mercedes, ale ta wróciła już do wpatrywania się w ciemności za oknem. Podejrzewał, że kobieta próbuje poskładać to wszystko do kupy, odgadnąć, gdzie jest jej miejsce w całym tym burdelu. Albo po prostu chciała odciąć się od tego gówna, wyrzucić to z głowy raz na zawsze.

Kiedy podjechali pod dom, w oknach było ciemno. Bella usiadła za kierownicą, a Wish wszedł na ganek. Patrzył z za drzwi z siatką, jak samochód wycofuje się z podjazdu. Mercedes patrzyła prosto przed siebie, nawet nie spojrzała mu w oczy. Zatrzymały się przy ulicy; widział, że Mercedes rozmawia o czymś z Bellą. Krótka, ożywiona wymiana zdań trwała jeszcze chwilę po tym, jak Bella zaciągnęła hamulec. Wyglądało na to, że porządnie się posprzeczały.

W końcu Mercedes wysiadła z samochodu i podeszła podjazdem. Zatrzymała się przed gankiem i popatrzyła na Wisha stojącego za siatką.

– Musisz mi coś dać – powiedziała.

– Co?

– Nie możesz tego tak zostawić. Daj mi cokolwiek, co tylko chcesz. Wymyśl coś, jeśli musisz.

– O czym ty mówisz, Mercedes?

– Nie będę powtarzać – ostrzegła.

Otworzył drzwi i dał krok na ganek. Wpatrywała się prosto w niego, pomyślał, że może naprawdę liczy w myślach do dziesięciu. Wzniósł obie dłonie i wygładził swoją skromną obręcz włosów. Próbował nakłonić się w myślach, by dać jej odejść, by pozwolić wszystkiemu zakończyć się tak, jak jest.

Ruszyła w stronę samochodu.

– Do jasnej cholery, Mercedes. – Nie zwracała na niego uwagi.
– Mercedes!

Odwróciła się, wciąż powoli wycofując się ku samochodowi. Wydawała się zmęczona i wyczerpana, martwa strona jej twarzy

była całkiem pozbawiona wyrazu, co sprawiało, że wycieńczenie zdawało się trwałe, nieodwracalne.

Wish zaczął: – Poznałem Marion.

Stanęła w miejscu.

– Co proszę?

– Pojechałem kiedyś do Lowell. Przed laty. Mieszkaliście w bliźniaku, żółtym, piętrowym budynku z ogródkiem wychodzącym na park. Siedziałaś z córką za domem.

Odszukał ich bez problemu. Rzucił kawałki chleba kaczkom nad sadzawką, siedząc na parkowej ławce w filcowym kapeluszu i ciemnych okularach. Ścieżka nad wodą przebiegała dwa kroki od ich płotu, od czasu do czasu obchodził więc stawek, by lepiej się im przyjrzeć. Mercedes popijała lemoniadę, siedząc przy dziewczynie skulonej ze szkicownikiem na leżaku. Od czasu do czasu w mieszkaniu dzwonił telefon, a jedna z nich szła do środka, żeby odebrać. Mercedes przejrzała czasopisma i zasnęła, osłoniwszy oczy ramieniem. Jakby go w ogóle nie znała.

– Jak była ubrana? – spytała Mercedes.

– Jezu, Mercedes. To było trzydzieści lat temu.

– *Pomyśl* chwilę.

– Szorty. Nie wiem, w jakim kolorze. Na stopach nic nie miała. Biała bluzka, rękawy podwinięte za łokcie. Na kolanach trzymała duży blok rysunkowy. We włosach spinki, żeby grzywka nie opadała jej na oczy. – Skinął na Mercedes. – Była mniej więcej w tym wieku co ty, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że ją poznałeś?

– Ty poszłaś do domu, żeby odebrać telefon, a ona... Marion... siedziała sama. Przeszedłem spacerkiem pod płotem, przywitałem

się. Dla niej byłem zupełnie obcym człowiekiem. Powiedziałem, że piękny dzień mamy, czy coś takiego.

– Co ona na to?

– Po prostu przywitała się i powiedziała, że ładna ostatnio pogoda. Zwykła rozmowa. Jedną stopę opierała na leżaku, leniwie bujała kolanem to w jedną, to w drugą stronę. Zero zmartwień.

Mercedes trzymała rękę przy ustach. Poprzestał na tym. Powiedział: – To wszystko, co mogę ci dać.

Cofnął się za próg i zamknął za sobą drzwi. Poszedł po ciemku do sypialni i tam również się zatrzasnął, nie czekając, żeby sprawdzić, czy wystarczyło jej to, co powiedział.

Reszta weekendu sprowadziła się do kawy i satelity. Drużyna Montreal Expos prowadziła w dywizji National League East i wszystko wskazywało na to, że weźmie udział w rozgrywkach o mistrzostwo ligi, o ile nie spełnią się przewidywania prasy i gracze nie rozpoczną strajku. *Mary Poppins* i John Wayne w *Poszukiwaczach*. Powtórki *Diuków Hazzardu* i *Threes Company*. Billy-Peter pokazał się w poniedziałek wieczorem; ruszył prosto po czajnik, postawił go na palniku i zaczął szykować sobie kubek herbaty. Wish siedział w salonie, skacząc bez celu po kanałach. Futbol australijski. Teledyski country i western.

– Zajebisty z ciebie przyjaciel! – zawołał. – Mógłbym tu leżeć trupem już od kilku dni.

– Wtedy przyjemniej by się siedziało w twoim towarzystwie – skwitował Billy-Peter. – Jak tam wycieczka do Fogo?

America's Most Wanted. Ewangelizator z Południa pocący się na stadionie w Brazylii. Mężczyzna w czarnym garniturze, chodzący w ślad za kaznodzieją, tłumaczący każde słowo na

portugalski. Braves kontra Phillies, bez punktów w drugiej rundzie.

Billy-Peter wszedł do salonu i usiadł w fotelu, czekając, aż woda się zagotuje. Wish odłożył pilota i popatrzył na kolegę. Poczł ulgę, widząc, że Billy-Peter nie spodziewa się odpowiedzi, że jego uwagę pochłonał mecz. Kiedy czajnik zagwizdał w kuchni, Wish machnął ręką, nakazując Billy'emu-Peterowi, żeby nie wstawał, po czym sam poszedł zalać herbatę.

– Mercedes się odzywała? – krzyknął Billy-Peter.

– Nie, od kiedy w sobotę odstawili mnie do domu.

– Wiesz, gdzie zatrzymała się w St. John's?

– W mieszkaniu siostry, w Torbay. – Wszedł do salonu i postawił kubek na stoliku.

– Będiesz jej szukał?

– Wie, gdzie mieszkam.

Billy-Peter podniósł kubek, uśmiechając się do siebie.

– Co? – spytał Wish.

– Nic, mniejsza z tym.

– Mniejsza z czym?

Billy-Peter wziął mały łyk z kubka i skrzywił się.

– Jezu, Wish. Nikt cię nie nauczył, jak zaparzyć herbatę, która nadawałaby się do picia? – Poszedł do kuchni po więcej mleka i cukru.

Wish podkreślił głośność i zaczął wpatrywać się nieobecny wzrokiem w telewizor. „*Aufer a me, Domine, cor lapideum*” – pomyślał. Zabierz serce z kamienia. Zdążył otrzeć łzy, zanim Billy-Peter wrócił na swoje miejsce.

Żaden z nich nie wspomniał już o Mercedes.

We wtorek po południu ktoś zapukał do drzwi. Wish spał na kanapie przed telewizorem; z początku nie wiedział, co go obudziło. Kiedy stukanie znowu się rozległo, poczłapał na ganek.

– Wyglądasz na zaskoczonego – przywitała go Bella.

– W naszych stronach tylko świadkowie Jehowy pukają do drzwi. – Popatrzył za nią, na samochód Agnes zaparkowany na podjeździe.

– Tylko ja. Mogę wejść?

Odsunął się od drzwi, a ona weszła i usiadła przy kuchennym stole.

– Kawa czy herbata?

– Wystarczy trochę wody.

– Przegrzebał szafkę w poszukiwaniu szklanki, odkręcił kran i odczekał, aż popłynie zimna. Odsunął krzesło i usiadł obok dziewczyny.

– Czym mogę służyć, Isabella?

– Tak pomyślałam, że do ciebie wpadnę.

– Matka wie, że tutaj jesteś?

– Powiedzmy, że sama chcę zaspokoić ciekawość.

Roześmiał się.

– A co cię konkretnie interesuje?

Objęła dłońmi szklankę stojącą na stole, wzruszyła ramionami. Wyglądało na to, że teraz, siedząc obok niego, nie wie, co powiedzieć. Prawy nadgarstek miała obwieszony plecionymi bransoletkami, kilkunastoma, we wszystkich kolorach tęczy. Wishowi żal było tej kobiety, towarzyszyło jej takie uczucie zagubienia, jakby przed chwilą zobaczyła śmiertelny wypadek. Jej

wyraźne zakłopotanie sprawiło, że Wish zaczął wiercić się na krześle.

– Mercedes opowiadała ci o moim znamieniu? – spytał. Nachylił się do przodu. – Co ci przypomina?

– Nie wiem – odparła. – Może jakieś zwierzę. Psa? Konia?

– Zgadza się. Twoja matka tego nie przyzna, ale to właśnie koń.

Bella odchyliła się na krześle, skrzyżowała ręce i popatrzyła na niego z taką miną, jak gdyby chciała powiedzieć „Przejdiesz do rzeczy?”.

Opowiedział jej o tym, jak jego matka, będąc w ciąży, wybrała się na spacer ścieżką dla sań, jak przebiegł koło niej płonący koń, a ona padła na ziemię, trzymając się za kark.

– A więc twierdzisz, że ktoś naprawdę, całkiem dosłownie, podpalił żywego konia?

Skinął głową.

– Co za posrana historia.

– Nigdy nie powiedziałem twojej matce, o co tak naprawdę chodziło.

– A był *powód*? Jezu.

– Klacz należała do takiego jednego z Renew's. Była czarna jak bezgwiezdna noc, nie licząc białego znaku na czole. Urodzona, żeby się ścigać. Każdego marca facet jechał z nią do St. John's na gonitwy na jeziorze Quidi Vidi. Żaden koń z miasta nie mógł się z nią równać. Była dumą całego południowego wybrzeża.

Bella wybuchnęła śmiechem.

– Nie oglądałeś tego przypadkiem w jakimś telewizyjnym hicie tygodnia, co?

Popatrzył na nią piorunującym wzrokiem, ale się opanował.

– Mniejsza z tym.

Zaczęła się wycofywać, jakby zganił ją jakiś wewnętrzny głos.

– Ależ nie, mów dalej. Skoro zacząłeś, to dokończ opowieść.

– Nieważne. – Całe współczucie gdzieś się ulotniło.

– W porządku, do cholery. Zamieniam się w słuch. Opowiedz mi o tym pieprzonym koniu. – Wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę, aż wreszcie zrozumiała, że już skończył. Upiła łyk wody. – Mama mówiła, że walczyłeś na Pacyfiku – zagała.

– Owszem. – Przyczajony szmer mdłości niczym pierwsza zapowiedź choroby morskiej.

– Byłeś w Japonii, kiedy zrzucili bombę atomową?

– W Nagasaki.

– Jak to było?

– *Jak* to było?

– No – powiedziała niepewnie.

– Jezu, nie mam pojęcia.

– Byłeś tam czy nie?

Zaśmiał się pod nosem. Pokręcił głową. Przypomniał sobie, jak próbował opisać Mercedes zmasakrowaną twarz Nishino, rozpaczliwie poszukując paru słów, które nie zaciemnią, nie przekłamią, nie zwiądą. Koniec końców tylko złagodził rzeczywistość. Osłabił tamten niepodlegający słowom fakt, leżący u jego stóp. Nie miał dość odwagi, żeby teraz zaryzykować podobne niepowodzenie. Opowiadanie zdawało się stanowić tylko inną formę zapominania.

Bella widziała, że Wish się waha.

– Uważasz, że to nie było w porządku – podpowiedziała.

– Zrobili to, bo mogli – wyjaśnił, wzruszając ramionami, jakby próbował powstrzymać się przed osądem. – Powiem ci, co myślałem wtedy. Uważałem, że na całym świecie tylko Amerykanie mają jaja, żeby zrzucić te bomby, i chwala im za to. Tak po prawdzie to modliłem się o więcej. Nawet gdy zobaczyłem konsekwencje.

– To dlatego po wojnie nie próbowałeś odszukać mojej matki?

– Isabella, nie wydaje mi się, żeby to był twój interes.

– Ona by to wszystko wyprostowała.

– Co takiego?

– Wszystko, co cię tam spotkało. Cokolwiek to było.

Odwrócił się od niej.

– Mówię poważnie – dodała.

– Wiem, że mówisz poważnie. – Pokręcił głową. – Wszyscy jesteście tacy sami, bez wyjątku.

– A co to ma znaczyć?

– Isabella, powiem ci, co dzisiaj myślę – mówił, nie podnosząc głosu. – Na całym świecie nie ma drugiego narodu, który potrafiłby zrzucić tamte bomby, a potem twierdzić w najlepsze, że lekiem na całe zło jest miłość. Co za osiągnięcie: wszystkie te wasze pieprzone Hallmarki, Disneylandy, Hollywoody i co tam jeszcze sprawia, że ludzie kupują te brednie. Co za *niebывале* osiągnięcie. – Czuł, że jego nogi drżą pod stołem.

Bella uniosła rękę.

– W porządku – powiedziała. – Mniejsza o to. Nie przyjechałam tu, żeby się wykłócać.

– A po co przyjechałaś?

Odchyliła się na krzesło, rozwarła szeroko ramiona, wlepiła wzrok w sufit. Po chwili wróciła do dawnej pozycji.

– W Bostonie mają takie muzeum sztuki, galerię, do której mama lubi jeździć.

– Galerię?

– To galeria założona przez moją imienniczkę. Isabella Gardner Museum. Mama chodziła tam z Marion. Słyszałeś o mojej siostrze Marion?

– Słyszałem.

– Moi rodzice nigdy o niej nie rozmawiali. W domu nie wymawiało się jej imienia. Za to mama zaczęła zabierać mnie do tej galerii, kiedy byłam jeszcze mała, zanim mogłam w ogóle pojąć, co oglądam. Był tam jeden obraz, w który wpatrywała się szczególnie długo, *Koncert Vermeera*, czy jakoś tak. Znasz ten obraz?

Wish bezradnie wzniosł dłonie.

– Jedna dziewczyna siedzi przy klawesynie, czymś na kształt pianina – wyjaśniła. – A druga śpiewa z nut. W centrum obrazu siedzi mężczyzna, ogromny facet z włosami do ramion, z szarfą zarzuconą na płaszcz. Widać tylko jego plecy. Patrzy prosto przed siebie, jakby cała ta scenka była tylko wytworem jego wyobraźni. Zawsze dostawałam na jego widok gęsiej skórki, nie miałam pojęcia, co on może sobie myśleć. Wydawało mi się, że zaraz wstanie i pożre te dziewczyny żywcem.

Wish poskrobał się w kępkę włosów nad uchem.

– Bella.

– Mniejsza o to – powiedziała. – Nieważne. Chodzi o to, że kilka lat temu obraz został skradziony.

– Jak to skradziony?

– Zwyczajnie, prosto ze ściany. Nie znam szczegółów. Razem z nim zniknęło parę innych dzieł. Prasa pisała o tym przez jakiś czas. Według nich Vermeer był wart miliony.

Głos Belli był spokojny, Wish zauważył jednak, że jej twarz się zmienia, policzki zalewa rumieniec. Pomyślał, że to musi być gniew, uraza tak zadawniona, iż Bella sama nie zdaje już sobie z niej sprawy.

– Teraz na ścianie, na której znajdował się *Koncert*, wisi pusta rama. A mama wciąż tam jeździ, by w rocznicę śmierci Marion wpatrywać się w tę ścianę. – Isabella popatrzyła mu w oczy. – Ot, i cała Mercedes. W pigułce.

Wish zapatrzył się w przestrzeń za nią, myśląc usilnie.

– A więc chcesz powiedzieć – zaczął.

– Chcę powiedzieć, że tata i ja byliśmy zawsze na drugim miejscu. Jej najcenniejsze chwile to te spędzone przed tamtą pustą ramą.

Musiał powstrzymać się przed uśmiechem. Nie spodziewał się po Isabelli tak prostego i sentymentalnego stwierdzenia.

– To wydaje się dość krzywdzące wobec twojej matki.

– W takim razie wcale jej nie znasz.

Te słowa wprawiły ich oboje w zakłopotanie. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– A więc – powiedziała w końcu Bella. – Czułeś się winny, że żyjesz. Dlatego nie próbowałeś jej odszukać? Nie zasługiwałeś na normalne, szczęśliwe życie?

Wstał, by nalać sobie kawy. Napił się. Płyn stał w dzbanku od wielu godzin, był słonawy, pływały w nim fusy. Wish oparł się o

blat i wziął jeszcze łyk. Zajrzał do kubka.

– Do cholery, nie bądź taki powściągliwy – zagadnęła.

Podniósł wzrok, zaskoczony emocjami pobrzmiewającymi w jej głosie. Niekrytym rozczarowaniem. Nagle dostrzegł ten oczywisty znak równości. To nie gniew malował się na jej twarzy.

– Może to wcale nie ja czuję się winny, że żyję – powiedział.

Bella oparła się na krześle, z pieczołowitością nadając twarzy obojętny wyraz.

– Isabella, pomiędzy mną a Mercedes nie zajdzie nic, co wskrzesiłoby Marion. Albo zmieniło sposób, w jaki matka odnosi się do ciebie.

– Jezu – szepnęła Bella. Zaśmiała się gniewnie, próbując zbyć jego słowa. Złapała swoją szklankę, wypila połowę wody, po czym wstała od stołu. Ruszyła do drzwi i przystanąła z ręką na klamce.

– Powiedz, Wish. Przed wojną też byłeś takim bezdusznym złamasem?

– Chyba zawsze byłem do tego zdolny – przyznał. – Owszem.

Kiedy Isabella odjechała, Wish usiadł w samochodzie przed domem, walcząc z pokusą, by pojechać do Mercera. Przypomniawszy sobie o medalu z głową króla Jerzego, leżącym w szufladzie komody, wrócił więc do domu i wsunął odznaczenie do kieszeni, jakby to był medalik z wizerunkiem świętego. Ot, żeby poczuć jego ciężar. Jadąc do baru, rozpamiętywał swoją rozmowę z Bellą, starał się powtórzyć niektóre z rzeczy, które do niej powiedział, lecz te słowa wydawały mu się całkiem obce. Czuł się tak, jakby próbował po wytrzeźwieniu przywołać szczegóły pijackiej sprzeczki. Nie potrafił nawet stwierdzić, czy rozumiał znaczenie tamtych słów – nie mówiąc już o tym, czy w nie wierzył.

U Mercera nie było nikogo, nie licząc Gail za barem. Miała na sobie biały t-shirt z napisem „Klub płaskich deseczek” rozciągniętym przez jej obfity biust. Otwierając mu piwo, zerknęła na niego podejrzliwie, ale przyjęła pieniądze bez słowa.

– Srebro sobie zostaw – powiedział, gdy odliczała mu resztę.

Usiadł przy jednym z małych, kwadratowych stolików i wlał w siebie piwo trzema długimi haustami. Na dokładkę zamówił ciemny rum z colą i kolejne piwo. Gdy je wypił, rozejrzał się po knajpie. Rząd niedużych okien, wysoko w jednej ze ścian. Nad barem neon browaru Labatt i włączony telewizor. Reszta pomieszczenia spowita chłodnym, wilgotnym mrokiem, jak kościoły i świetlice, w których niegdyś wyświetlali filmy.

Klacz nazywała się Gwiazda Morza – na cześć Matki Boskiej i z uwagi na białą plamkę na czole. To imię znało całe wybrzeże, nawet w latach, gdy Wish był dzieciakiem, a klacz dawno już nie żyła. Za czasów jego rodziców każdy, kto przejeżdżał przez Renew, przystawał, by popatrzeć, jak wypasa się swobodnie na polach, by dać jej pół jabłka czy garść tytoniu. Księża z całej okolicy zanosili modły w intencji jej powodzenia w marcowych gonitwach. W dniu św. Franciszka pod Mass Rock odprawiano nabożeństwo na świeżym powietrzu, podczas którego błogosławiono klacz. Monsignore Power kreślił znak krzyża na jej czole. Tak było do czasu, gdy została sprzedana kupcowi z St. John's, facetowi urodzonemu z majątkiem większym, niż Salomon dostał od Boga. Jegomość miał już z tuzin innych koni. Był protestantem; chodziły słuchy, że zamierza skrócić imię zwierzęcia do „Gwiazda”.

Gdy matkę obudziło kopanie Wisha, wyszła z Lilly na spacer w świetle księżyca, by rozchodzić ścierpnięte nogi. Na ścieżce koło cmentarza kobiety minęły trzech mężczyzn – miejscowych, których rozpoznały po głosach, więc przywitały się w ciemnościach. Potem poszły dalej na mokradła, nie zastanawiając się specjalnie nad tym spotkaniem, nie licząc myśli, że późno już na spacer. Zapewne jeden z facetów trzymał klacz za uzdę i szeptał do niej uspokajająco, podczas gdy dwaj pozostali polewali jej grzbiet naftą. Potem ustawili ją w otwartych drzwiach stajni, podpalili jej kruczoczną sierść i pozwolili jej biec do diabła.

Wish za cholerę nie mógł poczuć, że się napił. Zamówił podwójny rum z colą i usiadł, kiwając się w mroku. Wyjął pudełko zapalek, którymi zwykł oznaczać wynik podczas partyjek *cribbage* z Lilly. Palił jedną po drugiej, pozwalając płomieniowi sunąć po drewnie, aż spiecze mu końce palców. Czekał, kiedy alkohol zacznie działać.

Przed ósmą porzucił swój stolik i stanął przy barze, by opowiadać historie z czasów wojny Gail i kilku klientom pijącym samotnie na stołkach. Pokazywał wszystkim medal, by zadośćuczynić za brak widocznych ran.

– Za co go dostałeś?

– Mój kolega znalazł go przy martwym żółtku.

– A żółtek skąd go miał?

– Pewnie ukradł. – Wlał w gardło pół swojego drinka. – Był z niego kawał chuja. O mało nie pobił mnie na śmierć.

Gail spytała: – To było w obozie, prawda, Wish?

– Chwilę przed tym, jak Amerykanie przyładowali w Nagasaki. Zanim spadła bomba, zamknął mnie w bambusowej

klatce. – Uśmiechnął się półgębkiem w sposób tak wymuszony, że wyglądało to jak grymas bólu. Po laniu kijami Wish z Harrisem zostali wtrąceni do klatek i przez to opuścili swoją zmianę w stoczni, znajdującej się trzy mile bliżej strefy zero. Minęli ją potem, gdy jechali do centrum, by zbierać i palić zwłoki. Nic z niej nie zostało, tylko sterty poskręcane złomu.

– Co to znaczy? – spytał facet siedzący na końcu baru. – Te napisy na odwrocie.

– Oddawaj to! – krzyknął Wish. – Pieprzone kutasy! – Przeszedł wzdłuż lady, chwycił medal i wcisnął go sobie do kieszeni na piersi. – Do kurwy nędzy, nic wam nie można pokazać.

– Powinieneś coś zjeść – poradziła Gail. – Paczkę chipsów czy coś w tym stylu.

– Chuj z chipsami – odparł. – Chuj. Kto się napije?

Parę godzin później, wszedłszy do łazienki, stwierdził, że kabina i pisuar są zajęte. Czekał, chwiejąc się na nogach. Rozglądał się po malutkim pomieszczeniu. W końcu rozpiął spodnie i odlał się do umywalki. Za jego plecami zaskrzypiały drzwi, a męski głos powiedział: – Chryste Panie. Furey!

– Do kolejki! – odkrzyknął przez ramię. Zaśmiał się do siebie.

Gail oznajmiła, że nie sprzeda mu kolejnego drinka. Wyklócał się z nią, aż sięgnęła po telefon i zagroziła, że zadzwoni po męża, żeby go wyrzucił. Wtedy poczłapał do samochodu. Był zbyt nawalony, by trafić kluczykiem do stacyjki. Myślał: „Nishino, Nishino, Nishino”.

To tamten wzwód go pograżył. Łydki ubabrane krwią, u stóp martwy facet. Zamierzał nadać telegram do Mercedes, gdy tylko

dopłynie do San Francisco, ale nie był w stanie tego zrobić. Ta myśl dręczyła go przez całą drogę na wschodnie wybrzeże, śnił o Mercedes każdej nocy, a nie mówiła do niego nic poza tamtymi słowami, które zdążył na krótko zapomnieć. Dopiero gdy pociąg minął Montreal, Wish dostrzegł pełny obraz; wszystkie elementy ustawiły się w szyku, tak że niemal usłyszał trzask, gdy się w siebie wpasowały. Harris i Spalding krzyczący „ty skośnooki chuju”, szczający na zmasakrowaną twarz. „Ty żółty skurwielu”. Wish patrzący na to ze wzwozem. Dobry Jezu. Do ciężkiej cholery. Jego ręka między nogami małej protestantki, za dobrej, jak dla niego; ta wyniosła cipa, jej matka, zanosząca modły w kościele, a jego kutas sztywny jak drąg.

Zakład z Hiramem zawarł w drodze powrotnej z Twillingate, aby zwiększyć swoją determinację, by upewnić się, że nie odpuści. O pięć dolców, że prześpi się z Mercedes. Choć jej matka nie mogła w żaden sposób dowiedzieć się o zakładzie, Wish lubił wyobrazać sobie, że kobieta usłyszała tamte słowa. A mała, wściekła maszyneria pracowała w nim na pełnych obrotach. Palce miał już wilgotne, dziewczyna nie stawiała najmniejszego oporu, aż nagle odepchnęła go i powiedziała: „Nie rób ze mnie kurwy”. Oszło mi to, jaka okazała się przewidująca. Zabrzmiało to tak, jakby przez jej usta przemówił ktoś inny. Oskarżenie było tak smętne i przenikliwe, że Wish odniósł wrażenie, iż to jakiś anioł czy święty zainterweniował, by zawstydzić go, odsłaniając jego zamiary.

A wtedy zaczął spotykać się z Mercedes niemal w ramach pokuty, aktu żalu, jakby zakochując się w niej mógł udowodnić, że tamto oskarżenie było fałszywe, jak gdyby mógł wymazać własne

poczucie winy, przynosząc dziewczynie nieco pocieszenia po śmierci ojca. Tak, jakby mógł przekonać siebie, że jest innym człowiekiem niż w rzeczywistości. To było misterne kłamstwo, w które nawet on sam ostatecznie uwierzył; fałsz, który przez całą wojnę dawał mu takie samo pocieszenie, jakby był prawdą.

Gdy pociąg toczył się ku Halifaksowi, Harris leżał wyciągnięty na siedzeniach naprzeciw Wisha. Włosy wychodziły mu z głowy całymi puklami.

– Wish, jak dojedziemy, zostaniesz przy mnie. Nie pozwolisz mi umrzeć w samotności.

—

Już prawie świtało, gdy obudził się zgarbiony nad kierownicą. Wciąż był pijany, ale zdołał zapalić silnik i ostrożnie wycofać wóz na opustoszałą drogę. Kiedy Gail zamykała knajpę, potrząsnęła nim i spytała, czy wszystko w porządku, a on ją odepchnął. Kiedy zatrzasnęła drzwi samochodu, znowu odpłynął. Ciemny rum z colą – przypomniał sobie, jadąc – przez całe popołudnie i wieczór. Żółć podeszła mu do gardła.

Jak to już nieraz zdarzało się w długim kociokwiku jego dorosłego życia, z mgły wyłoniła się kobieta karmiąca niemowlę w spustoszonej Nagasaki. Przypomniał sobie obojętność, z jaką patrzył na nią i dziecko, zbierając i podpalając trupy niczym drewno wyrzucone przez morze. Przecież o to się wtedy modlił, nie czuł więc skruchy. Dopiero po latach uświadomił sobie, że ten los spotkał ich właśnie dlatego, że on im go życzył. Ziściło się marzenie Wisha i innych, którzy myśleli tak samo. Równie dobrze mógłby własnoręcznie zdrapać paznokciami skórę z czaszki kobiety, chwycić jej dziecko i tak długo trzymać je nad ogniem

trawiącym zmarłych, aż jego plecy pokryłyby się czarnymi pęcherzami.

Spośród wszystkich jego wspomnień to zwłaszcza obraz tych dwóch bezimiennych postaci sprawił, że Wish zarezerwował dla siebie miejsce za najodleglejszymi planetami. Gdzieś poza granicami człowieczeństwa. Martwe oczy matki, niemowlę obojętnie ssące pierś. Madonna z dzieciątkiem. W pół drogi do domu zjechał na pobocze, otworzył drzwi, wychylił się i wymiotował na asfalt.

Pod domem stała ciężarówka Billy'ego-Petera. Wish zastał go śpiącego na kanapie przy włączonym telewizorze. Poszedł do kuchni i nastawił ekspres. Siadł przy stole i czekał, aż kawa się zaparzy, a obie ręce drżały mu jak silnik rzeżący na najwyższych obrotach.

W czwartek pojechał do św. Patryka.

Był wykąpany i świeżo ogolony. Założył swoją jedyną w miarę porządną białą koszulę, zapiął guziki aż pod szyję. Zajechał po kawę na Churchill Square, dla Lilly kupił jabłko w cieście. Idąc korytarzem do pokoju ciotki, usłyszał śpiewną łacinę kapłana odprawiającego mszę, rozpoznał ten podniosły tembr w jej głosie. Przez chwilę przyglądał jej się, stojąc w drzwiach. Lilly była obwieszona ręcznikami imitującymi szaty liturgiczne kapłana. W rękach trzymała kubek oraz szczoteczkę do zębów, za pomocą której skrapiała pokój wodą święconą. Nieopodal stała Kathleen w swoim kwiecistym kitlu – potężny ministrant.

– Jezu, Kathleen, przestaniez wreszcie spełniać jej zachcianki?

– A komu to szkodzi?

- Wystroiłaś ją jak cyrkowe dziwadło.
- To tylko parę starych ręczników, panie zrzędo.

Wszedłszy do pokoju, odstawił kawę na stolik nocny i zdjął płaszcz.

- No proszę, ależ się odstawiłeś – zagaiła Kathleen.
- Dawno się tak zachowuje?

– Zaczęła jakoś przed południem. – Dziewczyna zerknęła na zegarek. – Obowiązki wzywają. Lilly jest twoja. – Wychodząc, dotknęła jego ramienia. – Bez żartów, wyglądasz świetnie. Z jakiej to okazji?

– Jestem trzeźwy – odparł. Nachylił się nad Lilly i spojrzał jej w twarz. – Proszę księdza, to dzisiaj nie gramy w karty? – spytał podniesionym głosem. – Nie oglądamy *Kola fortuny*?

Lilly nie zwracała uwagi na jego pytania. Wręczyła mu kubek, żeby odstawił go na tacy obok jej wózka. Zanurzwszy końcówki palców w wodzie, przeżegnała się i zaczęła odmawiać *Pater Noster*.

Gdy tak przyglądał się staruszce w jej szatach z ręczników, ze szczoteczką do wody święconej, wydało mu się to zabawne. W Nagasaki Nishino przez przypadek uratował jego nędzne, nic niewarte życie. A matka Mercedes sama była katoliczką, tak jak Wish. Wszystko, co mu się kiedykolwiek przydarzyło, wyglądało na element jakiegoś szalonego żartu, który miał go wykończyć. Zaczął chichotać głupkowato na myśl, że jak na razie się nie udało. Że tak kurczowo trzyma się swojej kawy, pirackiej satelity, gulaszów Billy’ego-Petera i używanego samochodu, który jeździł na taśmę klejącą i słowo honoru. Jakby z tych oparów miała wyłonić się jakaś nieprawdopodobna chwila odkupienia. Próbował spojrzeć Lilly prosto w oczy.

– To dobre życie, dopóki nie osłabiesz. Co nie, proszę księdza?

Przysunął sobie krzesło i zaczął odmawiać modlitwę razem z ciotką. Szczypał się wściekle w rękę, by stłumić śmiech.

MERCEDES

Johnny Boustani troszczył się o Mercedes zgodnie z obietnicą. A ona z czasem pokochała go dokładnie tak, jak zapowiedział. Ta prosta arytmetyka wciąż wprawiała ją w zdumienie.

W dwa lata po jej przyjeździe do Lowell Johnny wystąpił z wojska, by uniknąć przeniesienia. Udzielał lekcji muzyki, stroił pianina w całym Massachusetts, a przez jakiś czas prowadził sklep z nutami i używanymi instrumentami. W latach pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych grywał z kwartetem jazzowym w bostońskich klubach. Mercedes, która musiała opiekować się Marion, rzadko oglądała męża na scenie. Napawało ją to coraz większym niepokojem, gdy widziała go tak swobodnego, nieskrępowanego. Świat nigdy tak do końca do niego nie pasował – chyba że Johnny grał. Muzyka coś w nim zmieniała, jakby silnik wyjący na luzie nagle wskakiwał na bieg. Prędkość i moment obrotowy. Mechaniczny szmer, tak łagodny, że niemal niedosłyszalny. Patrząc na niego, miała wrażenie, że za twarzą i dłońmi męża ukrył się obcy człowiek.

Pokochała mężczyznę, którego tak zdecydowanie odrzucała podczas wojny – prostolinijnego safandulę. Właśnie na tej pozbawionej fałszu, gamoniowatej niewinności, która niegdyś tak ją drażniła, nauczyła się najbardziej polegać. Na jego ujmującej nieporadności wobec świata wypełnionego tym, co zwyczajne.

Ponownie poczuła ogrom tamtej straty, gdy odwróciła się od Wisha pod domem w Calvert i zeszła po podjeździe do samochodu.

Bella przyglądała się nadchodzącej matce przez szybę. Przez całą drogę do St. John's nie odezwały się ani słowem. Johnny by tego nie zniósł. Zacząłby coś podśpiewywać albo opowiedziałby jakiś niezręczny żart, a potem spędziłby kilka minut, próbując wytłumaczyć wszystkim, jaka zabawna była pointa, którą spalił. Zaserwowałby Mercedes jedną ze swoich niesławnych, żenujących opowiastek o tym, jak to kiedyś najadł się przed kimś wstydu, a ona czułaby się bezpieczniej, słuchając jego paplaniny. Czułaby się bardziej ludzka.

Gdy tylko dotarły do mieszkania Agnes, położyły się spać. Mercedes zasnęła w okamgnieniu. Nazajutrz obudziła się wcześniej rano. Przez jakiś czas leżała, wsłuchując się w dźwięk samochodów na Torbay Road. Miarowe świsty przechodzące w cichnący szmer były niemal równie kojące, co szum fal na plaży. Uwielbiała te pierwsze chwile dnia, tę krótką amnezję trwającą, dopóki fakty życia nie przesączą się przez spokój.

Najpierw wrócił do niej Wish. Ciemny korytarz jego głosu na wyciągnięcie ręki, na przednim fotelu samochodu. Chciała wiedzieć *wszystko*, a teraz była tak zdruzgotana, że aż ją mdliło. Powiedział, że miał krew na łydkach. Że dwaj faceci szczali na zmasakrowaną twarz trupa. W tym momencie przerwała mu i opuściła szybę, żeby przypadkiem nie usłyszeć, jak Wish wyznaje, że sam zrobił to samo albo i coś gorszego.

Pomyślała, że nic dziwnego, iż ludzie muszą rozmawiać z Bogiem. Nikt inny by czegoś takiego nie zniósł.

Przysiadła na skraju łóżka. Zanim wstała, odczekała, aż przejdzie jej poranny zawrót głowy. A wtedy uderzyła ją myśl o Marion. O tym, że Wish ją poznał, przechadzając się po parku za

ich płotem. Usiadła znowu, pozwalając, by ten fakt rozszedł się jej po umyśle. Że też Wish zdołał podkraść się na rzut kamieniem, a ona nie miała pojęcia, choćby mglistego przeczucia. Że sterczał tam godzinami, a potem odszedł, nie dając jej żadnego sygnału. A Marion siedziała, opierając stopę na leżaku, kiwając kolanem jak wahadłem. Córka odbyła z Wishem niewinną rozmowę na temat pogody w Lowell. Mercedes miała wrażenie, że ktoś wręczył jej zdjęcie ze zbiorów obcej osoby – jeszcze jedno niespodziewane spojrzenie na twarz, której obraz w jej pamięci był pozornie kompletny.

Mercedes oparła czoło na rękach. Jej myśli pędziły jak szalone, a głowa zdawała się wypełniona po brzegi, nasączona. „Jak szkuta wypełniona wodą” – tak ujęłaby to babka. „Pewnego dnia też będziesz tu leżeć” – powiedziała jej kiedyś. „Nie pozwól, by miłość przeszła ci koło nosa”.

Naciągnęła na siebie ubrania i zeszła po schodach. Bella spała jeszcze na rozkładanej kanapie w salonie. Mercedes usiadła na skraju posłania córki i odgarnęła jej włosy za ucho. Coś przemknęło po obliczu Belli, jakiś nieuchwytny cień. Potem długi, spokojny wydech. Mercedes zawsze uwielbiała patrzeć na córki we śnie, gdy ich rysy łagodniały, odprężały się tak, że dziewczyny wyglądały zupełnie jak w dzieciństwie. Delikatne, bezbronne, całkowicie bezpieczne. Zawsze sądziła, że jej dzieciom nie może stać się nic złego, jeżeli istnieje Bóg, który widzi je tak, jak ona – we śnie.

Do wtorku rano wciąż nie doczekały się żadnych wieści od Wisha.

– Może pojedę z nim pogadać? – zaproponowała Bella.

Mercedes przez chwilę przyglądała się córce.

– Daj spokój, Bella.

– Co? Chcesz, żebyśmy czekały w tym mieszkaniu przez całe lato? Wpadnę do niego, wybadam sytuację.

– Obiecuj mi, że nie wdasz się z nim w żadną awanturę.

– Ależ Mercedes, po co miałabym to robić?

– Nie wiem. To leży w twojej naturze.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – szepnęła Agnes siedząca w bujanym fotelu w kącie.

– Przymknij się, Agnes – odburknęła Mercedes.

Bella pojechała chwilę po lunchu, a siostry usiadły razem na kanapie przy wyjściu na patio. W telewizorze bulgotały opery mydlane. Za oknem płowoszare niebo. Wciąż było za zimno, by usiąść na zewnątrz. Dzień był na swój sposób przyćmiony i stłumiony – jak każdy, od kiedy pożegnały się z Wisem w Calvert. Nic, co Mercedes zobaczyła czy usłyszała, nie docierało do niej tak naprawdę. Jadła, prowadziła rozmowy i przeglądała program TV czy gazety, lecz zachowywała się tak, jakby tylko odnotowywała fakty, aby doświadczyć ich w jakimś późniejszym terminie, gdy opuści czyściec, w którym jest zawieszona. Znała już to uczucie. To było to samo ponure, pochłaniające energię, niepełne życie, które wiodła w St. John's podczas wojny, swego rodzaju aktywne oczekiwanie, trochę jak ciąża: każda konkretna, namacalna rzecz podlegała władzy dusznego napięcia, żarłocznego nurtu niepokoju.

Oczekiwanie było przyćmione wyznaniem Wisza, ich cielesnymi, zręcznymi szczegółami. Mercedes rozumiała, że to, co zobaczył – w czym sam brał udział – mogło sprawić, że miłość

wyda się człowiekowi śmiechu warta, a zwykły świat zbyt prozaiczny, by był prawdziwy. Jakie to miało znaczenie: uklęknąć przed dziewczyną w letni wieczór, potem stanąć przed nią nago nad brzegiem sadzawki i pozwolić jej na siebie patrzeć?

Chwilami nabierała jednak przekonania, że musi kryć się za tym coś więcej; że powstrzymała go, zanim zdołał wyznać, co dokładnie sprawiło, że przez te wszystkie lata trzymał się od niej z dala. Coś uwięziło go pod powierzchnią życia, którego o mały włos nie zaczął z nią wieść – coś związanego z nią, z Cove i pieniędzmi postawionymi przez Hiram, z jej matką, prałatem i tamtym wieczorem w kuchni. Czuła, iż z jej strony był to pewien defekt woli, swego rodzaju tchórzostwo, że sama uciekła przed prawdą.

Gdy usłyszała, że Bella wchodzi do mieszkania, nie podniosła się z kanapy. Czekwała, aż córka odwiesi kurtkę, zdejmie buty, nastawi czajnik. Można było odnieść wrażenie, że bardziej interesują ją intrygi bohaterów *Żaru młodości* niż to, co wydarzyło się w Calvert tego popołudnia.

Bella usadowiła się na drugim końcu kanapy.

– Gdzie ciocia Agnes?

– Drzemie na górze. Jak poszło?

– Po cholereę oglądasz tę szmirę?

– Co miał na swoje usprawiedliwienie?

– Nie był w nastroju do rozmów.

Mercedes czuła się tak, jakby wścibiała nos w jeden z katastrofalnych związków córki. Na twarzy Belli widniał ten sam chłodny grymas zranienia; córka przybrała zwyczajową fałszywą, pozornie swobodną pozę. A do tego kwaśna nuta głębokiego,

osobistego rozczarowania, oznaczająca, że ona nie zamierza już mieć z tym człowiekiem nic wspólnego.

– Nie wszczęłaś chyba awantury, co, Bella?

Córka opuściła głowę na oparcie kanapy.

– Mercedes.

– Wiedziałam, że to błąd, że pozwoliłam ci tam jechać.

Bella spojrzała jej prosto w oczy.

– Mamo, pozwól, że cię o coś spytam. Po co miałabyś teraz pakować się w takie kłopoty? W tym konkretnym punkcie twojego życia.

Nie była pewna, czy sama zna odpowiedź na to pytanie. Gdy po wojnie opuściła St. John's, zostawiła coś za sobą. Coś, co poczuła w kuchni z Wishem, gdy jego ręka sunęła między jej udami. Albo gdy przycisnął tam usta, gdy ją całował, a ją ogarnęło to przerażające uniesienie. Jakby odkrył w Mercedes część, o której istnieniu ona sama nie miała pojęcia. Nazwał ją dla niej, stworzył, po prostu jej dotykając. Potem już zawsze Mercedes uważała tę część w pewnym stopniu za jego własność. A teraz świat dał jej jeszcze jedną okazję na odzyskanie tego, co niegdyś zostawiła za sobą. Drzemiąca w niej hazardzistka nie mogła oprzeć się takiej pokusie.

– Postawiłam wszystko, co miałam.

Bella odwróciła się od niej i popatrzyła prosto w telewizor.

– On nie będzie cię szukał, tyle ci powiem. To ty musisz go znaleźć.

– A dlaczego tak uważasz?

– Jeśli ma powód, by trzymać się z daleka – stwierdziła – to będzie się trzymał z daleka.

W czwartek Mercedes wstała wcześnie. Była zbyt niespokojna, by leżeć w łóżku. Zeszła do kuchni, spróbowała zaparzyć sobie herbatę, nie budząc Isabelli. Wish wciąż się nie odezwał. Przynajmniej co do niego musiała przyznać Belli rację. Jak to powiedziała: jeśli ma powód, by trzymać się z daleka. Mercedes siedziała przy stole, czekając aż woda w czajniku się zagotuje. Światło poranka powoli wsączało się do mieszkania. To ty musisz go znaleźć – powiedziała Bella.

Po południu Mercedes przemyciła do torebki kluczyki od samochodu, po czym oznajmiła Belli i Agnes, że idzie do centrum handlowego po drugiej stronie drogi.

– Odetchnę świeżym powietrzem – skłamała. – Wracam za jakąś godzinę.

Nie lubiła prowadzić samochodu; nigdy nie dotarłaby do Calvert na własną rękę, nawet, gdyby pamiętała drogę. Pomyślała jednak że zdoła dojechać do św. Patryka. Powlokła się prawym pasem na Torbay Road, przystając przed każdymi światłami, nawet gdy paliło się zielone. Rozglądała się uważnie, to w lewo, to w prawo, podczas gdy za nią wściekle trąbiły klaksony. Uśmiechała się i machała do kierowców, gdy zjeżdżali na lewy pas i wyprzedzali ją z rykiem silnika. Gdy zjechała na Elizabeth Avenue, zwolniła jeszcze bardziej, próbując wypatrzeć zjazd do domu opieki. Całą ulicę przejechała z włączonym prawym kierunkowskazem.

Na miejscu zaparkowała możliwie najdalej od wejścia, by zmniejszyć szanse na to, że odjeżdżając, będzie musiała manewrować między innymi samochodami. Po drodze do budynku dostrzegła rzęcha należącego do Wisha. Tylny zderzak wygięty, z

prawej strony podwiązany zwojem żółtego drutu. Drzwi rdzewiejące od spodu, szyba po stronie pasażera zastąpiona arkuszem plastiku przyklejonym na taśmę izolacyjną. W środku różaniec zawieszony na lusterku. Zauważyła, że na widok tego pojazdu zaczęła się wahać, jakby został tutaj zaparkowany ku przestrodze.

Pozbierała się jednak i weszła do środka.

Wish był odwrócony plecami do niej. Siedział przed Lilly śpiącą twardo na swoim wózku. Jej głowa opadła niemal poniżej wątych ramion, które z jakiegoś powodu były obwieszane ręcznikami. Telewizor był wyłączony; pomyślała, że Wish również śpi. W łysej łepetynie odbijała się lampa z sufitu. Mercedes cichaczem weszła do środka i pochyliła się nad mężczyzną. Znowu ta woda po goleniu. Dymna nuta kawy. Nachyliła się jeszcze niżej, próbując wyłowić jego zapach.

Wish podskoczył na krześle.

– Jezu – szepnął. – Mercedes.

– Przepraszam. Przepraszam. Myślałam, że śpisz.

– Jezu – powtórzył cicho, starając się nie zbudzić Lilly.

Mercedes ustawiła sobie krzesło koło niego i odłożyła torbę na podłogę, obok stóp. Uśmiechnęła się do Wisha. Wyglądał jak chłopiec wystrojony przez mamę do kościoła. Biała koszula zapięta pod samą szyję. Wydawał się przez to delikatny, jakby dopiero debiutował w świecie dorosłych.

– Przepraszam, że nasłałam na ciebie Bellę – zaczęła.

– To ty kazałaś jej przyjechać?

– Chciałam sprawdzić, czy dobrze się czujesz. Po tym wszystkim. Mam nadzieję, że nie robiła scen?

– Skądże – odpowiedział nazbyt szybko. – Zachowywała się w porządku.

– Powinam była to przewidzieć.

Potem siedzieli w milczeniu, długo wpatrując się w śpiącą staruszkę. Dziewięćdziesiąt lat wyrytych w prastarej twarzy, a już niebawem wszystko, czym była i co robiła na tym świecie, miało odejść na wieki. Ten fakt emanował z niej jako swego rodzaju blask; prawdę tę podkreślała jej kruchość, blade koronki żył prześwitujące przez szklistą skórę dłoni, delikatnie kołysząca się głowa. Mercedes wyciągnęła rękę do Wisha. Siedział, trzymając ją za dłoń.

– Zawsze zastanawiałam się, jak to było – zagadnęła – gdy ją znalazłeś. Kiedy leżała wyciągnięta na ziemi w swojej chatce.

– Miała atak – wyjaśnił.

– Ludzie mówili, że była krew. Że płynęła z jej dłoni.

– Tak twierdził Tom Keating. – Wzruszył ramionami, jakby niezręcznie mu było podawać jego słowa w wątpliwość. – Ja pamiętam tylko jej twarz. Całą wykręconą, białka oczu na wierzchu. – Wyprostował się na krześle i powiedział: – Jej życie było jednym wielkim pasmem udręk.

Mercedes zdała sobie sprawę, że to samo można by powiedzieć o Wishu, że on i ciotka w pewien sposób stanowili swoje odzwierciedlenie.

– Słuchaj, to nieważne – powiedziała. – Nieważne, że nie szukałeś mnie po wojnie.

– Mercedes.

– To znaczy, nie mam ci tego za złe. Biorąc pod uwagę, jak się wtedy sprawy miały.

Zerknął na nią i skinął głową.

– Johnny był dla mnie dobry. Był dobrym mężem. Miałam dziewczynki – dodała.

Znowu skinął głową, tylko raz.

– Ani pieniędzy nie mam za złe – powiedziała szybko. – Tego twojego zakładu z Hiramem, bez względu na to, o co chodziło.

– Starczy – powiedział.

– To też nieważne. To już wszystko bez znaczenia.

– Zamknij się, Mercedes – powiedział bardzo powoli, nie podnosząc głosu.

Odsunęła się lekko na swoim krześle, zaskoczona uporem mężczyzny. Zrozumiała, że wyrzekł się jej, a jego postanowienie zdążyło nabrać mocy pobożnej praktyki. Już dawno przybił się do krzyża tego wyrzeczenia i pozostał mu wierny przez całe życie. Mercedes dostrzegła nagle całą kryjącą się za tym arogancją, ten ponury, świński upór, potrzebny, by wytrzymać tak długo. Gwałtownie cofnęła rękę.

– Wal się, Wish – powiedziała.

Na to zamieszanie starowinka zaczęła wiercić się na swoim wózku, rozejrzała się po pokoju, a w końcu skupiła wzrok na parze siedzącej przed nią. Uśmiechnęła się do obojga, jakby się ich spodziewała. Rozwarła ramiona najszerzej jak potrafiła, w geście powitania i błogosławieństwa.

– *Dilectissimi nobis, in domum ecclesiae convenistis, ut voluntas ves tra Matrimonium contrahendi coram Ecclesiae ministro...*

– Lilly, daj już spokój – mruknął Wish.

Staruszka ani na chwilę nie przestawała się uśmiechać. Po prostu mówiła dalej, jakby czytała z karteczki. Mercedes rozpoznała słowa *Christus, Matrimonii, Sacramento* i *Baptismate*. Wish wyszczerzył się z zażenowaniem, gapiąc się na swoje buty.

– Ona myśli, że jest kapłanem – wyjaśnił.

– Aloysious *et* Mercedes – powiedziała Lilly, a oni wyprostowali się nieco na dźwięk swoich imion. – *Venistisne hue sine coactione, sed libero et pleno corde ad Matrimonium contrahendum?* – Od czasu do czasu zawieszala głos, jakby oczekiwała odpowiedzi na pytanie. Po chwili zaczynała mówić dalej, najwyraźniej zakładając, że ją otrzymała. Rytm i melodia tych fraz były tak znajome, że pomimo łaciny Mercedes zorientowała się, co robi Lilly.

Wish próbował zająrzeć ciotce prosto w oczy.

– *Capo perduto* – powiedział do niej. – Rozumiesz? Nie jesteś księdzem.

Lilly nachyliła się do niego i szepnęła po angielsku.

– Aloysious, czy masz obrączkę?

– Przykro mi, proszę księdza. Zapomniałem obrączki. Chyba załatwimy to kiedy indziej.

To sformułowanie „kiedy indziej”. Ten kryjący się w nim swobodny fałsz. Mercedes schyliła się, podniosła torbę z podłogi i wyjęła zawiniątko babci.

– Ja mam obrączkę – oznajmiła.

Wish szybko na nią zerknął.

– Chryste Panie, Mercedes.

– Proszę bardzo – powiedziała, kładąc obrączkę na wyciągniętej ręce, by Lilly mogła pobłogosławić ją, czyniąc nad nią

znak krzyża.

– Do jasnej cholery, kobieto – zachnął się Wish. Nie wstał jednak z krzesła.

Mercedes sięgnęła po jego dłoń i zacisnęła jego palce na złotym krążku. Oczy zaszły mu łzami; zakrył usta pięścią, w której ścisnął obrączkę. Nie miała pojęcia, czy zostało w nim jeszcze cokolwiek z chłopca, w którym się kiedyś zakochała.

– Żeby człowiek był taki głupi... – nie sposób było stwierdzić, czy chodzi mu o Lilly, o Mercedes, czy o siebie.

Wypowiedziawszy jeszcze kilka słów, Lilly uśmiechnęła się do nich tak, jakby już dokonało się wszystko, czego wymagał obrzęd. Mercedes przyglądała się Wishowi próbującemu zdławić szloch. Dopiero po chwili zwróciła uwagę na to, że Lilly już skończyła. Starowinka skinęła dłońmi, dając im do zrozumienia, że powinni się pocałować.

– Co Bóg złączył – powiedziała Lilly, delikatnie chyląc głowę.

– Na wieki wieków. Amen – odparła Mercedes.

PODZIĘKOWANIA NIECH ZECHCĄ PRZYJĄĆ

Holly, Arielle, Robin i Ben.

Martha Kanya-Forstner. Anne McDermid. Janet Michael i Theresa (Michael) Rockwood. Degan Davis. Andy Jones – za sznurek z supełkami. Didi Gillard-Rowling. Cate Cochran. Michelle Butler Hallett. Larry Dohey z Archiwum Archidiecezji Rzymskokatolickiej w St. John's. Shaun Oakey. Alison Pick. Stan Dragland. Marney McDiarmid. Eleanor MacDonald. Janice McAlpine. Lisa Moore. Mazie Crummey.

Następujące książki pomogły mi ukształtować osoby, miejsca i wydarzenia opisane w powieści:

- *Its like a dream to me: Paddy 'Iron' McCarthy of Renews relives his first hundred years*, Bertha Thorne;

- *Chryzantema i miecz: wzory kultury japońskiej*, Ruth Benedict;

- *Years of Sorrow, Years of Shame: The Story of Japanese Canadians in World War II*, Barry Broadfoot;

- *Testaments of Honour: Personal Histories of Canada's War Veterans*, Blake Heathcote;

- *Honba oraz Kamen no Kokuhaku*, Yukio Mishima;

- *Kronika ptaka nakręcana*, Haruki Murakami;

- *Tilting*, Robert Mellin.

Obóz Nagasaki #14 jest fikcyjny, lecz przedstawione w książce zasady, zwyczaje i warunki panujące w obozach opisałem na

podstawie licznych relacji jeńców, którzy przeżyli wojnę. Dziękuję Regowi Sherrenowi za odpis tekstu *Return to Nagasaki*, dokumentu CBC przedstawiającego przeżycia Johna Forda w obozie położonym niedaleko strefy zero.

Doświadczenia Nishino na Gadalcanalu są w dużym stopniu zaczerpnięte z relacji Davida H. Lippmana (*World War II Plus 55*, na stronie www.usswashington.com).

Wszystkie cytaty biblijne zaczerpnięto z Biblii Gdańskiej.

Motto – cytat z książki Ruth Benedict *Chryzantema i miecz: wzory kultury japońskiej* – według przekładu Ewy Klekot.

[1] Dosłownie: „zatoczka”. Zazwyczaj wyraz ten stanowi tylko jeden z członów nazw zatok i położonych nad nimi osad rybackich, np. Comfort Cove, Sandy Cove czy Grates Cove (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Członkowie *Orange Order*, protestanckiej organizacji założonej w 1795 roku, znanej z prowokacyjnego nastawienia do katolików. Nazwa upamiętnia króla Wilhelma III Orańskiego.

[3] *Hangashore, angishore, angyshore* (ang. nowofundlandzki) – osoba chorowita, słaba, godna pożałowania; również mężczyzna leniwy, bezwartościowy, nienadający się do łowienia ryb.

[4] Armia Zbawienia (ang. *Salvation Army*) – założony w XIX w. przez londyńskiego pastora Williama Bootha związek wyznaniowy schierarchizowany na wzór organizacji militarnych. Członkowie Armii Zbawienia znani są przede wszystkim z aktywnej działalności ewangelizacyjnej i charytatywnej.

[5] *The Three Stooges* – amerykańskie trio komediowe słynące z niewyszukanych, slapstickowych żartów, którego szczyt popularności przypadł na lata 30. i 40. XX w.

[6] *Bang* (ang.) – obsc. stosunek seksualny, szybki numerek.

[7] *The Sherwood Foresters* (dosł. „Leśnicy z Sherwood”) – brytyjski regiment piechoty utworzony w 1881 roku.

[8] Bud Abbott i Lou Costello – amerykańscy aktorzy komediowi, popularni w latach 40. i 50. XX wieku.

[9] *Black Watch* (dosł. „Czarna straż”) – kanadyjski regiment piechoty powstały w Montrealu w 1862 roku.

[10] Melodia skomponowana przez Sir Huberta Parry'ego do poematu pióra gubernatora Sir Cavendisha Boyle'a. W 1904 r.

uznana za hymn narodowy Nowej Fundlandii. Od 1980 r. oficjalny hymn kanadyjskiej prowincji Nowa Fundlandia i Labrador.

[11] *Nish* (ang. nowofundlandzki) – delikatny, kruchy, mizerny.

[12] United Service Organizations – założona w 1941 roku amerykańska organizacja, której celem jest dostarczanie rozrywki żołnierzom i ich rodzinom.

[13] CLB (Church Lads' Brigade) – założona w 1891 roku organizacja młodzieżowa związana z Kościołem Anglii, której głównym celem jest formacja młodzieży w duchu chrześcijańskim. Na Nowej Fundlandii siedziba brygady mieści się w zbrojowni (Armoury) w St. John's.

[14] Kempeitai – w latach 1881-1945 japońska żandarmeria wojskowa, pełniąca funkcję tajnej policji politycznej i służby kontrwywiadu. Ze względu na popełnione zbrodnie nieraz porównywana do niemieckiej SS.

[15] Parks Canada – kanadyjska agencja zarządzająca parkami narodowymi, terenami historycznymi i innymi obszarami objętymi ochroną.

[16] St. John Ambulance – związana z zakonem joannitów międzynarodowa fundacja zrzeszająca organizacje zajmujące się nauką i udzielaniem pierwszej pomocy.

[17] Black Belt (dosł. „Czarny Pas”) – szereg dzielnic, w których w połowie XX w. mieszkała zdecydowana większość czarnoskórej populacji Chicago.

[18] Dosłownie: „lista życzeń”.

[19] Dosłownie: „Spotkamy się, nie wiem kiedy, nie wiem gdzie”. Fragment refrenu piosenki *We U Meet Again*, spopularyzowanej w 1939 roku przez brytyjską piosenkarkę Verę Lynn. W kulturze

anglosaskiej jest to jedna z melodii najczęściej kojarzonych z drugą wojną światową i przymusową rozłąką żołnierzy z bliskimi.

[20] Billy Sunday (1862–1935) – popularny baseballista, który w wieku 28 lat porzucił karierę sportową i stał się jednym z najbardziej zagorzałych ewangelizatorów w Ameryce.

[21] Christian Science (Chrześcijańska Nauka) – założony w 1876 r. ruch religijny, którego członkowie nie uznają przyjmowania lekarstw ani żadnej formy pomocy medycznej, skupiając się wyłącznie na uzdrawianiu przez modlitwę.

[22] Alexander Dowie (1847-1907) – ekscentryczny szkocki pastor działający głównie w Australii i Ameryce. Posądzany o oszustwa finansowe i sfingowane uzdrowienia. Założyciel miasta Zion w stanie Illinois, które przez kilka lat stanowiło jego wyłączną własność.

[23] Tani rum sprzedawany na Nowej Fundlandii. Niegdyś słowo to odnosiło się do każdego niedrogiemu, mocnego alkoholu.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Spis treści

Dedykacja

Motto

***(Ani przez chwilę...)

1940

WISH

MERCEDES

***(Po odwrocie z Guadalcanalu...)

1945

WISH

MERCEDES

***(W English Bay otworzyli...)

WISH

***(Po porannym apelu...)

MERCEDES

1994

MERCEDES

WISH

***(Opuścił obóz niedługo...)

MERCEDES

WISH

MERCEDES

PODZIĘKOWANIA NIECH ZECHCĄ PRZYJAĆ